

117

T 1471.897

ricka

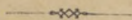
E.



OSTOJA.

Józefa Sawicka

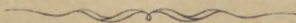
NOWELLE.



MIEŁOŚĆ BABUNI. — ZEY DUCH. — ŻŁOTA RYBKA. — SCYZORYK. —
LIST. — Z KRAINY DUCHÓW. — Z MOICH STRON. — NOWA ŁÓDŹ.

Z przedmową

D-ra Piotra Chmielowskiego.



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

—
1890.

Доволено Цензурою.
Варшава, 1 Мая 1889 года.

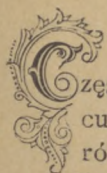


I 1.471.897



Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 1530 (26 nowy).

1098 k 487/90



często się zdarza widzieć w książkach francuzkich przedmowy do dzieł żyjących autorów, napisane przez któregoś z ich kolegów.

Forma tych przedmów jest jedynie nowością, nie zaś rzecz sama. Już bowiem w XVI wieku, nietylko we Francyi, ale wszędzie w Europie, a więc i u nas, znajdowały się takie wstępy, wierszem i prozą często przez kilku z rzędu autorów kreślone. Miały one wprawdzie wyłącznie pochwalny charakter, ale spełniały też inne zadanie: objaśniały czytelnika na samym początku dzieła o jego zawartości i znaczeniu.

Z biegiem czasu wyszło to ze zwyczaju; dopiero pośmiertne wydania zaopatrywane bywały w życiorysy i oceny dzieł zmarłego. Dziś wracamy powoli, w zmienionej formie, do przykładu, jaki nam zostawili poprzednicy w literaturze.

Jednych to dziwi, innych gorszy. Ale czy słusznie?

Jeżeli sprawozdania i rozbiory dzieł, pojawiające się w czasopiśmie, mają za zadanie wskazanie zalet i wad, czyli innemi słowy wartości danego utworu,—jeżeli zatem mają dopomóc czytelnikowi do wyrobienia sobie opinii o nim,—to dlaczegóżby nie mogła spełnić tegoż samego przedmowa, nastrojając odpowiednio czytelnika przy wstępie do dzieła?..

Oczywiście nie może to słowo wstępne być wyczerpującą recenzją, nie może wdawać się w szczegóły, ale ujęcie znamienych cech talentu autora i należyte ich oświetlenie powinno tu stanowić główny składowy pierwiastek.

W téj myśli kreślę słów kilka o talencie Ostoi.

Talent to przedewszystkiém skupiony w sobie do wysokiego, jeżeli nie do najwyższego stopnia, i dlatego nie tak łatwo dający się ocenić przez zwykłych przeciętnych czytelników, którzy lubią, żeby im rzecz każda była dokładnie, drobiazgowo opowiedziana, a nawet wytłumaczone jéj znaczenie rozumowe, moralne czy estetyczne, którzy lubią szczegółowe uwagi i wywnętrzenia się autora, nie chcąc podejmować pracy domyślania się, zgadywania, zgłębiania. Czytając pisma Ostoi, trzeba mieć umysł czujny i nie tracić nic z tego, co było powiedzianém, gdyż nic w nich niéma zbyt cennego, nic, coby się dało opuścić bez szkody dla pojęcia całości. Ostoja jest skąpa w słowa; maluje człowieka, położenie, myśl, uczucie, zdaniem obmyślanem starannie a ujętemi w wyrazy jaknajzwięźléj; rozwlekłości i gadatliwości, znamionują-

cój pospolicie utwory pióra kobiecego, niema w niej ani śladu. Refleksyj osobistych o położeniu osób wprowadzonych na scenę, zdań moralnych, mających kierować uczuciem czytelnika, deklamacyjnych uniesień, któreby akcentowały grozę sytuacji, lub wskazywały heroizm cierpienia, unika umyślnie, bo chce wykluczyć, o ile się da, mieszanie się autora do treści, ażeby sama ta treść przemówiła do rozumu lub serca. Ze wszystkich naszych autorek jest ona najbardziej *przedmiotową* (objektywną).

Potrzeba pewnego wyrobienia umysłu i serca, ażeby taki przedmiotowy sposób twórczości należycie odczuć i zrozumieć. Kto słyszy tylko dźwięki trąb, dla tego piana, a témbardziej pianissima, będą zupełnie stracone. Kto nie przeszedł walk wewnętrznych, kto nie zaznał cierpień dolegliwych, ale w ciszy przechodzących, ten nie potrafi pojąć tragiki duchowej.

W pismach Ostoi uczucie przedstawia się zawsze w formie nadzwyczaj skoncentrowanej i dlatego pospolitemu spostrzegaczowi wydać się może chłodnym. Ponieważ z natury swego talentu Ostoja nigdy nie wybucha pełnią frazesu, dla tych więc, którzy frazesy tylko rozumieją, niema tu odpowiedniej karmi uczuciowej. A jednakże śmiało powiedzieć można, iż wśród naszej bieżącej literatury mało się znajdzie utworów, coby w tak wysokim stopniu, jak u Ostoi, przedstawiały potęgę cierpień serca, które się z cierpieniami swemi kryje, nie chcąc szyderstwa ściągnąć na siebie... I w tym względzie Ostoja może najdobitniej wyraziła w utworach arty-

stycznych dzisiejszy stan nastroju sercowego. Oskarżamy zazwyczaj nasz wiek o brak uczucia. Zdaje się, całkiem niesłusznie. Zmieniło się tylko jego uzewnętrznienie. Niewątpliwie, pewne strony, pewne objawy uczuciowości zabija wyższy rozwój umysłowy, ale bynajmniej nie niszczy samego uczucia, wysubtelnia je owszem i pogłębia. Dzisiejsi uczuciowi ludzie nie popadają w deklamacye sentymentalne, ani podnoszą wykrzyków romantycznych; czują głęboko, ale rzadko swe uczucia wypowiadają, kryją się z niemi, by zimny powiew obojętności nie zwiększył jeszcze rozgoryczenia, albo nie zatruł szczęścia. Uśmiech przez łyż jest dziś może częstszym niż kiedykolwiek, tylko że te łyży nie płyną po policzkach,—są połykane. Takie stłumione w sobie a nieraz do siły tragicznej wznoszące się uczucia umie Ostoja przedstawiać najlepiej, nieraz można powiedzieć: genialnie.

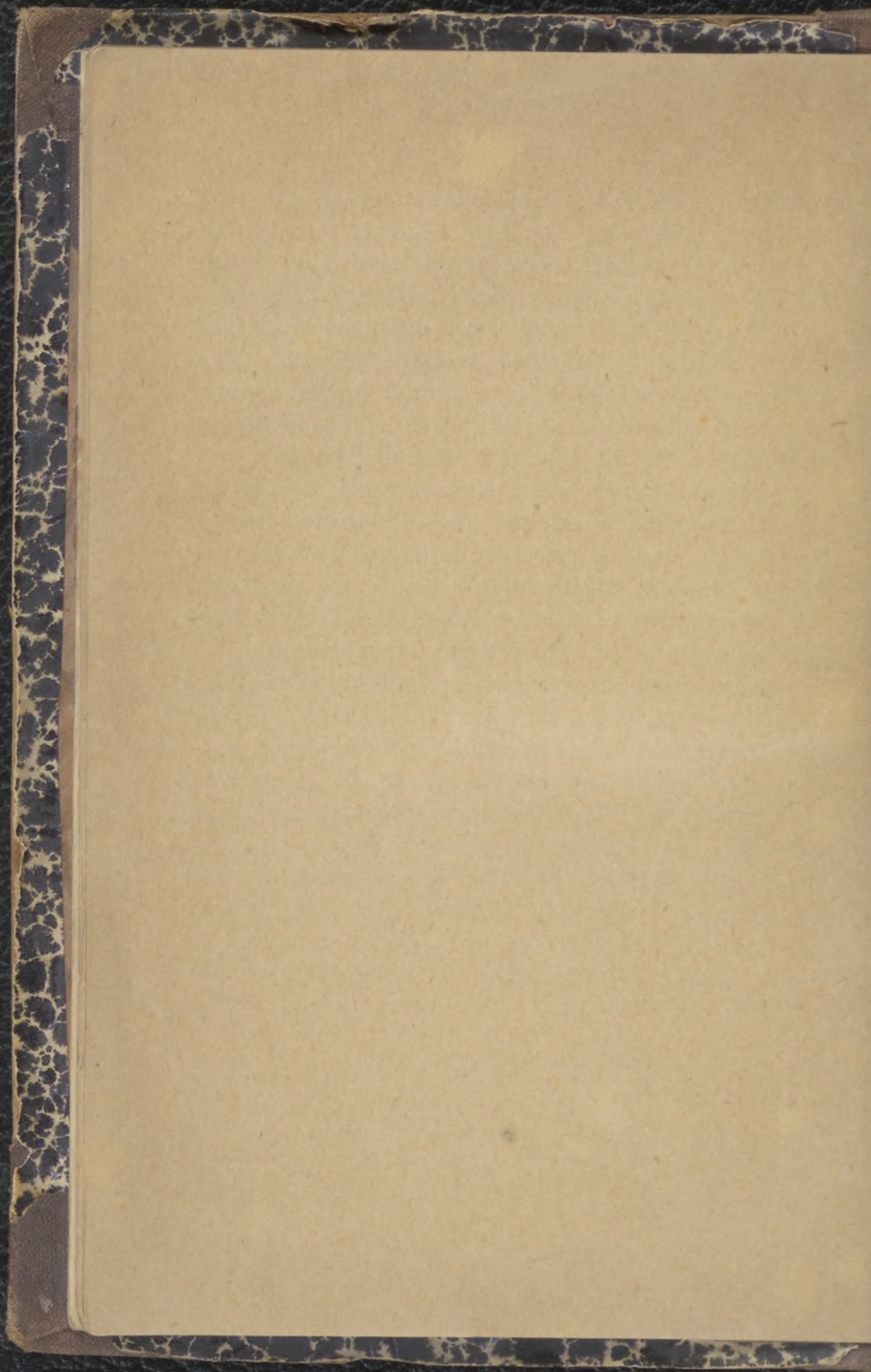
Najczęstszym tematem opowiadań Ostoi bywa życie biednych i nieszczęśliwych. Autorka przejęła się ich dołą serdecznie, cierpienia ich „wchłonęła w pierś swą magnetycznie,” poznała dokładnie, co im dolega, co ich przygniata, co szczęście im zakłóca, co ich pragnieniem śmierci nicości przejmuje. Uśmiech radosny pojawia się u niej rzadko; ludzi zadowolonych z życia prawie niema. Taki charakter pism był powodem, iż zarzucono autorce pesymizm. Zarzut ten dziś do niejednego zastosowano pisarza, boć większość ich obecnie w Europie mniej lub więcej pesymistycznym kolorytem powleka swe twory, nie mówiąc o tych, co z zasady są pesymistami. Do naszej

autorki wszelako charakterystyka ta nie przypada w zupełności. Prawda, że większość jej pism ma tło ciemne, ponure; prawda, że w nich występują ludzie smutni, przygnębieni, nieszczęśliwi; skutkiem to jest najprzód położenia, w jakim się społeczeństwo znajduje, a powtóre rodzaju talentu, chwytającego najdokładniej te strony życia, których wyrazem cierpienie. Ale Ostoja nie sądzi bynajmniej, iżby na świecie żyli sami egoiści, kierujący się jedynie i wyłącznie zasadą interesu osobistego; w jej utworach pojawiają się, rzadko co prawda, lecz bądźco bądź pojawiają się ludzie, poświęcający się dla innych, dający nieraz swe życie w ofierze. Te barwniejsze promyki rozjaśniają jak błyskawice ciemne tło obrazu i chronią go od monotonii.

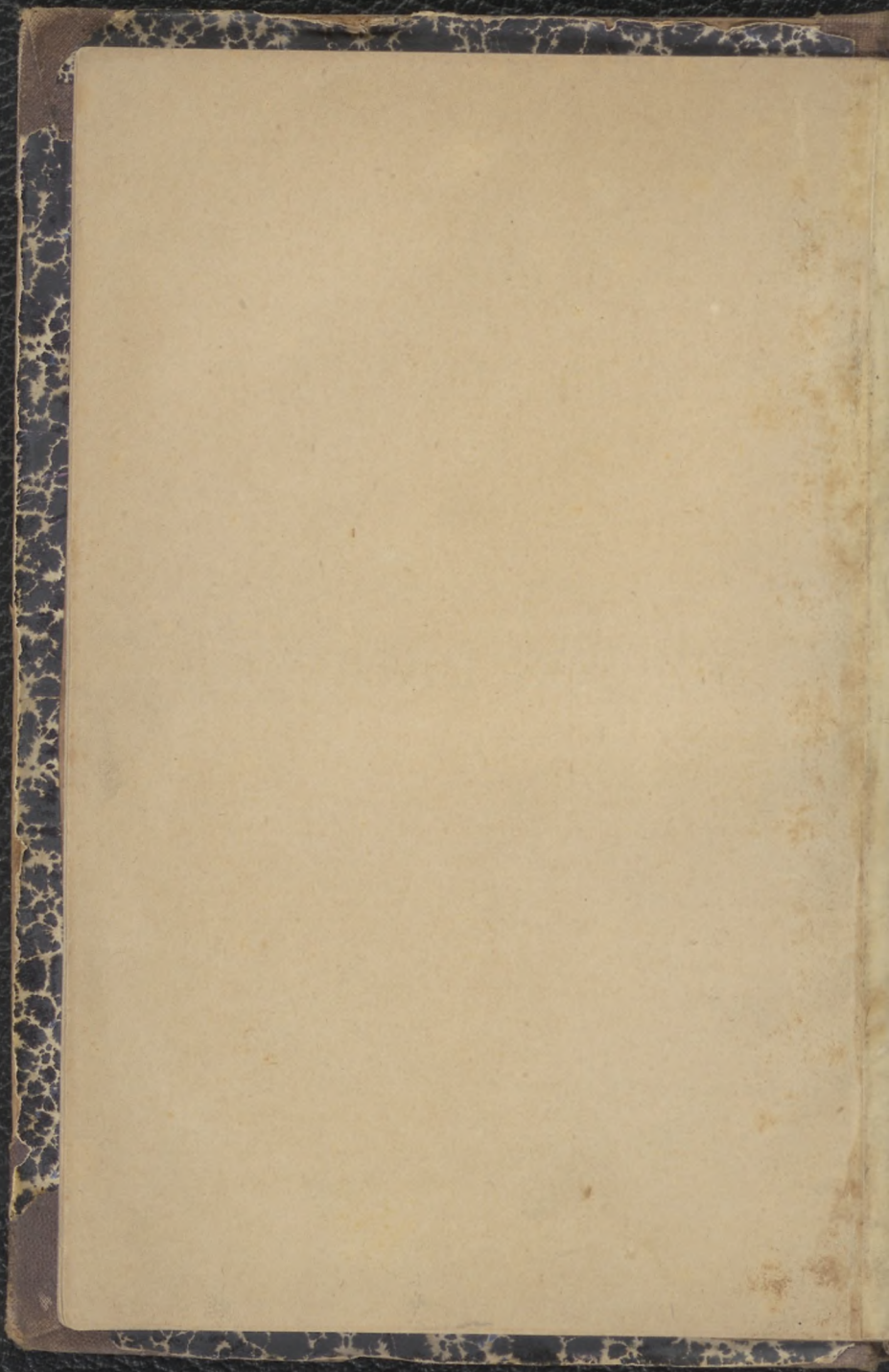
Ostoja znajduje się w świetnych początkach swego nowelistycznego zawodu; z czasem zakres jej spostrzeżeń niewątpliwie się rozszerzy i obejmie rozleglejsze zagadnienia społeczne. Czy pozostanie przy obecnej, zwięzłej formie noweli i obrazków, czy też zabierze się do powieści,—zawsze mamy prawo spodziewać się coraz głębszych, coraz staranniej obrobionych, słowem coraz piękniejszych utworów. Zasób talentu—obfity, a życie nauczy go spożytkować jaknajlepiej, z jaknajwiększym pożytkiem dla literatury.

Warszawa, 5 września 1889.

• Piotr Chmielowski.



MIŁOŚĆ BABUNI.



Maż mój nieboszczyk był straszny raptus, pasy-
nat, gwałtownik. Ze słowami się nie rachował, z kijem mniej jeszcze. Bóg jeden wie, ilu ten człowiek w życiu swém ubił; a ilu chciał ubić, to i sam Pan Bóg nie przeliczy. Od gwałtownego słowa nie wstrzymałaby go kara śmierci—taką miał dziwną naturę, z ognia i prochu złożoną. Drżałam dawniej na sam dźwięk jego głosu, modliłam się do wszelkich świętych o spokój i opamiętanie, chociaż wiedziałam, że ze złą kobietą dyabeł poradzi, ze złym mężem ani piekło, ani niebo rady nie da. Zresztą złym nie był, sprzeciwiania się tylko, hardości znieść nie mógł, na punkcie wielkości rodu swego był pomieszany, a w sąsiedztwie miał siebie za najważniejszą figurę. Wprawdzie na dziesięć mil dokoła żadnego dworu nie było; błota, jeziora, lasy, wiadomo, jak w Pińszczyźnie za dawnych czasów, ptactwa, zwierząt różnych podostatkiem, reszta własni chłopi; panował wśród tego otoczenia niby król jaki. Kiedy krzyknął na ganku, ryby w jeziorach truchlały, ptaki przestawały śpiewać, kto wie, może nie-

dźwiedz drzał w swoim barłogu. Tak mi się przynajmniej zdawało, w pierwszych latach szczególnie; później oswoiłam się, jakbym się oswoiła z piorunami, gdyby mi po kilka codziennie koło uszu trzaskało. W pierwszych latach jednak byłam prawdziwem trusiątkiem. Wobec służby, rezydentek i rezydentów głowę nosiłam wysoko, wobec męża nawet nie spuszczałam z tonu; miał też dla mnie estymę należną; ożenił się z prawdziwego afektu, więc i życia zatruwać nie chciał; w złości hamował się czasami, sapał tylko i mruczał, niby zwierz w klatce, z ukosa na mnie zerkając. A gdy go złość strasznie już za gardło ścisnęła, wybiegał na ganek, na dwór, pod stajnie, i tam już chwalił Boga po swojemu. To też strwożyłam się strasznie, prawie zdrętwiałam w ów dzień pamiętny, kiedy siedząc za krosienkami w swojej sypialni, usłyszałam, jak biegł przez cały szereg pokoiów, drzwiami za sobą trzaskając, stukał buciskami i kłął kogoś od stu par dyablów, tysiącami batogów szafował. — No, koniec świata, albo może białonóżka zdechła! — pomyślałam wystraszona; igła wypadła mi z ręki. Choć serce trzepotało się w piersiach, a nogi drżały, wstałam z krzesła wyprostowana, niby spokojna, brwi nawet ściągnęłam gniewnie, widząc, jak szarpnął za klamkę i drzwi z trzaskiem otworzył, niby w stajni. Język mi skołowaciał, ale duma rodowa zaczęła chodzić po kosiściach: do żadnej Kandybianki nikt jeszcze z takim hałasem nie wpadał! On też, spostrzegłszy się, ochłonął nieco, przy drzwiach stanął, czerwony, sapiący, drzał i oczami krwią zabiegłymi mierzył mię od stóp do głowy. Nigdy pięknym nie był, w tej chwili jednak, Boże odpuść, wyglądał jak potępieniec! Kosmyki włosów

sterczały na skroniach, z łysiny pot spływał na nos, na policzki, z pod rozpiętój koszuli widniała czerwona szyja i nagie, gwałtownie falujące piersi; z wielkiego gniewu do słowa przyjsć nie mógł, połykał ślinę i zaciskał potężne pięści.

— Jegomość — szepnęłam niby z delikatności, w istocie zaś głosu mi brakło, — jegomość strasznie wzburzony!

— Panie mój! — ryknął, tłumiąc gniew — tu pies wściekły oszalałby z gniewu, cóż dopiero zwykły człowiek! Słuchaj jójmość!

Przysiadł na krzeselku u drzwi i znowu powstał.

— Słuchaj jójmość, dziś wyjeżdżam, wrócę jutro wieczorem, rozumiesz?... Żeby mi do tego czasu malarza w domu nie było! Zabiję go, zmiażdżę, na kawałki posiekam i srokom oddam, jeśli ten psubrat jeszcze mi w drogę wlezie choć na minutę! Włóczęga, Barabasza, hajdamaka jakiś! lu...dzi... mnie... buntuje!... Czart go strzegł... byłbym go w tój chwili do piekła odprawił, żebym przy robocie znalazł! Nauczyłbym kanalie! Jójmość sama się z nim rozmów; kaplicy nie skończył, ale dyabeł go bierz, sprowadzę innego! dziś jeszcze każ go psami wyszczuć. Urwis! Słyszane rzeczy! Onegdaj Jaśko stajenny powiada do ekonomy, że jest taki dobry jak i każdy inny we dworze, bo malarz mówił, że tu wszyscy biedni i ciemni! Dziś w smolarni robotnicy podobne banialuki gadają, chleba krzyczą, kartofli, o głodzie pracować nie chcą, leżą w lesie jak barany, żaden do roboty iść nie chce, dopóki ciepłej strawy nie dostaną! A wszystkiego ten Barabasz narobił: snuje się między nimi o świcie, o zmroku, w każdej porze, przemawia, zapytuje, kiwa głową jak nad

umarłymi! Sam widziałem! Ha! że ja go żywcem wypuścić muszę!

Mówił coś jeszcze o chłopach, o porządku, krzyczał, harmiderował, wypluwając co chwila imię malacza z największą nienawiścią. Rzucił się przytém po pokoju jak postrzelony niedźwiedź. Dopiero gdy wybiegł, ocknęłam się ze zdziwienia, żal i strach mię ogarnął. Wyprawię go jakkolwiek, powiem całą prawdę... Pójdzie w świat, zkąd przyszedł... W romanse nie wierzyłam, wiary małżeńskiej dochowywałam święcie, a jednak jakieś głupie łzy stanęły mi w oczach, gdy o całej téj sprawie rozmyślałam w cichości. Pracował u nas od trzech miesięcy, oswoił się już trochę, utył i poweselał; myślałam, że do jesieni odkarmię go jeszcze lepiej, że wyjeżdżając, zabierze zapas zdrowia, sił i trochę nowój bielizny, którą przygotowywać zaczęłam.

Ładny to był chłopak, ale nie o tém chciałam mówić; wielu ładniejszych widziałam żywych i na obrazach, a żaden tak bardzo w oko mi nie wpadł, chociaż w pierwszej chwili pewną byłam, że jest wariatem. Pamiętam, tego dnia, kiedy przyjechał, stałam na ganku, na tym samym ganku, prawie na tém samym miejscu, gdzie dziś siedzę; wówczas wyglądałam trochę lepiej; mówią, że za młodu nawet dyabeł jest ładny, cóż dopiero dyablice, raczej kobiety,—prawie wszystkie bywają nieszpętne. Było to na początku wiosny; śnieg spłynął już zupełnie, za stodołą, za stajniami i oborą widniało czarne pole, gdzieś tam tylko między zagonami szarzały pasy brudnego lodu. Na dziedzińcu zieleniała trawa wkoło klombu i przy budynkach, pomimo to wiosną nie pachniało. Ranek był mglisty, szary; na całym świecie ranki takie bywają

tylko w późnej jesieni, na pińskich błotach zdarzają się w każdej porze roku. Dziś jest trochę inaczej—błota osuszono, ludziska w braku czegoś lepszego chociaż słońce oglądać mogą. Dawniej mgła biaława wisiała w powietrzu od świtu do nocy, a gdy słońko przekradło się przypadkiem, albo wiatr ciepły rozwiął mgliste chmury, wówczas, jak okiem zajrzeć, widniała woda, poprzerwana tatarakiem, rąbkami czarnej ziemi, albo łąką kępiastą, porosłą olszniakiem; zieloność przytém martwa, żółtawa, kawałka porządnej trawy nie widać. Słowem, smutno patrzeć. Kiedym tu przyjechała z mężem po ślubie, myślałam, że zamrę z tęsknoty. Z ganku, z okien widać tylko błotnistą równinę: za dworem—kępy, porosłe ostrą trawą, las gęsty nieprzebyty, w którym téż wśród spróchniałych dębów, powywracanych brzóz i olsz drzemały błotniste jeziora. O mało nie wylałam z żalu i tęsknoty. Wkrótce przywykłam; mgła, wilgoć, pochmurne niebo i ten spokój, przerywany krzykiem czajki, albo słabym, ginącym w przestrzeni głosem ludzkim, tworzyły razem dziwnie harmonijne otoczenie, w którym, jeśli się człek nie powiesi odrazu, żyje potém, drętwiejąc z dnia na dzień. Nieraz tylko dziwiłam się w duchu, jakim cudem na tych trzęsawiskach stoi nasz dom murowany z facyaty od frontu, murowane budynki, olbrzymi lamus z cegły i kamieni? Przychodziło mi na myśl, że z czasem to wszystko się usunie i zniknie pod wodą, jak owe domy i kościoły w bajkach; a że zwykle na takich tajemniczych jeziorach pływa jakiś przedmiot po dawnych mieszkańcach, pewną byłam, że będzie nim peruka mego męża, którą nosił w wielkie uroczystości. Otóż w ów ranek pamiętny, szary, mglisty i chłodny, ze dwustu chło-

pów stało przed gankiem, oczekując na mego męża, który miał tego ranka wrócić z miasteczka. Wszyscy prawie bosy, niektórzy tylko w łapciach dziurawych, od których sznury okręcały nogi do kolan, w koszulach rozpiętych na piersiach, kozuchy obrócone sierścią na wierzch zarzucili na ramiona, wszyscy bez czapek; kołtunowate włosy zwieszały się na czoło, spadały nad uszami, nadając głowie formę kudłatą czapki. Głowy pochylone, ręce obwisłe, stali tak już od godziny jeden koło drugiego, ściśnięci w półkole, nieruchomi, milczący, akurat jak te krzaki olszyny wyrosłe na błotach. W lasach urządzano smolarnię, zwołano ich tedy całą gromadę, żeby wybrać młodszych i silniejszych. Nigdy jeszcze nie widziałam ich tak dużo naraz; przyglądałam się przez okno i żal mi się zrobiło nóg bosych, krzepnących w błocie. Mąż może wcale nie wróci, a w jego nieobecności ja jedna miałam prawo zmienić wydany rozkaz; wyszłam tedy na ganek. Zdaleka już zasłyszałam pluskanie na błotnistą grobli, rzenie koni i turkot kół, ciągnących się zwolna; wkrótce w bramie ukazały się lby końskie, furman i dwie pańskie figury; wracał tedy z gościem. W tak straszną bezdroż chyba tylko urzędnik w interesie przyjechać może. Pomimo ciekawości, w mgnieniu oka przebiegłam myślą zadysponowany obiad. Wszystko w porządku; w razie potrzeby każę zabić indyka. Zaledwo jednak bryczka stanęła przed gankiem, zmiarkowałam, że gość nie był z tego rodzaju, dla których się ptaństwo zabija: miał na sobie wyszarzany kubraczek, obsyty popielatym barankiem, takąż czapczynę, ręce wsunął w rękawy, żeby nie zziębły; gdy wyskoczył z bryczki, spostrzegłam, że był wysoki, zgrabny, a pomimo bla-

děj, zmizerowanej twarzy, mógłby się nazwać pięknym chłopakiem, gdyby nie oczy, waryackie jakieś, wystraszone jak u zadławionego; wpatrzył się w chłopów zdumiony, jakby pierwszy raz w życiu naród boży widział. Podczas gdy mąż mój, suwając nogami, poszedł w głąb sieni, ja obrzuciłam raz jeszcze wzrokiem malarza; właśnie odwrócił głowę od chłopów, spojrzeliśmy na siebie. Straszne miał oczy—dzikie, przerażone, jakby w tój chwili śmierć własną spostrzegł.

Przelekniona, cofnęłam się do sieni, „jakieś grobowe „oh!” doleciało mi do uszu, nie był to jednak wykrzyknik zmęczonego podróżnego, który prostuje nogi i krzyże po długiej, męczącej podróży; było to raczej głuche westchnienie stu przyduszonych piersi. Pierwsze wrażenie niezbyt miłe; prawie pewną byłam, że na dopełnienie mego domowego spokoju przybył mi jeszcze waryat na kilka miesięcy. Kazałam go pomieścić w pokoju na facyatce i tam mu podać obiad, pod pozorem, że może zechce wypocząć po drodze. Siedząc w jadalni, słyszałam, jak chodził szybko w swoim pokoju, a chociaż zanoszono mu każdą potrawę, nie jadł zapewne, bo chodzenie nie ustawało ani na chwilę. Parę razy mimowoli spojrzałam na sufit, a jednocześnie dwie rezydentki, siedzące naprzeciw mnie u stołu, szturgnęły się łokciami. Obie miały czyste kołnierzyki i skonfundowane miny; podżyłe pannice czyhały widocznie na nową znajomość; zapewne do obiadu położyły już parę pasyansów, każda na swoją dolę, mówiąc przytém koronkę do Przemienienia na intencję swego stanu.

Obie gorliwie pragnęły wyjść za mąż, a każdy nieżonaty mechanik, pisarz, dzierżawca lub rządca figu-

rował w postaci króla karowego, kierowego, treflowego przez cały dzień na stole w panińskim pokoju. Jeśli przypadkiem, zajrzawszy do panien, znajdowałam na stole rozłożone karty z królem na środku, zgarniały je natychmiast, albo, skonfundowane, oznajmiały, że to na intencję proboszcza kabałę kładą, czy dobrodziej prędko z choroby się podniesie i czy prędko ze mszą św. do naszej kaplicy przyjedzie. Wiedziałam, o jakiego proboszcza tu chodzi, kościołem zaś było puste staropanińskie serce, w którym żadne bóstwo mieszkać nie chciało. Cha, cha! oj miałam ja dość kłopotu z temi rezydentkami przez całe życie. Rzadko którą za mąż wydać zdołałam; najczęściej musiałam zjadać zcukrowane konfitury, wypijać spleśniałe soki, które mi te dobrodziejki, gniewne na świat cały, psuły, smażąc niedbale. W dodatku ogadywały mię, jak mogły; według nich, byłam harda, sztywna i skąpa, cały dwór w garści trzymałam i — zażywałam tabakę, chociaż ostatniej przywary nauczyłam się dopiero w podeszłym wieku, gdy mąż mój został prezesem izby kryminalnej w Mińsku.

Wszystkie te dalekie kuzynki, sieroty z porządnymi rodzinami, chrześniaczki, bratanki, którym dawałam schronienie i opiekę na czas jakiś, miały jakoby osładzać moją samotność, dopomagać w gospodarstwie; w istocie ja jedna o wszystkich myśleć musiałam, znosić kaprysy, fantazyje i za to wszystko uchodzić za Heroda, sknerę pierwszorzędną; niektóre opowiadały, że do mleka, wydawanego dla czeladzi, kazałam wody dolewać.

Tak to mię czerniły te ptaszynki-sierotki i kuzyneczki. O cnotę moją dbały częstokroć więcej, niż o swoją własną, a jeślibym przez płochość czy przez

nierozwagę chciała wpaść np. w czyjeś ramiona, każda z nich uprzedziłaby mię chętnie, byle tylko mój honor ocalić. Miały więc i dobrą stronę te moje rezydentki. To też nazajutrz, gdy przy rannej kawie mąż oznajmił, że malarz najprzód mój portret wymaluje, a potem dopiero weźmie się do obrazów wkaplicy, obie rezydentki spojrzały na siebie znacząco. W ich myślach zapewne byłam już zgubioną—sam na sam z malarzem codzień przez parę godzin! Żadna z nich nie wytrzymałaby tak ciężkiej próby bez pomocy bożej, chociaż obie o lat dziesięć były starsze ode mnie. Naraz zaczęły mi doradzać, jak się mam ubrać, jak uczesać, żeby i pięknie i poważnie wyglądać, jak przystało na zamożną obywatelkę, mającą dwór murowany i kilkaset sztuk bydła w oborze. Miałam tedy objuczyć się wszelkimi klejnotami, przywdziać suknię jedwabną, kwiecistą jak ornat, a figurę przykryć szalem tureckim, który na owe czasy kosztował sześćdziesiąt dukatów, akurat tyle, co dziesięć wykarmionych wieprzów, obliczając na gospodarską monetę. W bawialni miałam już kilka kobiecych portretów, udekorowanych we wszelkie rodzinne kosztowności; była to matka, babka i ciotki mego męża; wśród nich matka moja, ładna, wytworna dama, w wysokiej, upudrowanej fryzurze, wygorsowana należycie, z perłami we włosach i różą w malutkiej rączce, wyglądała jak kwiatek egzotyczny obok bujnego warzywa w ekonomicznym ogródku. Do szanownych, suto przybranych sędzin i podsędkowych z pińskich błot należać nie chciałam; między mną i moją matką leżała fortuna, zrujnowana na zbytki i bale; pozostałe szczątki nie pozwoliły mi się wykierować na tak wykwintnie ele-

gancką damę. Byłam sobie tém, czém byłam—jedną z pięciu córek niegdyś zamożnego domu. Mąż mój pokochał mię za to, że wprawnie robiła pończochę; zostawszy panią licznego dworu, musiałam z obowiązku i potrzeby rozwinąć w sobie zamiłowania gospodarskie. Doglądałam tedy przędzy w garderobie, a chociaż od brudnych kożuchów i grubych spódnic prządek było tam i brudno i cuchnąco, przesiadywałam nieraz całemi godzinami, gdyż bez dozoru połowy roboty nie zrobiłyby; gderałam téż nieraz, bo za pańszczyźnianych czasów głodem tylko i rygorem stał porządek; głodu u nas nie było, ale rygor utrzymywać musiałam. W apteczce, w spiżarniach rezydentki i ochmistrzyni tylko nieład robiły, okradałyby może, gdyby nie rejestra, które sama akuratnie prowadziłam. Od rana tedy do nocy byłam gospodynią i jaką jeszcze! Od sędzin jednak i podsędkowych wyróżniałam się powierzchownością, odziedziczoną po matce; każda stara myśli, że była ładną za młodu, otóż i ja tak myślę, a przynajmniej pewna byłam tego wówczas, ubierając się do malowania.

Rezydentki odprawiłam wraz z bogatemi strojami; do gładko uczesanych włosów wpięłam bukiet świeżych fijołków, takiż bukiet przypięłam na piersiach do popielatego stanika, a przez cały czas myślałam o tém tylko, jak się wydam malarzowi: czy odrazu pozna we mnie kobietę, co wybornie urządza wędlinę i przez jeden wieczór może zrobić parę wełnianych skarpetek, czy téż przyjmie mię za wielką panią, której pokojówka nakłada pończochy, a garderobiana związuje spódniczki? Bardzo byłam ciekawa, jakie téż na nim zrobię wrażenie. Wiedziałam od męża, że cho-

ciaż wygląda nieosobliwie, jednak jest człkiem bywałym, uczył się za granicą... nie ważna tam wprawdzie nauka, gdyż poszedł po nią pieszo, z tłómaczkiem na plecach, ale zawsze bywał między ludźmi; wyprawili go ztamtąd jakoby, bo się rozpił; inni mówią, że spiskował we Włoszech przeciw cesarzowi chińskiemu! Słowem, był trochę awanturnikiem, bywalcem, młodym i jakby smutnym; wszystko to, razem wzięte, wśród pińskich błot mogło zawrócić głowę... rezydentkom; ja miałam męża, który mię co wieczór całował w czoło na dobro noc, a w rękę, dziękując za obiad; wobec téj czułości niewdzięczną byłabym, poświęcając innemu chociaż odrobinę próżnych myśli. Jako gospodyni, musiałam jednak myśleć o gościu, a szatan obrał właśnie tę drogę, żeby trafić do mego serca.

Malowanie miało się odbywać w narożnym pokoju o czterech oknach, najjaśniejszym z całego mieszkania. Dnia tego słońce zajrzało do wszystkich okien naraz, na dworze wietrzyk wiosenny poruszał obnażonymi gałęziami; kazałam tedy rozwiesić wszystką wędlinę dla przewietrzenia, a sama poszłam do sali, gdzie na mnie czekał już malarz. Na moje uprzejme powitanie skłonił się w milczeniu i, nie patrząc na mnie wcale, kazał usiąść na przygotowanym krześle. W téjże chwili usłyszałam cichutkie stąpanie za drzwiami, klamka poruszyła się zlekka — obie rezydentki były tedy przy dziurce od klucza, biedaczki dusiły się zapewne, żeby nie sapnąć głośniej. A malarz, obrócony do mnie plecami, wciąż ustawiał stalugi, maczał kredkę w ustach, próbował na płótnie i znowu do ust podnosił. Żeby na moje powitanie odpowiedział choć jednem słowem, choć wejrzaniem przynajmniej, zaraz zaczęłabym roz-

mowę; wobec milczenia czułam się onieśmieloną, nadrabiałam wprawdzie rezonem i wciąż głowę to w prawo, to w lewo zwracałam, w pierwszej chwili jednak nie mogłam odzyskać zwykłej swobody. Może nocleg miał zły? może mu do kawy śmietanki nie dali?—przemknęło po głowie; odtąd postanowiłam więcej się o niego troszczyć; blade, zapadłe policzki chłopaka mogłyby wzbudzić litość nawet w starszém sercu niż moje.

Już miałam go zapytać, jak noc przepędził, kiedy, urządziwszy należycie przybory, zwrócił się do mnie. Odstąpił kilka kroków, brwi ściągnął i mierzył mnie badawczo od stóp do głowy; wrażenia ani śladu, z taką samą miną patrzyłby zapewne na łysą głowę mego męża. Poskoczył, schwyciwszy mnie za ramię, na przód pochylił, znowu się cofnął i patrzył; nakoniec za brodę mnie ujął, obrócił głowę profilem, podjął do góry, zaglądał z boku, wprost, mruzczał coś przytém, wywijając kredką, trzymaną w ręku. Zapewne były to manewry czysto malarskie, nie podobały mi się jednak. Dla mnie nawet proboszcz w kościele zachowywał pewne względy, a kropiąc lud wodą święconą, zwykle mój świeży kapelusz omijał; ten zaś malarzyk traktował mnie jak najzwyczajniejszą modelkę! w potrzebie możeby nawet za ucho pociągnął! Pewną byłam, że dotąd malował tylko starych księży i łysych prezesów; nawet dziwném mi się wydało, jak mogłam myśleć o jakimś wrażeniu. Widocznie był niskiego pochodzenia, świadczyły o tém duże ręce, nogi, maniery dziwne, które ładnej kobiety od brzydkiej odróżnić nie dozwalały. Być może nawet, że się upijał; kto wie, może i teraz nawet nie był zupełnie trzeźwym? Mój mąż, wioząc tę

osobliwość aż z miasta, mógł też wybrać coś lepszego; przez cały miesiąc przesiadywać po parę godzin z bandytą, z gburem, który, biorąc za brodę, nie raczy nawet przeprosić — a te głupie rezydentki wciąż przy drzwiach stoją — w ciszy wyraźnie słyszałam ich stłumiony oddech.

Dopiero gdy mnie dostatecznie wymusztrował, zaczął zwrócić uwagę na ubranie, na twarz może... złagodniał, uśmiechnął się... wyprzystojniał w jednej chwili — nie tak nie szpeci mężczyzny, jak obojętność, z jaką na nas patrzy. Tego oczy i zęby były wcale ładne — nie mogłam dostrzedz tych wdzięków, gdy miał najeżoną minę.

— Fijołki w popielatych włosach... wybornie!

Obrzucił okiem dziedziniec, błotniste pola, widniejące przez okna, i znowu na mnie spojrzął. Teraz pewną byłam dobrego wrażenia; jakkolwiek z niskiego rodu, jako artysta musiał mieć gust i znać się na pięknie; zresztą, kto wie, może i ród nie był niski — mój mąż marszałkowicz, a ręce i nogi miał większe niż jego.

— Bukiet w staniku można przypiąć niżej — rzekł, — zresztą wszystko dobrze... doskonale.

Patrzył na mnie coraz więcej zdziwiony.

— Niech się pani uśmiechnie, spojrzysz na mnie... długo, żeby wzrok nabrał spokoju i pewności... ot tak!

Musiałam patrzeć uśmiechnięta, jak zalotnica! Żeby przynajmniej mój mąż nie wszedł na tę chwilę!

— Z uśmiechem źle, spróbujmy powagi... zresztą trudno o piękniejszą całość; sądzę, że portret wyjdzie dobrze.

Tą dobrocią rozbroił mnie ostatecznie. Teraz, zabierając się do kreślenia pierwszych szkiców, poruszał

się z wdziękiem, zręcznie, swobodnie, a chociaż milczał, twarz wyrażała uprzejmie ożywienie,—musiał przypadkiem może obracać się w porządnym towarzystwie. Zresztą, co mi tam do jego przeszłości; teraz jest naszym gościem, winnam mu względy i uprzejmość. To téż gdy posiedzenie miało się ku końcowi, przemówiłam do niego z dobrocią:

— Waćpan zapewne się nudzi sam jeden w pokoju? Wczoraj, po drodze, nie chciałam waćpana turbować, więc teraz proszę uprzejmie w wolnych chwilach po pracy do nas zaglądać. Po obiedzie grywamy w karty, czasami moje panny śpiewają przy klawicymbale; nieosobliwa to wesołość, ale zawsze lepiej, niż w samotności siedzieć.

Czułam, że się rumienię, że słowa wychodzą nieskładnie; radabym przemówić serdeczniej i zbyt uprzejmą być nie chcę.

— Dziękuję — odrzekł,—nie znam okolicy, chcę skorzystać z czasu, zapoznać się z ludem, z krajobrazem, dziękuję pani.

Akurat takim stylem zapisywałam gospodarskie rachunki.

— Chodzić teraz trudno, mamy tylko jedną drogę przez groble; błoto straszne, konie z trudnością ją przebywają.

— Jednak ludzie chodzą; wczoraj do dwustu ludzi widziałem tu przed gankiem.

— Chłopi!

— A, przepraszam! Od wczoraj jestem na wsi, nie umiem jeszcze przedmiotów nazywać właściwem imieniem.

Zpochmurniałam: udałam, że nie rozumiem przy-
mówki; widocznie żałował chłopów, nic w tém zlego
nie widziałam.

— Jeśli waćpan koniecznie chcesz spacerować,
każ sobie siodłać konia; pieszo mi nie chodź, obuwia
szkoda, a na zdrowie niedobrze nogi zbytęcznie zama-
czać. Przedewszystkiém bądź u nas jak w domu, bez
ceremonii; a jeśli zatęsknisz do ludzi, przechadzki,
i chłopci dokuczają, przychodź do nas, zawsze ci radzi
będziemy. Kart może nie lubisz? mamy szachy, do-
mino, do partyi zawsze się ktoś znajdzie. Nie chciała-
bym, żebyś się u nas znudził, a cały dzień przecież ma-
lować trudno.

Podaliśmy mu rękę; trzymał przez chwilę, jakby
nie wiedział, co z nią zrobić, w końcu podniósł zwolna
do ust i pocałował; ja też pocałowałam go w czoło. Od-
tąd byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Zdarzało się, że do
malowania przychodził nieraz chmurny, przygnębiony,
w zabłoconych butach, do roboty zabierał się zwolna
i długimi chwilami spoglądał przez okno w pole, gdzie
pod lasem czerniało kilkanaście chat niskich, niby ku-
pki czarnoziemiu. Odwróciwszy oczy od okna, spo-
glądał na mnie ponuro, jakby z żalem.

— Czy pani tu nie duszno?—zapytywał—dobrze,
swobodnie żyjesz pani, jak ptaszę, trzepocząc się mię-
dzy śpiżarnią, salonem i sypialnią?

— Ależ gdzie tam! do salonu nieraz przez cały
tydzień nie zaglądam, do sypialni w dzień prawie nie
wehodem. Teraz, na wiosnę, roboty dużo w ogrodach,
w polu; bielenie płótna i nici, z ptactwem kłopotu mam
dużo.

I tak z kolei wyliczałam mu wszystko, co się robi w téj porze w dobrze zagospodarowanym domu. Słuchał niby, to jest patrzył mi w oczy ołowianym wzrokiem.

— Bierzmy się do pracy — odpowiadał zwykle spokojnym, zupełnie innym głosem, i już do końca posiedzenia nie mówił do mnie ani słowa.

— Nudzi się! — powtarzałam zdziwiona. — Wiosna na dworze, ptaki wszystkie wróciły, co godzinę słychać nowy głos starego znajomego; rośnie wszystko, rozwija się, zielenieje; nawet bydło i owce, wracając z pola, podskakują jak opętane, a on się nudzi!

Gdy myślałam o tém, w pamięci, w sercu, które do śmierci bywa głupie u kobiety, rodziły się dawniejsze wspomnienia; i ja nudziłam się tu kiedyś, dawniej, dopóki w głowie majaczyły panięskie zachcianki. Wspomnienia uczyniły mnie pobłażliwszą dla malarza, — spoglądałam na niego z coraz większym współczuciem. Podczas malowania w pokoju panowała cisza; muchy tylko, ogrzane słońcem, odżyły gromadnie, obsiadły okna, sufit, pełzały po podłodze; słońce ogrzewało mi zwykle plecy i szyję; rozkoszne ciepło orzeźwiało z początku, w końcu ogarniało mię dziwne lenistwo, potrzebowałam przeciągać się jak kotka, zdrzemnąć trochę. Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego kobiety, piejąc, albo żnąc w polu, zasypiają między zagonami jak nieżywe — to słońce tak je do snu kołysze. Ziewałam ukradkiem, ile razy malarz obrócił się do mnie plecami. Żeby mogła wówczas robić pończochę, uchroniłoby mię to od wielu pokus. Bezczylna, musiałam się przyglądać malarzowi z profilu; nos miał cienki, czoło wysokie, oczy głęboko osadzone; w oczach téż najwię-

cój było widać znudzenia czy tęsknoty. Czasami zdawało mi się, że znałam kogoś podobnego; w myślach przeglądałam wszystkich swoich krewnych i znajomych,—chwała Bogu, każdy z nich wyglądał zdrowo, rumiano; byli między nimi zatłusci i zaczerwieni,—błędnych i chudych ani na nasienie; widziałam go chyba we śnie, albo w głupim panińskim marzeniu. W młodości marzyłam nieraz o awanturach miłosnych, w których sama byłam bohaterką. Ileż to razy, idąc do lasu po grzyby, po jagody, pewną byłam, że spotka mnie królewicz, albo pan znakomity, pokocha odrazu i za żonę pojmie! Lada szelest w krzakach, wiewiórka poskoczy, zając przebiegnie: to on!—myślę strwożona, drzę zlekka jak głupia trusia, oczy mam spuszczone i czekam tylko, kiedy z za dębu usłyszę głos mężki: „a dokąd śpieszysz, nadobna dziewico?” Pewną byłam, że w te słowa powinien do mnie przemówić. Gdy szelest ucichnie, oglądam się dokoła — drzewa stoją, jak stały, a tylko wpośród gęstych liści jagody kaliny śmieją się z mojej głupoty. „Nie dziś, to jutro”—pocieszałam siebie, wracając markotna do domu. Czasami, dla odmiany, roiłam, że jakiś wędrowiec ubogi, ale piękny, wysmukły, długowłosey, zakocha się we mnie śmiertelnie. Nieznany, bez koligacyi, bez majątku, o rękę pretendować nie śmie, więc schnie z miłości, a ja go leczę ziołami różnemi na poty i na wzmocnienie, płacemy razem nieszczęśliwi kochankowie, rozdzieleni okrutnym prawem losu.

Marząc tak, s płakałam się nieraz jak na pogrzebie; szlochałam, o mało mi serce nie pękło z żalu; uciekałam wówczas gdzieś na koniec ogrodu, a jeśli przypadkiem która z sióstr, spostrzegłszy zapuchłe oczy

i nos czerwony, wypytywała troskliwie o powód smutku, kłamałam naprędce jakąś chorobę, ból żołądka, najczęścięj. Kładli mię do łóżka, poili ziółkami, a ja, przymknąwszy oczy, marzyłam dalej, że z miłości umieram i że mój chudy długowłosy umarł dziś rano. Łkałam przytém, jakby mię naprawdę choleryczne kurcze porywały. Mąż mój nieboszczyk do królewicza podobnym nie był, do romantycznego wędrowca mniej jeszcze; to téż jak kamień grobowy przypieczętował wszystkie moje marzenia.

W pierwszym roku po ślubie roilałm czasami, spoglądając na olbrzymie jastrzębie, unoszące się w ciemnych chmurach; ot, głupia, myślałam ni z tego, ni z owego, że to myśli moje smutne w postaci tych czarnych ptaków uleciały gdzieś pod niebo. „Więc ani ryerz, ani wędrowiec... nikt już!—powtarzałam nieraz—choć ta okolica samotna, lesista, jakby umyślnie stworzona jest dla tajemniczych wędrowców.” Spluwałam na marnemysli i coraz częścięj odmawiałam modlitwę do Świętęj Zenobii, patronki wiernych małżonek.

Z początku, przez machinalną jakąś ostrożność, otrząsałam się ze śmiesznych, dawno zapomnianych myśli, pomimo że malarz coraz więcéj przypominał mi „wędrowca;” siedząc przed stalugami, umyślnie obliczałam, ile owiec dziś ostrzyżono, ile kurcząt wyszło, czy wystarczy mąki na chleb, zanim świeżą z młyńa przywiozą. Nawet nogą stukałam niecierpliwie, ile razy wątek pożytecznych myśli zerwał się nagle. Wówczas malarz zapytywał mię, nie przestając szkicować:

— Nudzi się pani? Jeszcze dni kilka, potém sam już poradzę; zapewne w gospodarstwie robota pilna, pani żałuje czasu?

— Maluj waćpan bez pośpiechu, mam się kim wyręczać. A nogą poruszam z przyzwyczajenia: dawniej często na kołowrotku przędłam.

Uśmiechał się.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tak szczerzej kobiety, jak pani—powiada, ani się domyślając, że w tej właśnie chwili skłamałam z pewną miną.

Kilka dni już tylko!... Wcałe mnie to nie pocieszyło. Malowanie było dość zabawne, chociaż malarz milczał, a ja też niewiele gadałam. Każdego dnia czekałam, że mi coś powie niezwykłego... że przypomni się dawniej znajomości; serce drgało jak przestraszone. „Święty Boże, co się ze mną dzieje!—powtarzałam w duchu, — słabość dziwna jakaś... trzeba zacząć pić krwawnik z centuryą.” Pobladałam trochę. Chociaż to był fałsz wierutny; nigdy zdrowszą, szczęśliwszą nie byłam. Ogród, łąki, błota nawet wyglądały jaśniej, weseliej tego roku; każdego dnia raniutko, kiedy otwierałam okno, a świeże, wonne powietrze oblało mię całą, lzy miałam w oczach ze szczęścia, jakbym dopiero dziś na świat przysła. Pięknie tu, rozkosznie, wesoło, a dawniej patrzeć nie umiałam. Wszystkie dary boże mają swą piękną stronę. A gdy wśród myśli dziękczynnych mąż mój mi się przypomniał, spluwałam niechcący, chociaż i on był darem bożym. Nie widywałam go zresztą po całych dniach; w lesie pędzono smołę, karczowano pasiekę, kilkuset ludzi pracowało od świtu do nocy; sterczał więc w tém mrowisku, często nawet obiad zaniedbując; a gdy wracał wieczorem, gderał na mnie, że do lasu nie zajrzę, fabrykę się nie cieszę, że wogóle jestem obojętną na dobro i dobytek. Malarza mi przytém za przykład stawiał:

— Obcym jest—powiada,—a codzień o świcie albo o zmroku do lasu zagląda; wypytuje się, na robotę zważa. Kat go tam wie, po co nos wścibia w cudze sprawy; widocznie człek ciekawy jest, może i pilny nawet. Żebym wiedział, że nie złodziej i niefolgujący, dozorcą bym go nad robotami uczynił; płacę dałbym uczciwą i ordynaryę ekonomską, a więcéjby zarobił, niż na tém malowaniu słamazarném. Jéjmość tam z nim pogadaj, ale wprzód wymacaj należycie, jakiego usposobienia, jakich myśli jest; jeśli hajdamaka jaki, to już go wolę zdaleka trzymać; cudzego człeka do chłopów dopuszczać nie warto; czart sam nieraz takiego piwa nawarzyć nie potrafi, jak włóczęga niegodny. Wybadaj go jéjmość chytrze, po babsku; przy dobrej woli wy umiecie z dyablem w zawody chodzić.

Głaskał mię przytém pod brodę ręką, cuchnącą smołą. Zamiast modlitwy, to moje umartwienie ofiarowałaś Świętej Zenobii. Z malarzem zaś od jutra postanowiłam zacząć dłuższą rozmowę, a że twarz miał coraz smutniejszą, o tęsknotę go serdeczną podejrzewać zaczęłam.

— Waćpan markotnie wygląda — rzekłam raz, kiedy zmęczony położył kredkę na chwilę i zacierał ręce.—Masz waćpan matkę, rodzeństwo? Prawie cały miesiąc widuję waćpana, a dotąd jeszcze nie wiem nic o nim. To mi się pierwszy raz przytrafiło. Zwykle człek, wchodzący do mego domu, już dla mnie obcym być przestaje; chcę go znać, nie przez ciekawość, bo chociaż kobietą jestem, wady téj nie posiadam, ale przez ludzkość; z dobrym znajomym żyć łatwiej, w strapieniu łatwiej mu do duszy serdeczném słowem trafić. Otóż i waćpan powiedz szczerze, możeś dawno wiado-

mości od swoich nie miał, może listów czekasz? Teraz, chociaż czas pilny, konie i ludzie w robocie, chłopaka stajennego na pocztę poszlę po wiadomość, albo z waszym listem. Powiedz, proszę, a miny takięj nie trzymaj, bo mnie często aż w sercu kole, gdy na waćpana patrzę.

Słuchał, patrzył na mnie dobrém, łagodném okiem; pokręcił głową zwolna.

— Nie mam rodziny—odrzekł,—nikogo nawet z dalszych krewnych nie mam.

Akurat jak mój chudy, długowłosy wędrowiec. Mimowoli poprawiłam narcyz we włosach. Sierota biedny, niech mu przynajmniej świat boży milęj się wydaje.

— Więc tak sam jeden, ani żywego ducha z rodziny, krewnych? To być nie może.

— Biedak ma więćej braci, niżby sam chciał—mówił jakby do siebie;—każdy nędzarz, idący przez życie o suchym chlebie, to mu brat, więćej nawet, towarzysysz, współpracownik na jedném polu mozolnej pracy; każdy, co myśli, czujei cierpi, próbuje walczyć według sił i możności, to tęcz mu brat, towarzysysz, któremu pierwęj czy późnięj rękę podać trzeba przy wspólnej robocie.

— To po chrześciańsku—rzekłam.—Widocznie miałeś waćpan pobożną matkę.

Skrzywił się ironicznie, jakby nietylko w Boga, ale i w dyabła nie wierzył. Nie zdziwiłam się wcale. Młody był; chodząc po świecie, nałapał myśli różnyeh, więc i o wierze swoje przekonanie miał. Proboszcza rzecz nawracać; ja chciałam rozweselić go trochę, pocieszyć w razie zmartwienia.

Widząc, że coraz chętniej z nim rozmawiam, opowiadał o swoich przechadzkach do wioski, o chatach ciemnych i brudnych, słabych dzieciach, o chłopach wycieńczonych pracą; zapalał się przytém oburzony, jakby raptem z nieba na ziemię spadł i najwyczejniejsze sprawy po raz pierwszy oglądał.

My, kobiety, zawsze lepiej znamy życie, niż mężczyźni, chociaż ich królewskie moście zagarnęli sobie najwyższą instancję we wszelkich sprawach, a spoglądając z góry na wszystko, widzą albo wierzchołki tylko, albo bardzo wybitne, grube rysy. Dla świętego spokoju z mężem nigdy o chłopach nie rozmawiałam, rozumiałam jednak, że nie wszystko, co jest, być powinno. Wydając z apteki lekarstwa, wiedziałam, ile ludzi marnie ginie na kołtun, żółtaczkę, na osłabienie i zbyteczną robotę przedewszystkiém; dzieci szczególnie, chude, na krzywych nogach, z dużemi brzuchami, wyglądały nędznie, jakby z połową duszy na świat przyszły. Jesliby u nas takie cieleta rodzić się zaczęły, przez parę lat zmarniałaby cała obora. To też przy każdej gospodarskiej robocie pamiętałam o nich, i czy wieprzowinę na zimę urządzałam, czy mąkę i krupy z młyńca do śpichrzów przyjmowałam, zawsze część pewną, chociaż niewielką, „dla drobiazgu” odkładać zwykłam; taki już był zwyczaj u s. p. babki mojej. Przed malarzem nie miałam potrzeby o tém wspominać; on zaś, widząc, że słucham w milczeniu rzeczy, które umiem na pamięć, pewno myślał, że serce mam niegodne i biedzie ludzkiej nie współczuję.

Wiedziałam teraz, z kąd przychodzi z rana spocyny, w zabłoconych butach; z wieczora też, ledwo słońce zajdzie, chłopci do chat wrócą, zdaleka widzę już, jak

sadzi przez płoty, przez łąkę, przeskakując z kępy na kępę, ku wiosce pod lasem, albo do drugiej za groblę Bodajby gdzie na trzęsawisko nie natrafił, zginie marnie—myślałam nieraz; w roku zeszłym para wołów zginęła tym sposobem. Wracał pieszo, wśród szarej nocy letniej poznawałam go z ganku po dużym słomianym kapeluszu, a gdy wchodził na dziedziniec, usuwałam się do pokoju. Nie dobrowolnie, Bóg widział, nieraz z żalem nawet, ale tak należało. Rezydentki zdarłyby sobie języki nazajutrz, opowiadając wszystkim pod sekretem o mojej hańbie; w garderobie dziewczęta szeptałyby, wykrzywiając się złośliwie za memi plecami. W nocy na ganku chyba ze starym proboszczem można byłoby posiedzieć bezkarnie, ale któżby tam siedział z proboszczem! Rezydentki i bez tego coraz żałośniej wspominały o markotnej twarzy malarza, domyślając się, że pewnie zakochanym być musi.

— Waćpannom zawsze kochanie w głowie. Panny po trzydziestu latach tylko swego świętego patrona kochać winny i tylko o miłości Boga rozprawiać—moralizowałam, jak należało pani domu i wiernój małżonce.—Markotny! Człęk, który świętych pańskich malować zamierza, dom boży przystraja, musi przecież poważniej wyglądać, niż lada frant, co się do dziewcząt w garderobie zaleca. Przymilać się do niego nie radzę, bo to i czas i praca stracone; mówił, że dla staropanieństwa pożałowanie i respekt ma wielki, ale nic więcej; małżonki dla siebie w innej sferze szukać zamysła, to jest wśród młodych i ładnych.

Czy uwierzyły—nie wiem; odtąd jakoś mniej na niego zwracały uwagi, zostawiając nam przeto więcej

swobody, gdyśmy się spotkali przypadkiem w ogrodzie lub na ganku.

Portret był już prawie skończony; malarz przez cały dzień pracował w kaplicy, widywaliśmy się tedy coraz rzadziej, gdyż nawet na obiad do nas nie przychodził, spostrzegłszy, że mąż mój parę razy widoczną mu niechęć okazał. Widział go nieraz, jak w niedzielę nad jeziorem wśród gromady chłopskiej dziatwy siedział, książki im jakieś i obrazki pokazując; widział przytém, jak w lesie albo za parkanem dworskim z najemnikami rozmawiał, a ci, jak tylko spostrzegli go na drodze, kłaniali się jak dobrzy znajomi; szturgając się łokciami, szeptali o czémś między sobą. Chłopi lgnęli do niego; nawet służba dworska, dość harda zwykle, ustępowała mu z drogi, witała uprzejmie. Nieboszczyk, z natury podejrzliwy, przytém głuchy na jedno ucho, cichój rozmowy znieść nie mógł, w szepciach domyślał się knowań i spisków, a z samotnych spacerów malarza najgorsze wnioski robił.

— Człek nieraz, nie szukając, będę znajdzie— pomrukiwał do mnie, niby grzmot przed burzą;—wioząc go, sądziłem, że wiozę będę z pokorą, tymczasem...

— Omyliłeś się jegomość tylko przez połowę.

— Żebym się nie zaangażował względem kaplicy, świętych obrazów... kto wie!

— Świętym należy dotrzymywać słowa, chociaż nie wszyscy ze szlachty pochodzą.

— Jójmości zawsze żarty się trzymają. A ja powiadam, że chłopomanów więcej jeszcze niż chłopów się lękam.

— Jegomość nikogo się nie obawia; po co czmuć ludzi zajęczym skromem, którego w jegomości ani za grosz niéma?

— Masz jójmość słuszość. Czasami i kobietom zdarzy się prawdę głęboką wyrzeknąć.

— Kandybianki mają prawdę w herbie.

— A jak taki herb wygląda?

— Ma pięć wieków i dotąd szczury go nie zjadły.

Odechodził udobruchany; lubił, gdy chwalono jego nieustraszony hazard, a ród Kandybów w mojej osobie szanował coraz więcej. Moją herbową tarczą osłaniałam trochę malarza; usiłując oddalić burzę, stawałam zwykle po stronie tego biedaka; nie chciałam, żeby go wyprawiono przed czasem. Należało go ostrzedz, żeby się mężowi nie narażał bez potrzeby, z chłopami się nie bratał, a przynajmniej, żeby to robił ostrożnie jakoś. Hardy jest, więc z uwagami trzeba przystępować ostrożnie; delikatnie i misternie zarazem miałam przemówić do niego; zawczasu układając przemowę, stawałam na ganku o zachodzie słońca, kiedy zwykł przez dziedziniec na spacer wychodzić. Rezydentki podlewały w tej porze kwiatki na klombach, dziewczęta przynosiły im wodę cebrami, ruch koło domu rozmowie naszej odejmował wszelką tajemniczość. Chcąc wykazać, że wcale nie czekam na malarza, odwracałam się plecami do bramy, a tak manewrowałam, żeby fałdy białego szlafrocza było widać zdaleka. Słuch miałam doskonały—nieraz przez dwa pokoje słyszałam, jak szczury biegały w spiżarni—otóż i kroki malarza rozróżniałam wybornie; nie patrząc, wiedziałam, czy idzie pod stajnię, za bramę, albo ku gankowi — biały szlafroczek prawie zawsze był magnetycznym sztanda-

rem. Przychodził zmęczony, siadał na stopniach ganku, o parę kroków od moich nóg; zdjąwszy kapelusz, odgarniał ręką włosy z czoła. Wówczas to chciałam mu szepnąć:

— Waćpan biedy sobie napytasz; jeśli gwałtem wałęsać się chcesz, ruszaj z fuzyą na polowanie niby. Chłop, jak grzyb, wszędzie go spotkasz, po co do fabryki albo po chatach łązić. Z mężem moim żartów niema; on w kij swój więcej wierzy, niż we wszelkie prawnosboskie i ludzkie.

Mądre to były słowa, serdeczne, należało je wymówić w porę; nie miałam odwagi. W łagodnej naporoz twarzy malarza było tyle hajdamackiej dumy, że po wysłuchaniu najpewniej wziąłby kij, tłóмок i za godzinę byłby już może na granicy naszych posiadłości. A kaplica? a święte obrazy? a... ja? Bóg łaskaw wybaczy, jeśli wówczas myślałam więcej o sobie, niż o jego chwale. Milczeliśmy tedy oboje, spoglądając na uwijające się wkoło klombów kobiety. Dopiero gdy zciemniało, ruch ustał, a dokoła rozpoczynała się gwar nacisza wieczorna, pytałam od niechcienia:

— Słyszysz waćpan, jak bąk krzyczy? — szeptałam, niby lękając się spłoszyć ptaka, który gdzieś tam o pół wiorsty dokazywał po swojemu.

Wsluchiwaliśmy się przez chwilę w koncert żab, błotnych ptaków, którym wtórowała wilga w lesie i puszczyk w starych lipach w ogrodzie. Malarz odurzony mrużył oczy.

— To życie! — szeptał — wspaniałe, swobodne życie natury!

I znowu milczał: widocznie żaby i ptaki mówiły mu o czémś, czego ja zrozumieć nie mogłam. Ziół tylko

i obyczajów ptaków nie znał; czytał o tém, ale z książek nikt jeszcze natury nie rozumiał; to téż mu wiele ciekawych rzeczy naopowiadałam.

Dziewczęciem będąc młodém, co ranka niemal, z siostrami, ze służką do lasu po grzyby, po jagody biegalam—było więc dość czasu podpatrzeć każdego ptaka w gęstych liściach. Znałam cały ten świat, od sikory do jastrzębia. Głosy ich odróżniałam stokroć lepiej, niż nuty na klawicymbale, a nieraz sama, przyczaiwszy się w krzaku leszczyny, nawoływałam sójki, makolągwy, pliszki, wilgi tak doskonale, że głupie leciały na mój głos gromadnie; usiadłszy na gałązce przy mojej głowie, kręciły się, szczebiocząc, oglądając się na wszystkie strony. Ja spoglądałam na nie z pośród liści, a natrzywszy się dowoli, wyskakiwałam z ukrycia, śmiejąc się jak opętana. Były to jedyne istoty, które zwozilałam za młodu; w naszej okolicy kawalerów brakowało, to téż mając lat osiemnaście, wyszłam za czterdziestoletniego dziada!

Zioła wszelkie znałam lepiej, niż aptekarz; wśród trawników, na łące, w ogrodzie uczyłam się chodzić, a jeśli nos miałam zgrabny przez całe życie, zawdzięczałam temu, że zawsze na miękką trawę padałam; wówczas to już zaczynałam odróżniać praktycznie smak, zapach i kształt przeróżnych roślin, a nazwy tak mi jakoś do mózgu przyrosły, jakbym je znała przed urodzeniem.

Opowiadałam więc malarzowi o zaczarowanym państwie naszych lasów, które znałam jak własny kwiatowy ogródek. Słuchał; nie spostrzegłam nawet, kiedy wstał i stanął obok mnie przy słupie, ramieniem prawie mego ramienia dotykając. Przed oczami miałam dwie sosny z jednego pnia wyrosłe, orliki, macie-

rganek, cząbry i ślasy przeróżne, — cały świat roślin, tulących się ku sobie, i może dzięki temu to ramię obok ramienia przypominało mi tylko niezłomne prawo natury... wraz z również niezłomną siłą zniszczenia... w osobie mego męża, który punkt o dziewiątej siedział w jadalni przy stole, plecami odwrócony do drzwi otwartych na ganek i zajaadał zsiadłe mleko, soląc każdą łyżkę zosobna. Było to hasło do odwrotu; malarz zbiegł ze stopni i znikł w ciemności, ja zaś... do kolacyi nie miałam apetytu, a idąc spać, wypijałam filiżankę gorzkich ziółek na sen i... uspokojenie.

Przez czas swego pobytu malarz należał do osobliwości w naszym dworze. Jeśli się zdarzyli ważni goście—jak marszałek, prałat i tym podobne figury,—po zwiedzeniu stajni, gdzie stały wówczas dwie Sanguszkówny, Ogińska i dwie Arabki czystej krwi, zwiedzano cieletniki, a potem zaglądano do malarza. Przez drogę gość, zasapany już trochę, gryzł cygaro i pytał półgębkiem:

— Więc maluje? Czy zdolny? Młody? Gdzie się uczył? Kosztowny?

O nazwisko nie pytano; mąż mój zapewne sam o niem zapomniał, mnie zaś ono wcale nie było potrzebne: przy ludziach nazywałam malarza „waćpanem,” w myślach—po imieniu. Gość, chociaż znakomity, niewiele pojmował w malarstwie,—ale, stanawszy w kaplicy przed stalugami, uwag nie szczędził: dla jednych tło obrazu było zaciemne, święty zajasny, dla drugich naodwrot. Prałat zgorszył się czarnemi oczami Matki Boskiej, gdyż gustował w niebieskich—upodobanie to znanem było w całej okolicy.

Malarz uwag nie słuchał, podczas wizyt usuwał się na stronę i stawał zdala w otwartym oknie. Goście mierzyli go wzrokiem od stóp do głowy i widocznie niebardzo im się podobał; wracając z kaplicy, pytali:

— Zarozumialec? Łajdemus? Pędziwiatr?

Mój nieboszczyk tylko ręką machnął, gryzł się w język, żeby nie wybuchnąć; wolał już mówić o ogierach i cielętach.

Kaplica tymczasem stawała się coraz piękniejszą. Dawniej była to lodownia, postawiona na wzgórzu, ocieniona dokoła starymi lipami; w końcu, gdy i tu woda na wiosnę podpływać zaczęła, zasypano piwnicę, a murowany budynek nieboszczyk na kaplicę przerobić zamyślił. Otynkowano na nowo, zrobiono w dwóch ścianach cztery długie, wąskie okna, nad ołtarzem okienko z kolorowych szybek. Przywykłam widzieć w tym budynku szereg hładyszów, ponakrywanych deseczkami, pieczenie cielęce i inne mięsiwo, ułożone na słomianych matach,—więc jakoś odrazu ani szacunku, ani poczucia świętości dla przybytku tego nabrać nie mogłam, pomimo że na świeżo pokrytym dachu widniał już krzyż żelazny rzeźbiony.

Raz tylko, w dzień upalny w południe, wracając z folwarku do domu przez ogród, znużona, mimowoli prawie skierowałam się w stronę dawniejszej lodowni. Wśród zielonych gałęzi kapliczka wyglądała jak nowa, przez otwarte drzwi widniała podłoga, ułożona równiutko z czerwonej cegły, ściany i sufit białutki, przez otwarte okna ze szmerem gęstych liści dolatywał zapach lip kwitnących. Malarza nie było. Wśród chłodnej, wonnej ciszy kilkanaście pszczoł brzęczało pod sufitem, przelatując z jednego okna na drugie. Na sta-

lugach, odsuniętych na środek kaplicy, stał wykończony obraz Matki Bożej — wkoło niego sześcioro dzieci z folwarku. Chłopcy i dziewczęta boso, w grubych koszulach, rozpiętych na piersiach, obrócone do drzwi plecami, nie słyszeli, gdy weszłam; z wyciągniętymi główkami ku obrazowi szeptali coś między sobą tajemniczo. Pewną byłam, że palcami świeżych farb dotykają; już miałam spłoszyć łaskawych znawców i jak niepysznych na dwór wyprosić, gdy spostrzegłam, że ręce trzymali za plecami, a ciekawość ich i uwaga pilna wcale nie na obraz były zwrócone. Zbliżyłam się tedy cichutko. Na stalugach u stóp obrazu spostrzegłam długą, równą deseczkę, na niej czarną farbą namalowane duże drukowane litery: „Matka Boża, opiekunka dzieci.” Malcy pochyleni wymawiali literę za literą zcicha, zdławionym głosem, jakby się pszczoł i szelestu liści lękali; stałam tak za gromadką, na jasne główki i chude rączęta spoglądając; jakieś miłe uczucie obudziło się w duszy. A kiedy po długiej chwili spostrzegłam malarza we drzwiach, ścisnęłam mu rękę serdecznie.

— Jesteś waćpan uczciwym człowiekiem — rzekłam.

Zanim się obejrzałam, dzieci już nie było — fruwały przez okna kanalie.

Odtąd malarz poweselał jakoś; przy spotkaniu pierwszy do mnie rękę wyciągał i ścisnął dłoń moją, jak dłoń dobrego przyjaciela. Rada byłam tej poufałości, całowałam go w czoło, a rezydentkom przykazałam, żeby miały pilne baczenie na jego bieliznę i skarpetki; wówczas to przyszło mi na myśl, żeby mu uszyć trochę nowój bielizny z najpiękniejszego domowego płótna. Tymczasem

zaś, chcąc mu zrobić satysfakcyę, pozwoliłam wybrać ze skrzyni na strychu kilkanaście starych książek z pieśniami świętymi; resztę zamknęłam, sądząc, że się przyda może, gdy dziatwę podczas zimy każę czytać uczyć. Nie mówiłam o tém z malarzem, żeby nie sądził, że myśli jego zbyt mocno do serca biorę, ale tylko do którejś rezydentki rzekłam, że na zimę staremu klucznikowi łaskawy chleb dać trzeba będzie, gdyż głuchy jest i nogami ledwo włóczy; żeby lenistwem Boga nie obrażał, z rana będzie wydawał owies dla cieląt, w południe zaś dziatwę folwarczną trochę czytać pouczy; będą przy tém pierze darły — zawsze z parę poduszek przybędzie do wiosny.

W godzinę potem malarz już wiedział o wszystkim. Kiedy te sikory miały czas latać do niego — nie wiem, dość, że plotki wszelkie roznosiły w mgnienu oka — taki już miały talent w językach.

Wieczorem przemówił do mnie na ganku:

— Dobry pani powzięła zamiar, trzeba było dawno to zrobić.

Zaczerwieniłam się, upokorzona pobłażliwą pochwałą. Chciałam odpowiedzieć hardo, język się splątał.

— Waćpanu tę myśl zawdzięczam — rzekłam cicho, jak na spowiedzi, a w duszy rogata дума oburzała się na tę pokorę; kraśniałam ze wstydu przed sobą.

— Rad jestem, że mój przykład podziałał na panią.

Głupi, roi mu się, że bez niego nie potrafiłabym. Podniosłam głowę hardo; usta tymczasem gadały zupełnie co innego.

— Działwa kiedyś za waćpana modlić się będzie.

— Niechaj wprzód dla siebie lepszą dolę wy-modli.

Odszedł i dobrze zrobił; w dłuższej gawędzie niechybnie zwyciężyłaby mię ta słamazarna słabość, którą czułam zwykle, patrząc na ciemne kędziory i smutne oczy malarza.

A jednak, wbrew zwyczajowi, nie wyłajałam żadnej rezydentki za zrobioną plotkę; owszem, gdy przed nocą weszła do mego pokoju ta, którą posadzałam—drugą wówczas bolały zęby,—podaowałam jej nowiutką szalową chusteczkę, przypominając, że dziś jakoby przypadały jej urodziny. Pannisko dnia urodzin leżało się więcej, niż grzechu; rada z chusteczki, gotowa była ją zwrócić, byle oddalić nawet przypomnienie złowrogięj chwili.

— Za miesiąc zaledwo kończę lat dwadzieścia osiem—odrzekła.

Dziesięć lat już ten sam rok kończyła.

— Nic nie szkodzi, zatrzymaj waćpanna chusteczkę; za miesiąc mogą zapomnieć.

Przez całą noc zapewne suszyła mózg, rozmyślając, za co właściwie dostała podarek. Oh, bo to były dyplomatki nielada! Najmniejsza zmiana w codziennym życiu dawała im dużo do myślenia. Nieraz przez cały tydzień sprzeczały się, dlaczego mój mąż zawiązał chustkę na szyję, gdy zwykle bez niej się obchodził. Spoglądały przytém na siebie dwuznacznie, z złośliwym uśmiechem. Chociaż tego człowieka wróg nawet o złe myśli posadzić nie mógł. Elegantem nigdy nie był, nawet za kawalerskich czasów; po ożenieniu się tak skapcaniał, że go gwałtem prawie zmuszałam do włożenia czystej koszuli raz na tydzień; na rezydentki spoglądał wówczas chyba, gdy się która zakrzuszyła przy obiedzie; w spokojną porę nie widział ich wcale.

Zły duch czy wprawa dopomogły rozwiązać zagadkę; odtąd kręciła się jak fryga między dworem i kaplicą, donosząc, ile razy malarz kichnął; zapewne i jemu o mnie również ciekawe wieści komunikowała. Dowiedziałam się tedy, że gwizdże jak „anioł,” śpiewa jak „archanioł,” wogóle jest zadowolony, wesół, a chociaż do rozmowy niechętny, przyznał, że pierwszy raz w życiu czuje się tak szczerze zadowolonym ze swojego pobytu i otoczenia.

Może ta sroka paplała, byle paplać,—słuchając jednak, stłumiłam oddech, a gdy odeszła, zaśmiałam się, twarz rękami zakrywszy, jakby się tych ścian wstydząc, co moją radość widziały. Nikt we dworze nie dbał o niego, dla wszystkich był on zwykłym, trochę lepiej od innych ubranym rzemieślnikiem, dla którego jadło i płaca miały być dostatecznym wynagrodzeniem; ja jedna zrozumiałam, że duszę miał wielką, której w jedném ciełe zaciasno, dzieli się więc nią z najbiedniejszymi. Że... że trochę raptus może, trochę zapaleniec, ale uczciwy przytém, o sobie nie myśli, spokój własny, dołą swoją poświęcić gotów—gołąbek ten mój jedyny. A gdy rozmyślałam, stare łzy, te... panieńskie, z dawniejszych czasów, do oczu się cisnęły, tylko już nie żaden „wędrowiec,” ale zupełnie inny, prawdziwy bohater w myślach stawał.

Wszystko, co niezwykle, lgnęło mi do duszy; że-
bym była mężczyzną, kto wie, zostałabym może awan-
turnikiem. Skazana na pilnowanie domu, kluczy z rąk
nie wypuszczałam, ale całej myśli w spiżarce zamknąć
nie mogłam. Rozum jego jako téż wcale piękne ma-
lowanie odrazu wzbudziły we mnie ten rodzaj szacun-

ku, co to zmusza do bardzo uprzejmego uśmiechu i chętnej rozmowy.

Cnotliwy jest—myślałam nieraz, — uszanowanie dla kobiet zna, w rękę całuje mię spokojnie, jak ciotkę albo babunię—tak być powinno. Kobieta może widzieć w mężczyźnie tylko przyjaciela, mężczyzna w przyjaciółce nawet widzi tylko kobietę—taką już Bóg im dał naturę dziwną. Grzecznością, spokojem rozbrajał mię ostatecznie; przeciw śmielszemu spojrzeniu miałabym kodeks zwyczajów i moralności, przedewszystkiém zaś najwyższe zdziwienie, połączone z ciekawością, którą ludzie niesłusznie dumą kobiecą przezwali; wobec skromnego, uczciwego młodziana czułam się tak bezpieczną, jak święci pańscy wśród płomieni; dziwiłam się tylko, że na nudy, na samotność tylko pomiędzy chłopami, pomiędzy ich dziatwą rozrywki szuka, zamiast w przyzwotém kółku wesoło na rozmowie czas przepędzić.

Cieszyłam się przytém, że, uczciwą małżonką będąc, na obojętność malarza uwagi zwracać nie potrzebuję, boć wierność i cnotę w tak wielkim szacunku mam, że mię żadna pokusa z prawej drogi sprowadzić nie zdoła. Pycha straszna zaczęła napelniać mą duszę; żebym się wówczas spowiadać musiała, same cnoty, przymioty znakomite tylko wyznaćbym mogła, grzechu żadnego w całej osobie swojej dopatrzeć nie mogłam.

Dopiero gdy te sikory jedna za drugą od malarza do mnie przybiegać zaczęły z opowieściami, bałamutnemi nad wyraz, wciąż o tém prawiąc, jak o mnie zniecka zapytuje, portret mój niby dla wykończenia wciąż przy sobie na stalugach trzyma, każdego mego kroku jest świadomy, jakby mnie wciąż w myślach

i przed oczyma miał, a gdy niespodzianie głos mój posłyszy, rumieni się jak piwonja i od najpilniejszej roboty głowę odwraca, strzelając na wszystkie strony oczyma niby zwierz osaczony, — dopiero wówczas pomyślałam: człowiekiem jest przecież, zatwardziałym w enocie pozostać nie mógł. Nie wiem, czy mu Bóg przebaczy, ale ja przebaczam z całej duszy, chociażby naprawdę sentyment do mnie powziął. W suchej wieźbie albo w rezydentce zakochać się przecież nie mógł!

I coraz większą baczność zwracałam na jego kroki — bez celu, ot tak, żeby się przekonać, czy w istocie duszę ciężkim grzechem obciąża, cudzej własności porządając. A rezydentkom raz na zawsze przykazałam, żeby mi o żadnych bredniach pisać nie śmiały, przyrzekając solennie za pierwsze marne słowo obiedwie wraz z kuferkami do klasztoru panien Bernardynek odesłać, ażeby tam w milczeniu i umartwieniu za grzechy swoich języków odpokutowały; zamilkły też odrazu, wiedząc, że ze mną żartów niema; dopiero mogłam bez przeszkody zwracać baczność na czynności małżonka, z silnym postanowieniem, że jeśli co złego zauważę, to... eh, dziś już nie pamiętam, co postanowiłam!

Dostrzegłam zaraz pierwszego dnia parę niepotrzebnych manewrów; gwoździć, który z ręki upuściłam, złapał ukradkiem i cały dzień w kieszonce od kamizelki nosił; wieczorem zaś, gdy siedział na stopniach ganku przy kolumnie, o którą się oparłam, nieznacznie fałdy mego szlafrocza koło ust czy koło nosa przesuwiał — w ciemności wieczornej dobrze rozejrzeć nie mogłam.

— Złe jest!—pomyślałam, nie mogąc się zdobyć ani na gniew, ani na oburzenie—czekajmy dalej!

Tymczasem w duszy mojej rozdziła się dziwna skrucha, upokorzenie przed tym młodzianem, który, będąc istotnym afektem przejęty, dość mocy nad sobą ma, żeby i spokój i godność zachować, nigdy spojrzeniem jednem nie obrazić mojej kobiecej godności,—podczas gdy ja stokrotnie kusiłam go kwiatami we włosach, koronkowym kołnierzykiem, nogą nawet, tak, nogą, obutą w niebieski dymkowy bucik i ażurową półczochę; nogę tę wysuwałam zwykle z pod sukni, chociaż do malowania wcale potrzebną nie była.

Widział to zapewne, może nawet domyślał się więcej, niż było w istocie, pomimo to stał niezachwiany w cnotcie, ukradkiem tylko upuszczane kwiatki zbierając. Słabą niewiastę miał przed sobą, w której próżność i duma miejsce cnoty zajęły; rozumiał to, więc i za siebie i za nią w cnotę się uzbroił, ten... wagabundus, którego w pierwszej chwili do domu waryatów odprawić chciałam.

— Basta!—rzekłam.—Jako ślub święty odegnał wszelkie marzenia o wędrowcach i królewiczach, tak dziś upokorzenie i skrucha niech złe myśli w dobre przemieniają; fortele zalotne na bok odłożę, gawęd niepotrzebnych zaniecham.

Ażeby święte obowiązki wciąż przed oczyma mieć, tegoż dnia rozpoczęłam włóczkową czapeczkę dla męża, zamierzając skończyć ją przed sierpniem, kiedy to muchy najwięcej jego łysinę turbowały. Ale kiedy kobieta strzela, dyabeł kule nosi!

Właśnie, tak cnotliwie rozmyślając, do jadalni wchodziłam dla rozdzielenia podwieczorku, kiedy

w drugich drzwiach ukazał się malarz, prosząc, żebym do kaplicy szła obraz, który wykończył, obejrzyć.

Przemawiał spokojnie, jak zwykle, bledszy trochę, więcej zmęczony, czoło ręką pocierał, spoglądał mi w oczy uważnie. Od wzroku tego krew mi uderzyła do głowy, nogi zadrżały; może umyślnie prosić przyszedł, żeby ze mną sam na sam chwilę przepędzić, schylić się razem nad malowaniem, popatrzeć, jak wesoło śmieję się i rozmawiam?

Mysł ta błysnęła mi w mózgu odrazu; pokręciłam głowę na znak, że nie pójdę; stałam oparta o drzwi, bezwładna, jak ołowiana. Tylko we śnie bywa czasami tak ciężko, jeśli człek śpi nawznak, albo zbyt sutą spożyje kolacyę; a chociaż czułam, że patrzy na mnie, ani oczu, ani głowy podnieść nie mogłam.

Odszedł w milczeniu, a gdy znikł za drzwiami, ocknąłam się niby ze snu ciężkiego.

— Masz dyable tabaki! — pomyślałam. — Nigdy jeszcze tak głupio nie przedstawiłam się nikomu! Jeśli jest domyślny... Na szczęście, mężczyźni rzadko domyślni bywają. W każdym razie dobrze, że nie poszłam.

Później nieraz wracałam myślą do téj chwili i uśmiechałam się złośliwie nad swoją ślamazarnością; wówczas jednak zdawało mi się, że Bóg mię od ciężkiej choroby zachował, że teraz, kiedy poznałam swoją słabość, roztropniejszą i ostrożniejszą będę.

Aż tu w parę dni potem musiałam go z domu wyprowadzić.

W pierwszej chwili po odjeździe męża siedziałam jak odurzona, potem, chociaż otrzeźwiałam, myśli zebrać nie mogłam.

— Co mu powiem? Kiedy? natychmiast, czy jutro?

Wykrętów, fortelów żadnych używać nie chciałam, prawdę powiedzieć należało; a jeśli przytém wymknie się słowo współczucia — wzrok, to już koniec; dotąd przecież byłam wstrzemięźliwszą od niejednej świętej.

Ochłonęłam, uspokoiłam się, a przeszedłszy do jadalni, kazałam prosić do siebie malarza. Przez okno widziałam, jak szedł śpiesznie, palcami czuprynę na tył odrzucał, a drugą ręką kołnierz wkoło szyi poprawiał; gryząc usta, uśmiechał się nieznacznie. Kto wie, może i on marzył o zaczarowanej księżniczce? Bieda, praca, serce tkliwe potrzebowało osłody; może pierwszy raz spotkał kobietę, co go dobrém słowem za serce ujęła. Rozkochać biedaka najłatwiej,—trochę serdecznego ciepła, a wnet w duszy szczęście rostkę czuć zaczyna. Żałowałam go szczerze. Napróżno zaciskałam pięście, chcąc całą siłę naprężyć; drżało coś w piersiach,—bałam się, że pewności, spokoju w głosie mieć nie będę.

— Mąż mój na waćpana strasznie zawzięty—rzekłam, gdy stanął przede mną zarumieniony, z błyszczącymi oczyma.

W mgnieniu oka twarz mu zbladła, ściągnął brwi.

— Za tych chłopów, za robotników wszystko. Waćpan dobrém swém sercem wiele sobie szkody przynosisz.

Machnął ręką.

— A więc wymawia mi robotę i życzy, żebym poszedł na cztery wiatry? Za parę dni skończę i odejdę.

— Niech to waćpana nie obraża... każdy swego interesu pilnować musi; robotnik dotąd dobry, dokąd mu głowy nikt nie zawraca; pracuje w spokoju, a jeśli niezbyt szczęśliwy, o lepszej doli przynajmniej pojęcia nie ma, krnąbrności się nie uczy.

— Pani cudze słowa powtarza — rzekł, jakby mi w duszy czytał.—Pociechę tę mam, żem czasu nie zmarnował.

— Urazy do nas nie chowaj, za wytłumaczonych miéj, jeśli w czém dogodzić nie zdołaliśmy. Mąż mój raptus, ze wszech stron cenil waćpana, rad był z jego roboty nad wyraz, a tylko uniósł się w krewkości; przebacz mu, jeśli możesz; boję się, żeby część urazy do męża na mnie nie spadła, chociaż Bóg świadkiem, że dobra wam życzę.

Milczał, ślinę połykał, parę razy poruszył ustami, ale się wstrzymał.

— Więc dziś już odejść mam? — rzekł jakby nie swoim głosem.

Wolałabym wszystkie swoje kury czubate skazać na śmierć męczeńską, aniżeli wygłosić termin odjazdu. Milczałam tedy, skubiąc koronki przy rękawach; krew uderzała w skronie, dłonie pały; przy daleko mniej-szej gorączce chorym zwykle synopizma stawiać każę. Spojrzałam na delikwenta.

— Mąż mój wraca jutro wieczorem—rzekłam,— nie śpiesz waćpan; tymczasem wszystko do drogi przygotować każę.

Miałam silną pokusę podać mu rękę drżącą, rozpaloną, z której i bez doktora temperaturę krwi zmierzyć można było; wyratowała mię nietyle powaga ko-

biety, ile owe ziółka gorzkie, które pijałam codziennie bez cukru.

— Do jutra robotę skończę — rzekł. — Skończę! — zaśmiał się szydersko i wybiegł.

Pewną byłam, że splata jakąś farsę. Myśl ta jak gwóźdź utkwiała w mózgu; widząc, że od roboty nie odchodzi, chciałam zajrzeć do kaplicy, — zaniechałam jednak przez wzgląd na słabość niewieścią.

Nazajutrz o świcie był już przy stalugach i przez cały dzień nie wyrzwał na świat boży. Przyszykowałam mu wiktuałów przeróżnych sporo, od szynki, kurcząt, wódki, aż do konfitur i śliwek suszonych na różenkach. Człek skromny parę miesięcy mógłby żyć tym, nie zaznawszy głodu. O zmierzchu znowu mnie napadła trwożliwa gorączka. Bryka zaprzężona stała pod stajnią, a malarz się nie pokazywał; przypomnieć nie miałam odwagi, a mąż w każdej chwili mógł nadjechać. Chodziłam po domu jak nieprzytomna, wyglądając różnemi oknami na drogę i do ogrodu. Gdy tak strwożona przysiadłam na sofie, polecając całą sprawę w ręce boże, wbiegł malarz z kluczem w ręku.

— Skończyłem — rzekł, — klucz pani wręczam — schwycił mię za rękę. — Byłem szczęśliwy — szepnął, — dziękuję, wspomnij czasami o szaleńcu!

Może tam mówił coś jeszcze, nie pamiętam, jak też nie pamiętam, czy mu odpowiadałam. Centurya i krwawnik zbawienne zioła, ale używałam ich od niedawna, serce zaś tkliwe miałam od urodzenia. Zapewne musiałam mu coś powiedzieć czulszego, niżby wypadało, bo gdy odszedł, na rękach — tak, zdaje mi się, że tylko na rękach — czułam ślady gorących pocałunków.

Przed gankiem rozległ się turkot—mąż przyjechał. Malarz nie chciał koni, wiktuałów, nic, pieszko wywędrować zamierzył; spotkają się może? Nie czułam ani żalu, ani trwogi, spokojna siła owładnęła umysł, ścisnęłam klucz w rękę, nasłuchując. Mąż chodził po sąsiednim pokoju stękający, zasapany, spytał o coś lokaja i zamilkł. Nad sufitem słyszałam też kroki powolne, to przyspieszone; zapewne tłumoczek układał. Śledziłam ruchy obydwóch: kiedy tamten na górze podchodził ku oknu, ten tu ku drzwiom się zbliżał, to znów jak zmówieni oddalali się w przeciwnie strony. W takt ich ruchów uderzało mi serce; chwilami zdawało się, że kroki na górze cichną, wówczas i serce bić przestawało; tłumiałam oddech—dom, świat cały znikł z przed oczów. Szmer jakiś, stuk na górze... otwierałam oczy, bojąc się odetchnąć... Ucichło nareszcie. Napróżno wyteżalam słuch, wpatrzona w sufit—cisza. Sen skończony—należało wrócić do rozsądnego życia.

Nazajutrz raniutko byłam już w kaplicy. Słońce zaglądało wesoło do białutkiej świątyni, na czysto umiejscionej podłodze kilka wiązek tataraku rzucone tu i owdzie. Naprzeciw drzwi stał obraz wykończony: Chrystus, rozdzielający chleb zgłodniałej rzeszy. Spoglądałam zdumiona; chude, wynędzniałe twarze, wkleśnięte piersi, sterczące ramiona—to żywcem schwycone z natury, to akuratne portrety robotników ze smolarni, każda twarz znajoma, ubiór trochę inny, jeśli w ubiorze nędzarzy wielka różnorodność być może. A Chrystus, Boże odpuść, ale z oczu smutnie łagodnych, z wyniosłego czoła, pociągłych, bladawych policzków bardzo mi malarza przypominał.

— Jeśli to podobieństwo spostrzeże mąż,—pomyślałam, jak piorunem rażona,— obraz zniszczy, gotów zburzyć całą świątynię w gniewnej przypadłości.

Nie dostrzegł jednak; kazał tylko wymyć i wykadzić pokój, w którym mieszkał „włóczęga,” imienia jego nigdy nie wspominał, a jeśli czasami zasłyszał je ze strony, mruczał gniewnie i brwi ścigał.

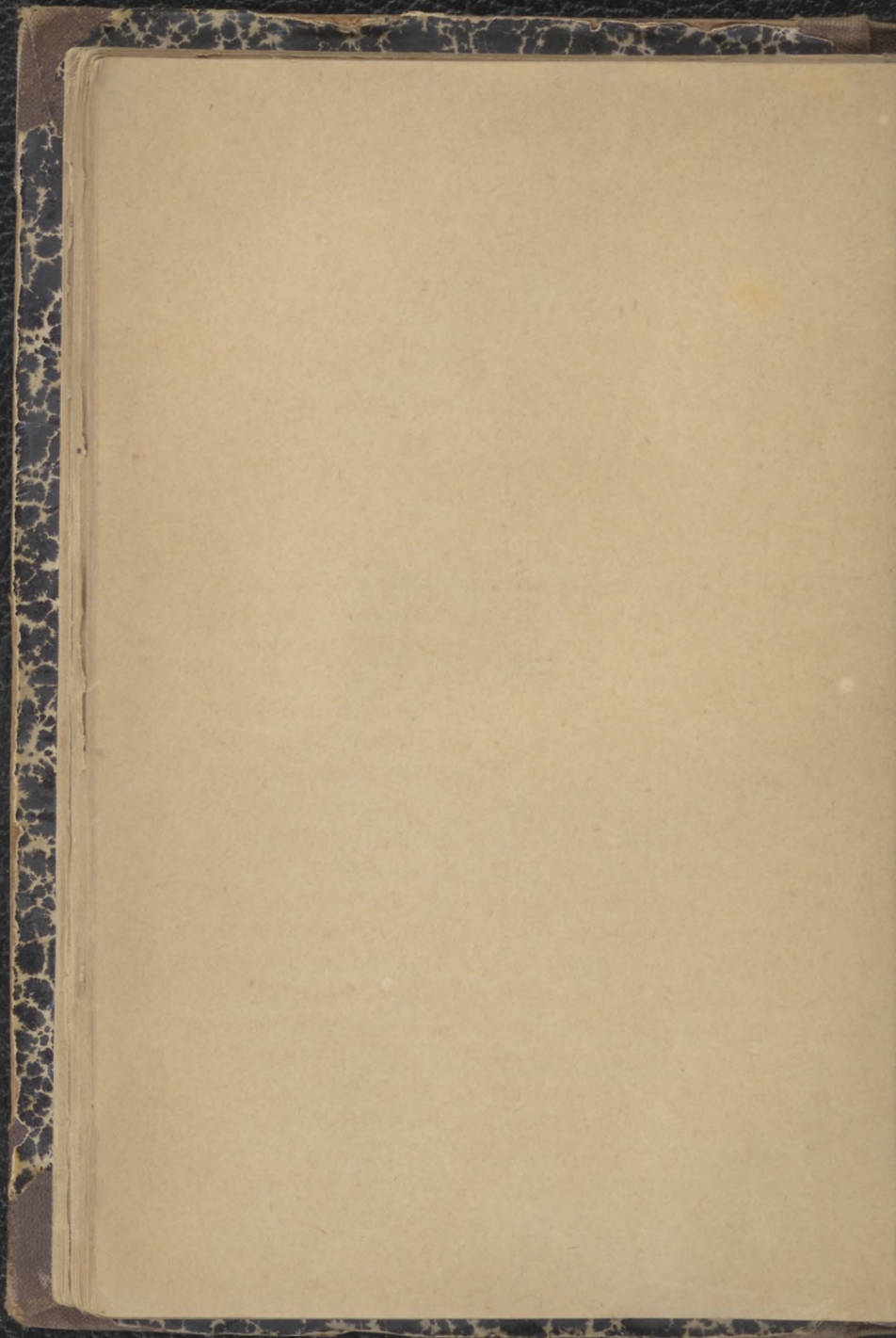
Natomiast chłopstwo dziwnie się garnęło do tego obrazu. Z początku może tylko nowe malowanie ciekawość i zachwyt wzbudzało, przyglądali mu się podczas nabożeństwa z uwagą wielką, po chłopsku, t. j. oczy i usta otwierając szeroko, i tak sobie w nim upodobali, że wianków, kwiatów, ziół różnych znosili mnóstwo w każdą niedzielę i święto; cuda mu nawet przypisywać zaczęli, zapewne dlatego, że widząc na obrazie osób rozmaitych dużo, za świętych je mieli i w gromadną protekcję więcej niż pojedynczych wierzyli.

O malarzu, gdy znikł bez wieści, téż baśnie po wioskach krążyć zaczęły. Nazywano go aniołem bożym, świętym Antonim, co często w ludzkiej osobie na pocięgę biednych po świecie chodzi; starzy tylko śmieli się z tych baśni, mówiąc, że był sobie pan dobry i tyle.

Dopiero gdy woda podmyła kaplicę, ściany runęły niespodzianie, niszcząc wszystko z kretesem,— o obrazie, o malarzu zapomniano powoli; teraz chyba staruszka jakaś bajkę o „laskawym panie” opowiada czasami, jak ja wam dziś o śnie złotym mojej młodości opowiedziałam.

ZŁY DUCH.

OBRAZEK.



I.

Tego dnia wszystko ożyło w wiosce. Przed każdą stodołą mężczyźni, baby i dzieci roztrzäsali wilgotne siano, snopy owsa i żyta rozstawiali na słońcu, ruszali się żwawo, chwytali jedno, po drugie biegli, jakby z dziesięć robót naraz zrobić chcieli. Kobiety drżącymi od pośpiechu rękami rozwieszały na płotach uprane szmaty, długie kawałki płótna, kożuchy i siermięgi; wpadały do chat, a każda wynosiła na podwórze wiązki kopru, lnu, konopi, ustawiała pomiędzy kołkami w płocie; troskliwsze nawet dzieci w kołyskach wyciągały z izby na słońko, na samo słońko, gdzie ani źdźbła cienia, ani najlżejszej chmurki nie widać. Wypędzono w pole chore i zdrowe bydło; z chat powysuwali się staruszkowie schorzali, przysiedli na kłodach wzdłuż płotów, grzeli się, oddychając słonecznym powietrzem, które nawet w ich piersiach skrzepłą duszę zbudziło. W ogródku, przy chacie Jakóba, wśród żółtych gwoździków, georginij, zwarzonych przy mrozkiem, przybitych do ziemi kilkotygodniowa słota, stał chory wyrostek, bosi, w ojcowskim kożuchu na

ramionach. Wczoraj już mu gromnicę dawano, dziś wylazł z chaty jakby nie o swoich siłach. Przytulił się do płotu, dzwonił zębami, zgasłém okiem spoglądał na strzechy słonkiem oblane, chwycił powietrze, za każdym powiewem wiatru krztusił się, kaszlał, coraz mocniej za płot trzymał, jakby się bał, żeby go wiatr nie uniósł, nie cisnął do izby, w której śmierć czyhała na niego ze wszystkich ciemnych, okopconych kątów. Mógłby sobie nawet nieboszczyk wstać z grobu i przejść się po słońcu w ulicy, ludziska nie zwróciliby na niego uwagi — tak bardzo dręczyło każdego widmo głodu, przyczajone za poroślemi snopami żyta, pszenicy, jęczmienia, kryjące się w kopach nawpół zgniłych kartofli.

Deszcz miał już zatopić wioskę, podmył stare chaty, pozalewał dziurawe obory; przez kilka tygodni bydło stało w wodzie, a ludzie schli z żalu, ze strachu, z bezsilności, co duszę wygryza. Nad Niemnem piaszczysty brzeg rozmiękł, usunął się, unosząc kilka płotów i odrobinę różnego warzywa; czekali, kiedy przyjdzie kolej na chaty, rzędem wzdłuż brzegu stojące, spodziewali się nawet skończenia świata. Tymczasem młodzi i starzy spali po całych dniach; przebudziwszy się, wychodzili przed wrota, żeby raz jeszcze spojrzeć na niebo ołowiane, na ziemię błotem pokrytą, na zczerniałe od deszczu płoty i budynki, na sąsiada zresztą, co stojąc przed swemi wrotami, rozglądał się po mokrym świecie zaspanemi oczyma. Najstarsi przez cały wiek swój tyle nie przesпали, co w to lato dziwne. W izbach duszno było, jak w arce podczas potopu; oprócz śpiących ludzi, w dni ulewy, przebywały tam wszystkie kozy, prosięta, na noc do sieni zabierano krowy i owce;—

wszystko to oswiała, senne, jedząc i drzemiąc, wycze-kiwało upragnionęj pogody. W końcu zaczął padać deszcz zwykły, bez ulewy, potem z wiatrem; wicherszała, ciskając spienioną falą aż na brzeg wysoki, zrywał przemokłe strzechy, wywraçał płoty spróchniałe, chat tylko nie poruszył, gdyż były napełnione zbyt ciężkiem powietrzem. Ludzie sypiali już tylko do południa, potem wyglądali przez drzwi, przez okna, miarkowali, nadśluchiwali, aż w końcu doczekali się pogody jesiennęj, świeżęj, tak przezroczystęj, że nawet ci, którym oczy od snu zapuchły, słońko boże wśród błękitnego nieba dostrzedz potrafil.

Zawrzało jak w ulu: wszystkie roboty zaległy. Na łąkach osuszonych z większego, na polu zczerniałą nacią kartofli pokrytém roili się ludziska słońcem odegrzani. Około południa podążyli tam nawet starszowie, aby własnemi oczami raz jeszcze spojrzeć na siano zmarniałe, na przegniłe kartofle, aby tegoroczną klęskę z dawniejszemi porównać i, raz jeszcze wspominając swoje lepsze czasy, na dzisiejsze gorsze wyrzekać.

Wioska opustoszała. Każdy, przechodząc koło ostatnięj chaty nad rzeką, dziwił się, że nawet stary Czmiel z izby wylazł, na przyzbie usiadł, twarzą do słonka zwrócony, wodził wzrokiem po pustém podwórku, oswiała oczy ku wrotom zwracał, kręcił głową na prawo, na lewo, jakby pierwszy raz świat boży ujrział. Łysy dziad z siwą brodą, suchy, z wkleśłemi skroniami, podobny był do świętych w obrazach, tylko siermięgę miał łataną, a obok, na przyzbie, drewnianą konewkę z wodą i kawał chleba solą posypany, żeby

w samotności, zanim synowie i synowe z pola wrócą, z głodu nie umarł.

— Ho! I Ewkę do roboty popędzili—mówiły baby, spoglądając na puste podwórko, na drzwi chaty kolkiem zatknięte.

Pilno im było, biegły zasapane, a jednak koło téj chaty zatrzymywały się chwilę; odszedłszy, oglądały się na nią ciekawym, niespokojnym wzrokiem; jedna nawet na podwórko wbiegła, w okienko zajrzała do obórki, na ogródek okiem rzuciła.

— Ani żywego ducha! — krzyknęła, dopędzając sąsiadki na drodze.

Stary przeprowadził ją wzrokiem; wzruszył nieznacznie ramionami; dziwił się może, że baba skacze jak koza, a on ledwo o kiju z izby wylazł, w nogach mocy żadnej nie czuje i choć już całe lato chory, dotąd jakoś ani sił, ani zdrowia doczekać się nie może. Dziś za to znacznie zdrowszy... lżejszy, nawet dziwnie lekki jakiś... Żeby sił trochę... poszedłby z innymi na pole, na łękę... z kijem, z groźbą... po dawniejszemu. Bez jego dozoru strasznie źle idzie... Eh, nie chce nawet myśleć o tém, co przeżył, co widział przez ostatnie lata... Niech ich tam Bóg sędzi... Wypędziliby go może z chaty na zebranie, żeby nie trochę grosza, zebranego w lepszych czasach, kiedy to jeszcze on sam wszystkich ich w garści trzymał. Teraz jeszcze, kiedy myśli o tém, skostniałe palce zaciskają się mimowoli. Grosz ten chowa... ho, ho! Węszą koło niego, śledzą, szukają, ale nie znajdują!... Oni tam może na setki, na tysiące liczą?... Niech liczą, nie przybędzie, ani ubędzie od tego... Niech tam bajki gadają o jego bogactwie! On tylko jeden wie prawdę... Wie przytém, że żadna ręka

ludzka krzywdy mu nie zrobi. W chudobie téj swojej chował pieniążek cieniutki, zczerniały... od żebraka dostał go za parę kwaszonych ogórków... Żebrek miał go po sławnym złodzieju, który dwory i kościoły okradał, a zawsze uchodził szczęśliwie, aż raz, kąpiąc się, pieniąż z odzieżą na brzegu zostawił. Złowili go wówczas i nagiego do kozy zabrali. O pieniąż starali się potem panowie, proboszcze i żydy, ale żebrak nikomu oddać nie chciał, nosił go zwykle przy sobie—i chociaż po lasach, po wąwozach sam jeden w nocy i w dzień chodził, nie obdarli go nigdy, nie okradli nawet wówczas, gdy oprócz kija i dziurawej siermięgi miał w torbie szczyptę soli i pełną tabakierę tabaki. Czmiel od czasu, jak ten talizman posiadał, worek z pieniędzmi ukrywał jeszcze staranniej. Dawniej skarby te widywali czasem synowie, gdy pieniążki na podatki albo na inne kosza wyjmował, teraz on sam zapominał czasami, gdzie schował... W końcu jedną kryjówkę obrał akuratną, a gdy sąsiedzi żartowali, że skarby w ziemi trzyma, nie zaprzeczał, umyślnie, żeby nie pytali daremnie. W chorobie już parę razy chciał starszemu synowi oddać, ale jak tylko o tém pomyślał, zdrowiał jakoś, sił nabierał, czuł, że jeszcze pożyje rok, drugi, a może i więcej... A jak raz chudobę z rąk odda, poważanie straci. Teraz poją go od czasu do czasu herbata z pieprzem, ugotowaną w garneczku tłuszczem przesiąkłym, jadło akuratnie na piec podają. Potem, kto wie, zmarłby z głodu może... Niech sobie myślą, że im setki srebrnych rubli zostawi. Ho! żeby miał tyle, jak gadają, dawnoby już chatę i ziemię kupił dla Piotra... dla najmłodszego... Maksym i Franek chatę i ziemię, jako matczyną, zabiorą, a ten biedak jak palec na

świecie zostanie. Z ubogiej dziewczki urodził się... Czmiel ją do samej śmierci w chacie dochował; silna była, kościasta, do ostatniego dnia życia pracowała jak wół roboczy... Skonała w samo południe na wiosnę, w taki jasny, cichy dzień jak dziś... Głosu jej nigdy nie sły­szał, czasami tylko do żywiołki, do kur przemawiała... przed śmiercią rozgadała się jakoś...

— Nie krzywdź Piotrka—rzekła,—pożałuj sie­rotę! Jeszcze coś mówić chciała, ale głosu czy słów nie stało; pocałowała go w rękę, jakby za swoją ciężką dolę dziękując. On sam otarł jej z twarzy ostatnie dwie łzy, jakie na tym bożym świecie wyplakała. Ni­gdy już potem nie miał takiej cichej, pracowitej dziew­ki. Krzyż na jej mogile postawił duży, czarny, mię­dzy dwoma sosnami; wioskowy stolarz wypisał na nim: „Marcynko Panno, módl się za nami gorzszkimi grze­sznikami!” Naprózno sąsiedzi dowodzili mu, że zmarła nazywała się Agatą i nie była panną; stolarz potrafił ich przekonać, że każde imię również święte, a na tam­tym świecie nikt panny od mężatki nie odróżni. Napis został; Czmiel, ile razy koło mogił przechodził, zawsze patrzył w tę stronę... Miał tam gdzieś i żonkę... pra­wdziwą—ale ta zmarła tak dawno... że już nawet za­pomniał, gdzie leży!... I chłopcem jej więcej się niż starszymi synami zajmował, sporego malca czasami na rękach nosił, kiedy z pola wracając, spotkał go w ulicy albo pod płotem gdzieśkolwiek. Krzywdzić go nie po­zwałał—karmił jak mógł i cieszył się w duszy, że chłop­rósł zdrowo, silny był, czerwony i tylko trochę głupo­waty... Kiedy przejeżdżając, gdzieś chatę porządną uj­rzał, z ogrodem, z kawałkiem ziemi, zawsze sobie my­ślał, że taką dla Piotra kupi. Parę razy nawet targo-

wał, wypytywał się, ale gdy do kupna przyszło — ociągał się jakoś, odkładał... rachował... Przynosił mu z pola młode zające, ptaszki, kije, których chłopak używał tymczasem zamiast konia; gdy do cudzego ogrodu laził po marchew, po rzepę lub wiśnie, konia tego u płotu zostawiał; szedł w szkodę bezpiecznie, ufny w pomoc ojca, który zawsze w porę nadbiegł. Sąsiedzi przepowiadali, że na złodzieja wyrośnie, — wyrósł tylko na silnego, barczystego parobka, milczał i pracował, jak niegdys jego matka. Maksymowa szyła mu coraz szersze koszule, a w całej wiosce nie było roślejszego chłopca, zgarbił się bez pory, ciągle w ziemię patrzył; wówczas tylko, gdy sam z ojcem został w izbie lub na dworze, podnosił głowę, zwracał na niego jasne, nieśmiałe oczy, jakby zapytywał w milczeniu: co ze mną będzie, tatulu? Stary chmurzył się, czasem nawet z izby wychodził, drapał się za uchem markotny, sam nie wiedział, co tu robić. Pieniądze miał niby... jakie tam zresztą pieniądze! Szczypta potu krwawego, pracy ciężkiej... kiedy pomyślał, że ma je oddać, ból w sercu uczuwał, w złość wpadał, w pole szedł do roboty, żeby złe myśli odpędzić. Darował mu stary kozuch, ślepią kobyłę obiecał; Piotr, jakby tego nie słyszał, nie podziękował nawet, tylko coraz częściej zatrzymywał na nim lękliwe spojrzenie.

— Nie bój się! Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy — mówił stary, żeby mu dodać otuchy i cierpliwości.

Piotr milczał, sapał głośno i spoglądał z podełba w prawo, to w lewo.

— Potem może... gdzieś... jakkolwiek... trzeba będzie... ot... tak... eh, boża wola we wszystkim!

Piotr zaczerwieniony nadstawiał uszu, tłumił oddech, o mało się nie dusił, wyczekując łaskawszego słowa, ale stary urywał, jękał się, machnął ręką i odchodził; nie chciał obiecywać zawczasu, majaczył sam przed sobą, chciał i bał się, wyczekiwał z roku na rok, aż zasłabł nareszcie. Wtedy dopiero przypomniał sobie, że w razie jego śmierci chłopak na poniewierkę pójdzie; w ciężkiej niemocy ciągle o tém myślał, chciał nawet z sąsiadami pogadać... do słowa jakoś przyjść nie mógł. Musiałby pieniądze z kryjówki wydostać, pokazać, odliczyć, — wolał poczekać jeszcze trochę... aż raptem w cieplejsze dni odżył jakoś... dziś ozdrowiał zupełnie, bólu żadnego nie czuł; słaby był tylko... senny, jakoś dziwnie ciężały.

— Na przyszłą wiosnę, da Bóg doczekać... to już kupię... co będzie, to będzie; niech tam gadają, czy nie gadają... a ja kupię chatę... ziemię—powtarzał jak przez sen.

Słonko zatrzymało się nad samą chatą, od godziny już paliło go w czaszkę, ogrzewało od stóp do głowy. Zsunął kożuch z ramion, nogi wyciągnął, poruszył zwolna ramionami, skostniała dusza odegrzała się w piersiach, sen morzył; mrużył oczy. Zdało mu się naraż, że coś go podnosi, że płynie sobie w błękitnym powietrzu... Wioskę, okolicę widział jak na dłoni... Pola słońcem oblane, siny Niemen w piaszczystych, powyrywanych brzegach, ciemnym lasem porośłych... Nigdy jeszcze nie było mu tak jasno w oczach—każde źdźbło trawy w żółtym ściernisku dostrzegał wyraźnie. Łąki, pola, lasy, jakie kiedy w życiu widział, stały teraz przed nim... Mięszwały się różnie—w kwadraty, w pasy długie, wyciągnięte het aż tam, gdzie niebo z ziemią się łączy. Patrzył i napatrzeć się nie mógł,

usta otwierał, powietrze ciepłe chwycił, koło uszu roje pszczoł brzęczały, szum drzew daleki, plusk fali odurzał go, ogłuszał; wszystko, co słyszał kiedyś z osobna, teraz zebrało się razem, silniejsze tylko, wyraźniejsze, jakby na świecie całym on był sam jeden, i sam jeden patrzył i słuchał za wszystkich. Aż pot na czoło wystąpił, oddech ugrzązł w gardle.

— Oj Bożeż mój mileńki!—jęknął i otworzył oczy.

Wiatr powiał od pola; słońko zasunęło się za strzechę, cień chaty równym pasem sięgał do środka podwórka; nogi skrzepły... chłód obejmował kolana, zdrętwiał jakoś, zeszywniał, powieki ciążyły, a przed oczami snuła się jakby mgła biaława: wioskę widział niby przez obłok, kłęby mgły słały się po ściernisku... ze wszech stron wiał chłód przenikliwy; stary skostniał, w pierś się tylko czuł palenie... w oczach szklily się jakby łyzy zastygłe... chatę swoją widział stojącą na uboczu, nad samem urwiskiem, niską, zczerniałą, ze strzechą mchem porośłą, z pod węglów spróchniałych piaszczysty brzeg usuwał się powoli, grudki piasku staczały się jedna po drugiej ku rzece... Zacisnął powieki; czuł, jak go coś ciągnie do ziemi, widział jakby swoją polankę pod lasem, zoraną, zabronowaną akuratnie, przerzniętą miedzą zieloną... Spadał ku niej zwolna, bez strachu, uśmiechał się nawet. Tyle razy leżał na tej miedzy, wyczekując w południe, nim trochę woły podpasą się orką zmęczone.

Słońce zachodziło, na podwórku cień zapadł, strzechy tylko i drzewa złościły się jeszcze w ostatnich promieniach. Koło wrót otwartych przechodzili ludziska z kosami na ramieniu, baby z pustemi dzbankami, dreptały dzieciaki konno na kiju i pieszo. A każdy,

przechodząc, w podwórko, na przyzbę i na starego spojrzął. Siedział plecami o ścianę oparty, z głową pochyloną, dłonie na kolanach złożył, drzemał, czy osłabł ostatecznie. Ten i ów, przechodząc, „pochwalonym” go witał, pastuchowa krzyknęła, żeby wrota otworzył dla bydła, poszła dalej, a stary ani drgnął. Krowy same sobie głowę i bokiem wrota odsunęły, przeszły obie jedna za drugą, obejrzały się na niego, stanęły przy drzwiach obórki; gromadka owiec szarych i białych napęliła dziedzińczyk; tłocząc się, trzęsły zeszywniałe kolana starego; ruch i wrzawa zapanowały w wiosce, tuman złotawego kurzu pędził przez środek ulicy, za bydłem wrócili i ludzie. Maksym z Frankiem przeszli przez podwórko — jeden do chaty, drugi do stodoły; kobiety owce i świny do chlewu zapędzać zaczęły, na starego nikt nie spojrzął. Dopiero gdy Maksymowa ze skopkiem pod krową usiadła, obejrzała się na niego przez ramię.

— Idźcie już do chaty—rzekła,—a to was znowu febra schwyci.

— I duszę wytrzęsie!—podchwyciła Ewka, siadając pod drugą krową.

Zajęte robotą, odwróciły się plecami do niego; tymczasem Piotr z kosą na podwórko wszedł, od wrót już wpatrzył się w ojca, stanął przed nim, patrzył długą chwilę, nie mogąc zmiarkować, czy on śpi... czy może... Stał z kosą na ramieniu, z wyciągniętą szyją... stłumił oddech... coś straszego przemknęło przez głowę. Stary siedział jak żywy—pod siwym zarostem, pod włosami spadającymi na czoło, twarzy prawie nie widzi. Piotr w twarz nie patrzył, słuchał tylko, i słyszał, jak jego własne serce stukalo w piersiach, krew uderzała wskro-

niach; podniósł brwi, wzrok natężył, ale ani najłżejszego drgnienia dostrzedz nie mógł. Obejrzał się z wolna na kobiety, znowu na starego spojrzął... Zmrok zapadł, chłodna rosa pachniała w powietrzu; w podwórku, otoczonem z dwóch stron chatą i obórką, było już prawie ciemno. Piotr stał jeszcze chwilę,—potém, stępując ostrożnie, do chaty poszedł. Wiedział już wszystko, ale jeszcze sam sobie nie wierzył. Z sieni raz jeszcze obejrzał się na niego, kosę w kącie ustawił, opuścił ręce... przysłonił się do ściany, odrętwiał z żalu i ze strachu. Nie chciał, nie mógł o tém mówić pierwszy... Zdawało mu się, że jak przemilczy... może to jeszcze przemieni się jakoś. Stał w ciemnym kącie zaczyjony, kolana drżały, łza za łzą spływała po twarzy. Słyszał, że go Maksym woła ze stodoły, wiedział, że przed nocą mieli jeszcze snopy żyta z toku uprzątnąć, żeby miejsce na siano oczyścić, ale z kąta ruszyć się nie mógł, wpatrzył się w ziemię i czekał... Z izby dolatywał zapach gotowanych kartofli... przypomniał sobie naraz, jak dziś na łące, kiedy trochę zamarudził przy jedzeniu, Ewka nazwała go „wołem,” „psim synem,” kopnęła nogą w garnek z mlekiem, chleb psu rzuciła i poleciała jak szalona, wiedźma przeklęta!... On ją kiedyś nauczył.. kiedyś... kto wie, co teraz z nim samym zrobią... Oni tu teraz gospodarze... pany wszechmocne... Kobiety weszły ze skopkami, drzwi do izby otworzyły szeroko; ogień z komina oświecił sieni, bosc nogi stojącego w kącie Piotra; majstrował coś niby koło kosy, szmatą kij okręcał, a ręce drżały, żal za gardło dusił, febra go trzęsła z niepokoju... a nuż nieprawda?... raz jeszcze przekonać się nie śmiał... ryknąłby tam z żalu... Ej, niech lepij oni... oni tu gospodarze... a on syn tylko... i to...

jaki tam syn jeszcze! Maksym i Franek weszli razem, za nimi wpadli do sieni malcy, ciągnąc za rękę Juziuka Frankowój—z izby buchnęła para od kartofli i krupniku, „gospodarze” do stołu zasiedli.

— A gdzież stary? Stasiek! po dziadula! A co to wy szelmy sami pierwsi do miski przypadli! — huknął Maksym i chłopca swego za kark ku drzwiom popchnął.

Piotr aż przysiadł na ziemi, w uszach zadzwoniło. Słyszał przeraźliwy krzyk Staśka... widział, jak wszyscy jedni za drugimi wybiegli na dwór, jak ze strachu czy z pośpiechu Maksymowa z zapaloném lucyiwem z izby wyleciała... Słyszał urywane słowa podziwu, przerażenia, piskliwy płacz dzieci... Ale z miejsca wstać nie mógł—ściskało go w żołądku, skurczył się we dwoje, głowę w ramiona wsunął.

— Boże mileńki... Bożeż mój mileńki!—szeptał, przelatykając ślinę; oczy przymykał; nawet ciekawość go nie brała, żeby pójść spojrzeć w martwą twarz ojca, żeby zobaczyć, czy jeszcze podobny do siebie. Nie mógł, osłabł jakoś... Wielki, barczysty, z czerwoną twarzą i ogromnemi wąsami chłop osłabł, zniedołężniał jak dziecko, tulił głowę do ściany, a po twarzy lzy dziecinne coraz częściej spływały!...

Uspokoił się w izbie, starego na łóżku złożyli. Wówczas Maksym raz i drugi przez sień przeszedł, po kątach się obejrzał trochę zafrasowany.

— Chodź do chaty—szepnął, ujrzawszy Piotra; za ramię go wziął, postął przy nim chwilę, coś jeszcze powiedzieć chciał, ale nie mógł na razie. — No, chodź, cóż tam, ot, wiadomo... każdemu tak będzie...—Zamilkł, głowę odwrócił. Piotr sam nie wiedział dlaczego pocałował go w rękę.—Ch...o...dź—powtórzył Maksym; rękę

kawem przesunął po oczach i weszli razem do izby, za stół usiedli; Maksym podsunął mu miskę z jadem, chleba z bochna odkrajał; sam łokieć na stole oparł, twarz w dłoniach ukrył, siedział i milczał. Piotr jadł; od cieplej strawy cieplej się zrobiło w piersiach i w żołądku, od dobrych słów Maksyma dziwnie jakoś lechtalo koło serca. Łzy wciąż jeszcze spływały do miski, mieszały się z krupnikiem, ale w głowie już szum ustał. W piersiach odżyła otucha i siła—onby teraz dla Maksyma w ogień poszedł, pracowałby dla niego od świtu do nocy, ot, za chleb tylko, za łyżkę strawy, dobraby jego pilnował — on możeby nawet i ukradł dla niego, a cóż? ot ukradłby, gdyby trzeba było... Zawsze lubił go i słuchał, a teraz... Teraz to już i myśli nie stało do wyrażenia nieujętych wybuchów wdzięczności, podniecanej żalem, trwogą i niepokojem. Jedząc, zerkał na niego z pod oka, łyżkę po łyżce pochłaniał, misę opróżnił, chleb odkrajany zjadł akuratnie, wykazując tu na razie swoje posłuszeństwo, gotowość do usług; spotniał przytém, zaczerwienił się jeszcze więcej... Czuł, że za plecami, w okopconym kącie na łóżku leży stary, białą płachtą przykryty; spostrzegł go, przechodząc przez izbę, i teraz czuł go wciąż koło siebie... żałował jeszcze i w twarz jego jeszcze spojrzeć nie chciał, ale już o Maksymie więcej myślał niż o nim.

Chata opróżniła się tymczasem. Franek poszedł deski na trumnę gotować, mały chrapali na piecu; Maksymowa tylko, krzątając się koło czystej odzieży, wyjmując ze skrzyni bieliznę i siermięgę, co chwila nos fartuchem wycierała.

— Chodźmy, on tam jeden nie poradzi — rzekł Maksym. Wstał zwolna, Piotr poszedł za nim; w progu

obejrżeli się obaj na łóżko. W sieni spotkali Ewkę. Przez cały wieczór latała jak opętana, z izby na dwór, na strych po drabinie laziła, kręciła się po izbie, zaczerwieniona jak w gorączce. Sześć lat już była za mężem, a wyglądała jak dziewczyna—szczupła, smągława, z wielkimi siwymi oczami, brwi i włosy miała czarne, twarz drobną i bardzo białe zęby. Gryzła wargi, rzucała oczyma na wszystkie strony; w czerwonej spódnicy, w białutkiej koszuli i niebieskich paciorkach na szyi, odbijała jaskrawo na tle okopconych ścian izby.

— Czy wy tak do nocy tuptać będziecie? — spytała zasapana, przebiegając wzrokiem od Maksymowej do łóżka, do skrzyni i kublów; paliło ją w piersiach, dłonie i podeszwy swędziły, poruszała plecami niecierpliwie.

— Ja posiedzę... przy nim, zaraz od Jakóba przyjdę... połóżcie się...

Maksymowa, pochylona nad skrzynią, spojrzała na nią przez ramię.

— Pilnowała ja jego za życia, to i po śmierci popilnuję—odrzekła z wolna.

Ewka przysiadła na ławie, w drżących palcach kręciła rąbek fartucha.

— To i ja z wami posiedzę—syknęła przez zęby.

Kręciła się na ławie, bosemi stopami szorowała po ziemi; w końcu porwała wiadro i wodę żłopać zaczęła, odpoczęła chwilkę i znowu piła jak koń zmęczony, Maksymowej z oka nie spuszczać. Wiadro na ziemię cisnęła, kopając lampkę ze stołu schwyciła.

— Ja wam poświecę—rzekła,—pociemku zamiast spodni włożycie staremu swoją spódnice!—zaśmiała się,

pokazując białe zęby od ucha do ucha. Maksymowa splunęła, wzruszyła ramionami, spojrziała trwożliwie na białą płachtę na łóżku, z pod której na jednym końcu widniało czoło przysłonięte siwymi włosami, na drugim wyglądały bosa skrzepłe nogi.

Nazajutrz z rana stary był już na cmentarzu. Sąsiedzi prosto z pogrzebu w pole do roboty poszli. Franek, Piotr i Maksym, tym samym wozem, na którym trumnę przywieźli, na łąkę o kilka wiorst po siano pojechali. Siedzieli plecami zwrócenii do siebie; Piotr, stojąc, zacinał konia. Jechali brzegiem rzeki, słońce dogrzewało jak latem, na ściernisku gdzieniegdzie błyszczały jeszcze krople nocnej rosy. Wjeżdżając na górę piaszczystą, zwolnili kroku; Piotr obejrzał się— cmentarz na brzegu sosnowego lasu widział jak na dłoni: wśród rzadkich sosen kilkanaście krzywych krzyżów, kilkanaście mogił zrzadka trawką porośłych; promienie słońca przekradały się przez gałęzie u góry między równe pnie wysmukłe, oświecały nową, żółtym piaskiem usypaną mogiłę.

— Ot... gdzie stary... leży!—pomyślał Piotr, spoglądając przez ramię, podczas gdy konie szły zwolna pod górę. Maksym powiedział mu wczoraj jeszcze, że z pieniędzy trzecią część dostanie, że go nie skrzywdzą, oddadzą mu nawet starą siermięgę, czapkę i tabakierę, o butach tylko nie wspomniał; nie mówił też, ile pieniędzy zostało, bo sam nie wiedział; Piotr pewny był, że dostanie może sto, a może dwieście rubli. Uspokoił się, poweselał, spojrzawszy raz jeszcze z góry na las, ciągnący się długim pasem wzdłuż brzegu, na kilkanaście piaszczystych pagórków wśród sosen.

— Ot gdzie stary leży!...—powtórzył z doskonałą rezygnacją.

Stanęli na chwilę przed karczmą; otynkowana, wybielona, zwrócona frontem ku rzece, wyglądała jak dwór albo plebania, z gankiem o czterech murowanych słupach; po jednej stronie, gdzie było mieszkanie Szmula, w oknach widniały szydełkowe firanki, fuksye i geranium w doniczkach; Szmul stał na ganku w spodniach, w rozpiętej kamizelce, w pantoflach włóczkowych na bosych nogach. Od czasu, jak trzy córki za mąż wydał, a sam ożenił się powtórnie z młodą, ładną dziewczyną, rozpaniał jakoś, spoważniał i z chłopami wdawać się nie lubił, do szynkowej izby nawet rzadko wychodził, interes prowadziła żonka, on tylko dla pewnych religijnych obrządków okazywał dotąd szczególniejszy szacunek. Jeśli kumowie, z chrzcin wracając, wstąpili do karczmy, każdemu darmo po kieliszku wódki dawał, chrześniaka też częstował kilku kroplami, żeby odrazu poznał, co jest dobrego na świecie! Dla państwa młodych też same okazywał względy; na pogrzeby zaś i dla swatów dawał taką wódkę, że ludziska po jednej, po drugiej kwaterce pogrzebu od wesela odróżnić nie umieli. Jechali też do niego z własnej i z obcej parafii, nieraz parę mil drogi nakładali, żeby Szmulowi chrześniaka pokazać, poczęstunek wypić i dziecko dobrą wódką bezpłatnie napoić. Wesela zatrzymywały się tu akuratnie, choć na chwilkę, a zostawały nieraz do nocy albo i do rana. Szmul kredytował chętnie, a że przy rachunku ustępował zwykle parę dziesiątek, woleli pić u niego na kredyt, niż u innych za pieniądze.

— Głupi ludzie — mawiał z niedbałym uśmiechem przy wszelkich kwestyach pieniężnych, — czy to mnie wasz grosz potrzebny, czy ja z was żyję? Ot, wielki zarobek! Z chłopą, jak z kozła: ani mleka, ani mięsa! Karczma, to żaden interes; żeby ja to miał, co do niéj dokładam, dawnoby już z głodu umarł! No, co tam gadać!... ja waszój krzywdy nie żądam.

Chłopi, słuchając, kręcili głowami z niedowierzaniem, ten i ów czasem „Judaszem” nazwał, wogóle jednak mieli pewien szacunek dla jego atlasowego chałata, dla srebrnego zegarka, flegmatyczny spokój imponował im trochę. Raz tylko znany pijak Hawryłko ukradł mu blaszaną kwartę, schował do wozu, i wracając do chaty, przez całą drogę, dla uspokojenia sumienia, pijanym głosem powtarzał:

— Ot! bestyja Chrystusa ukrzyżował... i żyje!... Grzesznik przeklęty... a po świecie bożym chodzi i śmierci na niego niéma!

Kwartę zgubił w drodze, potem przez cały miesiąc nie śmiał jakoś oczu w karczmie pokazać; gdy wrócił, Szmul przyjął marnotrawnego syna z biblijną łaskawością, poczęstował wódką na mahorkę nalaną; rozпалиło go jak ogniem, pił potem przez cztery dni, aż w końcu trzeba go było z karczmy wyrzucić.

— Jaki z ciebie gospodarz — perorował Szmul na piątą dzień, — przepił buty i siermięgę! To wstyd! Mnie nawet wstyd, co takie gospodarze w mojej karczmie piją! Zapłać za wódkę, a ja buty i siermięgę darmo oddam... mnie ona niepotrzebna! Ja, chwała Bogu, chłopskiej odzieży nie nosił i nosić nie będę.

Mówiąc, przechadzał się poważnym krokiem, z rękami za plecy założonemi; od bogatszych przyjmo-

wał czasem szczyptę tabaki, rozmawiał z nimi, ale nie spoufalął się zbyt wiele; najbogatszych nawet nazywał w oczy „muzykami,” ile razy, pogadawszy w karczmie o tém, o owém, wychodzili trzeźwi, po jednej zaledwo kwaterce. Z Maksymem miał rachunki dawne i bardzo zawikłane. Chłop, myśląc o nim, czuł smoktanie pod sercem, słabość dziwną, jakby naraz wszystką krew utracił. Unikał go, w ostatnich miesiącach nie zaglądał do karczmy; Szmul tylko przez sąsiadów dowiadywał się o tego „złodzieja,” „paskudnika,” groził mu i zapowiadał, że swego nie daruje.

— Ja tam o te pieniądze nie dbam, niech on moją krzywdę na doktora wyda!... Ale mnie serce boli, że teraz i gospodarskim synom wierzyć nie można. Nu, ja sobie myślę, że ja to na biednych odda!

Maksymowi aż iskry w oczach błyskały, gdy tego słuchał; sto razy już chciał zdusić żyda i zawsze do przyszłego razu odkładał, ale długą nie płacił. Spotkawszy go, głowę spuszczał, w ziemię patrzył, przesuwając się jak złodziej, a w duszy kłął żyda, dziwił się, że go czart dotąd nie schwycił. Wolałby już turbację wszelką, natrętne dopominanie się, niż tę moralno-żydowską wspaniałościomysłność, za którą będzie musiał gotówką z procentami zapłacić.

Podjeżdżając pod karczmę, zdaleka gdy żyda spostrzegł, splunął, fajkę pykał dalej, a w piersiach głos zamarł z zadowolenia, że nareszcie psu temu pieniądze w oczy rzuci.

Siedząc na wozie, plecami do karczmy zwrócony, krzyknął na niego przez ramię:

— Hej ty, kręciel, a ile tam na mnie nakręcił? Niech czort tobie zliczyć pomoże!... bo ja jutro zapła-

cę... Dość już w twoich łapach siedział! Bodaj ty przepadł!—mruknął pod nosem, pykając fajkę.

Szumł udał, że nie słyszy; z rękami w kieszeni patrzył na rzekę pomarszczoną zlekka, połyskującą na słońcu. Przywykł do pogrózek i wymyślań, nieraz sam nawet wywoływał je dość zręcznie,—od próżnej gawędy skóra nie boli, a potem łatwiej interes kończyć. Bywało nieraz, że chłop, wygadawszy co na myśl przyszło, dodawał zakwestyonowaną dziesiątkę albo i dwudziestkę.

Szumł chował naddatek z olimpijskim spokojem i myślał w duchu:

— No, ten zna się na grzeczności przynajmniej.

Maksyma ta obojętność drażniła; chciał jeszcze raz żyda „kręciłem” nazwać, zmiarkował jednak, że nie warto, milczał, brwi ściągnął i splunął. Czekali na Maksymowę; z cmentarza po chleb i po mleko do chaty zaszła; krótszą drogą, przez pola, miała ich przed karczmą napędzić.

— Jak asan pieniądze przyniesie, to i zliczymy rachunek. Na co tu czort?—odrzekł Szumł z żartobliwą powagą.—Może tam u was jaki parobek jest? Ot kupiec z wiciną stanął, dalej płynąć nie może, człowiek zachorował; popytajcie się, może który pójdzie? On sprawiedliwy kupiec, dobrze płaci, nu, i wam gościńca da.

— A niech on sam zębami ciągnie! — mruknął Maksym, dziwnie jakoś przeciw żydom rozjątrzony.

Naprzeciw, przy lewym brzegu, stała wielka barka czerniała; kawał szarego płótna, przedstawiający żagle, zwieszał się na wysokim drągu, do którego uwiązano kilka lin grubych, zakończonych parcianami pasami. Nizka, szeroka, szczelnie gontami kryta, wy-

glądała jak żółw olbrzymi, czerniejący na niebieskawych wodach; w jednym i drugim końcu widniały zwoje lin, deski, obręcze, klepki, puste worki z czarnymi napisami zrzucone na kupę, kilka kożuchów futrem na wierzch wywróconych; na zrębie suszyła się uprana koszula i para płóciennych spodni. Nowiutka łódź, biała i niebiesko malowana, uwiązana na węzłowatym postrzępionym sznurze, kołysała się zlekka, poruszana spokojną falą. Obok barki, na brzegu, pod piaszczystym urwiskiem, kilku ludzi wygrzewało się na słońcu; leżeli na brzuchach, z podniesionymi głowami, gadali coś między sobą, głuche echo niesło ku karczmie urywane odgłosy. Franek przyglądał się im, stojąc na brzegu, ręką oczy przysłonił i patrzył na osmoloną barękę, to na łódź ładną, leciuchną, z leżąciami wewnątrz nowemi wiosłami. Odciałby ją chętnie... taka łódka... ho, ho!— pokręcił głową w niemym zachwycie.

— A ten chory gdzie?—spytał żyda, wracając od brzegu do wozu.

Szumł wskazał głową na zarośla przy karczmie.

— Licho wie, co jemu stało się; chłop zdrow, silny, przystał w drodze, dalej iść nie chce.

Pod krzakiem jałowca na trawie siedział bosy parobek w koszuli, w płóciennych spodniach, opasany szerokim skórzanym pasem; kolana rękami objął, rudą głowę wsunął w ramiona, usta otworzył i patrzył apatycznie przed siebie. Obok niego stała blaszana kwarta rdzą pokryta i leżały dwie cebule.

— On od twojej wódki do jutra zdechnie—rzekł Franek;—cudzy człowiek, nie wie jeszcze, że ty ludzi trujesz.

— Oj, jaki Franek mądry! nu, czemu was z wojska żołnierzem puścili, kiedy wy jeneralski rozum macie?

— A gdzież ty, żydzie, takich młodych jenerałów widział? Rozumu swego ja u ciebie nie przepiję! Nie bój się! Niedoczekanie twoje! Dalibóg, strul! — powtórzył, wpatrując się w siedzącego nieruchomie chłopca.

Podszedł zwolna ku niemu, Szmul przeprowadził go szyderskim wzrokiem.

Franek widział, jak w słonecznej przestrzeni, od strony wioski, Maksymowa dreptała śpiesznie wpoprzek zagonów, niosąc garnki w obu rękach; czasu do stracenia nie było; stanął przed nieznanym, obrzucił go wzrokiem. Pomimo piegów i ogorzeliżny, chłop wyglądał blado, pod ociężałymi powiekami kryły się niebieskie, znużone oczy; brodę na kolanach oparł, patrzył w las na przeciwnym brzegu.

— Z daleka? — spytał Franek.

Chory tylko brwi rude podniósł i milczał; nogi miał czarne, zeszlęciem błotem pokryte, zamiast paznokci, na palcach plamy krwi, z piaskiem zmieszanej.

Frankowi aż w sercu ukłuło, gdy na te poranione nogi spojrzął; obok niego na trawie leżała granatowa kamizelka z błyszczącymi guzikami, malowana porcelanowa fajka i zawiniątko w czerwonej chustce, z którego wyglądały szklane, niebieskie paciorki.

— Długo ciągnęli? — spytał znowu, wskazując głową na baręk.

Chory zrobił głową ruch niewyraźny, jakby muhy opędzał; spojrzął z ukosa na zakurzone buty Franka, brwi ściągnął, najeżył się i milczał.

— Pewno nie tutejszy!—pomyślał Franek—Niemiec może? A że, będąc w wojsku, nauczył się tego i owego, między innymi rzeczami i kilka niemieckich wyrazów umiał, ręce w kieszenie wsunął, nogę po żołniersku odstawił, uśmiechnięty, mrugnął okiem sam do siebie.

— *Ferfluchter, a brod, a wasser?* — spytał, szczerząc zęby.

Miało to znaczyć: Niemcze, może chcesz jeść? Ale chory i na to odpowiedział ponurym milczeniem.

Franek ramionami zżymnął, poszedł do wozu, gdzie już Maksymowa ustawiła garnki i sama obok męża usiadła.

Chory przeprowadził go wzrokiem, popatrzył na całą gromadę, na wóz, na konie bardzo chude, zapracowane, a gdy Piotr, stojąc na wozie, zaciął je biczyskiem, targnął lejce, na piaszczystą drogę zwrócił:

— Durny chłop!—mruknął chory, splunął i patrzył, jak ślina z krwią zmieszana zwolna w suchy piasek wsiąkała.

W chacie pozostała tylko Ewka; bosa, w podkaszanej za kolana spódnicy, rękawy koszuli zakasała za łokcie, czerwoną chustkę zawiązała mocno na włosach, zasapana, z wypiekami na twarzy, uwijała się po izbie. Łóżko starego na podwórko wyniosła, siennik, kołdrę, szmaty różne na płocie porozwieszała, obejrawszy wprzód każdą starannie; z siennika słomę wytrzęsła i długi czas przebierała w niej, przeglądając każdą garść z osobna; do izby wpadła, kubek dnem do góry przewróciła; oprócz stariej kamizelki, wełnianych rękawiczek o jednym palcu, wysypało się z niego drobiazgów różnych sporo: sznurki cienkie i grubsze, rze-

mienie, guziki, bobu i fasoli ziarna odwieczne, zeschłe kłosa pszenicy, czerwony czepek w żółte kwiatki, podgarniowany tiulem, jeszcze po pierwszej żonce pamiętka! Ewka rwała, gniotła, odrzucała na bok i znowu chwytala, macając, kręcąc na wszystkie strony, pochylona przebierała na ziemi każdą szmatkę drżącymi rękami; krew napłynęła do głowy, żyły nabrzmiały na szyi, wyprostowała się zasapana, spojrzała ponuro po izbie; na progu, w drzwiach otwartych do sieni, siedział kot czarny z podwiniętym ogonem, patrzył na nią zielonemi ślepiami. Ewka zacisnęła zęby, schyliła się śpiesznie po polano, kot zemknął, cisnęła za nim polanem do pustej sieni.

— Zgiń ty! przepadnij!—syknęła.

Przez chwilę stała jak odurzona. Czarny, nieznany kot w pustej chacie, podczas gdy tak gorliwie przetrząsała rzeczy nieboszczyka, przeraził ją trochę; splunęła raz, drugi, a serce w piersiach biło jak młotem. Ochłonawszy, zabrała się znowu do roboty, gorączka ją paliła, odsunęła stół, ławy, tapczan z pościelą, co już prawie do ziemi przyrósł, z miejsca poruszyła; wzdłuż ścian dookoła izby suwała się jak opętana, próbując bosemi nogami, czy gdzie na miękką glinę, na ślad jamy lub dziury nie natrafi; macała ściany, pod piec wlaźła, w komin nawet zajrzała, na piecu cegły drapała, próbując, czy której wyjąć nie można, zeskoczyła na ziemię i znowu do szmat się rzuciła. Z pod tapczanu barylkę z dziegciem słomą zatkniętą wysunęła, worki, łapcie, garnki z pierzem wyrzucała na środek z coraz większym pośpiechem. W uszach dzwoniło, co chwila przerywała robotę, słuchała.... Ktoś przeszedł koło chaty, wiatr drzwi w sieni poruszył, zaszeleściło coś

pod piecem... i znowu wszystko ucichło—smugi światła słały się po ziemi, świerszcz brzęczał w śmieciach przy progu. Rzuciła się do roboty. Już każdą szmatę z dziesięć razy miała w drżących od pośpiechu rękach, nie wiedząc za co chwycić, gdzie jeszcze szukać i patrzeć. Zadyszana, przysiadła na tapczanie wśród kupy rupieci... opuściła ręce; koszula przylgnęła do spotniałych pleców, pot błyszczał na czole... Sapała ciężko, przełykając kurzem przesiąknięte powietrze. Jeszcze cały dzień miała przed sobą. Oni aż wieczorem wrócą... Strych, strzechę, świeron przetrzęsie, pazurami ziemię drzeć będzie... a znaleźć musil! Wiedziała, że stary chował gdzieś pieniądze, przez sześć lat czatowała na niego. On to rozumiał, przeczuwał raczej... wystrzegał się... pilnował chaty przedewszystkiē, jak stary wilk pilnuje łożyska, w którym kilka kości schował na głodną godzinę. Pewną była, że ukrył gdzieś w chacie. Ale gdzie? Spróchniałe ściany przy ziemi białą pleśnią pokryte, okopcony pułap, komin, podłogę gliną ubitą, wszystko już obejrzała, omacała, wszędzie węszyła, ocierając się o każdy kąt, drapiąc w szczelinach, nadśluchując... Strzecha jeszcze została odwieczna, mchem porośla—za każdą krokwią mogła być kryjówka... Spojrzawszy na skrzynię w kącie przy piecu, skrzywiła się pogardliwie—stary był chytry... umiał chować! Duża kłódka wisiała przy skrzyni, odemknęłaby ją jednym uderzeniem siekiery... Wzruszyła ramionami na samą myśl podobnej kryjówki! Wczoraj już, świecąc Maksymowój, prześwidrowała wzrokiem każdy drobiazg! Zamka nie poruszy! Niech dla tych wołów zostanie! Ona lepszej kryjówki poszuka. A jeżeli i ona nic nie znajdzie?... Odrętwiała na samo to przypuszczenie,

stłumiła oddech, przez chwilę siedziała jak martwa. Ucieknie, utopi się, ale dłużej w téj chacie przeklętej nie wytrzyma! Sześć lat żyła jak na uwięzi... dłużej tak żyć nie chce! Zerwała się, setny już raz może schwyciła poduszkę, szarpnęła, pierze rozleciały się po izbie, pokryły rozrzucone na podłodze rupiecie.

II.

Kiedy szła za mąż, baby i dziewczęta krakały jak wrony, dziwiąc się i zazdroszcząc, że do najbogatszej chaty idzie. Ona wówczas już wzruszała ramionami na to swoje szczęście. Stu innych wolałaby, niż jednego Franka; chudy był wówczas, z krzywymi nogami, bez wąsów nawet! Niedawno bydło z chłopcami pasał, a teraz przechwalał się, że ją rozumu nauczył, dotąd bić będzie, aż do roboty przyzwyczai jak należy! Śmiała się, słuchając; dyabeł uciekłby od tego śmiechu, a Franek nie uciekał! Z biedy poszła za niego; głód prześladował ją od dzieciństwa, jak gdyby w głodny rok na świat przyszła! Strasznie głupią miała matkę; dziś jeszcze, kiedy ją wspomni, wzrusza ramionami pogardliwie. Wysoka, z czarnymi oczami, młodą jeszcze będąc, chodziła w lachmanach jak żebraczka! Pisarz w ich wiosce chciał ją do siebie za gospodynię wziąć... Nie poszła!

— Dość jednego grzechu!—mówiła—teraz pokutować trzeba... Boga przepraszać.

Pisarz znalazł inną, czerwoną, hożą, panowała u niego jak we własnym domu! Ewka nieraz widziała ją w różowej spódnicy, w niebieskiej fularowej chustce, karmiącą kury ziarnem, albo siekającą zielsko dla wieprzów; pierścionki miała, kolczyki, siadywała sobie całemi godzinami w otwartém oknie, przy samowarze, piła herbatę, cukrem przegryzając! Utyła, wypiękniała, chłopci przed nią czapki zdejmowali, kury, jaja, orzechy znosili! W najpilniejsze czasy, kiedy inne baby od świtu do nocy przy żniwie potem się oblewały, ona siedziała sobie na ganku, wygrzewała się na słońcu, gryzła orzechy, albo pisarskiego psa grzebieniem czesała!

Chuda, czarna Ewka w poszarpanej spódniczce, w brudnej, rozpiętej na piersiach koszuli, zaczajona w krzaku, przyglądała się tej rozkoszy, pożerała wzrokiem wszelkie oznaki pisarskiego dostatku. Duży, błyszczący samowar miał dla niej prawie takież urok powagi, jak sam pisarz! Dreszcz ją przebiegał, oskoma dręczyła na widok jadła różnego, na samą woń pieczywa i smażonego mięsa. Poruszała nozdrzami, przelykała ślinę i, jak lunatyczka, bezwiednie prawie przysuwała się coraz bliżej do pisarskiego domu. Z za węgła szła wzdłuż ściany aż pod ganek, stawiała w kącie skurczona, nieśmiała... Siwe oczy latały na wszystkie strony; chude, jak u małpy, palce kurczyły się nerwowo! Skrzętna gospodyni na ganku nic nie zostawiała, w najlepszym razie znajdowały się na ławce strąki grochu, ogryzione jabłko, albo resztki chleba z masłem, którego pies nie dojadł. Sama za to dawała jój czasem kawałek cukru, sera, odgotowane mięso. Ewka chowała śpiesznie zdobycz za pazuchę i, nie oglądając się, uciekała przez płoty, przez zagony, do starój kuźni,

gdzie matka jój kąt miała, w izbie malutkiej jak skrzynia, obrosłej z zewnątrz pokrzywą i łopianem, ciemnej i zimnej jak psiarnia. W izbie tej zamykała ją czasami, na robotę wychodząc, zostawiwszy trochę zimnych, odgotowanych kartofli, chleba kawałek i garnek pierza do skubania. Koło okienka świergoły wróble, przez szczeliny w ścianach przekradały się cienkie smugi słonecznego światła, z pod węglów spróchniałych wyglądała trawa; zielone jaszczurki, ogrzane słońcem, wsuwały główki, rozglądały się po ciemnej izbie, zniżały szeleszcząc w gęstych liściach. Ewka poszła za ich przykładem: zjadła, co było do zjedzenia, wysliznęła się z izby, wyłamawszy kawałek spróchniałej deski. Głodne psy odtąd na krótko zakradały się tą drogą do ich chaty, po chwili wylażyły również głodne jak weszły. Ewka na żer szła, niszcząc po drodze wszystko, co się dało! Najadłszy się jabłek, gruszek, jarzyn wszelkich, resztę łapała chciwie w fartuch, za koszulę, czaiła się za płoty, chyłkiem przechodziła przez las konopi, obławowana łupem, padała, biegnąc przez pole po zagonach, w końcu, dopadłszy do izby, ukrywała zdobycz w pokrzywy, przysłaniała zielskiem i trawą; odpocząwszy chwilę, zasapana biegła dalej po orzechy, po jagody, po grzyby różne.

Choroba jakaś ją trawiła, zęby świędziły na widok jadła w jakiejś formie; zdaleka już węszyła zapach gotowanej strawy, smażonej słoniny, z błyszczącymi oczami biegła w tę stronę, serce biło gwałtownie, stawała przy drzwiach, czekała, oglądała się, nadsluchiwała... W izbie jedli; czasami pies w zębach kość wnosił, ogryzał u jój stóp bosych kość ciepłą jeszcze, wilgotną, z resztkami żył żółtawych. Ewka przełykała

ślinę, aż w gardle bolało, ocierała się plecami o ściany izby, z nogi na nogę przestępowała, ale wejść do izby nie śmiała; rozjątrzona, zaciskała zęby; schwyciwszy kość psu, biegła z nią w pole, oglądając się co chwila; gdy pies nadbiegał, ciskała ją w krzaki, w warzywo między zagony, śmiała się piskliwym śmiechem, widząc, jak skrzywdzony, zbity z tropu pies stawał, węszył i wracał do chaty ze łbem spuszczoneym...

Ona to odkradała pastuchom z torby ser, chleb i kwaszone ogórki. Przez długi czas oskarżano o to samego dyabła—tak zręcznie, przyczaiwszy się, umiała wymacać przez płótno każdy kęs jadła; upatrzawszy stosowną chwilę, wsuwała do torby chudą, małą rękę; dziad nie zdołał jeszcze głowy odwrócić, a ona była już ze zdobyczą w najgęstszej leszczynie nad strumieniem, jadła chciwie, spoglądając dokoła między gęstymi liśćmi.

W leszczynie téj cienistój, podestanej miękką trawą, usianą białą i różową dzięcielina, w największy upał nawet panował wonny chłodek; ptactwo różne zlatywało się tu gromadnie, obsiadało gałązki, kryło się w gąszczy; od gwaru, świergotania, szczebiotu, drgały liście, drgało wonne, błękitnawe powietrze. Tu, w południe, parobcy, zostawiwszy woły w polu, przychodzili wyciągnąć się w trawie nad strumieniem; tu dziewczęta i młode kobiety z wioski prały zwykle bieliznę na dwóch wielkich kamieniach, stojąc po kolana w przezroczystój, zicha szemrzającej wodzie. Siwe oczy Ewki zerkały na nich z pomiędzy gęstych liści. Stała tam jednak tylko dokąd nie pochłoneła ostatniego kawałka. Nieraz, podczas najdrażliwszej sceny, odchodziła, wzruszając ramionami obojętnie. Gdy ją

tam matka spotkała przypadkiem, pędziła do chaty, perorując po drodze o Bogu, o cnocie, biła w kark pięścią, popychała przed sobą chudą, głodną dziewczynę, zalewając się łzami nad jęj próżniactwem i hardością.

— Bodaj tę enotę dyabli wzięli!—mruczała Ewka.

Od szybkiego ruchu głód znowu jęj dokuczać zaczął; zerkiała w prawo, w lewo, a dostrzegłszy płot niski, rzuciła się nagle w tę stronę i, jak ryba w wodzie, znikła w konopiach, w szerokich liściach brukwi i buraków; tylko potrącone gdzieniegdzie maki i koprzy świadczyły o obranym przez nią kierunku.

Matka patrzyła osłupiała... w dziewczynie tęj zle jakieś siedziało... Wiedziała o tęp dawno, w końcu jednak i sąsiadki mówić o tęp zaczęły. U każdej prawie wyjadała warzywo, wykradała suszące się sery w koszach, w końcu zaczęła śledzić kury... W wiosce krążyły już wieści, że sekretnie podbiera jaja... Stare baby, co już niejedno na świecie widziały, zaczęły przebąkiwać, że ona może i krowy w polu wydaja... Szkodny pies nie miał tylu wrogów co ona! Zaledwo weszła w ulicę—z sieni, z za płotów wychylały się głowy w czerwonych, w białych lub brudnych chustkach, syczały na nią zdaleka, psy i dziatwa wybiegały na jęj spotkanie, dopędzały, wyskakiwały z podwórków z prawej i lewej strony... Na szczęście, chudą była jak chart, miała długie i cienkie nogi,—rozpędziwszy się, dziatwę zostawiała daleko; psy tylko dotrzymywały placu; dopędziwszy, targały zębami za starą spódniczkę, chwytaly za łydki, nieraz do krwi ugryzły w bosc, zabłocone pięty. Wrzawa ta i niebezpieczeństwo podniecały w nięj ducha, hartowały odwagę; widząc ślady krwi na piasku, wzruszała ramionami; po każdej takięj

przeprawie jadła z większym apetytem, albo szła spać strasznie głodna i śniła, że ma cały bochen świeżutkiego chleba, lecz zanim skosztować zdołała, budziła się raptem na słomie, w pustej izbie... i płakała z głodu gorzkiemi łzami!

Na służbie, gdy została niańką u ekonomowej, jadała codziennie ciepłą strawę w kuchni, dostawała czasami kęs jakiś ze stołu, natomiast codziennie w niemiej bezczynności spoglądać musiała na prawdziwie ekonomiczny apetyt i dostatek! Woń tłustych, posilnych potraw snuła się za nią; w dwóch dusznych, niskich izbach pachniało twarogiem, okrasą, na stołach przy oknach suszył się naprzemian mak, kasza, mąki różne, po kątach przy piecu i za drzwiami wisiały suszone grzyby, jabłka i gruszki; gdy słońce przez okno ogrzało ten ład i dobytek, powietrze w izbie stawało się odurzające! Muchy latały zwolna, jak pijane. Ewce głowa ciężyla—uspokoila się jakoś, spowaźniała; dano jej czerwoną spódnice i wyblakłą niebieską chusteczkę, którą mogła przykryć koszulę dziurawą na plecach.

W kilka lat, gdy wyrosła na szczupłą, smagłą dziewczynę, kucharz chciał jej kupić pierwsze trzewiki. Na wszelkie zaloty wzruszała ramionami obojętnie, głodną teraz bywała rzadko; a że dzieci u ekonomy przybywały każdego roku, przez całą wiosnę i lato wraz z dzieckiem wygrzewała się na słońcu, drzemała, gdy sen zmorzył, i tylko w porze śniadania i obiadu uczuwała dawny niepokój i energię. Mówili o niej, że jest trochę leniwa, ale porządna dziewczyna—i na to wzruszała ramionami! Inne dziewczęta dostawały wstążki, paciorki, wracały czasami pijane z jarmarków, ale w kieszeniach miały pierniki i groszowe cukierki.

Ona w swojej czerwonej spódnicy, krótkiej i wyblakłej, w siwój koszuli, łatanej na plecach białym perkałem, patrzyła na to wszystko z pod czoła, zaciskała zęby...

Dawnoby już rzuciła służbę, gdzie ją prawie tylko za chleb i przyodziewek trzymano, lecz bała się, żeby znowu między chłopstwo na głód i ciężką pracę się nie dostać. Przyniem jeden z parobków, Andrzej, powiedział jej raz na zawsze, że się z nią ożeni, jeżeli będzie uczciwą dziewczyną; w przeciwnym razie kości jej połamie, kamień do szyi uwiąże i na rzekę puści. Obiecywał to spokojnie, grubym, ochryplym głosem, kija nawet przy sobie nie miał; uwierzyła jednak, przeczuła raczej, że on obietnicy dotrzyma. Lękała się go trochę, była żwawszą i pracowitszą, gdy na nią patrzył; kilka razy nawet, gdy w święto do stajni zajrzała, stawała przy drzwiach zdziwiona, jakby oniesmielona. Podczas gdy inni parobcy wałęsali się z kąta w kąt, spali na słomie, albo grali przed kuchnią w stare, zasmolone karty, on, siedząc na kule słomy pod żłobem, czytał!.. Elementarz na kolanach rozłożył, palcem po literach wodził i bąkał niezrozumiałe jakieś sylaby, czerwony, zasapany jak przy ciężkiej robocie, rękę w rude kudły zasuwiał, drapał się za uchem, wzdychał—ale czytał! Ujrzawszy we drzwiach dziewczynę, elementarz śpiesznie za koszulę chował.

— No i czego przyszła?— wołał zaczerwieniony— ruszaj do dziecka! ot, po stajniach jeszcze wałęsać się zacznie!..

Odwracał od niej głowę, patrzył z podełba w ciemny kąt stajni—wstydział się swojej uczoności, nie chciał, żeby ludzie gadali, że on nie taki jak inni.

— Ot dureń! — szeptała Ewka, drepcząc od stajni ku dworowi.

Dopędzał ją czasami; siedł obok, z rękami w kieszeniach spodni, z pochyloną na piersi głową; buty miał zawsze porządne, bledzinę czystą i całą, mówił niewiele, z rozważą i zawsze w ziemię patrzył. We dworze szanowali go wszyscy. Nie upijał się, nie kradł, silny był, pracowity, tylko hardy. Ekonom, zanim do niego słowo przemówił, namyślał się, rozważał i często odszedł z tém, z czém przyszedł, bojąc się hardziej odpowiedzi.

— Ty, Ewka, domu pilnuj — mówił łagodniej, idąc z nią ku dworowi, — złych języków strzeż się. Człowiek... tego... no, wiadomo... każdy człowiek powinien dbać o ludzi.

Chciałby to jaśniej wytłumaczyć — nie umiał, słów brakło; czuł tylko, że duszę oddałby za tę szczupłą, czarniawą dziewczynę z siwemi oczami, ze złym, ale jakby mądrym uśmiechem... czuł zarazem, że zdusiłby każdego, ktoby jój chociaż jednym palcem śmiał dotknąć! Ożeniłby się z nią choć dziś, ale kiedy bał się; widział, jak inni parobcy z dziećmi, z żonkami włóczyli się ze służby na służbę, ciągnąc za sobą na wozie złamany stołek, skrzynię bez zamka, kolebkę łozową, w której jedno albo dwoje małych piszczało! Ile razy, koło czworaka przechodząc, spostrzegł brudne, opuszczone maleństwo, pełzające po kamieniach, szturgane przez świnię, skubane przez gęsi i kozy, — stawał i patrzył — bronić nawet nie miał ochoty.

— Niech marnieje, niech zdechnie wprzód, nim od ziemi odrośnie; lepsza śmierć, niż psie życie! — spluwał i odchodził.

— Durny chłop!—szeptało mu coś w duszy. Brwi ścigał, patrzył w ziemię i czasami przez kilka dni do nikogo słowa nie przemówił.

— Żeń się ze mną — powtarzała nieraz Ewka, patrząc mu w twarz siwemi oczyma. Uśmiechało ję życie parobkowej: spałaby wówczas długo, gotowałyby co chciała i tylko z łaski poszłaby czasami podoić dworskie krowy, albo wypłéc warzywo.

— Poczekaj, może potém lepiej będzie — odpowiadał.

Wzruszała ramionami na to nieokreślone „potém;” ję i teraz źle nie było; żeby jeszcze miała nową odzież i nie potrzebowała prać pieluszek, byłaby zupełnie szczęśliwa.

— Może ziemi kawałek, chatę własną... dostanę... ot, wtedy....

Zamyślał się na te słowa, przymykał oczy... gęsta czupryna spadała na czoło, nastawiał rude wąsy. Barczysty, ponury, imponował ję siłą i powagą.

— A ty, Ewka, ekonomskiego cukru nie kradnij—perorował nawpół surowo, nawpół po przyjacielsku; — znalazł ja, idąc za tobą, kawałek i psom rzucił; co słuszne, to słuszne, a co kradzione, to wstyd i grzech. Gospodynią ty u mnie będziesz, żonką, to i duszy poczciwie pilnować musisz... Na co nam cukier i to cudzy, byle własny chleb był. Na ten raz przebaczę, na drugi... wybiję, dalibóg! Choć mnie samego serce boli, że ty dobrego słowa słuchać nie chcesz.

— Ot dureń! tfu! niech go choroba!—powtarzała Ewka w duszy, ochłonawszy nieco z wrażenia powagi i spokoju.—Chleb ja mam! a cukru kto mi da, jeśli sama nie wezmę?

Czekała, co dalej będzie; on zaś z roku na rok odkładał; stawał się coraz bardziej milczący, czasami w gniew wpadał, brewerye wyprawiał; ekonom zapowiedział w końcu, że go odprawi.

— Sam pójdę! dość już tu swego potu zmarnowałem! Świat szeroki, głód i robotę wszędzie znajdę— odrzekł hardo.

Ekonom bał się, żeby w złości nie podpalił gumna ze zbożem, albo krów nie potruł; milczał tedy do czasu, kazał go nawet pilnować zdaleka.

— Pójdę w świat — mówił Andrzej do Ewki.— Teraz taki czas nastał, że kto rozum ma, w świat idzie... za morze, albo za Dunaj pójdę.

Chmurzył się, mówiąc o tém; zerkał z pod oka na pola, falującym żytem porośłe, na łąkę, wśród której drzemało jeziorko pleśnią pokryte, błotniste, przepelnione żabami. W monotonnej, ubogiej okolicy nie było na czém wzroku zatrzymać; Andrzej rozglądał się jednak, a im dłużej patrzył, tém ciszej powtarzał:

— Pójdę w świat!

Czasem i wcale nie powtarzał. Wracał do roboty i przez kilka dni jak wół pracował zawzięcie, do krwawego potu. Ekonom dawał mu za to wieczorem kieliszek wódki i o wydaleniu nie wspominał. Myśl wędrówki wzrastała stopniowo.

— Co ja tu wypracuję?—powtarzał przed Ewką, która słuchała z szeroko otwartymi oczyma i od czasu do czasu wzruszała nieznacznie ramionami.—Za młodu parobkiem będę, na starość pastuchem! Ludzie na świecie, słyszę, wzbogacają się odrazu... ten tak, ten owak grosz zarobi, ziemię kupi... i pracuje na swoim. Pójdę w świat! Ty, Ewka, mego psa pilnuj, niech

o mnie tu choć jedna dusza pamięta. Za rok, za drugi wrócę... Ja tam wielkich rzeczy nie szukam: trochę zarobię, trochę pożyczę, chatę po leśniku kupim i dosyć!

Słuchała, a w piersiach drgał zły śmiech; ogłądała się po podwórku, żeby mu w oczy nie patrzeć.

— Dokąd on pójdzie?... a!... ot nie widzieli na świecie durnia! — powtarzała w duszy.

Powiedzieć tego głośno nie śmiała; wyglądał coraz posępniej, opuścił się, postarzał, zbierał zwolna manatki, chodził jak odurzony, czasem nawet jeść zapominał, w końcu zabrał resztę należności od ekonomy.

— Jutro już pójdę — mówił do Ewki ostatniego wieczoru.

Siedział pod wierzbą za stajnią, kolana rękami objął i nasłuchiwał, jak za ścianą konie obrok chrupały, łowił uchem głuchy, nieujęty szmer jesiennego powietrza, szelest liści wierzbowych... Stłumił oddech, na razie więcej mówić nie mógł... Ewka, oparta ramieniem o drzewo, kręciła w palcach rąbek fartucha; miała już wówczas swoje projekta... czekała tego „jutra.”

— W Poniemuniu las rąbią, po rublu za dzień żyd płaci... pójdę, potem może co lepszego trafi się... trzeba będzie po świecie poszukać — mówił jak senny, równym, monotonnym głosem.

Zamilkł; od błotnistej jeziora powiało chłodną wilgocią; poruszył nozdrzami, powoli, jak lunatyk, zwrócił głowę w tę stronę; niemoc go ogarniała, zasnęły tak pod wierzbą i spały do dnia sądnego!

Ewka poruszyła się niecierpliwie, odejść nie śmiała; chociaż nie wybił jój ani razu, bała się jego żelaznych pięści, grubego głosu, bała się nawet tych

brwi rudych, najeżonych jak u zbója. Przystąpiła z nogi na nogę i westchnęła ze złości. Spojrzał na nią; szczupła, bosa dziewczyna w stariej spódnicy, z głową do pnia wierzby przysłoniętą, wyglądała smutnie... tego wieczoru cały świat jakoś smutnie wyglądał — na niebie snuły się szare chmury, chłodnawy deszczyk prosić zaczynał.

— Nie bieduj, wróć! rok nie wiek! Będziesz poczciwa... nie pożałujesz! Zgubisz duszę, to i ja ciebie zgubię! Powiedział raz, że ty dla mnie sądzona, to już tak być musi! Nikt doli swojej nie przemieni. Ja od rodu na baby nie patrzył, a ciebie umiłował, od krzywdy, od poniewierki broniał, tak i ty, Ewka, pilnuj się... Głowę skreć, żeby ja tak zdrów był! Ty wiesz, że ja nie pies, darmo czekać nie lubię!

Złagodniał trochę, wziął ją za rękę, potrzymał chwilę i puścił.

— No, bywaj zdrowa, jutro o świcie już mnie tu nie stanie. Szelma Piotrek będzie teraz łysego poił! kat on na konie; miłosierdzia żadnego nie ma; ha, niech katuje! Nie moje konie, nie moje biedowanie.

Splunął, sięgnął do kieszeni po lulkę; nim zapalił, Ewka była już w połowie podwórka; spojrzal za nią; w zmroku wieczornym widział jęj bielejące plecy, widział, jak szła coraz prędzej, znikła za domem. Opuścił ręce, o lulce zapomniał, powstał jeszcze czas jakiś i powłókł się ociężałym krokiem na ostatni nocleg do stajni.

W rok potem Ewka była już żonką Franka. W pierwszych czasach chodziła jak odurzona, sama nie wiedziała, czy to sen, czy jawa ciężka, dusząca, stokroć gorsza od służby we dworze, od głodnych dni dziecin-

nych, bez pracy, na swobodzie! Odrazu do najcięższej roboty ją zaprzęgli, od świtu do nocy chwilki jednej swobodnej nie miała!

W nizkiej, okopconej chałupie stary ojciec, wysoki, jak zbój obrosły, śledził ją wzrokiem z pod brwi najeżonych; do roboty pędzał, przysiąść nie pozwalał; sam, jak wół, wciąż jeszcze w jarzmie chodził, w każdy kąt zazierał, a jój pilnował więcej niż wszystkich. Pod ziemię skryłaby się od niego, a tu nawet za płotem, w konopiach skryć się nie mogła. Zaledwo na chwilkę przysiadzie, odurzoną głowę rękami ściśnie i kości na słońcu prostować zacznie — stary z za płota wyłazi, dolną wargą rusza, sapie, sękatym kijem po ziemi stukając. Ewka zrywa się, przez płot, przez zagony do roboty wraca, klnie w duszy dolę swoją, chatę i męża przeklina, ale milczy i robi. Robota jój kiepska, do niczego porządnie wziąć się nie umie — ze strachu, ze złości wszystko z rąk pada. Stary od pierwszego dnia nazwał ją darmożjadem, zapowiedział, że z chaty wypędzi; Franek uspokoił go trochę, obiecując, że sam na niej ze dwa kije połamie i rozumu nauczy.

Maksymowa dziwiła się, ramionami wzruszała; dała jój swoją koszulę, spódnice, czystą, białą chustkę na głowę, i obiecała, że pracować nauczy; jeden tylko Maksym nic nie mówił, patrzył na nią z pod oka i milczał. Ewka przeczuła w nim sprzymierzeńca, a gdy sam na sam zostali w polu czy w chacie, uśmiechała się do niego i zaglądała w twarz siwemi oczyma. Odwracał się zwykle, odchodził, czasem nawet splunął jak na grzeszną pokusę!

W chacie dobra wszelkiego podostatkiem: sześć krów, wieprze, owce, stado gęsi, kur bez liku, w świer-

nie zboże od kilku lat leży, płótno, sukno, kożuchy. Oczom swoim nie wierzyła, na cały ten dostatek patrząc,—dziwiła się, do każdej rzeczy dotykała z osobną; wszedłszy do świernia, stawała na środku, rozglądała się po ścianach, zawieszonych siermięgami, uprząż, workami z kaszą, z mąką, słoniną i wieprzowiną wędzoną.

— Ot! bogacze! a! — powtarzała, wodząc oczami dokoła.

Przez cały rok nie potrafiłaby zjeść wszystkiego. Na razie nawet, nasycona wonią dostatku, straciła apetyt. Po kilku dniach żarłocstwo odżyło w niej znowu, podniecane widokiem jadała, z którego czerpano bardzo ostrożnie, oszczędnie, jak gdyby na sto lat wystarczyć musiało. Ewka oczy otwierała szeroko, na ustach jej zastygał okrzyk złości, oburzenia na widok chudo okraszonych kartofli, postnego krupniku, podczas gdy w świernie pleśniała wieprzowina, słoninę myszy jadły.

— Dla złodziei dobytek chowacie—burknęła raz do Maksymowej, łzy miała w oczach, w sercu wrzał gniew sprawiedliwy.

Maksymowa popatrzyła na nią spokojnie... na razie nie zrozumiała nawet, o co chodzi; cały wiek swój tak żyli, nikt jeszcze z głodu nie umarł, nikomu na myśl nie przyszło lepszej strawy żądać. Człek święta od dnia powszedniego odróżniłby nie potrafił, gdyby codzień akuratnie mięso i okrasę jadał.

— Nie kradniemy nigdy i nas, chwała Bogu, nie okradali—odrzekła.

Zmiarkowała jednak odrazu naturę Ewki, klucz od świernia zawsze za pazuchą nosiła, na noc pod sien-

nik kładła; jak dawniej, tak i teraz sama wszystkiego doglądała, Ewkę tylko do posług, do roboty używając.

— Ubogą sierotę do gospodarskiej chaty przyjęli, szanuj dobrą dolę, od pracy nie uciekaj! Ciężko z początku, cóż robić! Matka rodzona dziecko bije, nim rozumu nauczy, a tobie tu krzywdy tymczasem niema. Ojca starego szanuj, mądry on, sprawiedliwy, a że pomruczy czasami, na to stary... Komu do grobu bliżej, temu z drogi ustępować trzeba, tak już na świecie sam Pan Bóg postanowił — mawiała, wiedząc, że Frankowa rzuca się nieraz po izbie jak dzika kotka, świat i ludzi przeklina, albo siedzi na ławie jak skamieniała, usta gryzie i w ciemne kąty z pod czoła spoziera.

— Żeby wasze całe bogactwo czort wziął, wy w biedzie żyliby tak samo, jak dziś w dostatku żyjecie — rzekła, coraz bardziej rozjątrzona spokojnym, pracowitym, niezmiernie skąpym życiem.

— A żyliby! — odrzekła Maksymowa.

— Bodajże was wszystkich nie stało, woły przekłete! — syknęła zacerwieniona i wyskoczyła z izby.

W wiosce nie znała nikogo; Franek wziął ją z pod miasteczka, z obcej strony; tu jakby ludzie inisi przyglądali się jęj z początku, a potem i patrzeć na nią przestali... oswoili się jak z nowym koniem, albo z nową krową na targu kupioną. Zaczepiała baby, zaglądała do chat, próbowała skarżyć się, narzekać — słuchali w milczeniu.

— Głupia, bo młoda; pożyje, zmądrzeje — mówiły o niej stare kobiety.

— Wiedźmę do wioski przywiózł — powtarzali mężczyźni młodszy i starszy, przeprowadzając ją wzrokiem, ile razy przez wioskę biegła.

Dusiła się w chacie, wieczorem szczególnie, gdy stary chrapał na piecu, Maksymowa krzątała się po izbie, a Franek, Piotr i Maksym siedzieli rozparci za stołem nad resztkami wieczerzy. Wybiegała przed wrota, przyglądziwszy uprzednio włosy nad czołem; po drodze poprawiała na sobie koszulę i fartuch, uśmiechała się do myśli różnych. Koło wrót przechodzili gospodarze i parobcy, — nie patrzyli na nią, albo mruknęli „pochwalony” i szli swoją drogą; zaczęła ich sama, ale zaledwo śmiać się i rozmawiać zaczęła, Maksymowa wołała na nią, że spać pora, że ogień w izbie gasi; nie doczekawszy się, wychodziła sama z założonymi rękami, zbliżała się wolnym krokiem do wrót, stała między nią i parobkiem, zaledwo rozbawionym, jakby podochoconym trochę, spoglądała na niego, na nią.

— Wstyd tobie, Ewka, na ulicy zęby szczyrzyć; czy ty dziewczyna! — upominała po macierzyńsku. — Pacierz zmów i spać idź. Jutro przed słonkiem do żniwa pójdziemy, stary cztery morgi we dworze zajął.

Ewka udawała, że nie słyszy, obracała się do niej plecami; ale Maksymowa nie odchodziła, powtarzając; „Wstyd tobie Ewka” — ciągała ją za spódnicę, za rękaw od koszuli, zmuszała w końcu do odwrotu; po drodze wypowiadała jeszcze parę uwag, na które Ewka pluła, wzruszając ramionami z oburzeniem.

— Ucieknę, dalibóg, ucieknę! — szeptała zdławionym głosem, spoglądając z nad brzegu rzeki, z pola na chatę niską, zczerniałą, na dwa stogi słomy, ster-

czące przy stodółce, jak dwa pomniki pracy i dostatku.—Niech im czort służy! za co ja mam tu duszę gubić, młodość marnować? Czy mi życie nie miłe? Oj, Boże mileńki, za co ty mię tak pokarał! Wolalabym ja ziemię czarną gryźć, w ciemnej mogiłce leżeć, niż w tój chacie przeklętej, w pracy ciężkiej, śmierci wyglądać!

Rozmyślała tak nieraz całemi godzinami, ukryta za urwiskiem nad rzeką; lada szelest dreszczem ją przejmował, oglądała się, czy z za krzaków nie wyrzy stary z sękatym kijem, czy Franek albo Maksymowa nie idą aż tu, żeby ją do wiecznie nieskończonej roboty zapędzić. Z krzaków wylatywał szary ptaszek jakiś, spłoszony szelestem, krążył nad brzegiem, w cichém, letniém powietrzu, spuszczał się zwolna ku ziemi i znikał w zaroślach. Uspokojona Ewka opierała się plecami o piaszczyste urwisko, grzała nogi w rozpalonym piasku, przeciągała się jak kotka, mrużąc oczy. Wieczorem napadną na nią, stary zaniemieje ze złości, kijem tylko w ziemię stukać będzie, ślepie wytrzeszczy, zapluje sobie brodę, belkocąc przekleństwami! Franek, według zwyczaju, raz jeszcze powtórzy, że już do pół śmierci zbije, Maksymowa pokiwa głową jak nad umarłą. To cóż? oswoiła się już z tém wszystkim, z robotą tylko oswoić się nie mogła.

Ziemi mieli mało, całą gromadą na zarobki chodzili, a każdy grosz stary im z rąk wydzieriał, oglądał, rachował, drżącemi rękami na wszystkie strony obracał, do skórzanego woreczka zsypywał i za pazuchę chował; zamyślał się potem, stał jak słup w podwórku, albo przed drzwiami chaty, liczył coś, miarkował, brwi ściągał, znać jeszcze miarki nie dobrał, a może już wątpić zaczynał, czy dobrać zdoła. Kiwał głową zwolna,

wzdychał, wpatrzony gasnącemi ślepiami w tę ziemię czarną, którą przez tyle lat krwawym potem polewał. Synowie przechodzili koło niego ostrożnie, mówili ciszej, jakby się bali, żeby starego z ciężkich myśli nie zbudzić.

Ewka śmiała się w duszy z tych wołów roboczych, którzy mu swoją krwawicę dobrowolnie oddawali, nie zostawiwszy sobie ani jednego grosza na tabakę. Oho, ona taka głupia nie będzie. Prędkiej stary śmierć swoją ujrzy, niż jeden szeląg z jój zarobku. Kiedy pierwsze dziewięć złotych we dworze za żniwo dostała, wracając z Maksymową, rozmyślała po drodze, że w niedzielę kupi sobie za te pieniądze trzewiki, fartuch, albo różowego perkalu na kaftan; — na wspomnienie o starym wzruszała ramionami z lekceważeniem. Nie zabije jój przecież, od żywej zaś nie dostanie ani grosza! Mogłaby przysiąc na własną duszę! Czekał już na nie; zaledwo weszły na podwórko, wstał z przyźby, wyprostował się, wyższy był jakiś tego wieczoru, ramiona podniósł i wyciągnął kościstą rękę po pieniądze. Ewce zimno się zrobiło koło serca, odwaga zastygła w piersiach; patrzała z przerażeniem, jak Maksymowa oddała mu cały zarobek, on jój dziesiątkę dwójakami na dłoni zostawił. Dzieci młodsze wymierały jój jedno po drugim, stary umyślnie kilka groszy zostawił, żeby w niedzielę żebrakom pod kościołem rozdała. Maksymowa ścisnęła w dłoni pieniądze, pięścią lży otarła i podreptała do chaty; stary rękę do Ewki wyciągnął, spojrzął jój w twarz z podełba. Sama nie wiedziała, kiedy i jak oddała mu co do grosza!

A gdy z pieniędzmi powłókł się do chaty, ona o mało nie ryknęła z wściekłości. Tego wieczoru pier-

wszy raz wybiła swego męża. Umyślnie po to wyleciała za nim z izby po wieczery. W wiosce już było cicho, wszystkie gwiazdy wysypały się na niebie, Ewka zerknęła w prawo, w lewo, poskoczyła do Franka, który, nachylony koło wozu, zepsute koło zdejmował, urznęła go pięścią raz, drugi, cofnęła się z zaciśniętymi zębami, drżąc ze złości,—czekała, kiedy on jój kark skreśli. Wyprostował się, patrzył na nią, jak gdyby własnym plecóm nie wierzył.

— To ty, znaczy się, mnie wybiła?—spytał.

— A wybiła! No, tak cóż? ot wybiła, a ręce nie uschły! Codzień bić będę, bo ty mnie tu na zgubę, na śmierć przywiózł! Bo ty mnie na poniewierkę oddał. Nie wyrobница ja, ale żonka i gospodyni, a grosza przy duszy nie mamy, dobra nie używam... z głodu mrę... własną krwawicę temu... temu... odda... łam!

Głos urwał się w piersiach, zaciśnęła pięści, wciąż wyczekując, kiedy téż on ją bić zacznie.

— Wiedźma ty, a nie żonka!— odrzekł, głos tłumiąc, przez ramię na oświetlone okienka spojrzął.—Ja ciebie z dobrego serca wziął, i choć ty mnie już do żywego dojadła, wszystko czekał, że poprawisz się, pomądrzejesz. Ale kiedy ty taka, to i ja... teraz inszy będę.

Zaśmiała się, poskoczyła ku niemu z pięściami.

— Cóż ty mi zrobisz? Z chaty wypędzisz? Oj, oj, wielka bieda! Niech was wszystkich razem z chatą jasny piorun spali! Żyła ja bez was, i dalej bez was żyć potrafię.

— Co ja zrobię? Już ja wiem, co zrobię!— odrzekł, widocznie zakłopotany.

— Co? nu, co? gadaj!— syczała przez zaciśnięte zęby, wpatrując się mu w oczy.—Nie zabijesz, nie uto-

pisz... ani twój rozum, ani twoje siły do tego! Cóż zrobisz? Ot i zgłupiał, gadać zapomniał. Cielę ty łysel krowę tobie jeszcze ssać trzeba było, ale nie żonkę do chaty przywozić.

— Hm, *baczyli oczy szto kupłali, płaczcie, choć powyłaźcie!*—mruknął Franek, pochylił się nad wozem; Ewka aż drgała ze złości. Żeby ją zbił, żeby na całą noc zamknął w chlewie, wraz z bydłem, poodgryzałaby może sobie palce, podkopałaby się może i uciekła, jak dawniej ze stariej izby przy kuźni, ale wiedziałyby, że ma męża nie gorszego od innych. Ten spokojny mazgaj, bez wąsów, w oczach jój mniéj był wart od ostatniego pastucha.

— Andrzejku, mój mileńki, gdzież ty powędrował?—zawołała naraz, dając wolę wzburzonemu sercu.— Ha, zobaczę, poprawisz się ty, to może i ja dla ciebie łaskawsza będę—dodała, ochłonawszy nagle;—nie poprawisz się, dalibóg, żeby mię tak święta ziemia nosiła, codzien bić będę! Dość nacierpiała się ja z wami, krzywdy i poniewierkę znosiła! Nauczę ja was teraz rozumu!

Splunęła, poskoczyła do sieni. Franek majstrował dalej, miarkując, czy lepiej nowe koło wziąć, czy może jeszcze z tém, rozczepioném, jutro po żyto jechać?

— Bodaj ono przepadło!—mruczał, drapiąc się za uchem; na wóz, to na koło spoglądał. Wtém żonkę sobie przypomniał.—Wiedźma!...—szepnął.—Rozsechło się. Stało na słońcu, t aj rozsechło, a tu i nowego przy-miarkować akuratnie nie można.

Wóz, koło, zżęte w polu żyto pochłaniało go w zupełności; dopiero kiedy robotę uporządkował,

upewnił się, że wóz przez jutro wytrzyma, wrócił myślą do żonki, znacznie spokojniejszy, pobłażliwy, prawie zadowolony z jój energii i rozumu.

— E, taka baba jak inna! Poprawi się, jak kija spróbuje! Mądrał wie, że ze mną dobrocią wszystko zrobi, obiecuje, że będzie dla mnie lepsza! Boi się! Wie, że jak w złość wpadnę, to jój na bożym świecie nie stanie! Siłę straszną mam, ale mam i pomiarkowanie!

Na dowód „pomiarkowania” tego wieczoru już do chaty nie wchodził; na noc został z Piotrem przy koniach, nazajutrz i dni następnych żonki trochę unikał; jak tylko głos podniosła, wysuwał się z izby, „żeby sobie krwi nie psuć daremném gadaniem.”

W jesieni poszedł do wojska. Stary odwiózł go sam do miasteczka, przedtém jednak szukał czegoś na strychu, a gdy po ich odjeździe Ewka na strych wlała, między jedną a drugą krokwią, tam, gdzie strzecha była prawie nową, w słomie podłużny otwór spostrzegła. Jedną, potem drugą rękę zasunęła po łokieć, kościstemi palcami chwytając mech wilgotny, przegniłą słomę, macając na prawo, na lewo, przedarła strzechę na wylot. Ręce do krwi poszarpała,—odchodząc, naprawiła dziurę z większego, stary jednak poznał. Pierwszego zaraz dnia po powrocie sam nowy kul słomy na strych zaciągnął i dziurę załatał akuratnie; potem dopiero legł na piecu i przez kilka dni leżał jak bez ducha; zlazł starszy o lat dziesięć, zgarbiony, milezący, Frankową czapkę i rękawice do swego kubła schował; a ile razy, w pierwszych dniach, do obiadu i do wieczery zasiadł, na synów spojrział, spuszczał głowę,

lza za lżą spływała, zatrzymując się na siwym, krótko przystrzyżonym zaroście.

W chacie zrobiło się jeszcze nudniej. Maksym i Piotr po całych dniach piłowali deski u szynkarza; Maksymowa z Ewką len tarły, warzywo na zimę przygotowywały; a że jesień była chłodna i dżdżysta, z izby, z ciemnej sieni na świat boży wyjrzyć nie było można. Maksymowa przytém stękała jój wciąż nad głową żalną pociechę, ubolewała nad dolą smutną, nad samotnym życiem „sołdatki,” bojaźni bożej, skromności uczyła. Słowa mądre czynem popierała: niosąc obiad mężowi i bratu, kładła do dzbanka jedyny kawał stęchłej wieprzowiny, zbierała dla nich okrasę z wierzchu.

— Nam, babom, niewiele trzeba! byle z głodu nie umrzeć—mówiła, zostawiając w garnku wodnisty krupnik i okraszoną kaszę; — oni pracują ciężko, to i zjeść lepiej muszą. — Dosypywała im nawet więcej soli z dobrego serca, trochę pieprzu brała do papierka i biegła z jadem, zabrawszy wszystkie klucze od świerna, skrzyni i kublów.

Ewka cierpiała to wszystko do czasu; po głowie jój snuły się coraz mędrsze myśli. Roiała sobie, że odszuka skarb starego, co do grosza wykradnie i umknie z tém w świat, jak niegdyś z pełnym fartuchem nie-dojrzałych jabłek do swojej izby zmykała.

Świat ten różnie się jój przedstawiał: najczęściej było to wielkie miasto, niezmiernie do jedyne, jakie znała, miasteczka podobne; pełno żydowskich kramików z jadem przeróżnym, z perkalami w żółte i czerwone kwiaty, z tłumem ludzi na ulicach, szeregami domów i kościołów, niezmiernie znów do Szmulowskiój karczmy i parafialnego kościołka podobnych. W mie-

ście tém ubrałaby się od stóp do głowy w krasną odzież, koleczyki kupiłaby sobie, a może nawet... kapelusz i parasolkę! Wtedyby żyła!... — oh, jakby żyła rozkosznie, od rana do nocy między ludźmi różnymi, wśród śmiechu, w gwarze jak na kiermaszu. Oglądaliby się za nią, że tak... sama jedna. To cóż? Niechby się oglądali. Czy to dla niej nowina!? Głodu by się nie bała, odzieży różnej miałaby pełną skrzynię; niechby wówczas wszyscy ludzie w psy się zmienili, niechby szczekali na nią różnemi głosy,—śmiałyby się z nich i żyłaby sobie jak pani! Życia tego może byłoby niewiele—rok, drugi, póki pieniędzy by stało..! ale do wioski nie wróciłaby już nigdy! Wolałaby służbę w wielkim domu, u bogatych państwa, gdzie sług dużo, roboty mało, jedzenie pańskie, wesolość... a w sadach owoce różne, jagody—rozkosz taka, że koty i psy śmietanką karmią. W kramnej odzieży i w koleczykach do dworu takiego dostałaby się z łatwością, prosiliby ją nawet, parokonną furmankę przysłałiby po nią, a ona z wielką zieloną skrzynią, z ogromnym węzłem pościeli przed dwór by zajechała, lokaje, kucharz, furman, przez okno by wyjrzeli, a każdego, głową kręcąc, dziwiłby się: ho, ho, jaka „bohатыrka” ta nowa pokojówka!—gadali by między sobą, podczas gdy ona w różowej spódnicy, w czarnym wełnianym kaftaniku i w złotych koleczykach siedziałaby w garderobie nad miską jajecznicy, nad mięsem smażonem, któreby chlebem białym z masłem zagryzała!

— Oh, Boże mileńki!—wyrwało się z ust spieczonych, podczas gdy zaczerwieniona, z błyszczącemi oczyma, snuła w myślach te drażniące zamiary. Sama w chacie zawalonej burakami, marchwią, brukwią

i kapustą, złamanym nożem oskrobywała z piasku burak za burakiem, rzuciła machinalnie do kadzi kapustą napełnioną; chwytając naprzemian marchew, to brukiew, w roztargnieniu nóż do kadzi rzuciła. Zerwała się z ławy, szukała wkoło siebie, pod stołem, między warzywem... nóż zniknął jak zaczarowany. Czort może z rąk jęj wychycił! W tęg staręg, spróchniałęg chacie musi on być gdziekolwiek... może na piecu śpiącego starego pilnuje!... Wyskoczyła z izby, drzwi zatrzasnęła za sobą; na dworze, gdy ją chłód owiał, wrzuciła ramionami według swego zwyczaju.

— Ot, głupia! Gdzież te czorty? kto ich widział? gadają, byle gadać! ludzi straszą, żeby do złęgo ochotę stracili! Spotkałaby ja jego gdziekolwiek, dawnięj, kiedy za malinami po moczarach, po błotach, zaroślach i przepaściach chodziła! Węże, żmije różne widziła, ale czorta... nie spotkała nigdzie! Bo jego i na świecie niema! co tam gadać!—Ochłonęła, lżęj się jęj zrobiło na duszy.

— Ale nóż schwycił! — szepnęło coś nad samém uchem.

Obejrzała się na sień prosto, splunęła przez ramię i już do izby wracać nie miała ochoty.

Poszła za ogród, nad rzekę; tam Maksym płot naprawiał, siekierą nowe kołki w ziemię wbijał, wydając przy każdém uderzeniu głuchy jęk z szerokich, zdrowych piersi. Ewka przeszła koło niego, stanęła o kilka kroków, twarzą do rzeki zwrócona. Od czasu, jak Franka zabrali, stawała tak nieraz nad rzeką lub przed wrotami, nikt jęj do roboty pędził, bo i roboty pilnég już nie było, i żalowali ją trochę. Maksym, który dawnięj słowa do nięj nie przemówił, teraz po-

magał krowy zapędzać, wrota otwierał, gdy z pełnemi wiadrami na podwórko wchodziła; raz nawet zapytał, czy nie widziała, w którą stronę Piotr konie na nocleg popędził. Odtąd gadali z sobą coraz częściej przed wrotami, albo stojąc naprzeciw siebie we drzwiach chaty. Rozmownym nie był, fajki z ust nie wyjmował i tylko półgębkiem, patrząc w ziemię, rozmawiał z ludźmi, jakby od niechcenia. Od czasu, jak go miano na „starszynę” obrać, spoważniał ostatecznie. Trzymał się sztywnie, brwi marszczył; idąc przez wioskę, z fajką w zębach, przechylał się niedbale z boku na bok i tylko obok poważnych gospodarzy stawał, słuchał ich gawędy, kiwał głową od czasu do czasu i... odchodził, pykając fajkę w milczeniu. W chacie też prawie tylko ze starym rozmawiał; zgadzali się z sobą doskonale: stary każde jego słowo, to nawet, którego nie dosłyszał, skinieniem głowy potwierdzał; obaj palili kapuściane liście zamiast tytoniu, obaj nie lubili mówić o swoich pieniądzach, stary ani jednym słowem nie zdradził, ile ma w zapasie z ogólnego zarobku. Maksym o pieniądzach, wziętych za żonką, nigdy nie wspominał, chował je na dnie skrzyni, w szmacie tak brudnej, że najuboższy złodziej nie sięgnąłby po nią w ostatecznej nawet potrzebie. Zaufanie u ludzi posiadał wielkie: on to odwoził podatki, umawiał się ze dworem o paszę i prawie wszystkie dzieci w wiosce do chrztu woził. „Starszyną” jednak dotąd nie został, chociaż sprawił sobie kamizelkę i spodnie z czarnego sukna, a na wybory pojechał parą koni, w zielonej kałamaszce. Gdy wrócił po niefortunnych wyborach, stał się jeszcze poważniejszym, bo nawet nie zatrzymywał się obok rozmawiających sąsiadów w ulicy.

W wiosce na razie nie chciano wierzyć, że nie jest „starszyną.” Gospodarze wrócili trochę pod humorem—nie pamiętali, kogo właściwie wybrano,—kobiety zaś tak bardzo przywykły szanować powagę, mało-mówność i spokojny charakter Maksyma, że o innym „starszynie” słuchać nie chciały. Prawie każda była jego kumą, prawie każda spodziewała się od niego pomocy w sprawach rodzinnych i sąsiedzkich. Posypały się naraz prośby i skargi. W spokojnej dotąd wiosce zawrzało, zawichrzyło się jakoś. Kilka kobiet skarżyło się na mężów, pod sekretem, ze łzami zaklinając się na duszę, na dzieci, gotowe mu były pokazać jeszcze zeszłoroczne sińce na plecach i na rękach, gotowe były zwołać pół wioski na świadków, jako mężowie ich są zbóje, hajdamaki, dobytek marnują, krzywdzą je i poniewierają! Schylając się do kolan Maksyma, całując go po rękach, błagały o ratunek, o pomoc. Nie chciały jednak kary dla mężów,—każdy z nich bowiem, pomimo złego charakteru, nałogu, czy też brzydkich przywyknień, „dobry” był, „ludzki,” „spokojny,” a tylko czasami „z pośpiechu” żonkę poniewierał, w chacie burdy wyprawiał, zadłużał się u ludzi, albo żonki ostatni grosz zabierał! „Starszyna” powinien to jakoś załatwić, załagodzić, nie mówiąc nic mężowi, nie perorując żonki, bo oni sami dość rozumu mają, wiedzą, jak żyć trzeba,—nie wchodząc nawet do chaty, powinien zgodę, jedność i miłość przywrócić. Na to on „starszyna!” Wyspowiadały się przecież jak przed księdzem z tego, co było, i z tego, czego nie było. Niech teraz ratuj! Zapłakane, zbiedzone, wypowiedziawszy swoje troski, stały, wyczekując owego czarodziejskiego słowa, które, jak cudowny talizman, miało je od stariej

niedoli uleczyć. Napróżno Maksym wmawiał im, że nie jest „starszyną,” że dawniejszy nadal pozostał, on zaś może aż za trzy lata obrany zostanie. Nie wierzyły. Wchodząc na podwórko bowiem, zdało im się, że czują zapach pieczonego prosiaka, w sieni zaś spostrzegły baryłkę wódki słomą zatkaną. Zbytków takich nie robi się bez ważnych powodów. Maksym jest „starszyną,” ale pomódz im nie chce, bo—jak każdy chłop—za chłopami ciągnie, babami poniewiera, bo znów zły, że do niego z próżnemi rękami przyszły. Któż go tam wiel! Dawniej był sprawiedliwy, cudzego nie żądał; teraz, gdy starszyną został... może ludzi ssać zaczął! Schylały się tedy do kolan, za ręce chwytaly, z jęczącym błaganiem spoglądały mu w oczy lękliwie. Z sąsiada, z kuma, stał się dla nich naraz jakas ważna, uroczystą osobą! Głupsze zapomniały się tak dalece, że o swój nędzy, o biedzie wielkiej mówić zaczęły, chociaż on wiedział o dniu urodzin każdej ich krowy, każdego konia i wieprza, parę razy sam od nich pożyczał pieniądze. Wszystkie mówiły do niego „królu,” „panoczku,” dziwiły się nawet w duszy, jak mogły tę ważną osobę wczoraj jeszcze „Maksymem” nazywać!

Stokroć dokuczliwsze były skargi o zamianę, kradzież i tym podobne nadużycia. Każda niemal kura w wiosce została zakwestyonowaną, o ładniejsze okazy spierało się naraz trzy i cztery baby. Odnowiły się dawno zaniechane spory o kawałki płótna zamienione w blechu, o garnki, miotły i wszelkie inne narzędzia rodzinnego żywota. Dotąd nigdy jeszcze w wiosce nie mieli „starszyny;” między gospodarzami nawet byli tacy, którzy pół wieku przeżywszy, ani razu nie gadali ze „starszyną,” nie rozumieli jego znaczenia, władzy,

nie pojmwali, po co on żyje na świecie. Tytuł, przywileje, nadewszystko zaś stosunki, podnosiły go nad poziom zwykłych ludzi, czyniły czémś wyższém, jakby nie chłopem. Tylko w umyśle krańcowych niedowiarków zrodziło się przekonanie, które się potém przysłowiem stało, że i „starszynę” czort bierze! Wogóle jednak przeceniano jego znaczenie.

Sąsiedzi Maksyma, ci szczególnie, którzy na pijano z wyborów wróciwszy, nie mogli sobie przypomnieć na razie, kto naprawdę „starszyną” został, przez parę pierwszych dni, przechodząc około jego chaty, zdejmowali czapki, a jednocześnie klęli go w duszy, sami nie wiedząc za co. Nie wyzyskał ich jeszcze, ale zrobi to z czasem, za miesiąc, za rok... jeżeli i nie zrobi, to zawsze jednak jest on „starszyną,” „harapnikiem,” niby jakąś groźną siłą, ciężącą nad ich mieniem i swobodą. Klóćące się baby znosiły mu jaja, masło i kureczęta, hojniejsze gwałtem wciskały w rękę wytartą dziesiątkę, której już szynkarz brać nie chciał. Wszystkie gadały naraz, wszystkie domagały się sprawiedliwości, bo wszystkie były przekonane, że on, jako kum, sąsiad, jako „starszyna” z ich własnej wioski, wszystkim dogodzić powinien. Maksym wiedział, że cały ten zamęt w końcu ustąpić musi, że prędzej czy później oprzytomnieją nareszcie i dadzą mu święty spokój; z początku jednak próbował uspokoić, przekonać, że dopiero za trzy lata może... Nie dały mu skończyć. Widząc, że sprawy żadnej rozbierać nie myśli, że pewno na większe łapówki czyha, wpadły w gniew słuszny: najwymowniejsze wykrzykiwały przed nim, że się „starszyny” nie boją, nie dbają o niego, same sobie rady dadzą, jak dotąd, tak i nadal bez niego żyć po-

trafią. Przyniesione jaja i kurczęta zabrały tak skrupulatnie, że po ich wyjściu Maksymowa nie doliczyła się jednej drewnianej łyżki, nowego worka i miotły.

Nieporozumienie wyklarowało się wówczas dopiero, gdy dawniejszy „starszyna” przyjechał wybierać zaległe podatki. Wtedy to baby i wątpiący dotąd gospodarze zmiarkowali, że byli w błędzie. Maksym uśmiechał się, udawał obojętność, w duszy jednak gryzł się trochę doznany despektem; wódki do ust nie brał, żył spokojnie, czytać i pisać umiał, w sprawach wszelkich o drogi, o mosty, o wydatkach wspólnych on zawsze najmądrzej przemawiał, znali go już, że broniliby ich jak siebie samego, że nie mieliby od niego ani krzywdy, ani przymusu. Sto razy już może służył im jak mógł, jak umiał; przed wyborami wszyscy gardłowali za nim, zawczasu mądrym, sprawiedliwym „starszyną” nazywając; w ostatnim dniu „tamten” kilka garncy wódki postawił i huknęli za nim wszyscy jak jeden, głosowali ci nawet, co go nigdy na oczy nie widzieli.

— Ha, nie chcieli akuratnego czleka, niech teraz szelmy pokutują — powtarzał w duszy; przysiągł, że odtąd do żadnych spraw mięszać się nie będzie, zapłaci co należy i basta! Ma swoją gospodarkę, żonkę, dzieci, to i dosyć. Po co ma sobie darmo gębę studzić, innych rozumu uczyć, kiedy go potem za kwartę wódki sprzedadzą.

Maksym zaciął się; w chałupie całemi wieczorami siedział, fajkę pykając. Nudno mu było. Przywykł już przez lat wiele długie wieczory u Szmula albo w którójkolwiek chacie z sąsiadami spędzać, przywykł, że czekano na niego z kwartą piwa, że słuchano go

w milczeniu, ile razy przemówił, lubił przytém posłuchać co inni mówili... Teraz siedział jak wilk sam jeden, w ciemnowej izbie. Stary chrapał na piecu, Franka nie było, głupi Piotrek jak tylko misę kaszy wyjadł, szedł spać do bydła; żonka spracowana, ociężała, drzemała pod piecem, machinalnie szepecąc pacierze.

Jedna tylko Ewka czuwała wytrwale przez cały wieczór. Przędła kądziel pod lampką, około okienka; niezręcznie, powoli snuła nitkę, spoglądając z ukosa na Maksyma. Siedział za stołem, z głową na rękę opartą; w czystej koszuli, spiętej pod szyją zielonym, szklanym guzikiem; rumiany, z białym czołem, z niebieskimi oczami, z wąsami jak len jasnemi, wyglądał jeszcze dość młodo i ładnie; mało to ją obchodziło—nudziła się więc, i gdyby zamiast mądrego, przystojnego chłopca, wilk za stołem siedział, zerkałaby i na wilka.

Nie zwracał na nią uwagi; wiedział, że była zła, leniwa, rozhukana, jak prawie każda bezdomna przybłęda; z początku zły był w duszy, że ją do chaty przyjęli, wstydził się jój przed ludźmi, sam kazał żonie, żeby ją przybrała z większego w całą koszulę i nową czystą spódnicę. Podczas samotnych wieczorów kazał jój parę razy ognia do fajki podać. Zrywała się z ławy, w dwóch susach była przy kominie; wygrzebawszy żar z popiołu, przynosiła gorejący węgiel, przerzucając go z ręki do ręki. Kładł węgiel na fajkę, ona stała przy nim milcząca, uśmiechnięta, spoglądała siwemi oczami to w twarz, to na fajkę. Oswoił się z nią, przywykł do tej jedynej duszy, czuwającej pośród głuchego chrapania, mięszającego się z szelestem prusaków na ścianach, z urywanym brzękiem

świerszcza pod piecem. Kiedy raz, wzięwszy kądziel chciała iść na wieczorynkę do sąsiedniej chaty, Maksym ofuknął:

— Po co? nie dziewczyna przeciel... żołdatka! mąż w' cudzej stronie, sam jeden, nie trzeba tu bez niego wesołości szukać!

Był przekonany, że pilnuje cnoty i moralności; weselęj zrobiło mu się na duszy, gdy Ewka od drzwi wróciła i znowu usiadła pod oknem na ławie. Przemawiał do niej coraz częściej, ale zawsze jakby z niechęcią, z musu, nie podnosząc oczu; pomimo to widział jęj twarz szczupłą, czarniawą, siwe oczy i ten uśmiech bezczelny, drgający jakiś. Spluwał ze złością; w dyabła dawno nie wierzył, czuł jednak, że w tęg chudęj przybłędzie siedzi zło wszelkie, zebrane po ciemnych, brudnych kątach podczas włóczęgi|wśród różnych ludzi. Nie wierzył jęj na jeden szeląg, ale litował się czasami, żal go brał, widząc, jak spała skurczona na kupie worków w kącie, koło ich tapczana, przykryta spódnicą, wyglądała mała, szczupła jak dziecko; drżała przez sen, bo z pod przegniłych węglów chłód przenikał, jak niegdyś w spróchniałęj izbie przy kuźni. Latem w odrynie sypiała, potęm do izby przeszła; przy męzu nie poniewierała się po kątach. Maksym widział, że dzieje się krzywda samotnęj kobiecie; nie nie mówiąc, nazajutrz wniósł stare łóżko ze świerna, na którem Maksymowa ustawiła zaraz dzieżę z chlebem, zostawiając trochę miejsca na siennik Ewki.

— Na co jęj to?—mówiła w najlepszęj wierze—nie przywykła ona, nieboraczka, cały swój wiek po kątach sypiała! Niech pamięta, że z próznemi ręką-

mi przysła, niech uczy się pokory, za swoją dołę Bogu dziękuje.

Żonka miała słusność; z innéj chaty wyprawiliby nawet taką ubogą przybłądę; teraz, gdy mąż do wojska poszedł, niechby służyła przez zimę;—oni tego nie zrobią, ale za to pilnować muszą... z pod rąk rwie jądło wszelkie, jeszcze z chaty wynosić zacznie... Dzika koza! do żadnéj baby w wiosce niepodobna! Raz przez sień przechodząc, chciał ją z drogi usunąć, ręką do pleców dotknął; myślała, że ją obejmuje, trąciła go łokciem w piersi, aż do ściany odskoczył! Złajał ją, na dwór wypędził i drzwi zamknął; przed żonką jednak nie wspomniał, bo wogóle nie lubił bez potrzeby gadać z babami, dla Ewki złagodniał ostatecznie.

— Przybłąda, prawda, ale już do chaty należy, trzeba jak swoją uważać — mówił do żonki, — a to jeszcze ucieknie i szukaj wiatru w polu!

Naprawdę bał się, żeby nie uciekła; ile razy ujrzał ją samą w polu, albo nad brzegiem, stawał i przyglądał się jéj zdaleka. Wśród pustéj, szaréj przestrzeni wyglądała jak podrastająca dziewczeczka; mógłby ją wziąć na ręce i do chaty zanieść, takie to było chude i szczupłe! Ale silna!

— Hm, głupia! co jéj do głowy przyszło!—rozmyślał, uśmiechając się pod wąsem. — A żeby tak... kiedy... naprawdę?... kto wie!

Każdego razu, jak przechodziła koło niego, zdawało mu się, że go zaczepi... Czasami brwi ścierał, a czasem tylko czekał. Szła dalej swoją drogą, niepokojna, ruchliwa jak zwykle, on wracał do chaty jakiś zły, ociężały; krzyczał na żonkę, że w piecu pali

bez miary — w dusznej izbie wytrzymać trudno! Zrzucal kożuch, rozpiął koszulę, siedział za stołem markotny, a potem ni z tego ni z owego dodawał, że Ewka taka sama w chacie gospodyni jak ona, albo dziwił się ochryplym głosem, że te przybłędy wszystkie takie są leniwe, niezdatne, na chleb nawet zarobić nie potrafią!

I tego dnia, gdy płot grodzący, ujrzał ją idącą od chaty, pewny był, że do niego przemówi. W polu nie widać nikogo, ludzie skryli się przed chłodnym deszczem, co mżył od rana; na drodze od lasu parę wozów łozy sunęło się zwolna jeden za drugim, baba białą płachtą okryta prowadziła pierwszego konia za uzdę; wjechali do wioski, i znowu na szerokiej przestrzeni ani żywego ducha. Ewka stała nad brzegiem, wpatrzona w ciemną rzekę. Od kilku dni dręczył ją straszny niepokój; miejsca sobie znaleźć nie mogła; latała po chatach, siadywała sama jedna na płotach, to znów wpadała do izby nachmurzona, z zacisniętymi zębami, spoglądała badawczo po kątach. Chciała rzucić wszystko, chciała uciec z tej chaty przeklętej gdzieś w świat... Andrzeja szukać! Bosa, bez przyodziewku, wstydziła się iść między ludzi; mogłaby wprawdzie Maksymowi kożuch schwycić, trochę szmat różnych porwałaby uciekając, pieniędzy tylko nie miała i siły jakoś nie miała! Przygnębili ją w tej chacie przeklętej, pracą i głodem przymorzyli. Dawniej trzech dni nie wytrzymałaby z wilkami, a teraz?... Żeby choć w swoją stronę, do tej wioski, gdzie niegdyś obdarta głodem marła, wałęsając się po rowach i zaroślach! Zacisnęła pięści, ogarnął ją żal, niecierpliwość dziwna,—ot zaraz, w téjże chwili gotowa była

biedz, leciéć choćby w to urwisko piaszczyste, jałowcem i olszniakiem porośle, nad którym obok niej Maksym płot grodził. Siekierę w kolek wbił, obejrzał się nieznacznie, podszedł i stanął nad brzegiem.

— Cóż ty tak stoisz na chłodzie? — mruknął, patrząc na drugi brzeg, lasem porośły.

— Acóż, w budzie waszój mam ciągle siedziéć? — odrzekła — czy ja wasz pies, czy sługa, że dzień i noc dobra waszego mam pilnować?...

Nigdy jeszcze nie odpowiadała mu tak hardo; zżymała się, podrzucała ramionami, o mało że się nie wiała jak żmija!

— Ot jaka! — pomyślał, kręcąc głową z zadowoleniem; odmłodził trochę, orzeźwił, jakby swą starą ociężałość zostawił przybitą do kołka siekierą.

— Nie pies ty, ani sługa, tylko bratowa.

Odszedł; do ust, do myśli cisnęło się wiele słów miłych, pieśzotliwych: ptaszynka... chudzieńka... taka biedna... sieroteńka... snuło się po głowie ni z tego, ni z owego. Wstrzymał się jednak, głupstwa nie powiedział, ale i na dalszą rozmowę zdobyć się nie mógł; wodził wzrokiem po przeciwnym brzegu, jakby pierwszy raz w życiu tę okolicę widział. Ryże cielę wyszło z lasu, biegło brzegiem z wyciągniętą szyją.

— Czyje to? — spytała Ewka.

— Zbłąkane widać, może leśnika, a może z wioski — odrzekł stłumionym głosem.

— Zginie jeszcze!

— A może i zginie!...

Gotów był płynąć na drugą stronę, cielę złowić, do leśnika, czy choć do dyabła odprowadzić, byle tylko Ewka z nim jechała. Uśmiechnął się.

— Zła niby, a żywiolki żałujesz— rzekł, patrząc na nią łaskawie; ujął za rękę wyżej łokcia.— Ty u nas potłuściła — dodał,—przez zimę poprawisz się jeszcze lepiej!

— Albo zdechnę z głodu! — zawołała rozjątrzona.

Język się rozwiązał, sypała słowami o biedzie swój, o niedoli, mówiła zadyszana, sapiąca, to żalownie, to ze złością wykrzykiwała, powtarzając stokrotnie, że ucieknie, nie wytrzyma, urwie się z téj chaty przeklętéj! On wciąż ją za rękę wyżej łokcia trzymał, poruszając palcami od czasu do czasu, nie słuchał tam bardzo i niebardzo rozumiał, wiedział tylko, że na głód skarży się, że odzież chciałaby mieć lepszą. Eh, czy to tam wielka rzecz taką szczyptę nakarmić i przyodziać!

— Cicho! — szeptał! — cicho!... biedna ty, dali-bóg, co prawda, to prawda! Cicho!— pogłaskał ją po plecach — kupię tobie, zobaczysz, ot... poczekaj... tylko...

Kupił w istocie nowiutkie trzewiki w pierwszą niedzielę, sprawił granatowy kozuch, odzież różną kupował. Zdawało się, że nić sknerstwa, krępująca dotąd jego duszę, zerwała się raptem! A tylko od czasu do czasu stara natura odzywała się w nim coraz słabiej. Każda chustka, każda spódnica miała już być ostatnią, nie przysięgał, ale postanawiał, że więcej nie kupi! Ewka na wszystko ramionami wzsuszała. Same szmaty jój dawał! Miała już pełną skrzynię odzieży różnej, wstążek, paciorek, koleczyków i pierścionków, ale do włożenia nie miała! Chodziła jak dawniej w płóciennéj brudnéj spódnicy, w czarnej

jak ziemia koszuli, bosa; wychodząc z izby, przykrywała się Maksymowój kożuchem. I narzekała po dawniejszemu, tylko jeszcze żałośniej, jeszcze natarczywiej; on wciąż jedno powtarzał:

— Cicho, no cicho! kupię, zobaczysz... poczekaj... trochę!

Z początku wstydział się swojej słabości; spochmurniał, zły był na siebie, codzień powtarzał w duszy, że to przejdzie, z chaty uciekał, z furmanką jeździł; między ludźmi zapominał o wszystkim—jak tylko do chaty miał wracać, znowu głupia słabość ogarniała! Ruchliwa, czarniawa jaszczurka wiła mu się przed oczami jak żywa. Zaledwo przed wrota zajechał, była już przy wozie, iskrzącymi oczami spoglądała na jego kieszenie, ręce w siano zasuwała, szukała, węszyła, gadając bez wypoczynku o żonce, o starym, o chacie, żywiołce, sąsiadach; czekała, co jój da, co przyniosł, podarek z rąk wrywała i dopiero rozejrzawszy gdzieś za gumnem, na strychu, albo w stajence, wracała zła jak furya do izby. Wszystko to było zamało! Żeby pełne wozy przyprowadził za sobą, i wówczas jeszcze wzruszyłaby ramionami pogardliwie! Na chustki, fartuchy, spódnice patrzeć już nie chciała! Powoli płótno i sukno ze świeżna wykładać jój pozwolił; miała już kubek pełny, skrzynię nową na strychu, wielką kłódką zamkniętą; codzień piekła sobie i smażyła co na myśl przyszło, pomimo to wyschła, zczerniała, oczy zrobiły się jeszcze większe, chciwość ją gryzła, strach dręczył; nieraz już chciała i kubek i skrzynię w krzakach zakopać, dobro swoje ukryć przed ludźmi, przed samą sobą, i znowu zacząć do nowych kubków nowe rzeczy składać. Maksym z pie-

niędzy żonki nie miał już ani grosza, przez zimę sprzedał Szmulowi dwie krowy i owce po jednej sprzedawać zaczął.

— Karmu niema, pozdychają do wiosny!—krzyknął, gdy żonka owiec dawać nie chciała; dała w końcu, żeby tylko hałasu i ludzkich gawęd unikać.

— Karmu nie mamy—powtarzała przed sąsiadkami, krzywiąc się jakoś dziwnie; łzy miała w oczach a próbowała uśmiechać się przed ludźmi. Widziała, że giną. Od czasu, jak Ewka codziennie zaczęła jeść kiełbasy i jajecznicę, Maksymowa zwątpiła o miłosierdziu bożem, do świerna chodzić przestała. Krzątała się po dawniejszemu, pracowała, nie wiedząc sama co robi! Bywały dni, w których zapominała podoić krowy, raz nawet zapomniała nakarmić wieprze.

— To już przed śmiercią! — szepnęła do siebie i przeżegnała się. — Matko Boska! zlituj się nad nami!—powtarzała z głębokim westchnieniem ze sto razy na dzień.

Chciała czasem inny pacierz zmówić—nie mogła, tylko te słowa miała na myśli i na języku: „Matko Boska! zlituj się nad nami!”

A tu i dawniejsza słabość dokuczała coraz dotkliwiej, wątroba znowu zaczęła serce naciskać. Dziwniej tej choroby dostała po śmierci trojga młodszych dzieci. Felezer śmiał się wówczas, gdy mu o tej kombinacji wspomniwała; zamilkła, ale przy każdym zmartwieciu czuła, jak wątroba mocniej lub słabiej ugniatała serce. I teraz, jak tylko o zmroku, lub wieczorem, stojąc koło komina, spojrziała z ukosa na Ewkę za stołem, wpatrzoną siwemi oczyma w Maksyma, jak tylko zmiarkowała, że on chmurzy się niby, brwi ściągają,

a coraz częściej na nią patrzy, gada coś zcicha, albo na jęj szepty głową kiwa nieznacznie,—czuła na sercu wątrobę olbrzymią, ciężką jak kamień! Wybiegała przed wrota, tak jak stała przy kominie, w spódnicy tylko i w koszuli. Mróz ją przejmował, ręce, nogi krzępły, łzy spływały po twarzy...

— Matko Boska!... zlituj się... nad nami! — powtarzała bezmyślnie, łowiąc uchem śmiech Ewki, urywane, ochryple słowa Maksyma.

Gdy umilkł, wracała do izby, stawała przy kominie... nie mogła tylko przypomnieć sobie, czy już solila krupnik, czy nie. Kosztowała, ale i smaku jakos złowić nie mogła; w uszach jęj wciąż brzęczał śmiech, ochryple słowa, a w myślach wciąż jedno snuło się bez końca:

— Matko Boska! zlituj się nad nami!

Dostatek topniał jak śnieg na wiosnę, a ona nawet żałować swego dobra nie mogła. Patrzyła szklanemi oczami, nie rozumiała dokładnie, czy to sen, czy prawda. Przy ludziach tylko mówiła z dawnym spokojem, że umyślnie Ewkę z mężem każdej niedzieli do miasteczka wysyłała, żeby rozerwała się trochę w swoim smutku wdowieńskim. Pożyczała jęj swego kozucha, chustki czerwonęj z zielonęm w kraty, stała przed wrotami, gdy na wóz siadali, śmiała się nawet do przejeżdżających sąsiadów! Maksym wracał podpiły; w kieszeniach siermięgi znajdowała pierniki, pachnące mydło w kolorowych papierkach, czasem pierścionek albo paciorki. Ewka przywoziła zawsze śledzie w sińj bibule, cukier, obwarzanki—chowała pod siennik w łóżku i kładła się na tém w kłębek skurczona, zerkając z podelba błyszczącemi oczyma, uśmiechała się

zadowolona z dnia, w którym zjadła i wypila więcej, niż dawniej przez cały miesiąc. Układali się do snu, gasili światło. W ciszy nocnej odrętwiała z żalu Maksymowa słyszała wyraźnie chrapanie starego i chłopców na piecu, Maksyma na ławie pod oknem... tylko Ewki oddechu podsłuchać nie mogła! Leżała jak bez duszy...

— Wiedźma ona może?... czy zły duch?...

Na myśl tę włosy powstawały na głowie, dreszcz przebiegł po grzbiecie.

— Matko Boska! zlituj się nad nami! — szeptała w najwyższej trwodze.

Wątroba, jak kamień grobowy, coraz dotkliwiej uciskała serce!

Raz od wrót do chaty ledwo się przywlokła! Było to w wielkie święto, a choć słońko wiosenne dogrzewało już dobrze, Ewka wystroiła się we własny siwy kożuch, białą chustkę zawiązała na gładziutko przyczesanych włosach, korale, niebieskie i żółte paciorki zwieszały się pod kołnierzem cienkiej, kramnej koszuli. Uśmiechała się, widząc, że jadący i idący chłopcy i żonaci oglądają się na nią, żartują z Maksymowej, radząc, żeby męża z nią do miasteczka nie puszczala. Umyślnie marudziła na wozie przed wrotami, zanim cała wioska nie przeszła! Odjechali narzeczcie; Maksym patrzył w nią jak w obrazek! Maksymowa, wróciwszy do chaty, usiadła w sieni na progu, plecami do podwórka zwrócona, skureczyła się we dwoje, ręce skrzyżowała pod piersiami. Głodne kury otoczyły ją odrazu, dziobały po plecach, wchodziły do sieni, odzywając się żałośnie. W obórcie ryczała krowa, najprzód jedna, potem druga, obie naraz

odzywały się do słońka, co błyszczącemi strugami wiskało się do obórki przez szczeliny w ścianach, przez strzechę dziurawą. Maksym, odjeżdżając, mówił jój, żeby krowy trochę na pole puściła... Pamiętała o tém, słyszała ich ryk żałośny, ale z miejsca ruszyć się nie mogła; osłabła, jakby naraz wszystkie jój siły w ziemię weszły! Wiedziała, że człowiek powinien zność wszystko cierpliwie, że każda dola od Boga sądzona, przytém wstyd jakiś nieprzewyciężony ogłuszał ją, oslepiął; nietylko przed ludźmi, w chacie przed swoimi, ale sama przed sobą nawet wyraźnie myśleć o całej sprawie nie mogła...

— Odurzenie... grzech... kara boska!—powtarzała w duszy, usiłując o tém nie myśleć, zapomnieć, i zapomniałyby może, żeby nie ta wątroba na sercu!

— Na złe już przyszło!—szepnęła.

Słońko grzało w plecy, a w piersiach serce ciężkie, nabrzmiałe, aż urywało się z bólu. Kury dzobały jój bose nogi, jedna prawie do krwi ugryzła, pewno ta... czubata! najgorsza ze wszystkich, co nawet koguta bije! Nie spojrziała na nią, nie otwarła oczu, dysząc zwolna, czekała, kiedyż nareszcie udusi ją wątroba!

Wtém od łąki, między ordynką i płotem, rozległ się tętent bosych nóg po zmarzłej ziemi; rzenie, pyrcanie, śmiech i krzyk obudził ją raptownie. To Stasiek i Adamek z rozwianemi czuprynami, zaczerwienieni od wiatru, pędzili jeden za drugim, podrzucając głowami jak rozbrykane konie.

— Matko, siana, owsa dajcie!—wołali zadyszani—jadła nie żałujcie, my konie, jedziem z daleka! popasiem się, odpocznem i znowu w drogę!

Spojrzała na nich przez ramię: stali przed drzwiami oblani słońkiem wiosenném, zasapani, rumiani, z jasnymi główkami, podobni do siebie jak jeden! rżeli i śmiali się naprzemian.

— My konie, matulu, dalibóg! Ja Szymonowy, a on tatuli — gadał Stasiek; — mnie wilki téj zimy jedli...

— Nie, mnie wilki jedli, a ciebie złodzieje ukradli, tyło co tatulo dopędził i odebrał.

— Łżesz, mnie jedli, a ciebie kradli!... bo ja tatuli.

Rzucili się na siebie, żeby praw swoich i tożsamości osoby pięściami dowieść. Matka rozbroiła ich w porę.

— Głupi wy, głupi, a toż wy obydwu tatuli! — rzekła, pędząc ich do izby przed sobą. — Chodźcie, obroku i siana dam, odpoczniecie sobie przy żłobie!

W zadymionéj izbie jaśniej się zrobiło od białych główek, rumianych twarzyczek; chłopcy rżeli przy misce krupniku, kopali nogami, aż stary podniósł się na piecu, wysunął szyję, patrzył na nich, trzęsąc siwą głową.

Wątroba usunęła się z serca Maksymowéj! Tylko w chwili, gdy uprzątając izbę, nachyliła się przy łóżku Ewki, żeby podnieść z ziemi brudną spódnicę i koszulę, domową skorupę kopciuszka, uczuła dotkliwe palenie w piersiach.

— Nie pójdziecie na poniewierkę, nie dam wam krzywdy zrobić, robaki wy moje! — powtarzała z pospiechem, pięścią oczy wycierając. — Wyrośnięcie zdrowienkie, ładnienkie, dla was ja duszę w ciele zatrzymam!

I zatrzymała! Zdrowia nawet, sił nabrała jak cudem! W ściernie były pustki, z obórki znikły jeszcze dwie krowy, przez całe lato żyli zielskiem różnym, na chleb żyta pożyczać musieli. Maksymowa jakby tego nie czuła; w chacie pracowała po dawniejszemu, codzień na zarobek szła, pieniędzy tylko swoich nie oddawała już nikomu. Stary osowiał, osłabł jakoś, nie pytał o nic, ogłuchł, czy tylko udawał głuchego; pracował jeszcze, ale już wolę synom zostawił zupełną, na Maksyma nie patrzył, nie mówił z nim nigdy, do obórki, do ściernia zaglądać przestał; czasem tylko na Masymowę szklane oczy podnosił; rozumieli się doskonale; parę razy nawet chciał jój oddać swój skarb — wstrzymał się, na myśl tę palce krzepły, tracił władzę w rękach.

— Złodzieje i mór nas nawiedzili, dziadulu — mówiła do niego; — ale zdrowie zostało, nie zginiem!

— A ludzie co gadają? — pytał ochryplym głosem, w ziemię wpatrzony.

— Nic nie gadają! Jeden Bóg tylko wie, które jabłko robak toczy!

W istocie niewiele gadali, dziwili się tylko, z kądem na Maksyma to „nieszczęście” przyszło. Dawniej wódki do gęby nie brał, teraz pił w święta, upijał się w dnie powszednie; jak tylko zmierzchno, z pola wrócił, siermięgę na ramiona zarzucał, ze spuszczoną głową włócił się do Szmula... Miarękę, drugą wychylił skrzywił się jak po gorzkim lekarstwie, i nie przemówiwszy do nikogo, wracał do chaty dłuższą drogą, koło zarośli.

Pracował po dawniejszemu, tylko mówić przestał zupełnie; w święto, w niedzielę, jeżeli do mia-

steczka nie jechał, cały dzień siedział w obórcie, na starym cebrze dnem do góry wywróconym; palił fajkę, przysłuchiwał się jak koń siano chrupał, czasem machnął ręką, muchy i bąki z grzbietu opędził; wdzięczny koń zwracał głowę ku niemu — patrzyli sobie w oczy spokojnie, z ufnością. Maksym w ludzkie oczy tak patrzeć nie mógł. Z Ewką nie gadał, obrzydła mu już dawno! Czasem jednak, jakby z nałogu, jak pod wpływem nieprzepartej siły, przywoził jój z miasteczka pierniki, obwarzanki, cukierki groszowe; zostawały w kieszeni siermięgi, sam oddawać nie chciał, ona zaś dawno już przestała wybiegać na jego spotkanie!

Teraz pełno jój było wszędzie! Biegała po chatach od rana do nocy; tu dziecko pokołysze, tam schwyci ceber z zielskiem, świniom na podwórko wyniesie, peła w ogrodach, doła krowy, za krośnami czasem z pół dnia siedziała, byle tylko nie codzień w tej samej chacie, byle przy śmiechu i wesołości, gotowa nawet była żać parę godzin! Przypominało się jój dawniejsze życie, bez opieki, bez przymusu, jak ptak na swobodzie! Na noc tylko do chaty wracała, przekradając się za płotami, żeby we wrotach Maksyma, Maksymowej, albo starego nie spotkać. W fartuchu lub za pazuchą niosła zwykle ser schwycony po drodze, kawał płótna, trochę nici, lub chociaż jajko, słoniny kawałek. Chwytała wszystko, co mogła. Nad nią, jak groźne widmo, stawał czasem Franek! Wróci wkrótce, chatę postawi i znowu ją do pracy zaprzęgnie, bić zacznie! Eh, może nie wróci! Na świecie giną czasami... i Andrzej nie wrócił, a obiecywał!... Poszłaby z nim choć na koniec

świata; chaty, ziemi nie miał do roboty, nie pędzałby tak, jak te woły przeklęte!

Parę razy Maksymowa wyrwała jój z rąk ręcznik, kawał płótna, które schwyciła gdzieś z płotu czy z łąki.

— Co ty robisz! — szeptała do niej przed chatą w zmroku wieczornym, oglądając się, czy ich kto nie słyszy i nie widzi. — Za złodziejkę okrzyczą! w turmie zgnijesz! Już i tak na tobie nitki pocziwój niéma!

Ewka patrzyła na nią szeroko otwartemi oczami na ustach drgał uśmiech bezczelny.

— Nu, tak cóż? — podrzuciła ramionami po swojemu.

Maksymowę aż w sercu ukłuło ze zgrozy i oburzenia.

— W turmie zgnijesz! — powtórzyła.

— Eh, i tam ludzie żyją! A chata wasza to nie turma?

Maksymowa załamała ręce.

— Czy w tobie duszy niéma? czy ty głupia? sama nie wiesz, co robisz, co gadasz! Dość już ty biedy narobiła... my przez ciebie dobytek stracili... dobro całe poszło bez śladu, jakby nigdy w chacie nie było!

— Bo to wasz taki dureń! — syknęła Ewka. — Nie-raz ja jemu mówiła: nie sprzedawaj krowy Szmulowi za psie pieniądze, zarznij lepiej, zjemy, to i stary i żonka pożywi się... wszystkim byłoby dosyć! Nie chciał! Nie mogę, powiada, własnej krowy zarznąć! Głupi! ludzie ludzi rzną, a on krowy zarznąć nie mógł!

— Co ty jemu dała, że on dla ciebie duszę zgubił?... że on i dziś jeszcze jak nieswój chodzi?... wódkę pije!...

— Pije, bo dureń! do siwych włosów dożył, a wódki nie kosztował! Teraz, jak zaczął pić, to dosyć nasmakować się nie może! Ot, dlaczego piję! Ja tam jemu nic nie dawała! I duszy nie zgubiła! Jaki był, taki jest, wół przekłęty! Pieniędzy, dobytku trochę zmarnował, za to pożył. Przy śmierci będzie miał co wspominać! Chłop, bogaty niby, kapuściane liście palił!— Splunęła, podrzuciła ramionami.—Na tytuń żałował! Nauczyła ja rozumu! Za to, jak upił się, powtarzał nieraz: „Ewka, póki ja ciebie nie znał, to i dobra żadnego nie znał!” Tfu! aż wstyd, że teraz baby chłopów rozumu uczą! Na trzeźwo tego nie mów! Wiedział, że chłopu wstyd durniem być! A chciał jeszcze, żeby go na starszynę wybrali!

Zaśmiała się, wzruszyła ramionami, wyciągnęła rękę po skradzione płótno.

— Oddajcie! Do turmy za to nie wezmą! Dziś żebraczka włóczyła się po wiosce, żyd z kramem przejeżdżał, to i schwycili. Nie bójcie się, wiem ja, kiedy można! Więcej ja w życiu złapała, niż wy zarobili.

Maksymowa odsunęła jej rękę, płótno mocno pod pachą trzymała; odezwać się tylko nie mogła. Słowa Ewki duch w piersiach stłumiły.

— Czy ty pacierz mówisz?—spytała w trwodze wielkiej.

— A mówię! Myślicie może, że jak nie gospodarska córka, to i pacierza nie umie? Schowajcie wy psu pod ogon wasze gospodarstwo! Ja tam i bez waszego dobra żyć potrafię.

Gadać dłużej nie miała ochoty; poszła sobie wolnym krokiem ku wrotom; przechodząc, zerknęła na płótno pod pachą Maksymowej.

— Biednyż ty, Franku, biedny! A gdzież ty swoją doleńkę posiał, że takie ciernie, takie pokrzywy porosły! — szepnęła żałośnie Maksymowa.

Wyszła, postarzała przez te lat kilka, z czerstwój baby pozostała zżółkła staruszka; oczy od łez wyblakły, głos zaginął gdzieś w zapadłej piersi. Mówiła zeicha, szepcąc; zapracowywała się od świtu do nocy, w święta nawet, w niedzielę, pasła swoje dwie krowy po miedzach; w łatanój koszuli, w starój spódnicy, w wypłowiałej chustce na głowie, wyglądała jak najuboższa kątnica! Ale za to w obórce znowu było osiem owiec, rosło dwie cieluszki, a krowy, choć stare, najtłuszcniejsze były z całej wioski.

— Połowę dobytku trzeba będzie Frankowi oddać — rzekł raz do niej Maksym, gdy siedzieli obok siebie na przyzbie.

Milczała; serce krwią opłynęło, nawet najcichszym głosem przemówić nie mogła.

— Po starym kilka groszy zostanie... Niech bierz, żeby krzywdy nie miał!

— Ale naszym synkom krzywda będzie! — szepnęła i pożałowała słów swoich.

Maksym schylił się we dwoje, brwi ściągnął, patrzył w ziemię.

Przebaczyła mu dawno, że trochę zgłupiał na starość. Naprawdę nigdy za siebie do niego żalu nie miała; żałowała go dla niego samego. Zmarniał, zubożał, z pierwszego gospodarza w wiosce skurczył się w starój chałupie, zeszedł na ostatniego; sam to czuł, choć nigdy o tém nie mówił. Widziała, jak raz wyjął ze skrzyni czarną kamizelkę i spodnie, rozglądał przed oknem, głową kiwał. Jój łzy w oczach stanęły — wy-

szła z izby: pomyślałby może, że ona mu tych kilku kropel wódki codziennęj żałuje. Któż wie, może to i prawda, że jak raz skosztował, to już swoją miarę wypić musi.

— To i oddamy—rzekła,—niech mu na pożytek idzie. Jak nasza chata oczyści się, może lepiej będzie!

— Lepiej będzie—powtórzył.—Ha, tak już było sądzono!—dodał po namyśle.

— Franka szkoda!

— Czemu? Eh, żonka ona może lepsza od innych, byle pracować chciała! Z rąk nic nie wypuści, wszystko do chaty garnie. Niech głupi za nią wstydzi się, ona wie, jak żyć na świecie! Na swoim może i pracować będzie!

— Nie będzie! Wiedźma, święconęj ziemi boi się! Niech ją piorun spali! Bodaj ona wskrós ziemi poszła! Taka przeklęta! Na mszę dam, krzyżem leżąc będę, kiedy ją czort raz z naszęj chaty porwie!

Maksym wstał, odszedł zwolna przez podwórko ku łące; w nięj serce zamarło—może do Szmula? Wyciągnęła szyję — czekała ze stłumionym oddechem, w prawo czy w lewo pójdzie? W lewo! tam przy płocie chłopcy psa do kałamaszki zaprzęgali, popatrzył, pogadał i obudwóch do lasu zabrał; poszedł miedzą przez żyto... Chłopcy biegli za nim. Maksymowa własnym oczom nie wierzyła!... Wśród zielonego żyta widziała plecy męża, za nim dwie jasne główki chłopców—do lasu szli, a jęj się wciąż zdawało, że powoli w prawo do Szmula zwracają. W las weszli.

Trzecią już niedzielę w chacie siedział, trzeci tydzień do karczmy nie zaglądał.

— Nie grzech, ale hardość duszę jego zgubiła. Na świecie różnie bywa: pijaki, rozbójniki, bezwsty-

dniki żyją, a nikt im powietrza ani słonka bożego nie żałuje. Ludzie przywykają do nich, bo wiedzą, że oni już tak na świat przyszli, taka im dola sądzona. A on, sokolik, chciał być najpierwszy, taki akuratny, spokojny sobie... Zgrzeszył, a teraz pamięć wódką zalewa!— rozmyślała Maksymowa, krzątając się koło wieczerzy.

Co chwila nos i oczy fartuchem ocierała, a w głowie aż wrzało od myśli różnych. Chciałaby go załagodzić, uspokoić, duszę by oddała temu mężowi marnotrawnemu. Postanowiła usmażyć jajecznicę i cały udój mleka uparzyć do kaszy. Wieczerzę da wcześniej, zanim ta „wiedźma” z miasteczka przyleci! Pastwiła się nad nią jak mogła—garnki i miski po jadłe psom lizać dawała, żeby ani kropli jednej „tój” nie dać.

— Niech je tam, gdzie pracuje!—powtarzała dla uspokojenia swęj duszy.

Ginęło téż w wiosce wszystko: kury, jaja, sery, masło, chleb ktoś z pod rąk chwycił. Czатовali na złodzieja wszyscy: baby, dzieci, parobcy i Ewka. Stroiła się taraz; kramne swoje spódnice, koszule, chustki nosiła, do dworu czasem do lżejszój roboty szła, w wiosce babom dzieci nianńczyć pomagała; prawie do każdój chaty codzień wślizgała się w różnej porze, strzelala na wszystkie strony siwemi oczyma, pomagała niby Maksymowój;—ale gdzie kto przysiadł, z choroby, czy ze zmęczenia, i ona przysiadła na płocie, przed wrotami, na przyzbach, byle tylko na słońcu. Wyciągała bosc nogi, prostowała ręce, ziewała.

— Oto *łom!*—mówiły o niój baby; przezorniejsze podejrzewały ją o kradzież, żadna jednak na uczynku złowić nie mogła; gadały o tém przed Maksymową.

— Grzech wam sierotę poniewierać! Nikt jój za

rękę nie złowił—mówiła niby oburzona.—Niech ją tam na sztuki rozerwą, jak w swojej chacie będzie!—dodała w duszy;—dość już i tak... wszystkiego... Jeszcze złodziejowi okrywę!

Czekali Franka wszyscy. Maksym, chodząc po polu, zawczasu miarkował, jakie zagony jemu odda, gdzie chałupę postawią; stary czekał go ze śmiercią; Maksymowa codzień, z rana, w południe, pod wieczór, wybiegała przed wrota, w prawo, w lewo patrzyła, chociaż do wioski jedna tylko droga wiodła. Zdawało się jej, że czuje na własnych plecach bolesne uderzenia, jakimi Franek żonkę powita—aż drżała z zadowolenia! Za złodziejstwo, za szelmstwo, za hultajstwo, za wszystko on jej zapłaci! Czorta z niej wypędzi, albo zabije! Może i kij porządny z sobą przyniesie?

Ewka tylko uszami strzygła, nadsłuchując, gdzie jaki żołnierz wrócił, miarkowała coś w duszy, a że przed nią chaty jakoś zamykać zaczęli, pilnowali jej trochę—schwyciła czubatą kure Maksymowej i na kilka dni znikła. Wróciła zczerniała, w zabłoconej spódnicy, w chusteczce zsuniętej z głowy na plecy; rozczochrana, z zabłoconemi nogami, skurczyła się na przyzbie, kolana rękami objęła, siedziała tak nasrożona dzień cały; za pazuchą miała jeszcze piernik i parę obwarzanków, ale o głodzie zapomniała jakoś! W swoje strony biegła, do dworu, gdzie wraz z Andrzejem służyła dawniej... Myślała, że się dowie coś o nim, że spotka go może. Nikt o nim nie słyszał, nikt go na oczy nie widział: we dworze wszyscy parobcy nowi, gadać z nią nie chcieli. Z ekonomową tylko pogadała trochę, dzieciom obwarzanków przyniosła; przyszła niby dzieci odwiedzić, z tęsknoty, z dobrego serca.

Kłamała, że teraz jest gospodynią w bogatej chacie, w dostatku żyje, sługę ma... dzieci tylko mrą jedno po drugim! Siwe oczy łzami zasły, gdy o tém mówiła, wiedziała już, że Andrzeja niema, że znowu do chaty przekłętój wrócić musi, złość i niepokój gryzły za serce; płakała tedy nad urojonemi dziećmi, nos i oczy ocierając czerwoną chusteczką, w której obwarzanki przyniosła. Ekonomowa, rozczulona, dała jęj na drogę kawał suchęj bulki i odgotowanęj słoniny; Ewka jedno i drugie psom dworskim rzuciła; od czasu, jak zamieszkała w wiosce, rozwinęła znacznie smak i upodobania. Wolala mrzcć głodem, niż łamać zęby na bylejakim jadle. Siedząc na przyzbie, ciągle o Andrzeju myślała... obiecał, że wróci... że ją zabije... i tego zabije, czyją żonką będzie! Niechby teraz wrócił! Nie zrobiłby jęj nic złego... A tego szelmę niechby zabił!... Po co ją za żonkę brał? Po co jęj dolę i młodość w ciężkiej pracy zmarnował? Myśląc o tém, zgrzytała zębami i tym razem miała szczere łzy w oczach.

Franek wrócił nareszcie. Usłyszawszy o tém, Ewka wyskoczyła z izby do obórki, jak dzika kotka na strych się wdrapała, zasunęła się w kąć między deski i stare obręcze: przez chwilę oddechu złowić nie mogła, tak serce biło gwałtownie. Słuchała, wpatrywała się w ciemność... pierwszy strach minął, ochłonięła nieco i podrzuciła ramionami po swojemu.

— *Horsz licho koli boiszsia, i bieda budzie i nadrażyszsia!* — mruknęła zupełnie uspokojona; wciąż podrzucając ramionami, zlazła ze strychu, wysunęła się z obórki. Ciemno już było, na podwórku pusto zupełnie, w chacie przez oświetlone okienko ujrziała wszystkich koło stołu, nawet głupi Piotr w rozpiętej

koszuli, z otwartą gębą, siedział rozparty, uśmiechał się, słuchając. Ciekawość ją wzięła, jak też Franek wygląda... Zbliżyła się do okienka, głowę przytuliła do ściany. Lampka i luczywo paliły się w izbie, aż trzy misy stały na stole; okruchy chleba przy każdej, ślady mleka i kaszy świadczyły, że już kolacya skończona.

— Zjedli! — szepnęła przez zaciśnięte zęby. — A teraz słuchają!

Stary, co przez cały tydzień dogorywał na piecu, teraz siedział wyprostowany, z podniesioną głową, z wypiekami na twarzy. Maksymowa, Piotr, dwóch dzieciaków z wioski, wszysej stół obsiedli, wszyscy w oczy Frankowi patrzą, słowa jego łowią, hukną śmiechem jednogłośnie, ucichną, jeden drugiego łokciem szturgnie, głowę na Franka wskaże, zadziwią się i słuchają dalej. On siedział plecami do okienka zwrócony, szynel tylko widziała z czerwonym naszyciem na ramionach, głowę jasną, ostrzyżoną niezutko, a gdy się do sąsiada zwrócił, spostrzegła, że ma wąsy. W izbie było gwarno, wesoło, chłopcy dokazywali na środku, na czworakach chodzili, jeden na drugim konno jeździł, przewracali się jak młode koty, i coraz jeden to drugi parsknął śmiechem donośnym, aż szybki w oknach brzękły. Maksym tylko siedział zdala pod ścianą, fajkę pykał, wpatrzony przed siebie ponuro. Ewce zdało się parę razy, że na okienko, przy którym stała, oczy zwrócił, brwi jeszcze groźniej zmarszczył, podniósł rękę i podrapał się za uchem, jak w wielkim kłopotcie. Jój tylko tam nie było... a przecież ona jego żonka!... Przyszedł z daleka, cztery lata jój na oczy nie widział, je, pije, ze swymi gada, śmieje się, o niej ani wspomni! Nie wołał jój, nie szukał...

słyszałaby, na strychu siedząc... w trwodze wielkiej; słyszała przecież, jak szeleściały liście na gruszy, jak świerszcz w trawie brzęczał... Nie wołał!... Nagadali już może... a może i sam zapomniał! Dusza zmiękła na chwilę... Ewka mrugnęła parę razy, zacisnęła powieki... od światła, od długiego patrzenia... czy tak... od czegoś... łzy zaszklily się w oczach.

Jakby przebudzona nagle, wzruszyła ramionami.

— Niedoczekanie ich! z trzech misek wszystkiego zjeść nie mogli!

Podniosła się na palcach, wyciągnęła szyję: patrząc z góry, dostrzegła w jednej trochę zsiadłego mleka, w drugiej kilka kartofli...

— Ha, dobra psu i mucha!

Przyglądziła rękami włosy nad czołem, czerwoną chusteczkę mocniej związała pod brodą, poprawiła koszulę i fartuch; weszła do izby śmiało, rezolutnie, od progu już krzyknęła na męża:

— Ty, Franek, chamem był i chamem wrócił! ojcu pokłonił się, bratu pokłonił się, a o żonce zapomniał! Bodaj tak o tobie ludzie zapomnieli!

W istocie odwykł od niej i zapomniał. Na razie zapytał, gdzie jest, czy zdrowa? Ale gdy go otoczyli swoi, gdy po pierwszym powitaniu każdy z ciekawością, z pewnym uszanowaniem osobę jego i ubiór oglądać zaczął, gdy zasypali go mnóstwem pytań bezładnych, urywanych, zgłupiał jakoś; nie wiedział sam, o co ma pytać, odpowiadał niby, słuchał, a wzrokiem po izbie okopconej wodził, uśmiechał się do ciemnych kątów, do komina, za okopconą belką w pułapie dostrzegł wiązkę ziół uschłych, którą sam niegdyś zasuwał. Patrzył i dość napatrzeć się nie mógł. Wyprosto-

wany w grubym szynelu, sztywny, niezbyt rozmowny, wyglądał hardo, surowo nawet.

— Żołnierz... świata wiele widział, mądry, bywały... z ludźmi odrazu gadać nie chce—myśleli bracia, ojciec, dziadźkowie; nie dziwili się i nie obrażali, owszem, z tém większą atencją byli dla niego, podsuwali miski z jadłem, chleb i łyżkę; jeden z dziadźków, z wielkiej atencji, dłonią otarł mu mleko z brody, drugi co chwilę tabakierę podsuwał, ojciec tylko i Piotr z rozczulenia, z szacunku i podziwu słowa przemówić nie mogli.

— Żołnierz ty nasz mileńki!—szepotała uszczęśliwiona Maksymowa.

Szeroka twarz Franka, czerwona szyja, wykładająca się na kołnierz szynela, w zachwyt ją wprawiły.

— Ot, jak tam karmili, jak doglądali sierotę biednego! Zdrow wrócił, wyrósł, wyładniał, bodaj mu jasne słonko całe życie świeciło! Ważny taki sobie... powolny... jak należy!... nauczyli mądrości po świecie!...

W zachwycie, w rozczuleniu wielkiem poduszkę z tapczanu porwała i między ścianę i plecy Franka zasunęła. Był to najwyższy dowód szacunku; przedtém uczyniła to raz jeden tylko, księdza z kolędą w chacie przyjmując. Franek przyjął atencję z uśmiechem, chciał nawet zażartować ze starój—nie mógł, w gardle go coś dławilo. Woń jada, siermięgi i łapci, ciepło serdeczne, wyglądające z ociążałych, wpatrzonych w niego twarzy, duch jakiś swojski, zaklęty w tych ścianach zczerniałych... rozbierały go, chodziły po kościach, jak febra, albo jak żal głuchy, którego ani wygadać, ani wyrazić nie można.

— Chata... cha... ta moja... mileńka... cha... ta!—
szeptało coś w duszy, podczas gdy ze ściągniętymi
brwiami, z najeżonym wąsem, przygryzając każde sło-
wo chlebem w soli moczonym, opowiadał trochę łama-
nym językiem, gdzie był, co widział, jakie miasta, ja-
kie rzeki przechodził, na maszynie jeździł, złote i sre-
brne mundury widział...

— A u was tu koni nie kradli? choroby na ży-
wołkę nie było, ślepy kasztan Jakuba żyje? a?—prze-
rywał nagle, spoglądając po twarzach obecnych.

Uśmiechali się wszyscy, jak dziatwa, która, nasłu-
chawszy się bajek cudownych o kiju samobiju, o bra-
ciach rozbójnikach, zaciekawiona, ale i znużona już
trochę, z przyjemnością do najbliższej prawdy wraca.
Nawet wejście Ewki nie zepsuło ogólnej harmonii.
Maksymowa tylko zakłęła zcicha, stary spojrział po-
nuro, a Maksym z ławy wstał, ociężałym krokiem do
komina podszedł, fajkę zapalił i wysunął się z izby
w chwili, gdy Franek żonkę po twarzy pogłaskał i koło
siebie na ławie posadził. Czarnobrewa, rumiana, z bez-
czelnym wejrzeniem, ładną mu się wydała nawet po
różnych dziewczkach, które na świecie widział. Śmiał
się do niej, za policzki, za ramiona szczypał, wiedział,
że jest jego żonką, i rad był, że jest właśnie taką, jaka
mu się najlepiej podoba. Zapytała, czy o niej pamiętał,
czy przyniósł jęj chociaż chustkę albo fartuch. Zaśmiał
się. On na świecie tyle ładniejszych widział, tyle ich
znał w różnych wsiach i miastach, że czasu nie miał
i ochoty o żonce myśleć! Podarku nie przyniósł, bo
sam z dwudziestu groszami z miasta wyszedł, po dro-
dze chleb z wodą jadł, sypiał w polu, w lesie, ostatnie-
go dwojaka oddał staremu żołnierzowi na drewnianęj

nodze, który przepił w karczmie koszulę, a na chlebgrosza nie miał! Zresztą, na co babom ubranie! Zgrzebna koszula i spódnica na cały wiek wystarczyć powinny! Przy pracy, czém starsza odzież, tém lepiej, a w święto niech w chacie siedzą i dzieci pilnują.

Drażnił ją umyślnie; w miarę jak mówił, czerwieniła się, poruszała nozdrzami, uśmiechała się złym, przyczajonym uśmiechem, w którym widać było białe, ostre zęby. Lubił takie dzikie kotki! Uderzył ją po plecach i obiecał, że jak będzie dobrze pracować, kupi jęj za grosz piernika. Nazajutrz przekonał się, że z nięj nic nie było i nic nie będzie. Wstał przed świtem. Drażniła go woń siana, na którém spał, przez całą noc majaczyły się drzewa, chaty, Niemen, urwiska piaszczyste, zarosła i lasy, widział to wszystko, dotykał rękami, czuł wkoło siebie. Rzucił się na sianie, otwierał oczy, wodził nieprzytomnym wzrokiem po ciemnej odrynie, i nie dowiedziawszy się, gdzie jest, co robi, zasypiał znowu i znowu widział toż samo! Zerwał się w końcu, świt chłodny otrzeźwił go odrazu. Wiedział już, że koszą trawę pod Kisielami, że jeszcze na dwa tygodnie roboty będzie, bo łąki zalało, po pas w wodę léżć trzeba, okoszają tedy po brzegach tymczasem, czekając nim wyschnie. Przed słońkiem był już na łące—szynel i czapka zostały w odrynce, nawet żołnierską koszulę zostawił; Maksymowa dała mu wczoraj nowiutką siwą odzież, pachnącą miętą i majerankiem, jak cała jęj skrzynia; z cywilizacyjnego okresu zostały mu tylko buty, mocno dziegciem przejęte, i srebrny koleczyk w lewém uchu, który miał go leczyć od szumu w głowie, od łamania w krzyżach, nabytego podczas długich, chłodnych podróży.

Stał w trawie po kolana, sam jeden na łące mgłą zaslanéj.

Cisza. Szarawe chmury szybko za las płynęły, na wschodzie wążki złotawy pas wychylał się zwolna. Nawet ptaki drzemały jeszcze; gdzieniegdzie w olszniaku świergolily wróble urywanym głosem; jak przez sen Franek oglądał się, nadśluchiwał; sam nie wiedział, co go tu tak rano przywiodło. Bekas podniósł się z pod nóg jego, przeleciał kilka kroków niziutko, wpadł w błoto, poruszył bagno drzemiące, ostrą trawą porosłe; ruch ten głuchém echem odezwał się w szarawém powietrzu, zaszumiało zcicha; wiatr nagle zbudzony poruszył zlekka olszyny.

Franek drgnął, ścisnął kosę w rękę; jak wczoraj na ścianę chaty, tak dziś na tę okolicę napatrzeć się nie mógł! Wszystko po staremu, nie tu nawet nie urosło, nie się nie zmieniło, trawa tylko w tym roku rosła dobrze — odrazu zmiarkował, że ze swojej części ze sześć albo z osiem wozów zbiorą. Obliczył, spoglądał baczniém okiem na rozrzucone pokosy. Budził się w nim gospodarz skąpy, cheiwy na siano szczególnie, na ten chleb powszedni żywiołki, która droższą mu była nad własną duszę. Sześć krów zostawił, dwa konie i czternaście owiec. Teraz młodzieży przybyło zapewne. Stare może sprzedali... Zaraz będzie się czém podzielić, gdy ojciec zamrze i trochę grosza na nową gospodarzkę zostawi. Wyostrzył kosę, machnął po trawie raz, drugi, trzeci — trawa kładła się równiutko jak usłana. Nie zapomniał. Zmęźniał, siły nabrał, przez tyle lat był tylko machinalnym pionkiem w szeregu, że teraz, gdy się znalazł na szerokiej swobodzie, zdało mu się, że rok cały bez wypoczynku pracować

będzie, że mu sił i ochoty na sto lat wystarczy. Macha kosą, uśmiechał się do myśli wesołych. Teraz dopiero żyć zacznie. Mędrszy jest od tych wołów—sąsiadów, co mchem porośli, na miejscu siedząc. Szacunek ludzki ma i znaczenie wielkie! Bać się go będą, bo wiedzą, że on między nimi pierwszy, że z nim sprawy nie wygrają. Co „osoba,” to nie chłop pierwszy lepszy! On ma za sobą cztery lata służby akuratszej, wierniej... chwalili go tam... zapamiętał nawet kilka pochwał od najbliższej zwierzchności; w wiosce nikt o nich wprawdzie nie słyszał, lecz on sam pamiętał o tém dobrze, był rad z siebie, pysznił się swoją przeszłością. Tak, jest teraz „osobą.” Chatę z kominem wystawi, otoczy ją ciosowym ostrokołem... Niech widzą, jak mieszka człek, co świata wiele widział, żyć umie i o niego nie dba.

Ostrzył kosę zawzięcie. Dźwięk stali rozległ się po lesie, zadrgał we mgle nad łąką, w trawie wysokiej, falującej zlekka od porannego wiatru. Kosa lśniła się jak brzytwa, on wciąż jeszcze ostrzył, mrużył oczy, poruszył plecami. Dawno już tego brzęku nie słyszał. Sąsiedzi pewno myślą, że on taki jak dawniej głupi parobek, co każdego słuchał, każdemu wierzył, swego rozumu za grosz nie miał. Ho, ho, zobaczą! Wczoraj już swoim „dziadźkom” starym, co już ze sto lat na świat boży patrzą, opowiedział o fuzyach cudownych, o bohaterach, których żadna kula nie bierze, powtarzał baśnie różne, wylęgłe w fantazyi parobka-żołnierza, którego nawpół dziką naturę oszołomiła siła imponująca. Uwierzył! Eh, on sam przecież kiedyś nawet w czorta wierzył! Kosił coraz zamaszyciej, powtarza-

jąc machinalnie owe: „raz, dwa, raz, dwa,” w takt których przez lat kilka serce jego biło.

Zmachał się, spotniał, rzucił kosę, przez chwilę stał wyprostowany, oddychał miarowo, jak we froncie! Przysiadł w końcu, spojrzął na pas łąki, skoszonej za jednym zamachem, — dawniej przy takiej robocie odpocząłby już sobie parę razy, wysmoktałby ze dwie lulki i choć raz jeden napiłby się wody z kałuży; zresztą dawniej sam dyabeł nie potrafiłby go obudzić przed słońkiem... Hm, teraz on inny człowiek. Sąsiadów będzie w grozie trzymał... a chatę może nawet z dwoma kominami wystawi!

Chmury pierzchły, słońko wychyliło się z za pagórków piaszczystych nad rzeką. Od wioski, wraz z pianiem kogutów, ze skrzypem studni, rykiem krów i żałośnym beczeniem owiec, doleciał piskliwy i ochrypły głos bab młodszych i starszych, ukazały się pierwsze gromadki kościołów w płócienną odzież, z grabiami, z błyszczącymi kosami na ramieniu, szli miedzą po dwóch, po trzech; za nimi, jak rozbitki różnobarwną, niesformną armii, dreptały baby w siwych, różowych i czerwonych kaftanach, w koszulach i spódnicach za kolana podkasanych; większość klęła pastucha, że dziś bydło po słońku wypędził, niektóre szeptały pacierze, a wszystkie miały na myśli Ewkę, Franka, plotki różne, które od wczoraj już kotłowały w głowie, mąciły pamięć, szczypały w język. Staruszki odmłodniały, młode śmiały się zawczasu, a tylko kilka wychudłych, z przygasłymi oczami, szło spokojnie, apatycznie, dźwigając w obu rękach garnki z jadleń, wiązki grubych powrozów. Franek zdaleka już swoich spostrzegł, Ewki tylko dopatrzeć nie mógł. Nie zdążył jeszcze

zapytać o nią, a już, jak w ulu słońkiem ogrzanym, za-
brzęczało, zasyczało złowrogo. Śmiechy, przysłowia,
porównania posypały się ze wszech stron, baby gadały
między sobą, mężczyźni tylko ramionami wzruszali,
czasem ofuknęli którąś bardziej gorliwą. Do Franka
nikt właściwie nie gadał, nikt mu jeszcze opowiadać
„wszystkiego” nie zaczął, nikt nawet nie myślał tak
odrazu truć życia człowiekowi, co przez kilka lat chaty
nie widział, nikomu nic złego nie zrobił i dopiero
wczoraj do swoich wrócił. Żartowali między sobą tyl-
ko, ale od tych żartów, jak od rozbijanych kamieni,
odskakiwały ostre odłamki i wszystkie jakoś w stronę
Franka zmierzały. Słuchał; a chociaż dziesiąte ledwo
słowo zrozumiał, domyślił się, że żonka jego musiała
chyba z dziesięciu ludzi zabić, z dziesięć wiosek spalić,
może kościół okradła, i kto wie, może nawet na własną
żywiolkę rękę zabójczą podniosła—tak czarną, niemal
zwęgloną wychodziła z tych żartów wesółych. Brwi
ściągnął, wargi nadął, minę trzymał żołnierską, żeby
sąsiedzi widzieli, że on tam o plotki nie dba: jak co
nie pomyśli znajdzie, z winowajcą rozprawić się potrafi.
Machał tedy kosą, od czasu do czasu na ręce spluwał,
a w duszy już przysiągł, że jej nie daruje—zabije, albo
może i gorzej... Spoglądał z ukosa, czy nie idzie. A baby
wciąż gadały, coraz wyraźniej do niego zmierzając.

— Czemu ty sobie, Franczku, nowój żonki nie
sporządził?—spytała rezolutnie Jakubowa, wygadana
baba z czerwonym nosem, szeroką gębą, z zielonemi
oczami—twoja tu ze wszystkiém zdarła się.

Baby zachichotały chórem, jedna szturgnęła ją
w bok łokciem.

Franek udał, że nie słyszy; kosząc, rozmawiał z Maksymem, na baby nie spojrział—zawsze lekcewał ród niewieści i wołałby urodzić się żydem niż babą; teraz, jako żołnierz, nawet i patrzeć na nie nie chciał. Wszystkie postarzały, zwiędły ostatecznie, ładniejsze dziewczęta przez ten czas powychodziły za mąż do innych wiosek, wiem za to czarniawych z ostremi nosami przybyło parę. W całej wiosce jego Ewka najładniejsza!—Hm, co tam babskie gadanie!—pomyślał. Zanim rząd pokosów położył, zmiękł znacznie.

W świetle słonecznym łąka błyszczała od rosy, mieniła się od barw różnych: żółtawa po brzegach, przechodziła w ciemną zieloność na błotach, gdzie tatarak wiązał się z wysoką, ostrą trawą, w której drgało coś zlekka, trzepotało, ruszało się nieznacznie. To życie ukryte, strwożone brzękiem kos, głosem ludzkim, więcej zajmowało Franka niż gwarna rozmowa; co chwila spoglądał w tę stronę, nadśluchiwał; widział, że Ewka przyszła w czerwonej spódnicy, w niebieskich paciorkach i białej chusteczce na głowie; powolna jakas, ociężała, schyliła się parę razy po siano, przetrzęsła garsć jedną, drugą i znowu stanęła z opuszczone mi rękami, wodząc wzrokiem po łące, usianej pstrokatą bab gromadą, bielejącymi na słońcu koścami. Franka nie dostrzegła na razie,—dopiero później, spojrzawszy w stronę błota, zobaczyła samotnego kościa bez czapki, z jasną, nisko przyszyzoną głową.

— Bodaj on przepadł!—mruknęła i pochyliła się nad robotą. Od czterech lat już nie pracowała tak długo, tak ciężko jak dzisiaj! Rąk i nóg nie czuła, w krzyż ból wlał straszny, pot oczy zalewał; gryzła wargi, zaciskała zęby, ale głowy nie podnosiła, bała

się; przysięgała w duszy, że to raz ostatni, że zerwie się z łańcucha i choć w wodę pójdzie, ale do tych wólów nie wróci.

Franek milczał. W południe razem ze wszystkimi zjadł mleka i kartofli; wrócił do roboty markotny. Wieczorem zaś nawet do chaty nie zachodził, szynel żołnierski na ramiona zarzucił, bez czapki poszedł sobie brzegiem Niemna; górą szedł, potem spuścił się urwiskiem ku wodzie... Patrzył, rozglądał się jakby nie swemi oczyma,—buta znikła, zapomniał nawet, że był żołnierzem, dawna natura odżyła na dawnym gruncie. Wiedział już, że brat go skrzywdził, żywiołkę, zapasy zmarnował; miarkował tedy, co zrobić? czy swego dochodzić, pokłócić się odrazu, w chacie harmideru narobić,—czy czekać cierpliwie, spokojnie, tymczasem wziąć co dadzą, a resztę odbierać nieznacznie, raz groźbą, to znów dobrocią, skubać brata potrochu?—Znał Maksyma i wiedział, że choć za mądrego uchodzi, w istocie strasznie jest głupi; wstydu boi się, przed ludźmi chce za honorowego uchodzić, grosza cudzego na duszy nie ma, spokojny, niemrawy, ale sprawiedliwy. Teraz w oczy jemu spojrzeć nie śmie, ustępuje z drogi, sam pierwszy nawet rozmowy nie zaczyna. Te oznaki żalu i pokory więcej jeszcze przekonały Franka o winie niż poczucie krzywdy; pokorny, milczący Maksym wydał mu się wielkim przestępcą, który dla świętego spokoju zrobi wszystko, co zechce.

— Nie byłby on taki cichy, żeby nie wiedział, że prawda za mną! ho-ho! Mógłby ja go z chaty z żonką i dziećmi wyprawić, mógłby ostatnią koszulę zabrać! Skrzywdził on mnie biednego sierotę, z torbą puścił, na żebraka wykierował! Ja na służbie był, Bogu i ce-

sarzu służył, a on tu moją chudobę marnował! — powtarzał w duszy, jakby przed niewidzialnym jakimś audytorjum, które sprawę jego sądzić miało.

Sam zaś o krzywdzie swój sądził trochę inaczej, — z czterech zmarnowanych krów trzy należało do Maksymowej, owieczki wszystkie do niej należały, z zapasów też większość ona do chaty wniosła, resztę przysporzyła pracą, oszczędnością, prawie skąpstwem. Pozostała tedy tylko jedna krowa i żonka; z pierwszej prawie połowa do Maksyma należała, o drugiej w razie Franek zapomniał; a gdy sobie przypomniał, zamyslił się jakoś, sam nie wiedział, jak wielkiej wagi będzie ten fakt w razie procesu i czy nie zepsuje sprawy zeznanie świadków, że zmarnowana żywiolka w większej części poszła na korzyść jego żonki? Myślał tedy, miarkował, ale nic jakoś wymyślić nie mógł, po radę do ludzi iść bał się... Widział, że Maksym strasznie pokorny, i to wystarczało do korzystnych zamiarów. Spróbuję zresztą — jeżeli brat bronić się będzie, hm, to wówczas... zobaczymy... jeżeli ulegnie, widać sam się do winy poczuwa.

— A kogo karać, jeśli nie grzesznika? — pomyślał w duszy — może tam jego strata będzie... no, tak czego laźl, czego biedy szukał? Już tak na świecie sądzono, że kto siebie nie obroni, tego nikt nie obroni! Cóż ja mam jego żałować, kiedy on sam siebie nie żałował?

Im dłużej myślał, tém silniej był przekonany, że słuszność jest za nim, tém głępszym wydawał mu się Maksym, pokorny, ze stulonemi uszami.

— Widać czuje winę! — powtarzał, chociaż sam téj winy dokładnie jakoś zrozumieć nie mógł. Taką

krowę zmarnował! al... On nie oddałby téj krowy za sto rubli! Tak, dla innych może ona i dziesięciu rubli nie warta, a on jój za sto nie oddałby! Po ojcu, po matce im się dostała... ryża, na czterech nogach, w dodatku z rogami! Śliczna krowa! Pół świata przeszedł, a takiój nie widział! Jakże on śmiał, ten złodziej, sprzedawać ją samowolnie! Niechby zginęła, niechby ją wilki zjadły—dopuszczenie boże! Ale sprzedawać prawa nie miał! I Bóg, i ludzie, i sądy przenajświętsze toż samo przyznają!

Krowa ta rozplątała całą sieć myśli i pojęć zamiatwanych w ciemném sumieniu; uspokoił się, poweselał, uczuł jakby pewny grunt pod nogami. Teraz zrozumiał pokorę i nieśmiałość Maksyma.

Żarty to, taka krowa! Żeby chciał nawet odkupić, gdzież on taką znajdzie? Może sobie mówić, że piękniejszą kupił, ale dla niego tamta była i lepsza i piękniejsza. Jakże go przekona, kiedy krowę dawno już żydzi zjedli!

Głęboko przekonany o słuszności sprawy, gotów był przysiąc, że krowę tę lubił nad wszystko, że ją sam wykarmił, wychował, że nie oddałby jój nawet za sto rubli! Zmiarkował przytém, że przez te lat cztery cieląt byłoby ze czworo, albo i więcej.

— I ten złodziej śmie jeszcze mnie w oczy patrzeć, śmie gadać ze mną, taką krzywdę wyrządziwszy! Żeby mógł, duszę by moją czartu sprzedał! Ot, jaki on brat! Cudzy żaden nie zrobiłby tego, co on zrobił! Żonkę moją lubił!—dodał w końcu.

Zarzut ten oburzenia nie zwiększył; działo się to bez niego—za oczami, i gdyby ludzie o tém nie gadali, on nie wspominałby nawet! Ale ludzie gadają, śmieją

się, przymówiska różne powtarzają o nim, o żołnierzu, który miał być najważniejszą „osobą” w wiosce! Ot, co go bolało!

Wracając z nad rzeki, obmyślił, że Maksym powinien mu dać pięć zagonów pod lasem, trzy za ogrodem; z pieniędzy po starym powinien mu za krowę i za żonkę z dwieście rubli zapłacić, resztę rozdzielić akuratnie. Plan ten przerabiał bez końca, wciąż coś do swęj przyszłości dobudowując. Kiedy wszedł we wrota, był już posiadaczem wszystkich dziesięciu zagonów, chaty, żywiołki, skarbów po ojcu! Maksym poszedł „na zapaszkę,” a z zarobionych pieniędzy jeszcze ma po kilka rubli rocznie za żonkę i za krowę wypłacać! Wiedział, że tego nie będzie, ale raz puściwszy wodze sercu i fantazyi, granic zakreślić nie umiał.

— Szczypta ziemi! — mruknął, ochłonawszy nagle—czém tu dzielić się, kiedy i dla jednego zamało!

Przeszedł ociężałym krokiem podwórko; w chacie już spali. Przed odrynką pod stogiem słomy chrapał Piotr i żuczek. Franek stanął, popatrzył na śpiącego chłopą, zmierzył go wzrokiem od głowy aż do bosych stóp, opartych o grzbiet żuczka.

— I ten jeszcze!—mruknął nachmurzony. Przypomniał sobie naraz, przez ile to lat przybłęda ten jadł i pił u nich, nosił ich odzież... kupował sobie buty i czapki! Pracował niby... eh, na takiej okruszynie ziemi jednemu niema co robić!

Powlókł się do odrynki zły, rozjątrzony jakiś... sprawa z krową, tak jasna na razie, znowu się zamgliła... Chwilami zdawało mu się, że Maksym dla okupienia winy wyrzeknie się ojcowizny... to znów przypu-

szczał, że jest zły, nachmurzony dlatego tylko, że się go nie spodziewał, myślał, że nie wróci, zostanie gdzieś na służbie, w mieście zarobku poszuka. Za krowę wcale go nie wynagrodzi... Stara była, bez zębów, parzonki już jeść nie chciała; sprzedał, bo zginęłyby z głodu. Ojciec żyje jeszcze, dobytek nie podzielony... jakże tu sprawę wygrać?... Żołnierzem jest wprawdzie, ma znaczenie, zasługi... sam generał w mieście wie o nim... ale z krową do generała nie pójdzie... a tu na miejscu, kto wie, czy sprawiedliwość znaleźć potrafi. Gmach marzeń runął nagle, przygniatając go gruzami dziesięciu zagonów, chaty i gospodarskiego dobytku. Zasnął na sianie snem żołnierskim, przykryty szynalem. Śniło mu się, że woda uniosła starą chatę z Maksymem, żonką i dziećmi... że wróciła się spienioną falą i jeszcze stóg słomy z Piotrem i żuczkiem zabrała... Nie, stóg został; żuczek, otrząsnąwszy się z wody, wybiegł na brzeg, Piotr tylko popłynął i wraz z chatą wpadł w przepaść, której ślad nawet zmyła rzeka spieniona. Z dobytku pozostała tylko pełna obórka, pełna odryna i on sam jeden sierota... Stał sobie pośród poletki i patrzył, jakie też woda szkody wyrządziła... Nad brzegiem rzeki, nad samym urwiskiem, Ewka, w czarną sukę zmieniona, siedziała na tylnich łapach, patrzyła mu w oczy, szczerząc ostre zęby... Woda jej nie zabrała...

Żyli, z dnia na dzień śmierci starego wyczekując. Pracowali, jedli razem, w wolnych chwilach każde szło w inną stronę. Franek patrzył na Maksyma z podelba, albo obracał się plecami i udawał, że wcale na niego nie patrzy; parę razy nadmienił coś o krowie...

— Nie bój się, krzywdy nie zaznasz! — odrzekł Maksym—połowa krowy nie przepadnie, niech tylko stary zamrze, porachujemy wszystko jak należy.

— Ileż on ma?

— Bóg go tam wie! Ile ma, to ma, z sobą nie zabierze!

Z wieczora go nie widzieli—spał, jak zwykle, gdy z pola wracali; w południe za to, gdy na obiad przyszli i wszyscy koło stołu zasiedli, Maksym z Frankiem na przeciw siebie, Piotr na końcu stołu, Ewka i malecy obok siebie, wszyscy co chwila na niego patrzyli. Siedział zwykle na łóżku, ramieniem do poręczy przysłonięty, wyschły, żółty, jedną rękę za pazuchą trzymał i w ziemię patrzył. Oni tymczasem jedli w milczeniu, wszyscy jedną myślą zajęci. W niebieskich oczach głupiego Piotra widniał strach i smutek; zapatrzony w starego, niosąc łyżkę do ust, strawę po stole rozlewał, za co Ewka w bok go łokciem szturgąła, „chamem” nazywała pocichu. Franek prawie za każdą łyżką na ojca spoglądał. Umyslnie siadał plecami do ściany, twarzą na izbę zwrócony, żeby go mieć przed oczami; każdego dnia zabierał się o pieniądze spytać, słów tylko odpowiednich dobrać nie umiał. Nie chciał o śmierci mówić, bo wiedział, że chorzy tego nie lubią, i nie wypadało jakoś... ojcu rodzonemu... ostatnie godziny przypominać... To znowu bał się, że stary może pieniądze w różnych miejscach pochował, może sam zapomniał, oni zaś znaleźć nie potrafią!

— Czy wy, tatku, *hroszy* w skrzyni trzymacie?— spytał nareszcie po namyśle — bo jak na was koniec przyjdzie...

Maksym szturgnął go w kolano pod stołem.

— Szturgaj, czy nie szturgaj, a śmierci nie odpe-
dzisz!—mówił dalej, przeżuwając krupnik z chlebem;—
jak na was koniec przyjdzie, to żeby nam krzywdy nie
było. Wszyscy my na te pieniądze ciężko pracowali,
wszyscy teraz czekamy... wyglądamy... wiadomo, ka-
żdemu grosz potrzebny.

Stary, jakby przebudzony z odrętwienia, poru-
szył śpiesznie dolną szczęką, ręka za pazuchą zadrżała

— Powiedzcie wy nam odrazu, póki pamięć
i mowę macie—ciągnął Franek, plecami o ścianę opar-
ty, z rękami w kieszeniach spodni. — Nie zechcecie
przecież, żeby my duszę waszą przeklinali za naszą
krzywdę...

— Bodaj ciebie twoje dzieci klęły! — mruknął
Maksym. — Co ty od nas wszystkich gadasz? gadaj od
siebie! My jak żyli, tak i żyć będziem; ty żonkę
wiedźmę wziął, w chacie użyć się nie możesz, idź sobie
z nią choć do samego czorta, a śmiercią ojcu oczu nie
kluj! Jak koniec poczuje, co ma powiedzieć, powie!
Stało jeszcze na cały wiek rozumu, to i na ostatnie go-
dziny stanie... Nie wiadomo jeszcze, kogo naprzód ro-
bactwo jeść zacznie... wszyscy pod Bogiem!..

Piotr tylko głową kiwał, na starego, to na Maksy-
ma patrząc.

— Niby to ja ze złego serca!—odrzekł Franek —
ojciec umrze, to i swoje skończy, a nam żyć trzeba,
zdrowemu ja przecież każdy swój grosz oddawał aku-
ratnie... teraz umrze, czy nie umrze, a o swoje dopomi-
nać się trzeba. Tak wy, tatku, powiedzcie, jak... gdzie...
i wam lżej umierać będzie i nam bezpiecniej..

Umilkł, czekał odpowiedzi... Ewka strzelała oczami
po izbie, w rozpalonych palcach szarpała koniec fartucha.

Ale stary akurat tego dnia czuł się zdrowszym, lżej oddychał, słyszał wyraźnie brzęk much w izbie, zamglonemi oczami widział smugi światła, zagładające przez okienka. Wyprostował się na łóżku, głowę podniósł i milczał. Ścisnęło go w piersiach, czy od słów syna, czy z innéj jakiegó przyczyny—sam nie wiedział. Zakaszłał, odetchnął głęboko...

— Dziś ja... zdrowszy! — rzekł ochrypłym głosem.—Zdrowszy!—powtórzył, zasapał się, zmęczył od tych słów kilku, głowę opuścił na piersi.

— Z takim zdrowiem bliżej do śmierci niż do życia! — rzekł Franek — dusza z kaszlem wyskoczy i nie złowisz; choć ty tu ziemię gryż, nie złowisz! Nam będzie zgryzota, a czortu uciecha... porwie nasz krwawy grosz jak swój! A... a! żeby ja to mógł przewidzieć... żeby mógł rozumem zrozumieć... nie gubiłby ja marnie swego potu krwawego.

Wstał z ławy, czapkę nałożył, wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Nazajutrz starego nie stało.

III.

Franek chciał tegoż wieczoru skrzynię przejrzeć; nazajutrz, po pogrzebie, téż namawiał, żeby do chaty wracać, porządek zrobić, a potem dopiero na łąkę po resztę siana jechać.

— Czekali tyle, poczekamy jeszcze! — odrzekł Maksym. — Po co dzień marnować?... wrócim z pola, co jest, to znajdziem. Żonka twoja chaty pilnuje, nie bój się, sam szort jój nie oszuka!

Klucz od skrzyni za pazuchą trzymał, a przez cały dzień nie wspomniał ani o ojcu, ani o pieniądzech. Pod wieczór tylko wczesniej niż zwykle pracować przestali. Piotr miał ostatni wóz nałożyć i do chaty odwieźć, na łące sam został, im zaś pilno było wracać; pod koniec Franek jak nie swemi rękami pracował, co chwila na zachodzące słońce, to na wioskę spoglądał, przysiadł wreszcie i czekał, nim Maksym z żonką resztę siana zgrabią.

Wielkich rzeczy ojciec nie zostawił; dla zwykłego chłopca kilkaset rubli to pieniądz, dla niego to prawie

nic! Żeby chociaż parę tysięcy... byłoby za co ręce zaczepić... Teraz nie to, co dawniej... chłop, jak wół, zielskiem i *miękkim* żył... teraz inne czasy! Rozmyślał, miarkując zarazem, ile też ojciec zostawił? Oczu z Maksyma nie spuści, grosz każdy sam przeliczy... sam własnymi rękami dotknie się każdego papierka, pomaca, obejrzy, zanim z rąk odda. Kto go tam wie! Brat niby, a jak do rachunków przyjdzie, brat nieraz od cudzego gorszy...

Zawczasu już patrzył na niego niechętnie, ze złością... pewny był, że go chce oszukać... dlatego może zwleka... namyśla się złodziej... może już coś wymyślił... Przypomniawszy sobie kilka faktów strasznych: w Janowie brat brata zabił za sześć rubli tylko... trupa pod mostem schował... mileżał do wiosny, aż woda nieboszczyka na brzeg wyrzuciła... Widział on i tego trupa i zbója widział... czy jeden taki na świecie! Tylko że jednemu udaje się, drugi ginie marnie. A w wojsku aż dwóch zbójów znał! Spał nawet z obydwojema obok przez pół roku. Ten... Maksym... zawzięty, bestya... krowę zmarnował... dobytku tyle zmarnował... może teraz...

Bał się dokończyć, obejrzał się zwolna... Na trawie leżała żerdź, którą przyciskano siano na wozie przy uwiązywaniu. Wstał, podniósł ją z ziemi, oparł się na niej i czekał...

— Cóż ty... w las ludzi rozbijać pójdziesz, że kół z sobą zabierasz? — spytał Maksym, idąc za żonką ku drodze.

Franek drgnął; o Kainie wiedział niewiele, słyszał jednak, że tém mianem nazywano zbójów i konio-

kradów w wiosce. Głos Maksyma przypomiał mu głos wszystkich Kainów.

Żerdź na ziemię opuścił; powłókł się za nimi z tyłu o kilka kroków... ze spuszczoną głową, bacznie śledził każdy ruch brata!... Gotów na wszystko, zawczasu zaciskał pięści... próbując siły!... Ha, zdusiłby odrazu! Wpiłby się pazurami w szyję... trzymałby go tak w garści do ostatniego tchnienia... Nie z nim wojować... Na samą myśl zczerwieniał jak burak, oczy krwią zaszyły... z piersi wyrwał się krótki, ochryply oddech.

A Maksym wziął od żonki puste garnki, szedł obok niej; milczał z początku, potem przypomniał sobie, że ot, dziś pierwszy wieczór bez starego w chacie przebędą! Maksymowa pokiwała głową smutnie.

— Wszystkim taki koniec! Harujesz, pracujesz od świtu do nocki, wypoczynku nie masz... przyjdzie śmierć, rzucisz wszystko! Oj, Boże mileńki, odpuść ty nam ciężkie grzechy! — westchnęła, obok męża drepeząc.

Zapomnieli nawet, że Franek wlecze się za nimi.

Piotr sam pozostał na łące. Zmrok zapadał, trzy ostatnie wozy odjechały jeden za drugim, przy każdym chłop szedł zwolna, konia za uzdę prowadząc. Piotr oglądał się za nimi; zdaleka, na tle złotawego nieba widział wciąż jeszcze Maksyma, Maksymowę i Franka — szli drogą ku wiosce, dojdą do chaty wprzód, nim on wóz do połowy napelni. Chwytał z ziemi siano, na wóz ciskał, potem widłami rzucał wiązkę za wiązką, śpieszył, zasapał się, spotniał i opuścił ręce.

Na łące było pusto; gdzieniegdzie między olsznikiem sterczały niewielkie kopy siana. Koń, co na wóz czekał, chodził od jednej do drugiej, skubał powoli

i znowu do świeżej trawy wracał. Piotr wziął go za grzywę, do wozu przyprowadził, zaprzęgał drżącemi ze zmęczenia rękami, z podelba wciąż na drogę spoglądał. Sylwetki znikły; wozy wjechały między płoty, droga do wioski opustoszała. Pilno mu było, nie myślał o niczem, tylko ręce drżały z pośpiechu. Ostatnie już garście siana podbierał, zgarniał gorliwie po trawie, rześistą rosą pokrytą; nachylony, przez ramię wciąż się ku wiosce oglądał.

— No! košku... kosieczku mój!—szepnął zdławionym głosem, targnął za lejce. Wóz ruszył, zachwiał się... koła skrzyknęły...

Piotr odetchnął. Zdawało mu się, że już dziś z łąki nie wyjedzie. Na drodze zaciął konia, przez kilkadziesiąt kroków biegł za nim, siano podskakiwało na wozie, spadało na prawo i na lewo; koń zmęczył się, zwolnił kroku, Piotr już nie próbował go popędzić. Wpatrzony w wioskę, otworzył usta; czapka zsunęła mu się na tył głowy, drapał się co chwila za uchem.

— Bodaj... jego... bodaj jego... a!...—mrucał od czasu do czasu.

Miało to oznaczać i żal i strach, niepokój i ciekawość. Wiedział, czego chciał, rezonował dziś o tém w duszy przez cały dzień, pracując w milczeniu... Wypowiedziéby tylko nie śmiał, bo... bo co tam gadać nadaremno! Chciałby już tam być jaknajprędzej... posłyszéć, zobaczyć...

— No, košku... kosieczku! — zachęcał, językiem cmokał.

Koń włókł się nogą za nogą, wobec olbrzymiego wozu wyglądał jak duży pies.

Ściemniało, gwiazdy wysypały się na niebie. Piotr wjechał między płoty, zdaleka już wpatrzył się w oświetlone okienka chaty, stojącej na uboczu, nad samém urwiskiem, przy rzece. Zaledwo do odrynki wjechał, konia wyprzęgać zaczął, w progu stanęła Ewka, przypadła do niego zasapana.

— Mileńki Piotrusiek, ot śmiech, ot bieda, ot dziwo nad dziwami!—trzepała, targając go za ramię.—Skrzynię przetrzęśli, na strych łazili... w świernie grzebią się teraz... nigdzie ani grosza! Cha, cha, cha!

Przysiadła, śmiech oddechu złowić nie dawał.

— Dalibóg, żeby ja tak zdrowa była! Ot skara nie boże, ot pomsta boża! Skręci ich jeszcze, choroba ich ciężka wydusi. Cha, cha, cha! och, nie wyżyję, nie wytrzymam, pęknę ze śmiechu! Mało im oczy na wierzech nie wylażą! Sapać przestali szelmy, łażą jeden za drugim, ta wiedźma drepcze za nimi, świeci im w oczy jak szczurom. Chatę jeszcze spala! Niech pala! Prędziej czy później zatrata na nich przyjdzie! O Boże mileńki! Oto ja doczekała, oto dożyła! Na biedę ich, na żalność patrzę! Chwała tobie, Panno Najświętsza, że Ty mnie takiego dnia dożyć pozwoliła!

Klasnęła w dłonie, śmiała się, za boki trzymając. Złość ją dławiała, zawód i niepokój rozdrażniły ostatecznie. Gdy zostawała w chacie z rana, pewna była, że już wieczorem nie znajda! Przez cały dzień szarpała ją nadzieja i rozczarowanie. Stokrotnie chwytając szmaty różne, pewną była, że skarb chwytają... tyleż razy skarb ten pierzchał przed nią, znikał jak we śnie. Dręczyła się, o mało nie oszalała. Odżyła teraz dopiero, na ich miny patrząc. Szukają głupcy tam, gdzie

już ona zębami, pazurami darła. Śmiech ją porywał gwałtowny, niepokonany.

— Zobacz, może nie wierzysz? dalibóg, toż oni już dziesiąty raz do świerna idą!

Ciągnęła Piotra za rękę ku drzwiom, potem ku chacie wskazywała. Od chaty do świerna przez podwórko szedł Maksym obok Franka, za nimi Maksymowa z zapaloném łuczywem, malcy biegli jeden za drugim...

— Niech ziemię zryją, niech chatę rozwalą... eh, i tak nic nie znajdą! Stary łął, czortu oddał, żydom pożyczyl, albo zjadł może z chciwości wielkiój! A te woły teraz pofiksują! Chwała Tobie, Boże mileńki! A za cóż Ty mnie grzesznój takie szczęście, taki dzień dobry w życiu dał?!

Ustać na miejscu nie mogła, na próg, to do odryny wskakiwała, wciąż osowiałego Piotra za rękaw ciągała.

— Słuchaj... żeby ty dobry był... Pietrusiek!—ryknęła mu nad uchem, pochyliła się, spojrziała w twarz siwemi oczami.—Słuchaj, no, co? ty ogłuchł, czy do reszty zdurniał?

Stał w progu z opuszczonemi rękami, patrzył w podwórko zmrokiem okryte.

— Śpieszył... się... a!... śpieszył się! — powtarzał w duchu.

Czekał, kiedy wyjdą; słuchał, może głos ich posłyszysz... gadać z sobą będą... o tych pieniądzech. Cicho — wciąż jeszcze szukają... przez otwarte drzwi z świerna na podwórko pada blada smuga światła, znika chwilami i znowu ściele po kamieniach, aż pod chatę sięga! A Ewka wciąż go za ramię trzęsie:

— Słuchaj, Pietrusiek, nie pożałujesz, dalibóg, n o słuchaj!... żeby ty dobry był, pomógłby mnie. Na górze skrzynia moja, dobro wszelkie!... Wiek ja na niego pracowała, wiek harowała!... Pomóż ty mnie Pietrusiek... zniesiem choć dziś w nockę ciemną... Pietrusiek... czy ty słyszysz?

Odrzącił ją łokciem, odwrócił się i poszedł w głąb odrynk. W téj chwili cała gromada ze spuszczonei głowami przeszła ze świerna do chaty.

Ewka zasypała go przekleństwem. Bojąc się, żeby nie wybił, wyskoczyła z odrynk; gotowa do uciezki, stała za progiem, i jak mogła, jak umiała, wylewała jad swój na niego. Gdy na razie słów zabrakło, powtarzała, że jest przybłęda... parobek... wiek służył... sto skór zdarł z nóg, z rąk, dla nich pracując... a teraz precz pójdzie, z chaty go wypędzą... bosego, obdartego, na poniewierkę wypędzą!... I dobrze mu tak! oh, jak dobrze! Żeby go po drodze piorun spalił, choroba ciężka schwycał!

On zrzucal powoli siano z wozu na ziemię. Nie słyszał, co tam wykrzykiwała za progiem. Kręcił głowę, dziwił się własnej doli, że tak składała się jakoś... Stary umarł, ot, tak... zostawił... a gadał... a gadał... Żeby choć pieniądze znaleźli... może... kto ich tam wie... Maksym zdaje się dobry... ale ten drugi... to szelma... z głodną gębą wrócił!

Pokręcił głowę i robił swoje dalej. Pot spływał z czoła, siano kłuło za kołnierzem, w rękach, za pazuchą.

— Szelma... ten drugi!—powtórzył po namyśle... Na służbę pójdę... wiek służył i dalej służyć będę.

Naraz przyszło mu na myśl, jak téż oni dadzą tu rady bez niego? On orał, bronował, siał, każdy zagon

własnymi rękami obrabiał... Z nimi różnie było: jeden na świecie gdzieś przepadał w żołnierce... drugi pił trochę... czasem dzień cały, a czasem dwa i trzy, chodził jak nieswój, osłabły, osowiały... On za wszystkich pracował. Raz tylko, rąbiąc drzewo, nogę skaleczył, przez pół dnia leżał w sadku pod chatą. Po południu wstał, powlókł się w pole i jakoś ozdrowiał. Jak oni tu bez niego poradzą? On ziemię zna... eh, jak zna! Rok każdy pamięta, gdzie jaki kłós był... No, i ziemia do niego przywykła!... Siał zawsze jego wyprawiali, lekką rękę ma, jak stary niegdyś... akurat tak samo sieje. Maksymowi ręka drżała, Franek nigdy jeszcze żadnego ziarenka w ziemię nie rzucił... On zawsze siał—na wiosnę i w jesieni! Ot i teraz zagony czekają pod żyto... równiutkie... zaorane jak jeden... Siał trzeba... za dzień, za drugi!... Ziarno w tym roku jak złoto! On sam pierwsze snopy wymłócił... Jak oni tu poradzą bez niego?—Im dłużej myślał, tém wolniej pracował; zaciskał powieki; od kurzu, czy może... od rosy wieczornej szkliło mu się w oczach.

— Może choć po siejbie... pójdę!—szepnął, skrzywił się, oczy rękawem zasłonił.

Ewka do chaty wróciła, na miejscu jój w progu stał kruczek, ogonem machał, wpatrzony w ciemną odrynkę. Piotr skończył robotę, wyszedł, drzwi przymknął. Z chaty dolatywał donośny głos Franka, zagłuszały go świerszcze, brzęczące w trawie, przy płotach. Księżyc wypłynął zwolna, od rzeki powiało ciepłem wilgotném; w wiosce ludzie porozchodzili się po chatach; ciszę nocy przerywało skrzypnięcie wrót, zamykanych tu i owdzie, głuchy odgłos kroków w ulicy.

Maksymowa wyszła przed chatę z miską mleka w rękach, z kromką chleba w fartuchu.

— Zjedz tu, do chaty nie idź—rzekła do Piotra,— ten człowiek przeklęty rozum stracił... gada, że chatę rozwałać będzie! słyszane to rzeczy! ot do czego przyszło!

Piotr siadł na przyzbie na tém samém miejscu, gdzie wczoraj stary zasnął, miskę obok siebie postawił, jadł i słuchał. Maksymowa stała przed nim; oboje nad słuchiwali, jak Franek wykrzykiwał w izbie. Ochrypł, pięścią w stół uderzał, stokrotnie powtarzając, że swego nie daruje! Za każdym stuknięciem latane szybki drgały w okienkach, żuczek warczał przed drzwiami, Maksymowa kiwała głową.

— Ot do czego doszło!—szepnęła...—Nieboszczykowi wygraża! Pójdę, powiada, z mogiły wywołkę, niech gada szelma! za życia nie chciał, niech po śmierci gada! Oh, Boże mileńki... Matko Przenajświętsza! jak tu chata chatą, nikt w niej tak nie bluźnił, nikt pomsty bożej nie wzywał! O Jezu mileńki!

— On tylko tak gada! Złęknie się, z nieboszczykiem wojować nie będzie!—rzekł Piotr.

— Oj, nie złęknie się! Zgubił już duszę, po świecie chodząc! W Boga nie wierzy, co słowo czarta wspomina! Pójdę, powiada, ot zaraz, może jeszcze nie ostygł, może w nim duch przytrzymam... niech gada! Nie powie, to choć język jego psom oddam! Syn rodzony, o ojcu, o nieboszczyku! a! skończenie światła Sodoma, Gomora! Niepokalane Poczęcie!...

— Żołnierz, odwagę ma! co dla niego jeden nieboszczyk, kiedy on sam stu zabił.

— Ojciec rodzony!

— Hm, co tam dla soldata zwykły ojciec; żeby to choć soldat był przynajmniej... możeby jeden drugiego lękał się... wiadomo, jak swój na swego natrafi! A tu cóż... nasz stary chłop był tylko...

Maksymowa milczała; odurzona bluźnierstwem, myśli zebrać nie mogła. Bała się kary bożej... przed nocą szczególnie... Zdawało jej się, że stara chata tych słów nie wytrzyma. Chciała już męża i chłopców z izby wywołać; w razie nieszczęścia, niech oni tam giną we dwoje... soldat i wiedźma!

— Nie idź tam! Mówił, że ciebie zabije, że ty na jego chlebie wyrósł!—szepnęła do Piotra, widząc, że jeść skończył, wstał i usta rękawem ociera.

— Czego ja tam pójdę! — mruknął; obejrzał się na wioskę głuchą, na ściernisko, światłem księżycy oblane. — Czego ja pójdę... już ja tu nie swój... — dodał ciszej.

Maksymowa milczała; przygarniać biedaka nie było do czego... sami na kilku zagonach zostaną, własni chłopcy rosną... chciała mu chociaż dobre słowo powiedzieć.

— Na służbę pójdę... na Niemen! do barki parobka trzeba...

— Choć ty kawałek słoniny weź!—rzekła ze łzami w oczach.

— Jutro pójdę!... chciał jeszcze... żyto posiać... eh, nie sądzono widać! posieją i beze mnie.

— Posieją! — powtórzyła Maksymowa.

Zamilkli oboje; jemu jakoś trudno było odejść, drapał się za uchem, z nogi na nogę przestępował.

— Przyjdiesz jutro, ty sieroto nieboże; nim w świat pójdziesz, z chatą pożegnaj się! Matka tu cie-

bie rodziła... ztąd ty swoją doleńkę ciężką wyniósł!—
mówiła Maksymowa, fartuchem lzy ocierając.

Piotr patrzył w ziemię i milczał; gorąco mu było, żal
dławił, ale ani na słowa, ani na lzy zdobyć się nie mógł.

— Przyjdę! — szepnął; przeszedł koło niej ze
spuszczoną głową, powlókł się pod stóg słomy, gdzie
żuczek czekał już na niego, uderzając zlekka ogonem
po ziemi.

Nazajutrz z rana poszedł do Szmula. Barka stała
jeszcze przy drugim brzegu; ładna łódka biała z nie-
bieskiem bujała się zlekka na ciemno-szafirowych wo-
dach rzeki; ludzi tylko nie widać. Piotr powstał na
brzegu, popatrzył na barkę, na łódź, na las ciemny,
sosnowy... Słońce oblewało pnie żółtawe, zdaleka
drzewa policzyć można było... zdaleka dolatywała woń
świeża, z zapachem wody zmieszana...

Szumł spał jeszcze; okiennice, powyrzynane w ser-
duszka, przymknięte były po prawej stronie ganku.
W sieni, przy drzwiach zamkniętych do izby, stała
koza; z dziesięć kur spacerowało ostrożnie, jakby przez
szacunek dla śpiącego gospodarza. Piotr usiadł w gan-
ku na ławce i czekał.

— Widać żyd jeszcze parobka nie ma! dla mnie
sądzono!... Ot, ani ja myślał, ani ja spodziewał się, że
na wodę pójde!

Przyglądał się rzece uważniej... łowił uchem
szmer cichy... Dziś wydała mu się inna jakaś... szersza...
ciemniejsza.—Głęboka... bestya! oj, głęboka!—
pomyślał, śledząc wzrokiem drobne fale.

Miał na sobie kurtkę siermiężną, czarną taśmą
obszytą, nowe płócienne spodnie i nową koszulę; na
ławce położył trochę bielizny, w czerwonej chustce

związanej, kij sękaty w kącie postawił; wybrał się już z całym bogactwem; za pazuchą miał papier z kancelaryi, z którym mógł sobie iść, gdzie oczy poniosą. Papier ten dodawał mu pewności, podnosił go we własnym mniemaniu do godności obywatela świata; jest przecież „kimś,” kiedy o nim ludzie wiedzą, piszą o nim na papierze... Pies, koń, wół bez żadnego świadectwa na świecie żyją... On zaś ma swoje „dokumenta.”

Spoglądając na rzekę, zasuwał rękę za koszulę, macał papier dwoma palcami... W oczekiwaniu Szmula nie myślał o niczym. Ot, tak, jakby teraz dopiero na świat przyszedł, pierwszy dzień na świecie żył i do pierwszej roboty przystąpić zamierzał. Czekał, nim żyd wstanie, gadać zacznie, wówczas dość będzie czasu na myślenie, teraz patrzył sobie na wodę, na brzegi lesiste, to na wzgórza poszarpane piaszczystymi wąwozami. Słonko grzało go w kark; poruszył plecami, mrużył oczy... Het tam, na zawrocie rzeki, pod lasem, kilka równo zaoranych zagonów szarzeje wśród zielonej doliny... ścisnęło za serce... uczuł ciepło w piersiach... przez chwilę oddychał jakoś powolniej... i znowu jakby nic... czekał na Szmula.

Przez okno z szynkownej izby wyjrzał jeden chłop w brązowej siermiedze, potem drugi z nad jego pleców głowę wysunął; mruknęli coś do siebie, poruszyli się, zagadali w izbie; ktoś blaszaną kwartę na ziemię rzucił, ktoś ziewnął przeciągle, wyprostowywał kości i stawy, aż za oknem na dworze słychać było... Drzwi skrzypnęły; pierwsza z sieni do izby wpadła koza, za nią kury cisnęły się pod nogi wychodzących chłopów. Dwóch wyszło, potem jeszcze trzech, wszyscy bosy, w siermięgach zarzuconych na ramiona, jedną

rękę za koszulą na piersiach trzymali, drugą drapali się za uchem; przechodząc koło Piotra, zmierzyli go od stóp do głowy zaspanym wzrokiem. Powlekli się jeden za drugim nad brzeg, zeszli rowem ku rzece. Ochryple, jakby podziemne „ho...o...o!” rozległo się na brzegu, odezwało się w lesie, w zaroślach, skonało w którymś wąwozie. Na rzece plusnęło wiosło.

Piotr słyszał, ale nie obejrzał się nawet; co jemu tam... niech krzyczą, niech płyną, jak na niego kolój przyjdzie, to i on krzyknie i on popłynie.

W izbie ucichło; słychać było tylko stukające stąpanie kozy i grzebanie kur w kącie przy kominie. Wtém ziewnął ktoś jeszcze, jęknął raczej bolesnym, przeciągłym jękiem i umilkł. Piotr wyprostował się, jak ze snu zbudzony, mrugnął oczami, zdawało mu się, że jęk ten kona jeszcze w powietrzu. Spłoszone kury wyskakiwały z izby do sieni, na ganek, trzepocząc skrzydłami, przebiegały koło nóg Piotra na dwór; koza stanęła w progu, oglądała się zdziwiona do izby. Piotr słuchał, czy tam kto jeszcze raz nie jęknie... poszedłby zobaczyć, a możeby i nie poszedł... słuchał jednak. W izbie chodził ktoś, suwając bosemi nogami po podłodze; koza wybiegła do sieni, za nią wyszedł chory parobek w płóciennj odzieży, w granatowj kamizelce z błyszczącemi guzikami; głowę wsunął w ramiona, ruda czupryna spadała na czoło, usta miał spieczone, oczy czerwone; idąc przez sień, spoglądał w podwórko słońcem zalane, na Piotra nie spojrział. Stał na ganku, ręce opuścił; Piotr poznał w nim wczorajszego chorego; dziś już zdrowiej wyglądał, gryzł dolną wargę. Patrzył na barkę z pod brwi nasepionych.

— Nie wiecie, parobek już jest? — spytał Piotr, głową w stronę rzeki wskazując.

— Chory spozrzał na tobolek w czerwonej chustce, na kij, na czystą odzież Piotra.

— Czort go tam wie! — mruknął — musi niema, kiedy dotąd stoi.

Przysiadł na drugiej ławce.

— On... ladaco?

— Hm, jak żyd!

— Nie kręcił?

— Skręciliby go na proch, żeby zaczął kręcić! boi się szelma!

— To dobrze.

Zamilkli; chory przypatrywał się Piotrowi uważnie; mierzył wzrokiem tobolek, wielkie ręce, bose nogi. Chłop był zdrow, rumiany, wzbudzał w nim zazdrość widoczną.

— Zdechniecie tam bez pory—rzekł w końcu;— czego léżeć, lepiej już tak gdzie przy roli... do tego nawyknięcia trzeba, nie każdy może!—wskazał głową na barwę.

— Kto teraz w jesieni weźmie?... na wiosnę... inna rzecz; do wiosny może nie zdechnę!

— A teraz ze dworu? czy tak od gospodarza?

Piotr milczał. Żal skrzepły w sercu rozegrzał się jakoś; poczerwieniał; uszy, czoło, skronie krwią nabiegły; brwi podniósł, patrzył w ziemię i słowa przemówić nie mógł.

— Z chaty może?—spytał chory po długim milczeniu.

Piotr skinął głową. Łzy stanęły w oczach.

— Z cha... ty—powtórzył.

Chory głowę odwrócił, patrzył w las za rzekę; nasrożył się, zgrzytnął zębami jak wilk.

— Czegóż? z chaty? bieda? czy podzielili się?

Piotr sam nie wiedział, co mówić; granatowa kamizelka z błyszczącymi guzikami, porcelanowa fajka, wyglądająca z kieszeni, onieśmiewały go trochę. Chory przytém miał minę bywalca: spluwał przez zęby, nogę na nogę zarzucił i ręce trzymał w kieszeniach; traktował go trochę z góry, pytał o wszystko, podczas gdy on nie śmiał go nawet zapytać, czy tam na barce karmią, czy wódki dają czasami i ile płacą? Nie śmiał, bał się, żeby go nie wziął za głupca, który nawet o takich rzeczach nie słyszał. Milczał tedy z początku, namyślał się, coś go za język ciągnęło — potrzebował wygadać i biedę swoją i krzywdę... potrzebował dowiedzieć się od kogoś, czy z chudoby ojcowskiej nigdy już nie dostanie? Wiedział, że nie potrafi wygadać wszystkiego tak, jak ma w myślach, ale spróbował. Od ziemi, od dobytku zaczął—ile czego mają, jaka passa u nich, jakie urodzaje w suche, jakie w mokre lata. Napomknął, że szelma Jakób, sąsiad, akuratnie snopy z ich pola kradnie, ale to znany złodziej, nawet już w kozie siedział. Potém zaciął się, zapomniał, o czém mówił, nie pamiętał nawet, czy już wszystek dobytek wyliczył. Więc znowu od początku zaczął. Szło coraz głódziej. W chwili, gdy służąca Szmula, nizka, rumiana żydówka, z pierzem w czarnych, kędzierzawych włosach, otwierała okiennice,—chory wiedział już nazwę koni, krów, ilość owiec, znał imiona braci, ojca, bratowej i słuchał o Ewce; słuchał osłupiały, łoczu z Piotra nie spuszczał.

— To ta wiedźma u was?—spytał nagle. — Ona, taka czarniawa, na cienkich nogach, sucha, z czarnymi włosami?

Piotr kiwnął głową.

— W dostatku żyła, powiadasz? w wygodzie wszelakiój?

Piotr powtórzył, jak umiał, całe rozkoszne życie Ewki do powrotu męża.

Chory słuchał, uśmiechał się, z pod rudych wąsów połyskiwały ostre, rzadkie zęby; twarz rozszerzyła się w uśmiechu, wytrzeszczył zaczerwienione oczy, kręcił głową żartobliwie niby.

— Ot jak!—powtarzał spokojnie, prawie wesoło; tylko gdy Piotr zaciął się znowu, zamilkł, on śpiesznie obie ręce w kudły zasunął, ścisnął głowę, a gdy ręce na kolana opuścił, miał pełne garście rudych włosów.

— Panowała ona!—syknął—pa...no...wa...ła!

Piotr rozgadał się o braciach, o Franku, o krzywdzie swojej.

— Złodzieje, hycle!—powtarzał chory.—A ty głupi! Nikt tobie szczypty soli nie da dobrowolnie... nikt... rozumiesz?... — Wyciągnął szyję, patrzył mu w twarz zaczerwienionymi oczami.—Nikt nie da!—powtórzył z przyciskiem.—Nie okradał ty ich, nie grabił, to i wyszedł boso z gospodarskiej chaty.

Splunął, w gardle wyszło, ostatnie słowa wymówił stłumionym, piskliwym głosem.

— Bieda rozumu nauczy! zobaczysz, ale po czasie! Pierwój pot krwawy zmarnujesz, siły zmarnujesz, a potóm zobaczysz, że głupio na świecie żył, ot tak!

Słów brakło; patrzył w szeroko otwarte oczy Piotra i widział, że ten chłop ocieężały węchem raczej niż myślą słowa jego zgaduje.

— To może mnie lepiej do chaty wrócić i o swoje dopominać się?—spytał Piotr odurzony a trochę nieśmiały.

— U kogo? o co? o ziemię może? A ty dałbyś choć szczyptę rodzonemu ojcu, żebyś miał?

— Ono to prawda, że nie dałbyś. Ale co mnie teraz robić?

— A nic! pójdiesz w służbę! praca wyżyłuje ciebie i zmarniejesz! Panem nie będziesz! złodziejstwa może nauczysz się jeszcze, kiedy dotąd nie umiesz, ot i wszystko. Z chudobą pożegnaj się! żeby wskrós ziemi poszła, tylebyś miał, co i teraz mieć będziesz! ot jak! Trzeba było ojcowskich pieniędzy lepiej pilnować. Od złodziei odbierają czasami, a żebrak nigdy nie miał! To ta wiedźma, powiadasz, i dotąd u was żyje?— spytał innym głosem. — Ewka... czarniawa... chuda... z Niemenczyna ją wziął?...

Piotr kiwnął głową.

— Kiedy? dawno?

Piotr pomyślał trochę... akurat tego roku ryża pierwszy raz ociełiła się...

— Hm, może ze cztery lata będzie!

— To wtedy, jak ja w świat poszedł!... Zaraz potem, jak ja w świat poszedł! Wiedźma! łasiła się... udawała... a ja jój wierzył!... wierzył, jak samemu sobie! a!... Hm, przepadła! tyle biedy! A mnie co po niej!—wzruszył ramionami, pomilczał chwilę.

— Ale czy wiesz, że to też sama? z Niemenczyna? a? Bo może inna jaka?..

— Taż sama, toż ja po nią jeździł. Zkąd tam drugą! Dość takiej jednej na świecie!

Zaczął opowiadać od początku, ale Andrzej już nie słuchał. Zerwał się z ławy, poszedł na brzeg, wpatrzył się w wodę, obrócony plecami do karczmy. Szmul wyszedł na ganek, za nim wysunął się drugi żyd. Zaczęli gadać z Piotrem, umawiać się, targować. Andrzej wciąż stał nad brzegiem. Kiedy w końcu Piotr, zabrawszy manatki, poszedł za kupcem, a Szmul z rękami w kieszeniach przeprowadzał ich wolnym krokiem aż do łódki, Andrzej krzyknął w ślad za nim.

— Hej ty, szynkarz! co tam paradujesz! wódki! psia wiaro, słyszysz? wódki dawaj!

Szmul stanął, obejrzał się z powagą: łódki zadrzały bardziej z nałogu, niż ze strachu.

Łódka odpływała szybko. Piotr, na brzeg patrząc, wciąż widział żyda w haftowanych pantoflach, w spodniach i w rozpiętej kamizelce, z pod której wisiały z tyłu białe tasiemki, wyglądała brudna koszula— i Andrzeja widział: pochylony naprzód, pięścią wygrażał, wykrzykiwał; powłókł się w końcu na ganek— łódka przybiła do brzegu.

Kupiec napędzał; biegał, sznury podawał; parciane pasy pomagał zakładać na piersi. Słonko było wysoko— woda spadała — półtora dnia zmarnowali na miejscu; ludzie wypoczęli za to! Kupiec raz jeszcze na brzeg ku karczynie spojrzął; tam został najsilniejszy... za dwóch ciągnął... ale bluźnił za dziesięciu... ludzi buntował; raz nawet... zagroził, że go utopi... Nu, to był żart, ale od takich żartów... siwieją włosy! Ten nowy za to odrazu pokazał, co może!... Kupiec odstąpił, z rękami założonemi za plecy stał o kilka kroków od

brzegu i uśmiechem znawcy patrzył na pierwszą próbę Piotra; ośmiu ludzi drągami spychało z mielizny barkę, pochyleni naprzód, parli całemi siłami drągi— przez długą chwilę wyglądali jak osiem skamieniałych postaci, bez ruchu, bez oddechu, bez śladu życia... twarze tylko pochylone ku ziemi krwią nabiegły, przymknęli oczy, spotniałe włosy spadały na czoła, na skronie. Chwila jeszcze takiego natężenia, a żyły nabrzmiałe zerwałyby się, piersi pękłyby od tłumionego oddechu. Barka zachwiała się, jednocześnie z ośmiu piersi wyrwał ryk przeciągły. Odetchnęli! Nie odejmując drągów, nie odprostowawszy grzbietów, znowu naprężyli siły. Kupiec tylko na nowego patrzył; tych wszystkich widział już ze sto razy przy podobnej robocie, wiedział, co który wart, w chóralnym ryku umiał już nawet rozpoznawać głosy... Piotr zczerwieniał jak rak; ale ani kropli potu nie było widać na czole, nabrzmiałemi żyłami pokrytém. Nie ryknął nawet; zębami dolną wargę przycisnął i podczas gdy inni odetchnęli, on parł dalej barkę od brzegu. Kupiec skinął głową nieznacznie. Widział już, co ma, a gdy po odepnięciu barki zaczęli pasy na piersiach poprawiać, stawali po dwóch, po trzech koło siebie i nowe siły zbierali do pierwszych kroków, zanim barkę na głębie wyciągną,—on sam Piotra przy najsłabszym postawił, przy małym staruszk, chudym, łysym jak dziadek kościany; staruszek do pociągu nie zdał się już prawie, ale drogę znał, rzekę ze sto razy w górę, w dół przepłynął, upijał się przytém z łatwością; po jednym kieliszku nos mu się rumienił, czerwone plamy występowały na policzki, szklane oczy błyszczały jak u kota; śmiał się, podrygiwał, brał harmonikę i, przygrywając, śpie-

wał piskliwym głosem: „Jak ja była młoda” i t. d., albo: „Oj, licho nie Pietruś,” wykrzywił się, podskakiwał, a zmęczeni, wycieńczeni ostatecznie chłopci orzeźwiali się nieco, śmieli się nawet czasami. W dzikięj okolicy szczególnie, wśród gór lesistych, wśród wąwozów, na brzegu ostremi kamykami usianym, gdzie co krok nowy ślad krwi zostawał na piasku, muzyka ta wyglądała bardzo ładnie. Staruszek podhumorzony grywał nawet ciągnąc barwę. Śpiewać tylko nie mógł wówczas — głos rwał się, zamiast melodyi z piersi wychodziło żałośnie miauczenie. Inni po sześciu, po ośmiu kieliszkach dopiero nabierali otuchy, pozbywali się mrukiwej ponurości, śpiewali, wykrzykiwali razem wrzaskliwe tony, w których dzika wesołość łączyła się z jękiem żałośnym, jakby z samego dna serca wydartym; jemu dość było jednego kieliszka! Jeżeli nie grał, nie śpiewał, to gadał, żartował, zachęcał; wśród jęków przeciągłych, wśród skrzypu powrozów, drżący głos staruszka mile głaskał ucho. Dla tych zasług kupiec przebaczał mu brak sił, słabe nogi i kaszel częsty, przypominający kaszel owcy. Przed bardzo ciężką przeprawą wołał go do barki i dawał jeden kieliszek; stary wiedział najlepiej, kiedy to nastąpi, oglądał się na żyda i mrugał. Nie oszukał nigdy! Nie było potrzeby—nieraz kilka razy na dzień zdarzała się „krwawa droga.” Przy śpiewie, przy muzyce, lub chociaż przy żartach, barka płynęła rażniej, parobcy jęczeli, ale mniej ich było słyhać.

Przy nim to postawił Piotra i był zupełnie zadowolony: gdzie stary osłabnie, młody podciągnie... marzył nawet, że przy młodym może i stary sił trochę odzyskał. Gdzie tam! zaledwo kilkadziesiąt kroków

uszli, Piotr nie zdążył jeszcze jęknąć ani razu, staruszek już potem się oblał, drżał cały i coraz to na swego olbrzymiego sąsiada spoglądał. Piotr szedł wielkimi krokami, w ziemię wpatrzony — pas wjadł mu się w piersi, szorował pod pachami, krew do oczu napędzał! Patrząc w ziemię, widział przed sobą cztery bose stopy; z boku, na wzgórzu, sześć takich samych stóp widział; przed nim i za nim krzyżowały się liny, dotykały kolan, ramienia, jedna się o jego szyję otarła; pomimo to wciąż mu się zdawało, że on tylko jeden barkę ciągnie, że ci wszyscy schyleni, zgarbieni, z wyciągniętymi szyjami, idą sobie tylko, cały zaś ciężar, cała olbrzymia szara masa, posuwająca się nieznacznie na wodzie, o jego piersi się opiera! Na szczęście też, wciąż mu się zdawało, że to tylko pierwsze kroki tak trudne, że, ot, zaraz za tą górką, za temi piaskami, w końcu za wąwozem, za kamieniami lżej będzie. Odechnie sobie... barka na głębsze wypłyne koryto... wówczas i on pójdzie jak wszyscy... teraz za wszystkich ciągnąć musi. Pagórki, piaski, kamienie mijały, gdziegdzie trafiała się łączka z wilgotnym gruntem... brzeg błotnisty, albo zbity, jak stół równy; okrwawione nogi ochładzały się nieco—ale pas na piersiach cisnąć nie przestawał. Stary zerkał na niego, on też parę razy na tego chudeusza spojrział. Inni, idąc obok siebie, rozmawiali urywkami, półsłówkami.

Staruszek tylko się uśmiechał, mrużył oczy, twarz krzywił dziwnie, jak gdyby z niego wszystkie żyły wyciągano jedną po drugiej. Wziął Piotra za rękę, ścisnął mocno, odtąd szli już tak ze splecionymi rękami. Piotrowi było jakby lżej trochę; widział, jak stary stąpa z trudnością, naprzód się podaje, ciągnie z całej siły,

nieraz aż ku ziemi się schylał; czuł, jak mu palce drgają z nateżenia, jak on cały drga od czasu do czasu, niby konający kociak—przekonał się, że nie sam jeden ciężar ciągnie, i lżej mu się zrobiło, oswajał się powoli.

Odпочęli pod górą, potem w lesie przysiedli trochę; kto z kim szedł bliżej, z tym i usiadł; Piotr starego się trzymał, raczej stary przyplątał się do niego odrazu. Nie gadali z sobą, ale znali się już dobrze. Piotr, czując, że stary chwieje się, potyka, przytrzymał go za rękę, ciągnął za sobą.

— He, he, już ja nie do tańca!—stękał staruszek, krzywiąc się żartobliwie...—Nie... do... tań... ca!—Szedł dalej prawie na czworakach, rękami za większe kamienie chwycił, a jak głowę podjął, oczy miał czerwone, twarz potem oblaną; ocierał czoło rękawem, po chwili nowe krople występowały jak rosa.

— Jeszcze dwie góry korzeniaste, drapieżne bestye; co stąpisz, to sęk, albo korzeń, albo cierń ostry, do szpiku włazi; brzeg będzie jak szkłem osypany, nie jeden czort tam kopyta pozdzierał; a potem już tylko piaski ciężkie, dusza z piersi rwie się, oczy na wierzch leżą, ale za piaskami, godzinka, droga i nocleg, jeżeli po drodze na mieliznę nie trafim!—mówił do Piotra na odpoczynku.

Jedli z jednej miski, poczęstował go tabaką, zapytał, jak się nazywa, o sobie zaś powiedział, że w wiosce kiedyś nazywano go Janem, ale oddawna już, żeby od innych odróżnić, „Chackielem” na niego wołają.

— Żydowskie to imię, nie ludzkie, ale cóż robić! Chackiel i Chackiel! widać już im tak do duszy przypadło. Zresztą na wodzie człek żyje jak pies, ani Boga, ni ludzi! żeby nie szczypta słoniny, co tam czasem

w krupniku pływa, sam siebie nie odróżniłby od żyda. Niech sobie będzie Chackiel!

Żartując, patrzył z pod oka na Piotra, znowu tabakierę podsunął, ale do gawędy skłonić nie mógł. Chackiel drogę znał wybornie. Po dwóch górach był brzeg dyabelski, za tém piaski, o zmroku weszli niby w wąwóz głęboki; po obu stronach piętrzyły się wzgórza lesiste, jodłą, sosną, gęstemi krzakami jałowcu porosłe; ściemniało tu nagle, rzeka była węższa, głęboka, płynęła spokojnie, miejscami powierzchnia połyskiwała jak lustro. Ludziska wspinali się po urwiskach, chwytali za krzaki, za kamienie, na kolanach pełzli... głuchy jęk obijał się o wzgórze, stał się przeciągłym echem po lesie. Ludzi w płócienném ubraniu prawie nie widać było na tle góry piaszczystej... jęk wydobywał się jakby z ziemi... zdawał się unosić w powietrzu, w białawej mgie, majaczącej nad wodą. Chackiel, schylony we dwoje, włócił się przy nogach Piotra; powolutku... nieznacznie zdjął pas parciany z piersi, ścisnął w rękę, i wciąż schylony, stękając, spojrzął na Piotra z pod oka. Wdrapywali się po korzeniach, po sękach, miejscami piasek z pod nóg się usuwał... Piotr czuł żar w nogach, chwycił za wystające kanty urwiska, zeschny piasek kruszył się w dłoni, ręka opadała — i znowu zdało mu się, że sam jeden ciągnie. Spojrzął na Chackiela w chwili, gdy ten skrzywiony błagalnie w oczy mu patrzył... pasa nie miał na piersiach — ale wyglądał taki skurczony, mały, chudy, że Piotr tylko głową skinął i patrzył dalej pod nogi.

Ściemniało ostatecznie; zeszli w dolinę. Rzeka wiała się wśród łąki, wśród pól zoranych. Stanęli przy pierwszym zakręcie pod lasem. Nikt nawet o jadle nie

pomyślał; kto gdzie stał, padł na ziemię, brzuchem, piersiami do zroszonej trawy się przycisnął. Chackiel czerpał wodę drewnianą konewką, podawał każdemu z kolei—należało to do jego urzędu muzyka, śpiewaka i humorysty. Pili cheiwie, odpoczywali chwilkę i znowu pili, aż nim żar w piersiach ostygł stopniowo—wówczas wydobywali fajki z kieszeni, ale żaden z miejsca się nie ruszał; leżeli wyciągnięci na brzuchach, z podniesionymi nieco głowami. Chackiel im siermięgi, kozuchy z barki przyniósł, usługiwał każdemu, z każdym miał swoje rachunki. Dopiero gdy ostatnia fajka zgasła, przysiadł na brzegu koło Piotra, kolana rękami objął, skurczony, w kożuszku na ramionach, patrzył sobie na brzeg przeciwny, odpoczywał. Za nimi o parę kroków głuchy las ciągnął się jak wał czarny, zakręcał się w półkole, opasawszy rzekę, w żółtawe brzegi ujętą. W powietrzu drgał szmer wiatru, głuchy szelest nieruchomego lasu, rozlegał się ciężki oddech kilku znużonych piersi; chwilami wiatr, szmer, plusk wody rozplywały się gdzieś między niebem a ziemią. W nocnej ciszy słyhać było tylko urywany, ciężki oddech; słabszy zrazu, stopniowo przechodził w jęk stłumiony, urywał się, cichł, jakby w ziemię wsiąkał, — wracał znowu równiejszy, swobodniejszy, zaczerpnięty z téj głuszy dzikiéj, w której drgało tyle sił zakłétych, wsłuchanych pilnie w niemą skargę uspiionych biedaków.

Piotr spać nie chciał; trzymał w wodzie pokaleczone nogi i wpatrywał się w piaszczyste wzgórze na drugim brzegu. Dzień cały płynęli, brzegiem wlekli się wiorst kilka—a ztąd w prostéj linii i pół wiorsty do wioski nie było. On sam orał nieraz naprzeciwno tego lasu—każdy krzak, każde wzgórze znał jak własne za-

gony. Wzruszył ramionami, dziwiąc się, że to tak inaczej lądem, a inaczej wodą krążyć trzeba. Patrzył, uśmiechał się nieznacznie... żeby miał łódkę, skoczyłby i trafiłby jeszcze do chaty na wieczerzę... Bliziućko... klin żyta... miedza—z pół morga pola... droga... zarosła i wioska... ich chata, pierwsza z brzegu.

— Sen mię bierze!—szepnął Chackiel.—Na pierzynie możeby zasnął, na ziemi... szkoda kości.

— Na pierzynie! — mruknął Piotr—to waszeć chyba naprawdę z żydów?

— Ej, nie! z wioski... tylko z dalekiéj! Bóg tam wie, czy ona jest jeszcze na świecie! Może zgorzała, a może ludzie wymarli... żywego człowieka z tamtych stron nigdy nie spotkał. A może ją teraz inaczej nazywają? Kogo nie spytam o Cieciorkę, nikt o niej nigdy nie słyszał. Jeden Sokoły znał, drugi Wierchiewice, byli nawet tacy durnie, co kiedyś w Gawronkach mieszkali, tylko Cieciorki nikt nie widział. Teraz już nie pytam, bo pewno inaczej nazwali. Trafiłby może... tylko nie wiem, kędy droga! Teraz wszystko maszyną jeżdżą... a ja ztamtąd piechotą wyszedł, to i trafić trudno! Gdzieś koło Swisłoczy... a tu gadali kiedyś, że i Swisłocz zgorzała! Ha, żyć bywa źle i dobrze, umierać zawsze kiepsko... a mnie chyba już do śmierci idzie... po śmierci dusza sama trafi, gdzie jęj przeznaczono. Ot i tam za pagórkami coś gore!—dodał ochrypłym głosem, głową na brzeg przeciwny wskazał—może wioska, a może tylko nocleźniki?

Piotr dawno już spostrzegł na niebie biały obłok dymu, potem żółtawą smugę, niby lunę, niby odbłask wschodzącego księżyca... Patrzył.. wzrok natęzał,

podniósł się z ziemi, z wyciągniętą szyją jeszcze lepiej wpatrywać się zaczął.

Łuna rozlała się na horyzoncie... czerwone odbłyśki sięgały coraz wyżej.

— Gore, akuratnie gore!—mruknął Chackiel.

Piotr drgnął; rzucił okiem na barkę wśród rzeki, na łódkę, kołyszącą się u jednego jój końca, potem na las spojrzął; w dwóch susach, jak dzik zraniony, rzucił się ku drzewu; zanim Chackiel zdołał spojrzeć przez ramię, on był już w połowie wysokości sosny, wdrapywał się na wierzchołek, chwytając za sęki... a łuna, rozlana po niebie, zaczęła już cieniem wierzchołki lasu ozłacać.

Gorzała chata Czmiela! W cichój nocy paliła się jak świeca... prawie bez szmeru... bez łoskotu, właściwego pożarom. Stara strzecha, spróchniałe krokwie i ściany zajęły się odrazu. Ogień w mgnieniu oka objął chałupę, strzelił słupem iskier do góry, uspokoił się, zwolniał, pochłaniał kupę odwiecznych rupieci.. ludziska wyskoczyli z niej cudem jakimś. Franek, Maksym, Maksymowa, malcy stali rzędem naprzeciwko ognia w ulicy... Oniemieli z przerażenia, wpatrywali się w płomień. Nogi w ziemię wrosły, głos skonał w piersiach. Dopiero gdy komin runął, Maksymowa jęknęła: o Jezul!

Maksym spojrzął na nią, potem na obórkę, na stodółkę, wypełnioną zbożem po brzegi. Ani jedna iskierka nie leciała w tę stronę... najłżejszy wietrzyk nie poruszył płomieni... chata gorzała cichutko, szary słup dymu wznosił się zwolna ku niebu... Sąsiedzi nawet, przerażeni w pierwszej chwili, uspokoiłi się stopniowo. Chata stała na końcu, oddzielona od wioski

ogrodem, szeregiem brzózek, a paliła się tak równo jak kupa suchej słomy... Ciekawość przemogła trwo-
gę... W mgnienia oka cała wioska stała już przed
ogniem, baby na froncie, w koszulach przeważnie, bez
spódnic, bez fartuchów, jak która zerwała się z po-
ścieli. O ratunku nie było mowy, trwoga pierzchła.
Całe to zgromadzenie, zbite w kupę pośrodku—z od-
ważniejszymi na prawém i lewém skrzydle, okolone
czarną nocą, z odblaskiem czerwonawej łuny na prze-
rażonych twarzach, wyglądało jak fantastyczne mary,
grzejące się zdaleka przy odrobinie piekielnego ognia.
Rozzochrane baby z kosmykami siwych i czarnych
włosów na czole dopełniały złudzenia.

Za wioską, gdzie się zaczynały gęste zarośla,
Ewka bosa, bez chustki, z rozplecionymi warkoczami
na plecach, w koszuli tylko i podartej spódnicy, stała
jak odrętwiała przed Andrzejem—poznała go odrazu,
słyszała głos jego, czuła, jak trząśł ją za ramię, przez
zaciśnięte zęby krzyczał jój coś nad samém uchem.
Czuła nawet, że już coś łusnęło w ramieniu, ból stra-
szny przeszedł po grzbiecie, przemówić tylko nie mo-
gła... Patrzyła mu w twarz szeroko otwartymi oczyma,
poruszała nawet ustami, ale głosu z piersi wydobyć nie
mogła. Daleki blask ognia słał się po polu, przekra-
dał się do wioski, chwilami oświecał szeroką twarz,
rude kudły, wąsy obwisłe... koszulę rozpiętą na szero-
kiej, kosmatiej piersi. Widziała tedy, że to on, tem sam!
W dzikięj trwodze wpiła się paznokciami w jego rękę.
Bała się, żeby nie znikł, żeby wskróś ziemi nie po-
szedł, nie zostawił jój samęj wśród nocy czarnej. Trzę-
sła się, dzwoniła zębami... Aż w końcu jemu złość

przeszła... Spojrzał na nią spokojniej: akurat taka sama, jaką zostawił—obdarta, samotna, strwożona.

— Czegóż drżysz, głupia? no, cicho... ja nie czort przecie, ani rozbójnik! Ogień więdźmy nie wziął!—mruknął wytrzeźwiony ostatecznie; zmierzył ją od stóp do głowy, obejrzał się przez ramię ku wiosce... przez chwilę patrzył na zmniejszający się ogień, na czarne sylwetki, widniejące zdaleka.

Ewka oprzytomniała; zęby tylko latały jeszcze jak w febrze, podzuciła ramionami.

— Czort ich spalił!—szepnęła.

— Cicho! waryatko! — syknął Andrzej przez zęby.

Ale ona już go się nie bała! Życie, wstrzymane chwilowo, wybuchło w niej z nową mocą! Trzepała świszczącym, urywanym głosem o swój doli ciężkiej, o poniewierce, o głodzie i chłodzie, o wołach przeklętych, o karze boskiej, o wiecznym potępieniu. W ciszy nocnej głos jej rozchodził się jak szept złowrogi zduszonego potworu.

— Cicho! — powtarzał Andrzej, parę razy rękę do jej ust podniósł. Odejść nie mógł... przykuwało go coś do miejsca... czekał, nim ostatni płomień zagaśnie. Ogień buchał jeszcze chwilami... dopalały się zręby... chwilowo rozległ się blask silniejszy... echo przeciągłego okrzyku rozległo się w zaroślach...

— Woły ryczą!—syknęła Ewka.—Andrejek miłeńki, drogieńki, kochany — trzepała, uczepiwszy się jego ramienia,—żeby ty wiedział, żeby ty słyszał, żeby ty własnymi oczami oglądał, co ja biedna, nieszczęsna wycierpiała w tej chacie przeklętej... Dzięki tobie, Boże miłosierny, że czort ją raz spalił!

— Milcz, waryatko!—krzyknął Andrzej.

Pociągnął ją za sobą w las, w zarośla, szli coraz prędzej; w ciemności nocnej migali jak dwa cienie wzdłuż górzystego brzegu rzeki. On szedł wielkimi krokami, ona dreptała przy nim, trzymając się z tyłu za jego kamizelkę.

— Szkoda, że ja choć bochen chleba nie schwycała!—szepnęła Ewka, drżąc z chłodu.

On też poczuł, że od rana, prócz wódki, nic w gębie nie miał!

Nim ogień zagasł, zniknęli gdzieś w ciemnej przestrzeni...

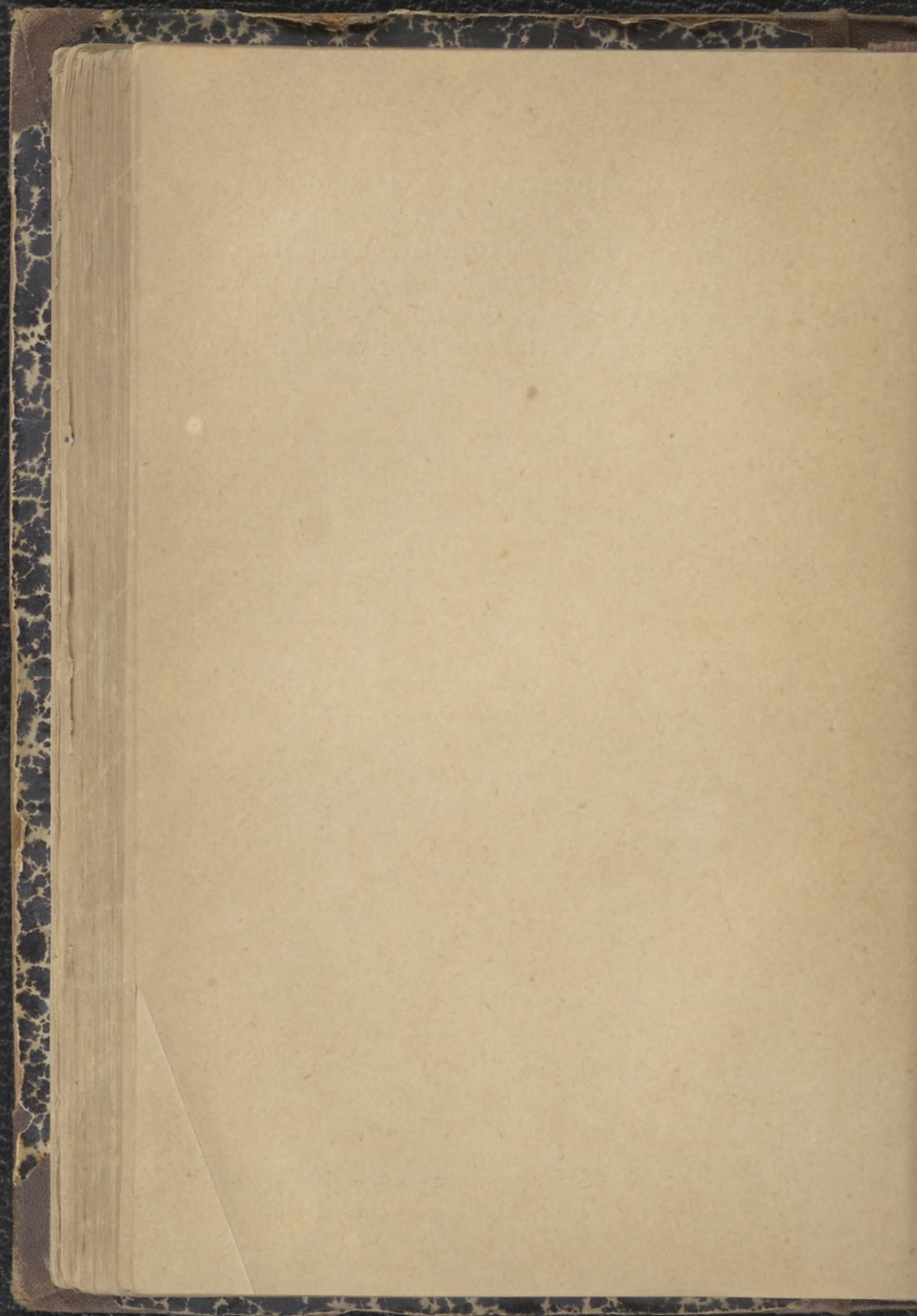
*

*

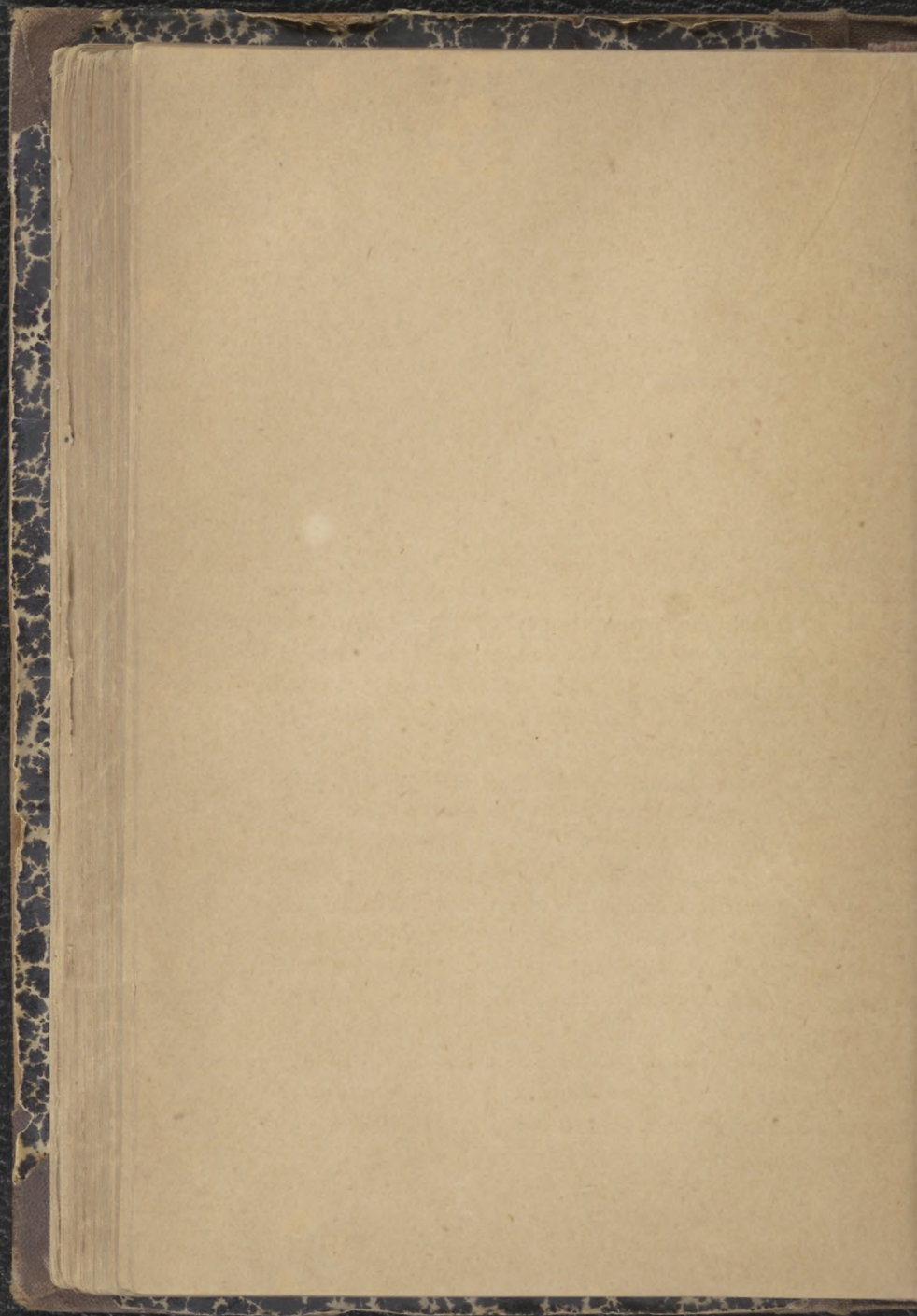
*


W rok potem, na miejscu starej stała nowa chata, większa, z kominem i z gankiem o dwóch słupach. Pieniędzy Maksymowi pożyczyci trochę sąsiedzi, resztę zakredytował cieśla. Ze skarbu ojcowskiego w zgłiszczach, koło komina, znaleźli kilka monet zczerniałych, reszta przepadła bez wieści. Maksymowa w nowej chacie miała wielki podpiecek, gdzie ze dwadzieścia kur pomieścić można było. Ona też jedna z całej rodziny codziennie serdecznie dziękowała Bogu za pożar. Wraz z chatą spaliła się jej cała bieda, utrapienie... spaliła się Ewka! Napróżno wmawiali sąsiedzi, że widzieli ją zczerniałą, wygłodzoną, w mieście wśród robotnic przy budowaniu domów, na kiermaszach, w szynkowni. Ona wierzyć nie chciała. Franek też wierzyć nie chciał tym bajkom, głośno opowiadał wszystkim, że wiedźma zgorzała, że on sam znalazł zwęglone jej kości pod

kominem, wygrzebał i do rzeki wrzucił. Został już nawet parobkiem u staréj, bogatéj wdowy,—ajak tylko wszyscy uwierzą w spalenie się wiedźmy, on się z wdową ożeni. Tymczasem kupił sobie za jéj pieniądze nowe buty, czapkę i szaraczkowy surdut, gdyż szynel żołnierski wraz z inną odzieżą spalił się w chacie...



ZŁOTA RYBKA.



 wagonie pierwszej klasy, zapewne z powodu ciężkich czasów, jechały tylko trzy osoby: stary jegomość w jedwabnej czapeczce, nasuniętej na oczy; drzemał bez przerwy, na stacyach nawet nie podnosił głowy, nie ruszał się z miejsca, — widocznie jechał daleko i podróżował często; — dwóch ludzi średnich lat, którzy, chociaż przy spotkaniu na stacyi okazali wielkie zdziwienie, omal nie nazwali siebie po imieniu, teraz udają nieznajomych. Mężczyzna barczysty, na cienkich nogach, z wielką głową w ramionach, przypomina Ezopa; obrócony plecami do damy, zasiadł na sofie, brodę oparł na gałce laski i patrzy w okno. Dama, zasunięta w fotelu, otulona pluszową rotundą, udaje śpiącą; z pod woalki widać delikatne rysy i białą cerę, z pod kapelusza gruby warkocz złotych włosów; woń heliotropu zalatuje od niej aż do Ezopa, — jest to jedyny łącznik między osobami, którym widocznie wiele na tém zależy, żeby się nie znać. Dama od czasu do czasu podnosi powieki, spoglądając

z ukosa na sofę, widzi szpetny profil Ezopa: ogromne ucho, szpakowaty zarost, niskie czoło i sterczącą czuprynę; przy najbliższym jego poruszeniu zamyka oczy, tłumi oddech. Pewną jest, że on nie wytrwa w roli nieznanego; gbur z natury, nie zrozumie, że go poznać nie chciano, i pierwój lub później zwróci się do niej z powitaniem. Teraz może obmyśla, od czego zacząć rozmowę, waha się, chciałby i nie śmie. Dostrzegła, że parę razy niechcący spojrział w jój stronę. A może to nie on? Widziała go przed trzema laty; przez ten czas postarzał, posiwił i jeździ pierwszą klasą! Mógłby sobie jechać chociażby na lokomotywie, byleby nie w jednym z nią wagonie, teraz, kiedy ze wszystkich swych znajomych jego jednego spotkać nie chciała. Oh! takich jednostajnie szpetnych trudno spotkać. Jakżeby tryumfował, gdyby wiedział, że ona jedzie samotna, bez sługi nawet, samiuteńka, tak opuszczona, że, w razie nagłej śmierci w wagonie, niktby się o nią nie dopomniął, nikt, ani żywa dusza z tysięcy bliższych i dalszych znajomych! Najnędniejsza pasażerka, ta obdarta kobieta z dzieckiem, co wsiadła gdzieś tam do ostatniego wagonu, ma przy sobie męża, brata, czy kochanka, draba w dziurawej siermiędze, z piłą i workiem na ramieniu; szli razem, a kiedy w pośpiechu ktoś trącił kobietę, drab plunął w ślad za nim. Widziała to z okna swego wagonu; wówczas jeszcze Ezopa nie było, mogła się rozglądać swobodnie; teraz udaje śpiącą, wie, że skorzystałby z każdego jój ruchu, żeby się obejrzyć i znajomość odnowić. Wstrętny! Szpiegował ją zawsze! I teraz na rozstajnych drogach stanął przed nią z miną sfinksa. On jeden mógłby rozplątać zagmatwaną chwilowo zagadkę jój przeszło-

ści i śmiać się tryumfująco, że przepowiednie jego sprawdziły się w części.

Mijali stację za stacją. Ezop nie ruszał się wcale; ma kilka numerów gazet w kącie na sofie i książkę Bernheima w żółtej okładce, z czerwonym napisem: *Suggestion mentale*; do czytania się nie zabiera, nadśluchuje, czeka na lada szmer, podnosi głowę—szmer cichnie, Ezop dalej patrzy w okno z pozorną obojętnością.

Dzień był dżdżysty, okna potniały co chwila. W wagonie dawał się czuć chłód jesienny. Droga przerywała dolinę, żółtkłą trawą pokrytą; gdzieś drzemały jeziorka, błota, brzeźniak ogołocony z liści, szereg chat bez kominów; na pastwisku przy drodze krowy i bosa dziatwa w siermięgach spozierały ciekawie na przebiegający pociąg. Miejscami wysokie nasypy zasłaniały okna; las rzadki, z brzoź, jodeł i sosen, zakrywał widok; szerokie przestrzenie ze spróchniałymi pniami świadczyły o puszczach, które teraz tylko w bajkach istnieją.

Na stacjach ruch większy; prawie na każdej czeka kilku żydków z tłumokami, szlachcie w długiej, brązowej burce, parę zafrasowanych kobiet i kupka żołnierzy. Wagony pochłaniają gromadkę za gromadką, lokomotywa pędzi dalej. Krajobraz wciąż jednostajnie wygląda. Wilgotny chłód przejmował coraz bardziej.

Jegomość w czapeczce kilkakrotnie zażył po parę kieliszków rozgrzewających kropel, p. Nina otuliła się starannie rotundą, Ezop uderza zlekka kolanem o kolano. Nie ma na sobie zimowych flaneli; Magda, jedyna gospodyni i opiekunka, zapomniała ich włożyć do tłu-

moczka; oj, te kobiety! Wiezie jój za to rękawiczki na barankach i patronkę, piękny obraz: pół-naga pokutnica u stóp krzyża obok trupiěj czaszki. Z patronką stara Magda ma tyle wspólnego, że całe życie pokutuje, chociaż nigdy nie grzeszyła.

Wraz z flanelą i kucharką przychodzi na myśl ciepłe mieszkanie, samowar, szlafrok i pantofle, tylko, że, zamiast starěj gospodyni w rurkowanym czepku, dama w rotundzie nasuwa się uporczywie przed oczy. Zażył tabaki, kichnął. Złotawa główka z piwnemi oczyma jeszcze wyraźniej zarysowała się przed nim, młodsza tylko, niż ta w fotelu — młodsza o wszystkie lata, podczas których jój nie widział i widziéć nie chciał. Były to najspokojniejsze lata jego życia, wówczas to wyłysiał, posiwał i tak zgorzkniał, że, myśląc o sobie, czuł pieprz w ustach. Przemienił się za to w pracowitą machinę, zdobył taką sławę, że dziś ludzie więcéj o nim wiedzą, niż on sam o sobie. Jego nauka, uczciwość, szczęście nawet, weszły w przysłowie; znajome matki pierworodnym synom dają jego imię, każdy zazdrości mu sławy, pieniędzy, tylko nie cienkich nóg i nie Ezopowěj twarzy. Przy sposobności każdy cytuje chętnie, że „widział doktora Czyżyka, mówił z doktorem Czyżykiem, słyszał coś od doktora Czyżyka.” W mieście popularniejszym od niego jest chyba tylko lichwiarz-milioner, kupiec, co sześć razy bankrutował i zawsze piękniejszy sklep otwierał, i kulawy roznosiiciel gazet, którego mieszkańcy pamiętają od lat trzydziestu. Popularność nakłada na niego coraz nowe podatki w postaci składek, biletów loteryjnych, wsparć, protekcyj i zapomóg; to mu przyczynia trochę wrogów i wielu niezadowolonych, którzy go zarówno mało

obchodzą. Nieraz, słuchając we własnym gabinecie epitetów, mniej lub więcej uprzejmych, czyści paznokcie, spoziera w lustro z pod czoła.

— Trzebaż było urodzić się taką małpą!—szeptem w duchu, wzruszając ramionami. — Bądź-że tu Don Żuanem z tą buzią; mimowoli musisz zostać filozofem.

Ludzie dawno oswoili się z jego brzydota; kobiety znajdowały go bardzo interesującym. On sam tylko, ile razy przypadkiem lub dobrowolnie spojrział w lustro, spluwał, albo wzruszał ramionami. Miał swoje manie, jak niegdyś, w przeszłości, miał zaczarowane zamki na łodzi, w których coś straszyle. Teraz wyleczył się z dziwactw, zarzucił nawet elegancję; podczas gdy wszyscy noszą mniej lub więcej wyraźne kraty, kolorowe krawatki, kapelusze z małemi rondami i długie paltoty, on ma zzieleniały paltot z aksamińnym kołnierzem, szaraczkowe spodnie, a na szyi czerwona w żółte kwiaty chustkę Magdy; tasiemki od skarpetek spadają na pięty, z pod mankietów widać czerwone rękawy trykotowej koszuli, miękki filcowy kapeluszek zsunął na ucho. Od czasu, jak wyjechali z ostatniej stacyi, coraz niecierpliwiej uderza dłonią po gałce laski; nie ogląda się, ale widzi, jak p. Nina ostrożnie podniosła pled, rozesłany pod nogami, zdjęła parasol i wraz z torebką położyła na fotelu. Wymyka się przed nim... ha, ha! stara historia! Dlaczego zmyka? Jeżeli przez kilka godzin nie spojrział na nią, teraz témbardziej. Zapewne ma cel jakiś tajemniczy, albo przez śmieszny kaprys udaje, że go nie widzi.

Nieraz już zauważył, że wobec kobiet grał rolę sumienia—najnudniejsza rola. Staruszki tylko i podlotki witały go zawsze z jednostajną pogodą, inne bały

się trochę; przez zbyteczną ostrożność mimowoli wtajemniczały go w sprawy, o których ani chciał, ani potrzebował wiedzieć. Wszystko to zawdzięczał swojej popularności. Ta też nie chce mu spojrzeć w oczy. Zabawna! Nie przypuszcza nawet, jak bardzo on postarzał. Jeśli dotąd jeszcze pamięta dokładnie jój rysy, kolor włosów, głos, każdą suknię z osobna, formę najczęściej używanych biżuterij, jeśli mógłby ułożyć dokładny zbiorek jój *bons mots*, ulubionych wykrzykników, ekscentrycznych sądów i przekonań, jeśli dotąd nie zapomniał dnia, w którym ją poznał, wszystkich dat, w których witał i żegnał,—to dlatego jedynie, że pamięć ma wyborną. W szkołach miewał zwykle piątkę z łaciny; bez omyłki dziś jeszcze gotów wymienić zarówno daty historyczne, jak i najpamiętniejsze dni swojej chromej przeszłości.

Dla ułatwienia odwrotu, gdy stanęli na miejscu, zaczął niby szukać czegoś pod sofą; nachylony, sapał zcicha, bo go ta zmora młodości nie na żarty dławić zaczynała; dopiero gdy usłyszał, że drzwi skrzypnęły, podniósł głowę, spojrzął na pusty fotel. Cichutko, na palcach, jak gdyby się wstydził swych lat pięćdziesięciu, przesunął się z sofy na fotel i głowę przyłożył do poduszki.

Pociąg stał na stacyi czterdzieści minut; Ezop po drugim dzwonku dopiero przypomniał sobie, że dalej jechać nie miał zamiaru. Patronka Magdy wraz z barankowemi rękawiczkami o mało nie zostały w wagonie, tak śpiesznie zmykał od widm różnych, wywołanych w przeciągu kilkogodzinnej podróży. Stojąc na peronie z walizką w rękę, raz jeszcze przez okno zajrzał do wagonu: na fotelu siedziała otyła jéjmość w po-

deszłym wieku, z białym pudelkiem na kolanach. Pani Nina w tej chwili właśnie odjeżdżała do miasta w hotelowej karecie, zamysłona, nie czując drgania starych resorów, nie słysząc smagania biczyskiem zmęczonych koni. Szkoda—miałaby jeszcze jedną dotkliwą przykrość do zaznaczenia na czarnej karcie swego żywota...

Dom Siekierskich, niegdyś pałacem zwany, stał w głębi długiego dziedzińca, po obu stronach wysadzanego szeregami lip odwiecznych i zarosłego zdziczałymi krzewami. Stare domostwo o czterech kolumnach, podpierających dach ganku z herbem i blaszaną chorągiewką, z popielatego przemieniło się w brudno-szare, tynk opadł gdziegdzie, a u spodu, przy ziemi, wystąpiły zielone plamy pleśni. Widziana z ulicy przez żelazne sztachety rudera ta imponowała dużymi oknami, chorągiewką i herbem, zaś długi dziedziniec, stare drzewa, wiecznie zamknięte drzwi i okna przypominały klasztor lub więzienie. Właścicielka na przyjazd miała zostawionych kilka pokoi; przyjeżdżała rzadko, mieszkała kilka tygodni, resztę domu wynajmowała komu się zdarzyło. Czas jakiś pod herbem widać było niebieską tablicę z żółtym napisem: „Zarząd akcyzny,” potem czarną ze złotymi literami: „Zarząd dróg żelaznych NN.” Ostatnio mieszkał tu romantyczny notaryusz, rozmiłowany w starych drzewach, w dużym ogrodzie, w samotnej ciszy pośród ludnego miasta. W jesieni i na wiosnę klienci i urzędnicy gubili kalosze w rozmięklej glinie podwórza, krztusili się w murach, przesiąkłych odwieczną wilgocią; w lecie wraz z wonią róż i jaśminów dolatywał zapach skór z garbarni, wybudowanej tuż za parkanem. Od roku dom próżnował. Podwórze zarosło trawą, droga od

bramy do ganku zasypana żółklemi liśćmi. Pod drzewami, wzdłuż sztachet, wywrócone taczki, wóz bez kół, stara beczka, między liśćmi walały się cegły i kawałki spróchniałych desek. Okna po lewej stronie ganku, bez firanek, bez rolet, czerniały długim szeregiem; po prawej, w mieszkaniu dziewczynki, zasłonięte szczelnie roletami z szarego płótna. Głucha cisza otaczała tę rudere, niską, jakby w ziemię zapadłą, pomimo swych ścian grubych i olbrzymich kolumn.

Ciemniało już, kiedy p. Nina zajechała przed bramę, niespodzianie; nieoczekiwana, musiała się anonować stróżowi; przez cały kwadrans stała u drzwi na ganku, zanim odszukano lokaja, co strzegł pańskich pokojów, a zarazem sprawował urząd rządcy domu. Wpuszczono ją nareszcie do sieni sklepionój, o kamiennej posadzce, zastawionój pakami z desek, wilgotnej, ciemnej jak jaskinia. W pokojach chaos jeszcze większy: stoły, krzesła, sofy, łóżka, pozsuwane na środek, żeby nie gnily przy ścianach, okryte kurzem, obdarte, połamane, tamowały przejście, walały się po wszystkich kątach, poszarpane tapety zwieszały się brudnymi szmatami, w podłodze dziury, szyby zabite deskami, wilgoć, chłód, stęchlizna jak w grobie!... Spoglądała na to przerażona. Bywała tu z ciotką nieraz przed laty; wyglądało to zawsze szkaradnie, ale nie tak przerażająco... Dostała się wreszcie do swojej sypialni, gdzie, oprócz zwykłych sprzętów, na prześcieradle przed kominkiem suszyły się tytoniowe liście, na łóżku pościel Jana, lokaja,—na gwoździu, przy drzwiach, parę sztuk jego garderoby. Ciepło tu było, czysto, a zamiast stęchlizny pachło tytoniem i butami.

Zbyteczne rzeczy usunięto natychmiast; pokąd wietrzono pokój i ustawiano kufry, p. Nina oczekiwała w sali, szkaradnej izbie, gdzie z lepszych czasów pozostały dwa lustra między oknami, odwieczny żyrandol u sufitu i kupa uszkodzonych mebli, czarną skórą obitych, stołów kilka różnego kształtu i wielkości, obdarte ściany, brudne sufity, szyby przepalone od słońca... I ona ma tu zamieszkać, w tej jaskini, gdzie po kątach gnieźdzą się żaby, pod piecem krzyczą świerszcze, wiatr dmie z każdego okna! Ciotka nie roztrwonila się zbytecznie, dając jój do rozporządzenia tę pustkę. Z resztkami kapitału mogła tu sobie zamieszkać choć do śmierci. Co za los świetny! Brudna kucharka będzie jój gotować skromne obiadki, usługiwać, opierać i okradać wedle możności! Od czasu do czasu bogate ciotki, kuzynki, znajome, przysła trochę warzywa, mąki, masła, a jeśli i ta pomoc nie wystarczy, dopomoże sobie, fabrykując włóczkowe patarafka, serwety, chusteczki. Wysoko postawione osoby, przez wzgląd na jój ród i pochodzenie, wyroby te wezmą pod swoją opiekę, urządzią loteryę, rozprzedadzą między sobą... przez litość. W towarzystwie będą ją nazywać *cette pauvre Nina*, a młode panie, chcąc okupić jakąś myśl grzeszną, bezimiennie przysła jój parę rubli! Z początku będą ją zapraszać w godzinach między obiadem i herbatą, na samotną gawędkę, żeby nie potrzebować ubogiej kuzynki przedstawiać nikomu; dobre, litościwe, z eleganckim współczuciem ofiarują kilka par przybrudzonych rękawiczek, zeszłoroczną okrywkę, suknię lub kapelus; wstąpią nawet do niej czasami na chwilkę, akurat w ten dzień, kiedy kucharka spalonem masłem zapowietrzy całe mieszkanie, albo bosa, podka-

sana, zacznie szorować podłogę! Mężczyźni młodzi przestaną jęć się kłaniać odrazu; starsi będą udawali, że jęć nie widzą. Staruszkowie zaszliby do nięć na partęć bezika, ale będą się lęćkali tęć herbatki tanięć, bezwonnęć, podawanęć w szkaradnych szklankach na fajansowych spodeczkach, którąć trzeba przełknąć przez grzeczność! Święte życie! Cicha, samotna ścieżka, prowadząca prosto do nieba! Pójdzie niąć kiedyś, ale jeszcze nie teraz!

Pysznąć była z pogardliwym uśmiechem na ustach! Wysoka, kształtna, z malutką główką, wspaniałemi oczyma, wśród brudnego chaosu wyglądała jak królowa w sklepiku tandeciarza! Stary Jan, spoglądając na niąć z ukosa, wydziwić się nie może. On ma córkę w jęćć wieku, babęć z sześciorgiem dzieci, zgarbioną, żółkłą, schorzałą, jak gdyby nad grobem stała! Ta—kwitnie! Jak była piękna, tak i jest, piękniejsza może; dawnięćć na wielką paniąć nie wyglądała... teraz... ho, hol

W pół godziny oczyścił pokój, zapalił na kominu, podał lampęć i stał wyprostowany u progu, czekając na dalsze rozkazy. P. Nina, obróćcona do niego plecami, obliczała swoje kapitały. W ładnym woreczku z oliwkowego pluszu miała kilkanaście guldenów, jednąć pięćiofrankówkęć i trochęć srebrnej monety. Te skromne środkić nie zajmowałyć jęćć w tęć chwili. Na stacyi jadła szkaradne jakieś mięso, piła kwaśne wino; teraz, z restauracyi, nie wie, czego sięć może spodziewać: sielankowe życieć na własnąć rękęć zaczynało sięć od kłopotów. Od złęćgo jadła uciekłybyć nawet do kłasztoru!

— Weźmiećć co jest najlepszęćgo: mięsoć jakieś, bylebyć świeżeć i bez sosu, winoć i czarnąć kawę.

Namyślała się chwilę, ale na razie, bez karty, nic jęj na myśl nie przychodziło. Przygotowaną była, że pierwszą noc w więzieniu przepędzi głędna, z bólem głęwy od dymiącego kominka, może nawet wcale spać nie będzie! Jutro będa się skończy. Jak tylko dowiezą się, że przyjechała, starsze i młodsze kuzynki przybęda po nowiny! Wszystkie już wiedzają, że ciotka jęj wyszła za mąż powtórnie, że tym sposobem ona została usunięta na dalszy plan w sercu i testamencie. Żadna nie domyśla się nawet, że zmuszoną była dom jęj opuścić i poprzysięgła, raczję dała sobie słęwo honoru, nigdy nie przestąpić jęj progę! O tēm wiedzjeć nie powinny.

P. Nina zna swój świat: strojną, wesołą, wykwinćnie elegancką, powitają wszędzie z otwartęmi rękęma; ona inaczję witaną być nie chce. Dopiero kiedy otrzyma kilka zaproszeń na dłuższy pobyt, wybierze sobie odpowiedńie otoczenie, napomknie zdaleka, że do ciotki wracać się nie chce, srodków na utrzymanie domu nie ma, ale przy bogatęj rodzinie utrzyma się, nie będąc nikomu ciężarem.

Miała na myśli dalszych i bliższych krewnych. Byli to ludzie bogaci, z tytułami, albo bankruci; wiedziała, że na wsi mają domy wykwinćnie urządzone, pałace z parkami, liberyą, powozy, dobrego kucharza; w mieście, podczas zimy, zajmują ładne apartamenta, ale jak stoją majątkowo, czy mają długi, kłopoty: nie wiedziała wcale. Znalazła się w położeniu kukułki, która, chcąc umieścić pisklę w cudzým gnieździe, odpowiedńio karmiących się ptaków szukać musi. Pisklęciem była ona sama, spragniona cudzego gniazda i cudzję żywności.

Kilka listów napisała tegoż wieczora jeszcze; do mieszkających w mieście pojedzie sama jutro; o fortunie, stosunkach wogóle, poinformowałby ją d-r Czyżyk—ten zna wszystkich, ale ona go znać nie chce, wogóle ma wstręt do natrętów: wrogom przebaczyć można; wścibski, znający nietylko wady, ale i śmieśzości, za dużo wie, żeby mógł być znośnym. Nie podobał się jój odrazu, kiedy przed dziesięciu laty, lecząc ciotkę, pojawieniem się swoim zrobił jakby wyłom w ich spokojném, bardzo wykwintném otoczeniu. Przyjeżdżał na wieś bez ceremonii, w ubraniu z surowego jedwabiu, zawsze spotniały, mówił i śmiał się dużo, jadł bez miary i często gadał bez sensu. Ciotka przyjmowała go z pobłażliwością ciekawej i trochę znużonej kobietki; ufała w jego naukę, lubiła go nawet za szczerość, prostotę, brak wszelkich pretensyj; tylko gdy śmiał się zbyt głośno, zasłaniała uszy rączkami, z pieszczotliwym wykrzyknikiem:

— Moje nerwy, doktorze!

P. Nina nie mogła się zdobyć na tyle pobłażliwości; przeciwnie, próbowała nieraz utrzymać go w karchach zapomocą sztywnej etykiety, pogardliwego uśmieszku, zapomocą eleganckiego lekceważenia przedewszystkiém. Rzadko z nim rozmawiała, a gdy się znaleźli sam na sam w ogrodzie lub w salonie, zwracała jego uwagę na świat zewnętrzny, żeby jaknajmniej mówił o niej i o sobie. Przeżywał wówczas straszną walkę, usiłując pogodzić szaleństwo ze zdrowym rozsądkiem.

— Zginę! a wraz ze mną przepadnie jedyny okaz orangutanga wśród ludzi! — powtarzał, czując, że słabnie.—Cierpliwości! trzymaj mię na wodzy; w rozsądek

przestaję wierzyć! Tchórzy przed miłością; pierwój czy później wystrychnie mię na dudka! Jeżeli ludzie nazwą mię waryatem, będą mieli słusność tylko w polowie; jestem waryatem i głupcem, wkrótce może i błaznem zostanę, wówczas już niczego ludziom zazdrościć nie będę. Bodajbym zmarniał wprzód, zanim ta, jedynie rozumna, piękna myśl zawitała do mojej głowy! Żeby mi skrzydła raptownie wyrosły, byłbym w mniejszym kłopotcie! Zakochany orangutang, to bodaj najsmieszniejszy potwór. Oj, czuję że się na żal zbiera! Głupi żal, co zamiast w sercu siedzieć, wygląda przez oczy, wykrzywia usta i biednej małpie nadaje minę zbiedzzonego szpitalnika! Jeżeli poddam się, przeklnij mię szlachetny rodzie małpi, gdyż będę wówczas najsłabszym z ludzi!

Nie poddawał się! Rubaszna wesołość pomagała do maskowania wzruszeń; najgorsze było owo sam-nasam! W salonie jeszcze pół biedy—miał dokoła wykwinny arsenał cywilizacyi, który mu wciąż jedną broń przypominał, straszną nawet dla filozofów. Śmieśność, bardziej jeszcze niż cierpliwość, trzymała go na wodzy! W ogrodzie, wśród odurzającej woni kwiatów, w cienistym parku, miękł znacznie, stawał się małowównym, albo mówił przyspieszonym tempem, jak strwożony uczeń, kiedy wydaje źle umianą lekcję.

Nosiła wówczas białe sukienki, buciki ze złotawej skóry i warkocze spuszczone na plecy; chodziła tak leciuchno, że biedny Ezop mimowoli stąpał na palcach, dreptał obok niej drobnemi kroczkami, wpatrzony w główkę zgrabną jak u greckich posągów, w świeżutką twarzyczkę, w długie rzęsy pysznych oczu. Gdy zbyt długo milczeli, wskazywała mu bożą-krówkę na

białej lilii, albo pajęczka na róży. Z natury miał nieprzewyciężony wstręt do owadów i płazów—lada pajak mógłby go wypędzić z mieszkania, skazać na nocleg na schodach, podczas zimy! Schylał się wraz z nią nad lilią, drżącymi palcami brał muszkę i kładł ją sobie na rękę.

— Prześliczna, bardzo ładna!—powtarzał; gotów był drugą ręką głaskać ją aż do uduszenia.

Oglądając, p. Nina zbliżała się ku niemu, z uśmiechem spoglądała na owada, pełzającego zwolna. Jednocześnie mrowie go przebiegało od muszki i od świeżego oddechu, który czuł wyraźnie na powierzchni ręki! Do pajęczka przemawiał: „o ty przyjacielu!” albo „oh, psotniku!” tak swobodnym głosem, jak gdyby w istocie najbardziej lubił w naturze białokrwiste stworzenia.

— Jeżeli kiedy każe pogłaskać żabę, to będzie źle! czuję, że nie wytrzymam — rozmyślał, zzymając się na samą myśl o wstrętnym krzeku.

Kiedy jednak raz w parku zielona żaba przeskoczyła im drogę: „O! co zazgrabne stworzonko!”—zawołał, i już schylał się, żeby ją podnieść z ziemi. P. Nina skinęła tylko główką; żaby nienależały do jej faworytów. Przestał wierzyć w idyosynkrazję; będąc tam, w ogrodzie, uśmiechał się do gąsienic, pełzających po drzewach, z zupełną obojętnością spoglądał na chrabąszcza na swoim ramieniu! Żeby z poza kunsztownie przystrzyżonych krzewów, z pośrodku kwiecistych trawników, rzucił się lew rozjuszony, i do niego może uśmiechnąłby się dobrodusznie—ogarniała go tak dziwna bło-

gość, ile razy mógł iść ścieżką, po której ona szła przed chwilą.

— Rozmięknę! Miłość rozbiera mnie, jak stara wódka! Nie ręczę, czy wkrótce z gitarą w ręku nie zacznę śpiewać serenady pod jej oknem! Wówczas zwiążą mnie przynajmniej, złożą na wóz, jak sprzedanego barana, i odwiozą do szpitala waryatów! Pierwój czy później muszę tam trafić! Kret, któryby wzdychał do rajskiego ptaka, większe miałby szanse, niż ja. Pomimo to, ciągnę tu co drugi dzień, a kiedy przychodzi chwila odjazdu, pozwoliłbym sobie dać sto batów, byleby zostać jeszcze na godzinę, na tę najgłupszą godzinę, kiedy zmuszony jestem rozmawiać z ciotką, a tylko uchem łowić szmer jej sukienki, odgłos kroków albo ziewanie! Trzeba przyznać, że dotąd mój wróg nie potrafiłby lepiej psuć moich interesów, jak ja sam psuję. Włóczę się za nią markotny, niby chory niedźwiedz albo gad, peroruję; raz przecież muszę jej powiedzieć coś tak głupiego, żeby zrozumiała, że ją kocham! Odpędzi mię, więc cóż? Ale choć raz jeden spojrzysz jak na człowieka; dotąd, w najlepszym razie, patrzy jak na doktora tylko, a bywa gorzej!

Długo jednak czekał na tę chwilę, a i wówczas na akuratne głupstwo zdobyć się nie potrafił.

Raz, w przystępie dobrego humoru, powiedziała, że ciotka nazywa go „Ezopem.”

— Ale pani nie nazywaj mię tak nigdy. Ezop był najnieszcześliwszym z ludzi.

— Dlaczego?

— Zapewne nie kochała go żadna kobieta!

— Kobiety zawsze lubiły niewolników.

— Więc i pani?...

Chciał powiedzieć: — Więc chcę być Ezopem, Brutusem, Neronem, potworem, niewolnikiem, czy bohaterem! — wszystko to już miał na końcu języka. Zamilkł, wzrok utkwiał w ziemię, uszy nastawił... Czuł, że w tej chwili był tylko osłem! Przyznać musiał, że dotąd język nie oddał mu żadnej prawdziwej usługi!

— Drwi ze mnie! Kobieta wcale nie potrzebuje być mądrą, żeby najmędrszego z nas za nos prowadzić; tak się już zaczęło od Adama i Ewy! Sympatyi nie zdobędę, co zresztą może i lepiej! Dzieci nasze mogłyby do mnie być podobne; nie mam prawa przekazywać im tak szkaradnego dziedzictwa! Pozostanę jej przyjacielem... brr!... rola ta była dla mnie zawsze fałszem podszytą. Czuję, że gdybym cudem jakimś stał się dla niej niebezpiecznym uwodzicielem, przyjaźń moja poszłaby wówczas na spacer! Dostatecznie jestem wstrętnym, żebym i nadal mógł zostać honorowym! Przyjaźń, to rodzaj kapłaństwa: pozbawiając praw wszelkich, pozwala słuchać spowiedzi, dawać napomnienia. To biedactwo w wielkopańskim otoczeniu wygląda jak kropla rosy: połyskuje tymczasem wszystkiemi barwami brylantu, lada wiatr strąci ją w piasek, bo-daj tylko nie w błoto! Gdyby została moją żoną, nie ofiarowałbym jej wprawdzie żadnej części świata, ale miałaby swego wielbłąda, wierne bydło, które służy do śmierci, w ostatecznym razie poi, nawet i orzeźwia! Trudno, niezawsze można nosić okulary rozsądku! Niech sobie niebożątka patrzy jak chce, byleby była szczęśliwą!

Do szczęścia jednak było daleko! Widywał ją nieraz dziwnie zmienioną. Podczas gdy przez otwarte okna pałacu dolatywały śmiechy, wesola rozmowa,

ona chodziła jedna po alei, sztywna, z podniesioną głową, jak gdyby wszystkie trzepocące się w olbrzymich drzewach sójki, przepiórki, wrony i gawrony wyzywała do walki. Idąc naprzeciw niej, przyglądał się zdaleka, jak rwała niecierpliwie listki róży, albo gniotła w dłoniach batystową chusteczkę. Zmykał wówczas w boczną aleję, wiedział z doświadczenia, że nawijać się jój na oczy nie warto. Milczała uparcie, a w oczach niepiśmienny nawet mógłby przeczytać:

„Oh, znowu ten natręt!”

— Unika ich, i ma rację! Umieją wprawdzie podawać okruszyny łaski na srebrnych półmiskach, ale zawsze to okruszyny tylko! Dziewczyna dusi się w tój słabój klatce. Czuje zresztą, że buja tylko na pajęczynie. Młoda, zdrowa, rozumna.... Takie trzy ingrediencye mogą stworzyć weale niezłą receptę; nie mówię o piękności... z tój najczęściej dyabeł miksturę gotuje. Ubogą ostatecznie nie jest; gdyby się wzięła do czegoś... poznałaby życie, możebym wówczas łatwiej z nią mówić potrafił... Oh, że tóż ja nie mogę nauczyć się tój przyjaźni! Codzień powtarzać: jestem jój przyjacielem, będę jój przyjacielem, zostanę jój przyjacielem, i codzień kocham ją coraz zawzięćiej! Serce w piersiach skacze, kiedy, idąc obok niej, widzę, jak mój cień z jój cieniem się łączy. Gdyby ktoś przede mną o mnie samym takie dziwolaży prawił, powiedziałbym, że szkaluje przytomnego człowieka! Sam sobie nawet zaprzeczyć nie mogę. Raz przecież muszę zostać jój przyjacielem. Ma już protektorów, amatorów, pochlebców, zamiarników różnego gatunku, niechże się między nimi choć jeden przyjaciel znajdzie! Dam jój do zrozumienia, że pojmuję walkę młodój du-

szy z niewolą, z upokorzeniem, z bojaźnią o przyszłość. O radę sama zapyta.

Wówczas to z natręta awansował na wścibskiego. P. Nina potrzebowała nieraz całej subtelności umysłu i słowa, żeby mu dać do zrozumienia, że nie jest wcale jego pacjentką, on zaś, tu, w ich domu, ze zdrowymi nic wspólnego już nie ma. Raz nawet o mało że się nie zdobyła na ostateczną odprawę. Stali oboje wśród klombu róż: białe, różowe, ponsowe i ciemne kwiaty otaczały jęj sukienkę, sięgały ramion, poruszały się zlekka nad złotawą główką. Była to jedna z chwil, w których Ezop zapomniał, że jest orangutaniem, patrzył, czuł jak szaleniec, milczał, żeby nie powiedzieć głupstwa. Od niejakiego czasu przemawiał i w takich chwilach, powtórzywszy uprzednio w duchu: „jestem przecież jęj przyjacielem!”

— Żyjesz tu pani jak w oranżeryi—mówił, spoglądając niby obojętnie na nią, na kwiaty, na roje białych i pstrokatych motyli — i sama jesteś tu najpiękniejszym kwiatem. Ktoś inny powiedziałby to jakoś składniej, ja mówię to, co widzę. Ale kwiat najbardziej egzotyczny ma grunt własny. Pani w tęg sferze bujasz między ziemią i ciemną, nieznaną przyszłością... Straszno czasami być musi? Co?

Milczała; podniosła do ust bukiet, żeby ukryć gwałtowny rumieniec.

— Nie wiedziałam—odrzekła po chwili z pogardliwym uśmiechem,—że pan, przy swęj rozległęj praktyce, ma czas zastanawiać się nad przyszłością zupełnie obcych i mało znanych osób. Podział sfer zapewne więćj jest panu obcy, niż medycyna—dodała żartobliwie.—Nie zrozumiałam dokładnie owęj „ciemnęg, nie-

znanéj...” natomiast mogę zaręczyć, że nigdy nie uczu-
wam trwogi, ani téż braku gruntu pod nogami. Pan
w każdéj kobiecie rad byłby widziéć znerwowaną pa-
cyentkę; do mnie proszę nie stosować téj metody. Są-
dzę, że całe życie będę zdrową!

„Kwiat,” „oranżerya” uszłyby mu jakoś; wzmian-
ką o sferach potrącił jéj najdrażliwszą strunę—dre-
twiała na samą myśl degradacyi. Matka jéj była szwa-
czką, czy nauczycielką; ojciec poślubił ją z szalonéj
miłości, w sekrecie przed rodziną; po śmierci żony za-
czął pić i tracić fortunę. Wiedziała o tych szczegółach,
dlatego téż przez całe życie czuła pogardę dla bez-
myślnych szalów, dla awanturnic, co wciskając się do
wyższych sfer, wytwarzają mezalianse. Ze wspomnie-
niem o ojcu łączyły się najprzykrzejsze wspomnienia
z jéj dzieciństwa. Zajeżdżał przed pałac chłopskim
wózkiem, albo z żydem... w szarym płaszczu, w czapce
z wielkim daszkiem, obrosły, przygarbiony; nikt go
nie spotykał; ciotka, chociaż bardzo grzeczna dla
wszystkich, wruszała ramionami na te odwiedziny.
Zostawiano mu wszelką swobodę, czasami nawet zapo-
minano poprosić go na obiad! U stołu bowiem, po
szklance wińa, robił się rozmownym, żartował i dość
obcesowo zalecał się do guwernantki Francuzki! Szpe-
tna Paryżanka przyjmowała te zaloty na seryo; wykry-
gowana, szczebiotała jak głodna sroka; obecni bawili
się wybornie ich kosztem. Na trzeźwo był milezącym,
chodził całemi godzinami po alejach; jak tylko ujrzał
córkę, stawał, spoglądał na nią z uwielbieniem. Uni-
kała go jak mogła, pomimo uwagi ciotki, że powinna
być grzeczną dla ojca; czasami jednak dopilnował, jak
się uczyła w altanie, albo siedziała z książką pod we-

rendą. Siadał obok niéj, brał ją za ręce i patrzył długo w twarz, w oczy...

— Jakes ty do matki podobna!—szeptał.—Staraj się być dobrą i rozumną jak ona.

Całował ją przytém w czoło, koląc szorstkim zarostem—uchylała się nieznacznie.

— Odwykłaś ode mnie, Nineczko? Przykro ci może, że przyjeżdżam? Niedługo już będę jeździł, tymczasem potrzebuję widzieć ciebie, choć zrzadka.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć; żal ją ogarniał; wolałaby jednak, żeby nie przyjeżdżał. Odjeżdżając, nie dawał służbie ani grosza i prawie zawsze zaciągnął dług u ciotki. Przez kilka dni wietrzono po nim pokój, palił bowiem szkaradny tytuń. Wszyscy mówili, że zmarniał, służba wzruszała ramionami na takiego pana. Ona zaś przez długi czas oczu podnieść nie mogła. Wzgarda, lekceważenie przygnębiały ją nieznośnie. Stawała się bardziej sztywną, imponowała służbie i nauczycielom; ciotka nawet nazywała ją wówczas *Princesse Nini*. Przydomek ten robił jéj szczerą przyjemność.

Doktor musiał słyszeć o téj matce i o tym ojcu, i to go upoważniało do głupich uwag. Była przecież zadowoloną. Przez czujną baczność na wszelkie od-cienie towarzyskie, na wszelkie wymagania wytwornego smaku, przyswoiła sobie niezrównany takt, wykwintny spokój, stała się wzorowo elegancką, widziała już nawet, że tym sposobem zdobyła uznanie najbardziej wymagających osób. Traktowano ją wprawdzie z góry... Ciotka zapominała przedstawiać nowoprzybyłym. Ten i ów spoglądał na nią jak na znak zapytania. Nieraz, po świetnej recepcyi, po paradnym

obiedzie, gdzie była najpiękniejszą, a zarazem najbardziej zaniedbaną z panien, zamykała się w swoim pokoju, ścisłała się za gardło, żeby nie jęknąć z żalu, ze wściekłości! Ale o tém nikt, przedewszystkiém ten gbur, nigdy dowiedzieć się nie powinien; z czasem, miała nadzieję, że i drażliwość stłumić w sobie potrafi. Bo i cóż ten przemądry filozof doradziłby na miejsce wykwintnego życia? Pracę i naukę może? Widziała zbliżka te ideje! Nauczycielki jój wszystkie były wysoko ukształcone i strasznie pracowite. Wszystkie miały w perspektywie staropanieństwo i nędzę: jedna dogorywała na suchoty w jój oczach. O innych zawodach jeszcze gorsze miała pojęcie; zresztą, zkąd mu przyszło nawracać ją na drogę „twardego gruntu?”

Za złe miała ciotce zbyt dużą łaskawość dla niego; nie pierwszy to raz zauważyła w roztrzpitanój nieco kobiecie zbaczanie od ścisłych prawideł światowych, czasami musiała za nią i za siebie powagę domu przedstawiać. A doktor, widząc ją małomówną, zamyśloną, coraz głębszego nabierał przekonania, że dziewczyna „dusi się” w beczynnój, chłodnój atmosferze. Potrzebuje kochać, a te gachy, co ją otaczają, nie wystarczą ani dla serca, ani dla wyobraźni.

— Biedactwo! jeśli tą straszną strawą nadal karmić się będzie, nie ręczę za nic. Już-to wogóle na chrzcie św. nie wyrzekłbym się w imieniu kobiety ani czarta, ani spraw jego. Wisi to zwykle na kilku włoskach, na wyższej lub niższej drabinie, a jak tylko palcem ruszy, krzyczą: „Wara! jak urwiesz się, to cię żadna siła powtórnie nie zawiesi!” Dobrze jednak, że nie mam córek, chociaż ja i synów nie mam... tak jedne jak i drugich wykierowałbym na dziwolągów.

Trzebaż było tak trafić! Dostać jój nie mogę, opuścić nie pozwala mi sumienie, a raczjéj téż nie mogę. Małpie szczęście! Nie oddałbym go jednak za swój dawniejszy ludzki spokój! Rozumiem przynajmniej, co to jest łaknąć i nie być nakarmionym, pragnąć i wiecznie tylko marzyć o napoju! A jeśli osiwieję kiedy, to nie tylko, jak pies, ze starości, ale i z innych przyczyn. Będę chociaż patrzył na nią, od tego nikt jeszcze ani utył, ani się wzbogacił; zobaczymy, do jakich rezultatów to mię doprowadzi!

W istocie, zadawał ją się przeważnie patrzeniem; do rozmowy ona okazywała coraz mniej chęci, chociaż poróżniła się z nim stanowczo dopiero w kilka lat później, kiedy, po długich podróżach, po dwóch zimach w Wiedniu i w Paryżu, znowu na lato na wieś przyjechały. Zamiast białych sukienek i złotawych bucików nosiła kostiumy według ostatniej mody z londyńskich wycigów: obeśle suknię piaskowego albo granatowego koloru, stojące kołnierzyki i kraciaste krawatki, ogromne metalowe guziki przy stanikach i u mankietów, włosy zaczesane po chińsku przypinała wysokim grzebieniem; urosła, zmężniała, z ładnej dziewczynki przemieniła się w pyszną kobietę. Swobodne życie w kurortach, wielkie powodzenie w zagranicznych salonach wyrobiły w niej niezachwianą pewność siebie obok najwykwintniejszego spokoju.

Wiedziała, że za mąż nie wyjdzie; dyplomaci, bankierowie, mniej lub więcej bogaci panicze byli nie dla niej; wiedziano, że dostanie wytworną wyprawę, ale nie więcej. Starsi i młodzi całowali chętnie jój ładne paluszki, chętniej jeszcze rozmawiali z nią pochyleni nad pyszném ramieniem; w ostatnich czasach ota-

czali ją przeważnie żonaci i zblazowani, świat najryzykowniejszy, pomimo że się trzyma niby na wodzy. Zręczność do *flirtowania* zdarzała się na każdym kroku—korzystała z tego dość oględnie. Zbyt często zmieniała partye; gra nie mogła się stać ani zahazardowną, ani za głośną. Młode kobiety nazywały ją „zręczną,” starszuszki uśmiechały się pobłażliwie:

— *Elle doit se consoler, pauvre!*

Wiedziały, że z powodu swój chwiejnej pozycji skazaną była na staropanieństwo i opuszczenie. Przyszłość ta wcale jej nie przerażała; w zamężciu bała się macierzyństwa, kłopotów rodzinnych. Miała już stałą migrenę, choroby żołądka, które zmuszały ją leczyć się latem, zimą krępowały swobodę; podtrzymanie zdrowia stało się główną troską, wykwintne jadlo najgłówniejszą przyjemnością w życiu. Od czasu, jak przestała tańczyć, przekładała wielkie obiady nad wielkie bale. Ciotka, coraz młodsza, płała się w intryżki, niby w ogon własnej sukni. Traciła głowę raz dla tenora, drugi raz dla basetli, trzepotała się jak ptaszę, ale o powtórném zamężciu nie chciała słyszeć.

— *Ma chère!* żebym nie była wdową, chciałabym być panną! Mężatką nigdy! — szczebiotała ze śmiechem. — Zadobłą jestem na żonę. Przytém tyle już razy bankrutowałam, że ostatecznie spokoju i przyszłości na niepewną hypotekę umieszczać nie myślę. Za granicą zbywamy towar, niemający popytu w kraju, ja tu od czasu do czasu przywożę swoje usposobienie... wracam spokojna, nie grzeszę nawet wspomnieniem, gdyż wolę myśleć o przyszłości. Na starość zostanę może dewotką, zresztą... zobaczymy!

Była drobnutką blondyną i długo jeszcze mogła uchodzić za młodą i ładną. P. Ninie to usposobienie ciotki było bardzo na rękę, dawało jój bowiem przewagę w domu, zostawiało wszelką swobodę działania. Miała całą kasę w swoich rękach. Z początku rachunki szły akuratanie, powoli zaczęła nadużywać trochę, pod legalnemi pozorami: wiedziała, że jest jedyną krewną, że pierwój czy późnij zostanie sukcesorką; na karb przyszłego kapitału odbierała sobie mniejsze lub większe odsetki, stosownie do potrzeby — zawsze żyła z cudzej łaski, a w tém, czy jój dają, czy sama bierze, nie widziała wielkiej różnicy. Owszem, czuła pewne zadowolenie, gdy wskutek nadmiernych wydatków ciotka znalazła się chwilowo w kłopotliwém położeniu pieniężném, ona zaś miała zawsze „swój,” skrzętnie ukrywany zapasik, „prywatną kasę,” zarezerwowaną na nieprzewidziane potrzeby.

— Niech się papużka podręczy! — myślała, spoglądając najspokojniej na zirytowaną kobietkę. — Niech czeka, stara się, niech się nawet sfantuje tymczasem. Jedyny to kłopot dla jój ptasiego mózgu i serca. Płacze ze złości, tém lepiej. Ja nieraz płacę z bólu, z poniżenia, a przecież jednakowe mamy prawo do szczęścia.

Większego jeszcze zadowolenia doznawała na wieść o skandaliku, krążącym pod wachlarzami na rachunek jój ciotki. To małe bóstwo mody i dobrego tonu było jój solą w oku. Nie cierpiała téj ubóstwianej ciotki, którą nieraz przez pieszczotę brała w ramiona i nosiła po pokoju jak dziecko. Równą sympatyą darzyła swój świat cały. Widziała śmieszność, głupotę, dumę bez miary, a zarazem drżała na samą

mysł, żeby kiedykolwiek wykluczona być mogła z zaczarowanego koła. Mysł ta dręczyła ją coraz rzadziej; z latami jakiś dobry spokój otoczył serce. Kiedy ją doktor ujrzał tak doskonale wykończoną, zatarł ręce ze złośliwym uśmiechem, na razie jednak w żadne się kombinacje nie wdawał, zapytał tylko prosto z mostu:

— No, cóż? Nie wyszłaś pani za męża? Czy w legionach wielbicieli sami tylko szeregowcy? Na odznaczenie żaden nie zasługuje? Szkoda! Chociaż to było do przewidzenia: zawsze przepowiadałem pani, że zmarniejesz tak, jak ja! Obojeśmy widocznie ciężko zgrzeszyli, przychodząc na świat. Zapisz się pani do jakiegoś bractwa... to przynosi ulgę w samotności.

Widział, że oblała się rumieńcem, poruszyła nozdrzami i w mgnieniu oka spokojną była jak posąg.

— Dusza jest jeszcze, nie wiadomo tylko, gdzie siedzi. W sercu nie była, w głowie... krótko; teraz może w pięty zemknęła, z wielkiej pokory przed wielkopaństwem. Lepsze od niej widziałem, piękniejszej... nigdy, i dlatego zapomnieć nie mogę; zresztą, co do mnie, mogłaby być jeszcze gorszą, nie ożeniłbym się z nią, chociażby jedynie dlatego, że za mnie nie pójdzie!

Przyjeżdżał rzadziej, bawił krótko, ale oka z niej nie spuszczał, przy obiedzie szczególnie, gdy z wielką finezyą wybierała kąski, smakowała sosy i, jak stary kuchmistrz, wydawała krytyczne sądy o każdej potrawie. Kręcił głową z podziwienia, smakował, czasem mruzczał do siebie:

— Ot, czémby ją dyabeł mógł pozyskać.

Słuchał dalej, ale ona i mówić długo nie lubiła; spoglądała dokoła, uśmiechała się, na zapytanie odpowiadała najczęściej skinieniem głowy.

— A ja dla niej chciałem świat do góry nogami przewrócić! Będę przynajmniej milczał o tém. Uchodzę za znawcę natury ludzkiej, za fizyologa w dodatku. Nie rozumiałem, że jój tylko dobra pasza potrzebną była. Słońca trochę, świeża woda w zdroju i spokój. Niechże mi teraz wróg mój winszuje ideał!

— Strasznie się pani zestarzała — powiedział jój raz, gdy, zwrócona plecami do słońca, siedziała pod werendą, z białą różą we włosach, w czarnym koronkowym szlafrocisku.

— *Vous traversez?* Cóż robić! Nieuniknione prawo natury!

— Jak się to dochodzi w tak prędkim czasie do tak spokojnej starości? Jakie trzeba przeszkakiwać uczucia? Od jakich pokus stronić? Jakich wyżyn unikać?

— Trzeba się odrazu znaleźć na drodze rozsądku!

— To mądrze! Czy nie myślisz pani napisać biblii?

— Dla kogo? Cały świat zna tę drogę; rzadkie wyjątki mojej biblii czytałyby nie chciały.

— To słusznie! Ziarno mądrości potrzebuje odpowiedniego gruntu. Pani mądrość przyjmie się tylko na gruncie suto mierzwą uprawnym. Tak bogatych natur niewiele. Znasz pani swój świat wyłącznie i dlatego tak pochlebnie sądzisz o ludziach.

Mógł sobie gadać jaknajdłużej. Pani Nina ba-wiła się z pieskiem, targała go za uszy, przemawiała pieszczotliwie i z całej tyrady nie słyszała niby ani sło-

wa. Wieczorem tylko nadmieniła ciotce od niechcienia, że ten tam Czyżyk, czy Dudek, staje się niemożliwym. Najakuratniej zaszczyca ją rozmową, z widocznym zamiarem prawienia impertynencji; należałoby go albo usunąć, albo przyjmować w określonym czasie, zrana, gdy przewietrzają pokoje, lub naznaczyć krótką wizytę po obiedzie. Ciotka śmiała się—ten poczciwy doktorzyna był jój ulubieńcem. Przywiozła mu z zagranicy przesliczne album widoków alpejskich i kilka cennych osobliwości z Pompei.

Czyżyk bywał nadal—tylko już nigdy nie próbował rozmawiać z Niną. A jednak rozumiała go dokładnie, jak wogóle całą sferę intelligencji, bardzo interesującej zresztą. Ceniła talenta, sławę, w każdym kierunku; dawniej, w chwilach samotności, zniechęcenia, żałowała, że nie ma pięknego głosu, ogromnego talentu poetyckiego, lub innéj jakiegós, niezmiernie wybitnéj zdolności, któraby ją od razu sławną i bogatą uczyniła. W salonie swoim, gdyby go miała, starałaby się przyjmować sławnych ludzi; mądrzy są mniej szablonowi, urozmaicają towarzystwo. W Czyżyku ceniła charakter i umysł; gdyby nie był tak brutalnym, nie wdzierał się gwałtownie na stopę równości, usiłując na każdym kroku ściągnąć ją ku sobie — żyłaby z nim może w najlepszej komitywie.. Mogliby rozmawiać o wielu rzeczach, przechadzać się, pijać razem herbatę i jadać obiady; wyższe ukształcenie nadaje pewne prawa. Na odjezdnem ofiarowałaby mu swoją fotografię z ryzykownym podpisem „przyjacielowi,” albo „od dobrej znajoméj.” Chętnieby się z okazanéj łaski, ale cóż to ją mogło obchodzić!

W Wiedniu widziała siebie wystrojoną obok jakiejś śpiewaczki i oficera. Czyż mogła zabronić tłumom, aby się nie gapiły? Czasami nasuwał się domysł... podejrzenie. Prostowała się wówczas dumnie, z pogardliwym uśmiechem. Eh, jeszcze gdyby naprawdę była wielką, zrezygnowałaby może kilka chwil nudy... Ci ludzie miewają czasami dzikie popędy, a to śmiesznie... Stanąć nad przepaścią, wpatrzeć się w głąb, aż do zawrotu głowy, i w krytycznej chwili odejść spokojnie na herbatę....

Niebezpieczeństwo takie miało dla niej wiele uroku, przypłaciła je w końcu zerwaniem z ciotką raz na zawsze, spaleniem głównego mostu, który ją z wielkim światem łączył. Bo chociaż papużka niczego się nie domyśla, na odjezdnem uściskała ją najserdeczniej, prosząc o śpieszny powrót. P. Nina zgrzyta zębami na samo przypuszczenie, że kiedykolwiek mogłaby się znaleźć w domu, gdzie ją spotkała najcięższa zniewaga. Wuj, którym ją raptownie niebo obdarzyło (oh, nie przypuszcza nawet, że umie tyle słów mizerynych na określenie tego człowieka), ten... wuj!—był chwilo-wo jój narzeczonym. Traktował ją odrazu jak rezydentkę, jeśli nie gorzej; przez parę miesięcy, od czasu jak bywał u nich, nie przemówił ani słowa; witał i żegnał od niechcienia. Omal że nie kazał podawać sobie wody lub ognia do cygar. Raz, gdy ją spotkał w pustym saloniku, przechylił się i pocałował w szyję. Skamieniała z oburzenia!

— Obraza majestatu! — szepnął; zaśmiał się i odszedł, nie spojrzawszy w jój stronę.

Zrazu myślała, że jój serce pęknie z wściekłości, z pogardy. Pobiegła do ciotki i... zlekła się skandalu.

Widywała go nadal w salonie, w towarzystwach; ani na jotę nie zmienił swego postępowania. Czasami skinął głową poufale, uśmiechnął się, jak dobrej znajomej; przez kilka dni później udawał, że jęj nie widzi—nawet afrontu zrobić nie mogła, gdyż wcale na nią nie zważał. Wówczas to poczuła całą bezsilność samotnej, opuszczonej i... spragnionej wrażeń kobiety! Z nienawiści zapewne, myślała o nim bez przerwy. Podsluchiwała głos jego pode drzwiami, albo z ogrodu spoglądała w oświetlone okna salonu, kiedy był z wizytą u ciotki. Dusza w nięj zmalęła, osłabła dziwnie. Zawstydzona, z nieznaną dotąd trwogą, wracała kilkakrotnie do pustego saloniku. Zatrzymywała się na pamiętném miejscu... W końcu zdawało jęj się, że w błyskotliwém lecz chłodném życiu ta jedna chwila owianą była tchnieniem prawdziwego ognia!... Gdy w końcu zaczął z nią rozmawiać, odpowiadała stłumionym głosem, w którym było może wszystko, oprócz dumy, pogardy, żalu lub gniewu. Rozmawiali coraz częściej; gdy byli sami, brał jęj rękę, kładł na dłoni, oglądał każdy palec z osobna, chwalił kształt i delikatność skóry, końcem buta uchylał rąbek sukni, żeby lepiej obejrzyć bardzo zgrabne nogi, dwoma palcami dotykał włosów koło szyi, rozmawiał przytęm swobodnie o nowęj operze, o pogodzie i t. d.

Nie wiedziała nawet, czy jest mądry czy głupi, dobrze czy źle wychowany... Czula tylko, że wywiera na nią wpływ coraz silniejszy. Raz, podczas takiego sam-na-sam, powiedział, że ma zamiar się ożenić, patrzył jęj przytęm w oczy uważnie. Oblęła się rumieńcem, serce zakołatało—zmieszana, czekała jeszcze chociaż jednego słowa. Wstał, pocałował ją w czoło i od-

szedł. A więc zmieszanie przyjął jako przychylną odpowiedź. Zresztą, nie była pewną, czy się oświadczył. Cały stosunek wytworzył dziwny chaos w jej pojęciach, w całej naturze, dotąd tak bardzo systematycznej. W parę dni potem wiedziała już, że ma porządnego majątek na Litwie, obszerne koligacje, że jest dzielnym gospodarzem, ale od czasu do czasu lubi puścić kawalek grosza na różnorodne przyjemności; obliczyła, że kilka tysięcy, pozostałe z ojcowskiej fortuny, wystarczą jej na wyprawę; pod sekretem przejrzała swoje i ciotki koronki, biżuterję i bieliznę. Odurzona jakąś, z trwogą i niecierpliwością czekała, kiedy raczy zbliżyć się do niej i przemówić ostatecznie. Zcicha, przed sobą, nazywała go swoim narzeczonym. Wtém roztrzęsiona papużka wpadła raz o północy do jej pokoju, różowa, z błyszczącymi oczyma.

— Wiesz? popełniam głupstwo! Wychodzę za Brońca! Dziwny człek! Przez trzy miesiące mówił ze mną trzy razy, dziś oświadczył się i jestem zakochaną! Oh! moje postanowienia! Nino, radzę ci, nie postanawiaj nic nigdy. To nie kobieca rzecz! Jeśli ja nie wytrwałam, nie wytrwa żadna!

Piorun nie zdołałby silniej wstrząsnąć jej duszy! Milezała; na odpowiedź brakło słów i głosu. Wyjechać natychmiast nie uchodziło. Po ślubie, ciotka, zajęta nowym mężem, nie stawiała żadnej przeszkody. Nowy wuj, usłyszawszy o projekcie, zdziwił się trochę; oboje spodziewali się rychłego powrotu.

— Kiedyż wrócisz? — spytał ją na odjeździe, sprowadzając po schodach do karety.

Zmierzyła go szyderczym wejrzeniem.

— Bez komedyi! Znamy się przecież!—odrzekł, rękę jej zlekka ramieniem przyciskając.

U drzwiczek powozu raz jeszcze powtórzył: „Czekamy”—jak gdyby wyjeżdżała na spacer. Był to bezczelny niktzemnik! Przez całą drogę łyzy miała w oczach. Złagodniała, przycichła; na widok opuszczonego domu szyderstwo i pycha odżyły wprawdzie, na dnie duszy budziły się inne uczucia.

— Może lepiej byłoby pozostać tu na zawsze.... Wieczna łaska... to okropne! Byłabym usiebie, chociaż na szkaradnych śmieciach... Wstrętne to, ponure jak grób zapomniany — rozmyślała nazajutrz, zaglądając do wszystkich kątów.

Na drugiej stronie było mieszkanie do najęcia, zamówione już na biuro policyjne... Wejście od drugiego podwórza, ale zawsze... tacy sąsiedzi... to niemożliwe!

Wybrała się na wizyty; w kostiumie z ciemnozielonego aksamitu, w takimże kapeluszu z popielatém piórem wyglądała młodo i ładnie. Deszcz prószył; gęste chmury zapowiadały długą niepogodę. Jan sprowadził karecię z hotelu, przywdział piaskową liberyę, kapelusz z galonem, usiadł na kozłach; wyjechała z trochę lżejszém sercem, wysławszy uprzednio parę biletów do znajomych mężczyzn z oznajmieniem o przyjeździe. Miała przeczucie, że wizyty spełzną na niczém: babka, jakaś tam cioteczno-stryjeczna, ciężko chora, nie przyjmowała nikogo; dwie ciotki nie wróciły jeszcze ze wsi... Przejeżdżając ulicami, spoglądała przez okno na stare domy, wązkie chodniki, na przechodniów powolnych, przygnębionych, jakby każdy z nich stopudową kulę ciągnął za sobą. Brak ru-

chu, życia; miasto samo jakieś ubogie, nudne. Woląla wieś, chociażby nawet niezbyt paradną.

— Lolutek czeka już pewno—pomyślała z krzywym uśmieszkiem; do tego plotkarza posłała umyślnie, żeby się o wszystkich cośkolwiek dowiedzieć. Nie zawiodła się: ten nie dał czekać na siebie.

Stary kawaler, łysy, z czarną brodą, niegdys bardzo piękny i bardzo majątny, gonił resztkami fortuny i zdrowia. Zjadł kilka sukcesyj, parę jeszcze miał w perspektywie—nie tracił tedy animuszu, pomimo chwilowych kłopotów. „Lolutkiem” zwali go starzy niegdys towarzysze wesołego życia; u młodych, wchodzących w świat, téż się „Lolutkiem” nazywał. „Lolutek!” wołali za nim ulicznicy, łobuzy, był bowiem niezmiernie popularnym, dzięki paltotowi szlafrokowej formy, dzokiejskim czapeczkom, żółtym butom i t. p. Z kobietami żył na wyjątkowej stopie: traktował wszystkie jak podlotki, wszystkie nazywały się u niego „caceczka,” „minionki,” „pieszczotki,” całował po rączkach, zaglądał w oczki, szeplecił przytém, szczebiotał, jakby do niemowląt. Miał przywilój szepiania do ucha, prawienia pieścizotliwych grzecznoetek, opiekowania się każdą zosobna i wszystkiemi razem. P. Nina traktowała go z początku trochę z góry, wkrótce jednak potrafił ją pozyskać. Jak lew zażarty rzucał się na jój chusteczkę, wachlarz—w razie potrzeby szukał, przynosił, podawał. O mało nie szczekał, gdy ktoś dotknął powierzonego mu przez nią przedmiotu, a jednocześnie drwił zcicha, mrużąc oczy figlarnie. Za salonem nazywał ją „*cette petite*” i utrzymywał, że się wajuje.

Otrzymałszy bilecik, pewny był, że przyjechała wraz z ciotką i nowym wujem. W pół godziny miał już na sobie najnowsze spodnie, popielate w kraty, czarny żakiet i białą kamizelkę. W mieście panowały kamedulskie nudy. Przybycie tak miłych osób było istnym zmiłowaniem bożem. Zawczasu tedy marzył o powiewie z szerszego świata, o ślicznej, niezrównanej cioteczce... Układał w myśli pieszczotliwo-swałwolne powinszowania „młodym” małżonkom. Zaafelowany, z podjętym ramieniem, z parasolem w rękę, biegł przez ulice, uśmiechając się zdaleka do otwartej bramy, do szarego domu w głębi podwórza. Wpadł w bramę. Posuwistym krokiem przebiegł już połowę dziedzińca, gdy go stróż wstrzymał lakonicznem:

— Panienska wyjechała!

— A pani?

Usłyszawszy, że nie przyjechała wcale, Lolutek spoważniał, brwi ściągnął, zrobił się naraz wyniośle sztywnym; do „tój tam jakiéjs” nie śpieszyłby się wcale... Podał bilet i odszedł z wolna, jak gdyby mu naraz z dziesięć lat przybyło... Był to pierwszy i ostatni z odwiedzających: przez dni następne ani żywy duch nie zajrzał do bramy. P. Nina wmawiała w siebie, że jój to wcale nie dziwi, a na lada turkot w ulicy podchodziła śpiesznie do okna. Powóz jechał gdzieś dalej. Powoli ogarniała ją szydercza drażliwość; męczyła siebie złośliwemi uwagami, a im więcej ściskało się serce, tém zgryźliwiéj określała swoje położenie.

— Wesole mam życie przed sobą... Samotna, zapomniana, bawię się w panią i czekam zaprosin od krewnych, którzy nawet w najlepszych moich czasach spoglądali na mnie przez ramię... Och! wołałabym bez

rać się urodzić, niżli przez całe życie wyciągać je po jałmużnę!... Ani jednego przychylnego serca! Nędza i opuszczenie!... albo łaska, no... albo śmierć!...

O zmroku, kiedy wśród głuchej ciszy pustych pokojów przesiadywała całymi godzinami w ciemnym kącie, myśl o śmierci nasuwała się coraz częściej. Jedna ciężka chwila — i wszystko skończone. Niczego się nie spodziewała, za niczym nie tęskniła. Zamknięta w tej spleśniałej skorupie, mogła wyschnąć na mumię, albo skonać od silniejszego drgnienia serca.

Ponure te marzenia przerywała nagle myśl inna, z weselszego świata.

— Czy też ci, co snują się koło bramy, co spoglądają w głąb podwórza, przeczuwają, że w szarym, opuszczonym domu z ciemnymi oknami, żyje i cierpi kobieta... ładna, wytworna i ponętna? — dodawała cichutko.

Romantyczną nie była; mimowoli jednak porównywała siebie do zaklętych księżniczek, szczególnie, kiedy, otulona szalem, przechadzała się zwolna po ogrodzie, ciągnąc ogon niebieskiego szlafrocza po ścieżce, zżółkłymi liśćmi usłanej. Zasłużyła na to cierpienie obojętnością względem rycerzy... Wprawdzie nie dobijano się nigdy ani o jej rękawiczkę, ani o całą rękę nawet — wszakże mniej dumy, więcej zalotności, ułatwiłoby życie; dziś miałyby chociaż starego męża i byt niezależny.. Teraz — napisała powtórnie do kuzynek na wieś, namysławiając się przytém, czy nie należałoby pojechać samą, nie czekając zaproszenia.

— Wózek żydowski najem; ze skrzynką, z tobołkami, pojedę prosić o przytułek... Pysznie!... Warto było żyć lat trzydzieści, żeby się doczekać tak świetnej przyszłości!...

Z marzeń mniej lub więcej ponurych zbudziła ją dotkliwa rzeczywistość: Jan, usłużny, nadskakujący w pierwszych dniach, wkrótce zaczął się zaniedbywać. Znikał zrana, około południa podawał zimny samowar, na obiad musiała chodzić do restauracyi, wieczorem nie pokazywał się wcale... Gdy raz, czekając do późna na światło i herbatę, poszła przez ciemny kurytarz do kuchni, przez uchylone drzwi ujrzała stróża i Jana przy stole, którzy zapijali herbatę, dolewając do szklanek to z czajnika, to z wrzącego samowara. Lampka ścienna oświecała ich siwe głowy; samowar buchający parą, chleb, szklanki, kilka kawałków cukru i bułki na talerzu, widocznie dla niej przeznaczone. To jeden, to drugi ścisnął w palcach bułeczki, wybierał lepszą, inne zostawiał na talerzu.

— Siedzi sama, jak wilk? — mruknął stróż pytająco.

— A siedzi... Bodaj ją choroba!... Wczoraj dwa złote wydał, onegdaj złotówkę, a pierwszego dnia, jak przyjechała, za karetę zapłacił własnymi pieniędzmi. Jój to ani w głowie... akurat jak gdyby do swego królestwa przyjechała. Bez grosza przy duszy widać, czy jakie licho?... A mnie co do tego? Z palca dla niej nie wyłamie. Jutro na cały dzień pójdę z domu, niech szelma zębami dzwoni!...

Stróż coś tam dodał od siebie, ale dalej już nie słuchała. Cichutko, unosząc ogon szlafroczka, wróciła do pokoju. Tegoż wieczora jeszcze zwróciła Janowi należność i dała rubla na piwo. Trzeba było mrzonki odłożyć na stronę i pomyśleć o życiu. Z resztek kapitału tymczasem nie mogła dostać ani grosza, za stroje kosztowne nie otrzymałaby nic prawie, a przytém fanto-

wać się nie było racyi: biżuterya przedstawiała pewną wartość, i tę spienięży częściowo. Żal, rozdrażnienie, marzycielstwo skupiły się w niej naraz. Przez dni następne zaprzestała układać misternie włosy, przepinać złotą strzałą; w ciepłym szlafrocuku, w pantoflach, z warkoczem splecionym niedbale, rozbierała rzeczy, gatunkowała droższe i tańszestroje, oglądała kosztowności, pochylona nad kufrem, grzebiąc się przez parę godzin w różnych koronkach i jedwabiach; a jeśli podniosła głowę i spojrzała w lustro, odwracała się niechętnie.

— Jak ja postarzałam przez te dni kilka! strasznie postarzałam!—rozmyślała przerażona.

Sciągnięte brwi, ostry wyraz oczu, pasma włosów spadające niedbale, stary szlafroczek i przydeptane pantofle zmieniły ją do niepoznania. Chwilami rzucała zajęcie i, jakby chcąc się rehabilitować we własnych oczach, poprawiała włosy, przymierzała koronkowe zarzutki, grzebienie, misterne kokardy ze wstążek i aksamitu.

— Wszystko to głupstwo! Raz przecie trzeba z tém skończyć...

Wytworne drobiazgi szły na dno kufra, robota zaczynała się na nowo.

W roku zeszłym w Montreux poznała i zbliżyła się z bardzo wykwintną przełożoną jakiegoś zakładu dobroczynnego w Paryżu. Była to stara panna, księżniczka, suchotnica, ze śladami wspaniałych wdzięków. „*Beau-monde*” otaczał ją szczególniejszemi względami, mężczyźni podnosili się z miejsca, damy milkły, albo uśmiechały się uprzejmie, kiedy się do nich zbliżyła; było w niej coś świętego i wielkopańskiego zarazem; miała lokaja w czarnej liberyi ze srebrnemi guzikami,

ubierała się czarno, z wielkim gustem i wielką również prostotą. Czarna liberya, czarny strój, dziwnie przypadły do czarnego usposobienia p. Niny. Myślała o tém już od dni kilku, układając zarazem, czy sama nie mogłaby zająć podobnego stanowiska, nie tu, nie w tém mieście, ale w Warszawie naprzykład? Wszak zakłady dobroczynne być muszą. Pamiętała dokładnie, jak nieraz ciotka dawała pieniądze Czyżykowi na jakieś stowarzyszenia, ochronki. Ah, ta papużka dałaby nawet na stowarzyszenie złodziei, byleby Czyżyk za niém przemówił!... Otóż zakłady takie być muszą; potrzebuje tylko dowiedzieć się o warunki, o mieszkanie przewaźnie, żeby to przyzwoicie wyglądało... kilka pokoi, szwajcar i ładne schody. Zajmie się czémś, będzie miała stanowisko.

Myśl ta coraz wyraźniejsze przybierała kształty. Trudności nie przewidywała żadnych, o zajęciu nie miała pojęcia. Wiedziała zawczasu, że wszystko się ułoży. Uwag, rad od nikogo zasięgać nie myśli; zaradzi sama, byleby wiedziała, jak zacząć, gdzie się udać. Czyżyk o tém musi wiedzieć najlepiej; myślała o nim nieraz podczas dni ostatnich. Pisać do niego nie chciała... możeby i on nie przyszedł? Pójdzie sama; wszak chodzi już do restauracyi codziennie, wkrótce może po chleb i mięso sama chodzić zacznie. Ogarnęła ją poważna rezygnacya, chodziła wolno, z głową pochyloną na piersi, od czasu do czasu wzdychała głęboko. Pogrzebała świetność, z przyszłością jeszcze żadną nie weszła w ostateczne układy.

Myśląc o tém, dłonią przygladzała włosy nad czołem, wznosiła zlekka oczy do góry. Z prostotą w ubraniu będzie jój bardzo ładnie. Zawsze miała

skłonność do poważnego życia; teraz z największą przyjemnością usunie się od świata. Do klasztoru wstąpićby nie chciała, ale coś między jednym a drugim.

Idąc do Czyżyka, ubrała się czarno, skromniutko; w twarzy miała powagę i niewinność zarazem, wyglądała na przełożoną aniołków w niebie. W obcym staniku, za czarną woalką, sięgającą do końca nosa, odmłodziła o lat dziesięć; na ulicy przechodnie oglądali się za śliczną panną, której strój, ruchy i figura zwróciłyby uwagę w stolicy świata. Kamienicę znała dokładnie; zatrzymywały się tu nieraz z ciotką, czekając w powozie na Czyżyka; wybrała umyślnie południową godzinę, żeby go zastać w domu. Tak bardzo była zajęta sobą, nowemi zamiarami, że dopiero zbliżając się do mieszkania, zaczęła myśleć o Czyżyku. Pewno się ożenił, skapcał ostatecznie; na pierwszym wstępie przedstawi jej swoją żoneczkę, zwykły egzemplarz mieszczki z pretensjami do lepszego tonu. Mają salonik z fortepianem, z firankami, z kwiatkami, gromadkę dzieci w białych fartuszkach, z brudnymi nosami. Pani śadzić się będzie na styl wyszukany, pocęstuje może konfiturami własnej roboty. Oh, to mieszczanstwo, tyjące w ciasnych ścianach skromnego dobrobytu, spokojne i tak bardzo nudne zarazem! Uduśiłaby się w ich sferze; wołałaby zostać hecarką w cyrku, albo przełożoną dobroczyнного zakładu.

Stara, sklepiona brama, szerokie schody, niezbyt czyste, w końcu drzwi mieszkania, obite dokoła wojłokiem, przedstawiały się bardzo skromnie; brązowa tabliczka na drzwiach oznajmowała, że doktor Piotr Czyżyk przyjmuje od 5—7-jej. Była czwarta za ledwo; wizyta nie potrwa długo. Zadzwoiła. Magda, w wa-

towanym kaftanie, przepasanym fartuchem, otworzyła drzwi, obejrzała od stóp do głowy piękną panią; oznajmiwszy, że pan je obiad, uchyliła drzwi do gabinetu. Wielki, żółty pokój, z zielonemi meblami, z wytartą podłogą, okna bez firanek, bez storów nawet; jesionowe szafy z książkami, jakieś pudełka z maszynami na stolikach, pośrodku biurko z powysuwanemi napół szufladkami. Jasno tu, żółto i zielono zarazem, a tak prosto, ubogo, że p. Nina stała chwilę u progu, niepewna, czy ma tu zostać, czy znów gdzieś dalej jest pokój dla przyzwoitszych gości. Przysiadła na brzeżku sofy, oglądała się, zdziwiona zbytęczą prostotą; żeby chociaż jeden obrazek na ścianie!

Przez otwarte drzwi w drugim pokoju widzi duże lustro między oknami, siatkowe krzesła; cisza; pachnie smażoném masłem; brzęk łyżek i talerzy dolatuje chwilami. Co mu powie? w jakiej formie? Oznajmi odrazu po co przyszła? czy może potem, tak jakoś w rozmowie? A może o sobie nie wspominać wcale, wymienić jakąś kuzynkę, która przez kaprys... przez filantropię?... Naraz straciła wszelką chęć do szczerój rozmowy, pożałowała nawet, że przyszła... Przebiegły, domysli się odrazu.... gorzej, niż jest!... Wie już zapewne o ślubie tój papużki... teraz, kiedy mu nadmieni tylko o jakiejś pracy... zajęciu... Jest to najgłupszy projekt, jaki kiedykolwiek powstał w jój głowie. Może nawet cierpieć nędzę, ale uchodzić za nędzarę—nigdy. Powie mu, że jest cierpiącą...

Biegł już przez sąsiedni pokój, stanął we drzwiach; ujrzawszy ją, zbliżył się wolnym, ociężałym krokiem. Podali sobie ręce, usiadł obok niój na krzesle i jakoś

w pierwszej chwili z dziwnym hazardem chustkę z kieszeni surduta dostawać zaczął.

— Pani co porabia?... mam zaszczyt...—mruknął, wciąż chustki w kieszeni szukając.

— Chorą jestem, doktorze.

Spojrzał na nią, ręce na kolanach położył, o chustce zapomniał na chwilę.

— Tak, chorą jestem — mówiła z rezydentnym uśmiechem; podniosła głowę, spoglądając na niego wesoło. — W tém nieznośném domisku musiałam się reumatyzmu nabawić.

— A! reumatyzm! być może, dlaczego nie? bardzo dobrze, więc cóż?... ja mogę...

— Możesz zelektryzować; dlatego też przyszedłam sama, utrudzać cię wraz z maszyną, to podwójny ambaras.

— Naturalnie, dwie maszyny naraz, to za dużo. No, więc pani ma reumatyzm? dawnoż to? co? jak? mów pani sama, bo ja, przyznam się, bywam roztrągniony trochę; gdy spotkam starych znajomych, to o medycynie zapominam.

Ten zwrot do znajomości zmieszał ją nieco; miała zamiar pomówić o chorobie, pożartować i wyjść tymczasem, przy drugiem spotkaniu resztę załatwiłoby się może, chociaż wobec tego gburą w szaraczkowym surducie, w szerokich spodniach, ciężkiego, poważnego jak niedźwiedź, zamiary jej pierzeły niby mgłą; zaczęnie majaczyć, namyslać się, gotów jeszcze powiedzieć, że to niemożliwe. Ona skompromituje się prośbą i odejdzie z niczem. Lepiej już zapłacić mu parę rubli za radę; w portmonetce miała tylko kilka srebrniaków; zarumieniła się zlekka. O ciotce, o sobie

opowiedziała mu pokrótce to i owo; słuchał i patrzył jój w oczy uważnie.

— Babka wezwała mię listownie, musiałam przyjechać—mówiła z ładnym grymasem—trochę dla interesów majątkowych, trochę z obowiązku.

— Dawno pisała do pani?

— Przed tygodniem. Biedaczka, był to zapewne ostatni jój list, ma się coraz gorzej.

— To cud! Ona od trzech miesięcy ma sparaliżowany mózg i ręce, testamentu podpisać nie mogła.— Zamilkł; dostrzegł, że się zmieszała, spuściła oczy.— Więc pani tu przelotnie? — dodał śpiesznie — czy na długo?

— Za parę dni wyjeżdżam na wieś — odrzekła spokojnie. — Dziś przyjechała po mnie kuzynka z Ostrowa.

— Pani Waclawowa?—spytał z widoczném zdziwieniem. Odwrócił głowę i szukał cygara na biurku.

Zrozumiała, że złowił ją na drugiem kłamstwie; uśpiona duma przebudziła się raptownie. P. Nina zagryzła usta; w mgnienia oka była już sobą, zupełnie spokojna, uśmiechnięta, zapytała o kilka osób, wspólnych znajomych; odpowiadał i oglądał cygaro zarazem, jakiś roztargniony, jakby niechętny, o mało że nie spoglądał na zegarek; odsuwał szufladki w biurku, przerzucał papiery. Zrozumiała, że się jój chce pozbyć; nozdrza zadrgały po dawnemu, parę razy spojrziała na niego gniewnie.

— Gdzieś się ten reumatyzm umieścił? — spytał naraz. Słyszała wyraźnie ironię w głosie. Wyprostowała się, chciała odejść.—W rączce zapewne? Pokaż pani tę swoją rączkę.

Podala mu prawą rękę w długiej, obcisłej rękawiczce.

— Cóż jej jest? łamanie? ból? odrętwienie może? — mówił, ściągając z wolna rękawiczkę. — Pacjentka zbyt delikatna, wilgoć z perfum mogłaby jej zaszkodzić — szydził z krzywym uśmiechem. Położył to pieścidełko na dłoni, patrzył jak na osobliwszy okaz. — Może to zapomocą tłuszczu z takich rączek złodzieje usypiają czujność, nawodzą sen na oczy najtrzeźwiejszych śmiertelników?

Żywa ręka działała jeszcze skuteczniej; doktor drętwiał z wolna, i tylko gdy p. Nina osunęła ją niecierpliwym ruchem, ocknął się, podniósł głowę.

— Elektryzacya zbyt uczynna; dam pani domowy środek wyborny, wypróbowany: przedewszystkiém, wyjeżdżając na wieś, zamknij pani chorobę w wilgotném domisku! Lekarstwem będę służył w tej chwili, a dla porządku zapiszę receptę. — Pochylił się nad biurkiem.

Czuła, że jej nie wierzy, że zrozumiał zmyśloną chorobę, drwi z niej, a zarazem gubi się w domysłach, co ją tu sprowadzić mogło. W istocie, była waryatką, szaloną, z głupim jakimś urojeniem przyszła do człowieka, który tyle już razy szydził z niej, wykazując najdrobniejsze wady i śmieszności. Obłąd jakiś przywiódł ją tu. Samotna, w chwilowém zwątpieniu straciła resztę godności, wpadła w śmieszną egzaltacyę. Dziwactwa tego nigdy sobie nie przebaczy. Umyślnie, dobrowolnie spotkała się z tym, najwstrętniejszym dla niej człowiekiem. Nigdy jeszcze nie czuła do niego takiej nienawiści. Zdawało się, że żółć, nagromadzona przez parę tygodni starganego życia, teraz dopiero

znalazła ujście. Żebyż przynajmniej mogła mu rzucić kilka rubli za ten szpargał! potrzebowała być niegrzeczną, wybuchnąć w impertynenckim, jeśli nie w spazmatycznym płaczu. On ani się domyślał tych uczuć co niby iskry elektryczne przebiegały po skolatanym, skapryszonym umyśle znerwowanej kobiety. Receptę złożył we dwoje, odsunął krzesło.

— W tej chwili flaszczykę przyniosę — rzekł. — Jest to wyborny, trochę szczypiący środek; na sukno kilkadziesiąt kropel, wcierać mocno przed zaśnięciem; po kilkakrotném użyciu będzie pani zdrowiutka.

Wziął zapalone cygaro i wyszedł do drugiego pokoju. Tu, pośrodku, na dużym stole, flaszczyk i słoików stało kilka. Dotykał, posuwał drżącą ręką. Stał, dłonie na stole oparł i patrzył osłupiałym wzrokiem. Był strasznie głupim podczas całej wizyty. Zaskoczyła go tak niespodzianie. Widział, przeczuwał, że przyszła w interesie jakimś; on, zamiast rozmówić się po ludzku, zachęcić, wybadać, palnął głupstw parę, jak pijany szewc, a teraz, w dodatku, nie wie, po co tu przyszedł... aha! po flaszkę. Czego ona mogła żądać? W czém on, najnieszczęśliwszy z ludzi, który przez tyle lat jak bezsilny dzieciak szamoce się z własną naturą, z tym obłędem szczególnym, w czém on jęj dopomódz może? Usługami, radą, dobrém słowem gardziła zawsze. Czyżby teraz, kiedy on już oddawna pożegnał wszelkie swoje pretensye i żale do szczęścia, oswoił się z szarym losem, czyżby teraz miał jeszcze dobrą, serdeczną chwilę, w którejby ona podała mu dłoń przyjacielską za jakąś drobną usługę? Niechby już tam sobie potem jeszcze samotniej, jeszcze ciemniej było w życiu... i tak już do grobu niedaleko.

Przesunął ręką po czole. Powoli, nieśmiało zwrócił głowę do lustra, gdzie widział cały gabinet z sofą i biurkiem. Patrzył, głowę podniósł, oczy otwierały się coraz szerzej. Zdziwienie, strach jakiś, potem najwyższy niesmak odbiły się kolejno na twarzy. Patrzył dalej z pod brwi zsuniętych ponuro. Przy biurku stało widmo wspaniałe, poważne; rozejrzało się śpiesznie po gabinecie, na drzwi jego pokoju zwróciło wzrok przerażony, twarz wydłużyła się, usta i nozdrza drgały; prawą rękę oparła na krawędzi, wciąż w drzwi wpatrzona, lewą do otwartej szufladki wsunęła i śpiesznie, jakby po dotknięciu rozpalonego żelaza, cofnęła, opuściła ją wzdłuż sukni pod stołem. Wyprostowana, z podniesioną głową, wpatrzyła się w okno. Doktorowi zdawało się, że słyszy, jak w piersiach jęć wzburzone serce uderza gwałtownie. Czekał, zanim się uspokoi. Stała nieruchoma, z zaciśniętą pięścią. Wrócił nareszcie.

— Oto lekarstwo — rzekł. Nie patrzył na nią i ona oczu od okna nie odwracała.

— Dziękuję. — Jedną ręką przyjęła flaszeczkę, drugą rzuciła na stół papierek. — *Pour les pauvres* — dodała, siląc się na uśmiech. Zbladła, głowę śpiesznie ku drzwiom zwróciła.

Doktor zerknął na stół. Zmięty papierek był kawałkiem różowej bibuły, którą przekładał różnorodne banknoty w biurku. Udał, że nie spostrzegł omyłki.

— A więc do jutra, czy kiedy pani rozkaże? — zawołał wesoło, swobodnie, idąc obok niej ku drzwiom. — Tylko nie unos się pani zbyt dużą delikatnością; ja zawsze na rozkazy, z maszyną, czy bez maszyny, wier-

ny sługa, niewolnik, przyjaciel, a przedewszystkiém dobry znajomy, z którym nie należy robić ceremonij.

Drzwi jój otworzył, kłaniał się i śmiał, ale ani słowa, ani wejrzenia zdobyć nie mógł; zdawało mu się, że czuł, jak tłumiła oddech. Przy drzwiach zachwiała się. Po chwili zbiegła szybko ze schodów. Przez okno widział, jak wsiadła do dorożki, chusteczkę przycisnęła do oczu.

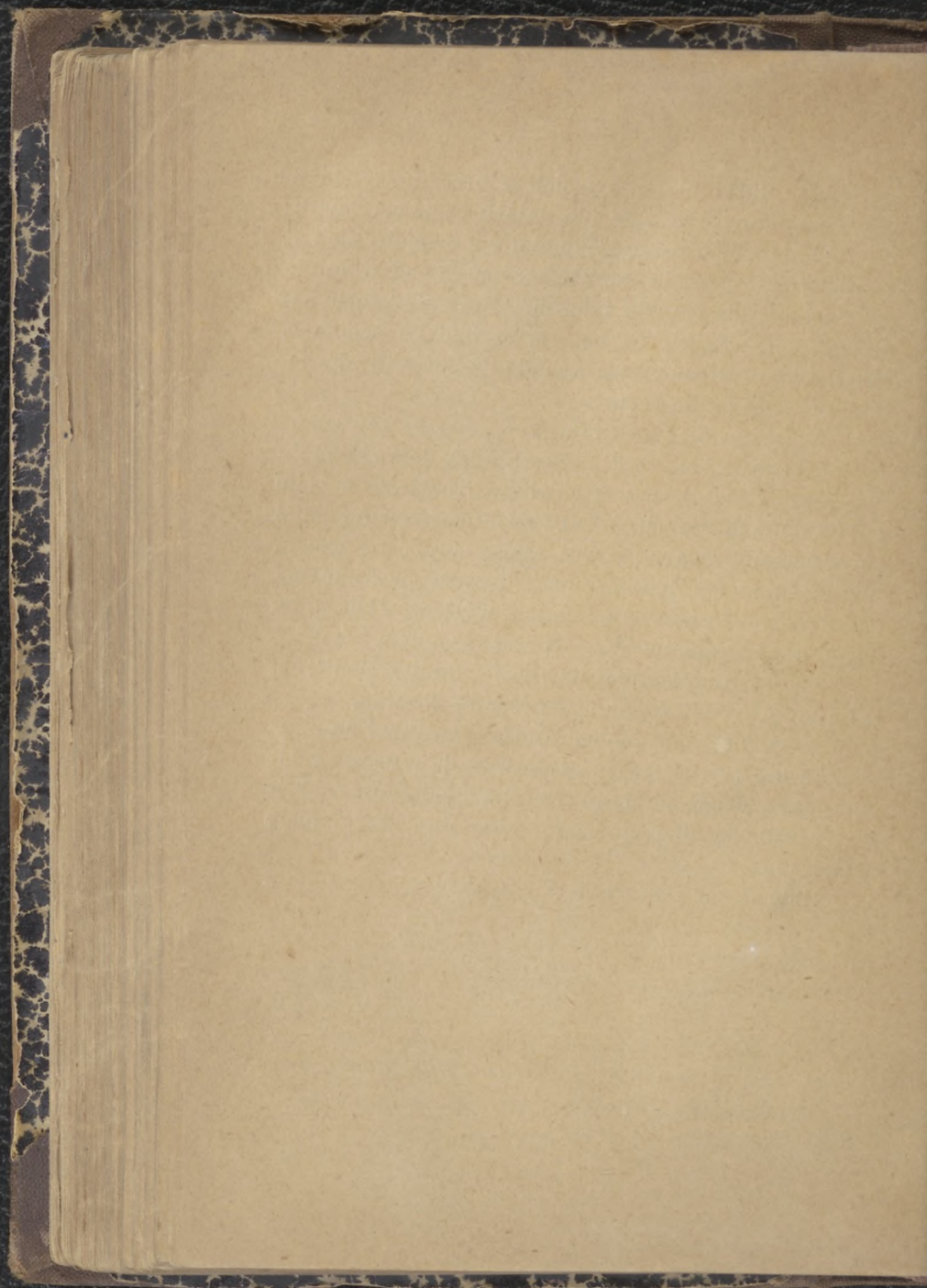
Nazajutrz otrzymał bilecik:

„Wracam do ciotki; przez długie lata takem do niej przywykła, że nawet chwilowe rozłączenie staje się dla mnie męczarnią. Z rad szanownego pana nadal korzystać nie mogę, za wczorajszą serdeczne dzięki. Byłam śmiesznie roztargnioną, o czém się szanowny pan przekonał zapewne po mojem wyjściu. Dziś, o ile mogę, naprawiam omyłkę. Z uszanowaniem i t. d.”

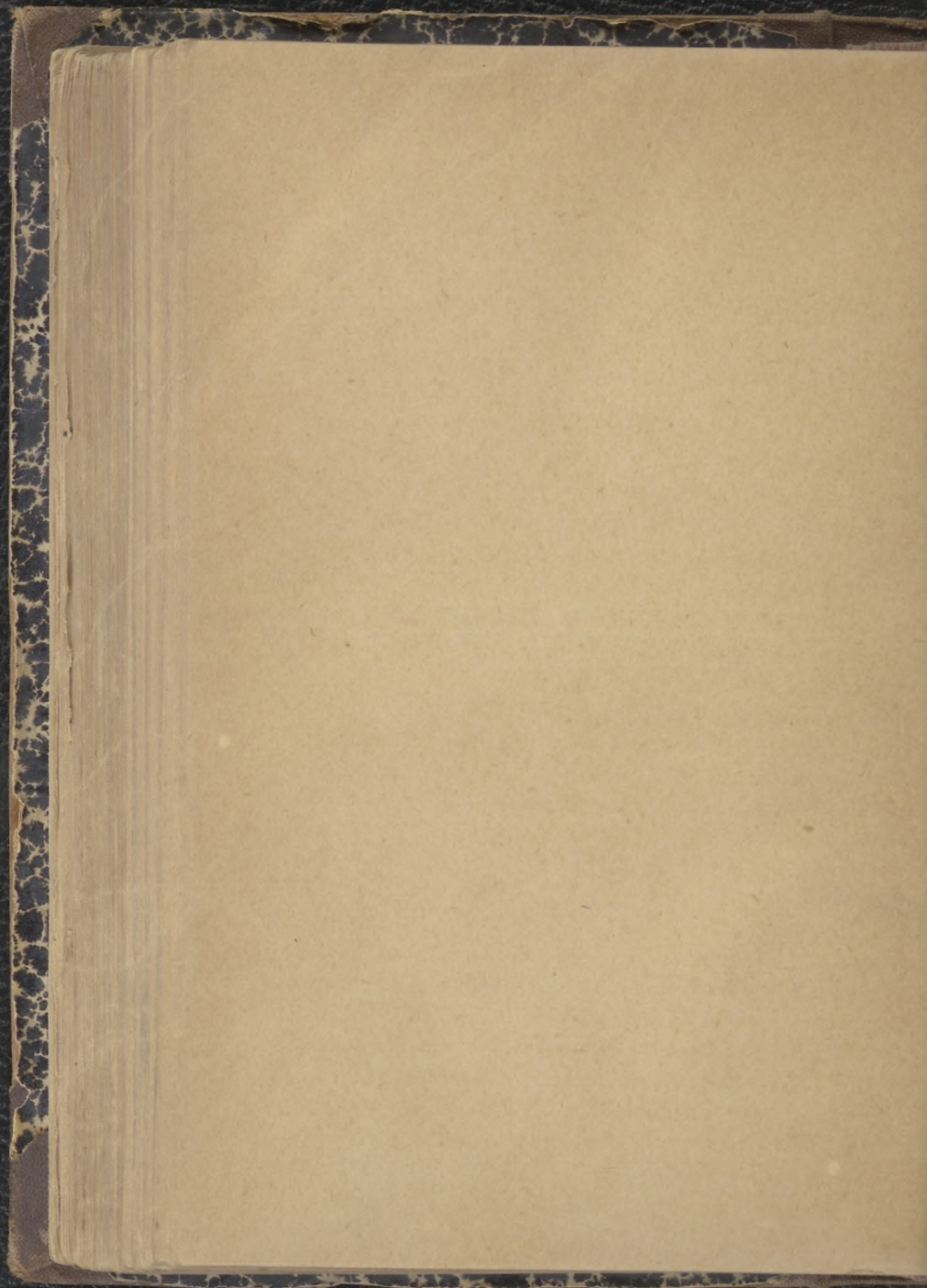
Do biletu dołączono dziesięciorublowy papiererek, kolorem przypominający nieco różową bibułkę.

— A więc teraz już na zawsze!—mruknał Ezop.— Ciekawym, czy téż teraz, spotkawszy ją jeszcze za lat dziesięć, zdobędę się na przyzwoitą obojętność? Chyba, że osłepnę do tego czasu, albo ona zeszeptnieje ostatecznie.

Bilecik schował. Była to jedyna od niej pamiątka.



SCYZORYK.



Przeczuwałem, iż podarek ten ściągnie burzę na moją głowę...

Nie należało przyjmować tak kosztownej rzeczy od ubogiego urzędnika, którego widywałem tylko w przedpokoju, kiedy przychodził do ojca z papierami albo z zieloną księgą pod pachą.

On sam nie dowierzał widocznie, że przyjmę. Kłaniał się nisko, bełkotał coś z pokornym uśmiechem; a kiedy wziąłem z rąk jego safianowe pudełko, znikł za drzwiami, jakby się lękał, żebym mu go napowrót nie oddał. I oddałbym każdą rzecz inną... tego — nie mogłem.

W pudełku, wyłożoném szafirowym aksamitem, znajdował się kryształowy kałamarz ze złotym kołpaczkiem, kilka drobiazgów ze słoniowej kości, a w oddzielnym przedziale scyzoryk w konchowej oprawie ze złotymi gwiazdami. Pyszny scyzoryk! Po jednej stronie kilka błyszczących nożyków, po drugiej korkociąg, wykluwaczka i pieczętka. Ścisnąłem go w dłoni, serce uderzało radośnie — byłem trzecioklasistą i pier-

wszy raz w życiu otrzymałem prawdziwy, ciężki, duży scyzoryk.

Tylko ten urzędnik, wychodząc, miał taki szkaradny uśmiech... Kiwnął mi głową, jakby na znak porozumienia... Cherlawy jakiś, rudy, z twarzą wydłużoną jak u lisa... chytry bestya! widać to z biegających oczu; wśliznął się tak rano, cichaczem, i przyniósł to właśnie, o czém tak dawno myślałem... scyzoryk! najpiękniejszy chyba, jaki jest w mieście!

I zkąd mu to przyszło? Nie mówiłem z nim nigdy ani słowa, nie patrzałem nawet na niego. W ten dzień, jako w dzień imienin moich i ojca, otrzymałem kilka oryginalnych podarków... olbrzymi samowar, pyszne bobry, z których na moją małą figurę można było wykroić cztery paltoty i jeszcze zostałyby na czapkę dla ojca, dywan, wazon, i t. d. Podarki te pochodziły od rozmaitych osób, mających interesa z ojcem, który był dyrektorem poważnej instytucji. Kochał on mnie jako jedynaka, a ludzie o tém wiedzieli; kobiety nawet zalecały się przeze mnie do niego, był bowiem wdowcem i, pomimo siwych włosów, jeszcze bardzo pięknym mężczyzną. Więc ten biedak może zapomocą scyzoryka chciał względy pozyskać... zabawni! Wprawdzie zarówno jak bobry i samowar, kalamarz, pióra, nożyki, scyzoryk nawet wyglądały poważnie, jakby nie dla mnie przeznaczone... duże, ciężkie, mogły figurować na biurku stowarzyszonych dyrektorów.

No, ale już tego nie oddam. Wolalbym tylko, żeby podarek pochodził od kogoś innego... jak ojciec się dowie, będzie bieda. On od tych... tam przyjmował tylko płaszcze i kalosze, gdy mu przy wyjściu podawali...

Niepokój ogarniał mię coraz większy... wylaże i każe oddać, byłem tego pewny. Przez chwilę namyślałem się, czy nie należałoby zawczasu schować scyzoryka? O kałamarz i drobiazgi mniej dbałem, kłamstwo wykryje się z czasem, a wtedy będzie jeszcze gorzej.

A panna Anna? Tój bodaj więcej się bałem niż ojca. Była to zarządzająca domem i moja opiekunka zarazem. Piękna brunetka z czarnemi oczyma, sztywna, milcząca, ale baczna na wszystko, co się u nas działo. Widziałem nieraz, jak, słuchając z drugiego pokoju rozmowy ojca z gośćmi, wruszała ramionami i uśmiechała się złośliwie; dziś, kiedy pokazywałem jój jeden za drugim kosztowne podarki, patrzyła na mnie surowo, ostatnich już nawet nie miałem ochoty pokazywać. Miała zawsze tak pogardliwą minę, jak gdyby z łaski albo z ostatecznej biedy żyła z nami. Wymówki nie zrobiłaby żadnej, bo wogóle przemawiała rzadko— ale to spojrzenie badawcze, zaciśnięte usta, to nieznanne wzruszenie ramionami upokarzało mnie i bolało trochę; przed nią nigdybym się do niczego złego nie przyznał.

O scyzoryku zresztą nie potrzebowałem tak odrazu wspominać ani przed nią, ani przed nikim w domu; może być u mnie dni kilka, cały miesiąc, a dopiero później, tam kiedyś... Pudełko schowałem n razie pod poduszkę, po namyśle zasunąłem pod szafę— w stoliku zmieścić się nie mogło; scyzoryk miałem w kieszeni i przez sukno spodni przytrzymałem go nieznacznie. Żeby tylko ten rudy cherlak nie wygadał się zawczasu. Przechodził z papierami prawie codzień, stał całemi godzinami w przedpokoju, a tam lo-

kaj Piotr nieraz z nim gawędkę prowadził. Mysł ta dręczyła mnie nie na żarty.

W podwórze przed dom zajeżdżały powozy, sanki, zaprzężone w siwe, czarne i gniade konie; wyskakiwali z nich szybko młodzi i starzy goście, powozy odjeżdżały na stronę, stawały szeregiem po prawej stronie klombu, a ja, klęcząc na krześle, spoglądałem na to przez okno. Z salonu dolatywał gwar rozmowy; wołano mnie parę razy... udałem, że nie słyszę. Wyjąłem ukradkiem szczyryk z kieszeni i, położywszy na oknie, między lokciami, podparty wpatrywałem się w niego. Przedtém miałem już kilka o jednym nożyku, w sztykretowych i w kościanych oprawach, wszystkie były małe, tępe... bali się, żebym sobie palca albo nosa nie urznął—ten... przynajmniej... oho!

Naraz ogarnęła mnie chęć pochwalenia się przed Skulskim; był to sekretarz ojca, pracował w osobnym pokoju obok gabinetu. Ten zna się na wszystkiém... zajmował się niegdyś w kolejowych warsztatach. Co on téż o nim powie! Wybiegłem na korytarz i przed drzwiami Skulskiego zatrzymałem się chwilę...

Straszny to był fantastyk! Czasami rozmawiał ze mną, częściej jednak precz wyprawiał, żebym mu nie przeszkadzał w robocie. Mówiono, że już kilkakrotnie tracił posadę, a zawsze za hardość. U ojca pracował od trzech lat; rano, wieczorem, w niedziele i święta zawsze siedział za stołem, plecami do drzwi zwrócony; pisał tam coś, czy drzemał może; jak tylko skrzyknąłem drzwiami, podnosił głowę, spoglądał ponuro przez ramię. Twarz miał śniadą, najeżoną czuprynę, gęste brwi i czarną brodę, ubierał się bardzo starannie, od niejakięgo czasu używał fijołkowych

perfum, podstrzygał ładnie brodę, a na małym palcu miał cieniutki pierścionek z turkusem. Natury jednak nie zmienił: mówił czasami tak złośliwie, że aż mu w gębie skrzypiało; kaszlałem wówczas, szorowałem nogami umyślnie, żeby ojciec jego gawędy przeze drzwi nie słyszał. Wyprawiliby go znowu; a chociaż mówił, że o „psią służbę” nie dba, mitygował się trochę, kiedy usłyszał kroki w gabinecie. Głos miał gruby, ruchy ociężałe, zestarzał się, czy tylko zapracował się zbyt; nawet wybuchy złości nie trwały długo, uspakajał się, milczał i po chwili zabierał się do zwykłej roboty, jak stary pies, co więcej z nałogu niż z potrzeby szczeka na przechodniów, a potem zmęczony, podwinąwszy ogon, wraca do budy na słomę.

Imieniny dodały mi otuchy; przychodziłem zresztą ze scyzorykiem, jakby za interesem...

Otworzyłem drzwi śmiało...

Skulski obejrzał się, skinął głową — był to znak niezwykłej łaski.

Opowiedziałem mu o prezencie, podałem scyzoryk...

Otworzył wszystkie nożyki, chuchał, dmuchał, kręcił głową, a ja, przyglądając się tej pięknej sztuce najeżonej ostrzami, tłumilem oddech, drżałem na myśl, że Skulski przez nieostrożność może wyszczerbić albo nadwereżyć któryś z nożyków, uśmiechałem się, nadrabiałem rezonem, a jednocześnie podsuwałem rękę, żeby jaknajprędzej schwycić.

— Zkąd masz?— spytał, zachwycony widocznie scyzorykiem— pyszna sztuka, tylko nie dla takich jak ty berbeciów...

Zaczerwieniony, na razie nie wiedziałem, co odpowiedzieć... Wstydzilem się przyznać, że mam go od tego biedaka. Skulski patrzył mi w oczy badawczo:

— Milczysz; eh, to jakaś nieczysta sprawa! Z oczu tobie źle patrzy! Scyzoryk nie twój! ściągnął go u ojca albo u kolegów? przyznaj się!

Przysięgłem, że mój; opowiedziałem, jakając się, że... że dostałem go od urzędnika z biura.

— A więc i ty już zaczynasz? Dobrze! Jakiż to kiej po ostrzu scyzoryka na wyższą posadę wdrapać się próbuje? he? Jak się nazywa ten uprzejmy jegomość?

Nazwiska nie umiałem wymienić; opisałem akuratanie twarz, figurę, ubranie.

— Chodak! szczwany lis! ten darmo nawet pstryczka nie da nikomu. Zwęszył już coś! zabiega naprzód i skomli!

Rzucił na stół scyzoryk, ręce do kieszeni wsunął, rozparty w krzesle patrzył na mnie z dziwnym uśmiechem.

— A wiesz ty, malcze, że ten scyzoryk poderznie gardło komuś? może mnie, może drugiemu biedakowi, co na podarki się nie wydatkuje, lizać łap nie umie. Darmo takich rzeczy nie dają, ktoś zapłacić musi... a płaci zawsze ten, z którym rachunek najłatwiejszy!... Eh, co ty wiesz! przez twoje ręce dyabeł mógłby jeszcze duszami handlować!

Zamyślił się, gryzł usta, na scyzoryk, to na mnie spozierał.

— Hm, on tu już nieraz zaglądał... gadał co z tobą, czy tak tylko?

Milczałem zakłopotany.

Skulski wstał, chodził po pokoju z rękami w kieszeniach, na mnie nie patrzył. Naraz odpadła mnie ochota do scyzoryka; spoglądałem, jak, leżąc na zieloném suknie, połyskiwał konchową oprawą i złożonemi gwiazdami—ręki po niego nie wyciągałem; oparty plecami o stół, śledziłem ruchy i wyraz twarzy Skulskiego. Zły był na mnie, w myślach pewno nazywał łapczywym chłopcem, co nawet od żebraka nie wstydziłby się grosz przyjąć. Bo téż, co mnie się stało, że ja... od tego biedaka... nieznajomego... Zaczynałem się coraz bardziej wstydzić mego postępuku, na scyzoryk nie spoglądałem, stał w oczach jak pokusa.

— Drugi raz od biedaków podarków nie przyjmuj. Po co? On może poduszkę sprzedał, żeby ci to cacko kupić. Bo Chodak łotr wprawdzie, ale i nędzarz—mówił, stanąwszy przede mną, i gładził mnie ręką po głowie.—Poproś lepiej ojca, a najlepiej obchodź się bez zbytkowych rzeczy. Zobaczysz, że ten scyzoryk na korzyść ci nie pójdzie: najprzód dostaniesz za niego burę, stracisz potem, ktoś ukradnie, albo dyabeł weźmie go w jakikolwiek sposób... Zobaczysz! takie rzeczy... przekłete... nieszczęście przynoszą!...

Usiadł do roboty, a ja, pod wpływem słów tajemniczych, stałem jak w ogniu.

Wówczas pewny byłem, że za scyzoryk co najmniej... dostanę różgami!

— No, zabieraj swój prezent i wynoś się; czasu nie mam—przerzucił papiery i zerkał na mnie z ukosa.

— Nie chcę tego scyzoryka—mruknąłem,—oddam go Chodakowi... albo daruję komuś... żeby ojciec nie widział.

— Rób, co chcesz, to już nie moja rzecz; w przyszłości na wstyd się nie narażaj, nie warto!

Panna Anna wniosła śniadanie na tacy, zarumieniona, uśmiechnięta; zawsze była w dobrym humorze, jak szła albo wracała od Skulskiego.

Ojcu śniadanie podawał lokaj, ja sam brałem co mi się podobało. Skulskiemu przynosiła panna Anna; przedtém poprawiała przed lustrem włosy i kołnierzyk, nuciła nawet zcicha, co jęj się nigdy w innęj porze dnia nie zdarzało. A że Skulski tęż zrywał się zwykle na jęj spotkanie, tacę odbierał i całował w rękę, domysliłem się, że chce się z nią żenić—i chociaż nikt mnie subtelnosci nie uczył, zmykałem z pokoju, żeby jemu nie przeszkadzać jeść śniadania, ani jęj siedzieć przy nim na krzesle. Tęgo dnia schwyliłem ze stołu scyzoryk i zemknąłem śpieszniej niż zwykle. Nie chciałem, żeby Anna dowiedziała się o całej awanturze. W salonie gości nie było, tylko dym z cygar unosił się jak szary obłok; w przedpokoju Piotr wytrząsał do spluwaczek popielniczki.

— Daruję mu scyzoryk! — szepnął we mnie zły duch jakiś. Z Piotrem zostawałem w ciągłej wojnie. Zgryźliwy pedant musztrował mnie jak pudła; w domu, po ojcu, był najpierwszą i najbardziej gderliwą osobą; dla pozyskania jęgo łaski pomagałem mu czasami wpra wiać świece do lichtarzów.

— Daruję mu scyzoryk i będę spokojnym przy najmniej, a on może otdąd nabierze dla mnie szacunku.

Przystąpiłem do starego z boku, podałem scyzoryk na dłoni.

— Weźcie to sobie; dostałem dziś w prezencie, ale mi się nie podoba... wam może będzie przydatny.

— Cooo?—zmierzył mnie od stóp do głowy i spojrział na wyciągniętą rękę.—A któż to pozwolił rozdawać rzeczy? he?... Później powiedzą, że ja wyludził, albo ukradł może? Znam was, mileńkie! Na służbie zęby zjadł, a na łaskawy chleb nie zarobił!

Rękę ze scyzorykiem schowałem do kieszeni.

— Ot, co masz scyzorykami traktować, lepiej swoich spraw pilnuj. Dziś żyd ze szkoły przychodził... za pomarańcze, za pierniki pięć złotych dopominał się... Czy to nie wstyd! pańskie dziecko... a na kredyt bierze, jak żebrak! Powiem ojcu, niech tylko do domu wróci! Dalibóg, powiem! dosyć już milczał! Szklanki, spodki, talerze wszystko łupisz, nie przywierając jak bestya dzika! Ja milczę a milczę, poprawy czekam, a tobie widać do rozumu tak daleko, jak do nieba! Poczekaj! Niech raz skórę zedrą za długi, za szachrajstwo, za szkodę, zobaczysz, jak mądrości przybędzie! Scyzorykiem traktuje... hojny! Może na kredyt u żyda wziął! A cóż, pański syn, czemu nie ma sobie pozwolić!

— Co Piotr gada! — szepnąłem prawie nieprzytomny ze strachu i wstydu.

Długi miałem; płaciłem je akuratnie od czasu do czasu... Ale żeby się ojciec o tém dowiedział... byłoby nieszczęście! Nie przedstawiałem nawet sobie, jaka straszna kara czekała mnie za to.

— Co gada, co gada!—mruczał dalej, czyszcząc popielniczki—gadam co słuszne, co prawdziwe! Grzechu na duszę brać nie chcę... ojciec powinien wiedzieć o wszystkiém. Czy to ja nie wiem, że książkami sza-

chrujesz? A to pudelko z kalamarzem złotym, co pod szafą stoi, z kąd?... Dostałeś? Tak po cóż u licha chowasz jak kradzione? Czy to pod szafą miejsce na prezenta?... Oj, ty coś kręcisz powróż sobie na szyję! Z lepszych od ciebie nieraz już szubienicznicy wyszli! I jeszcze scyzorykiem traktuje... Gębę zamknąć chce! Nie, paniczeńku, ja i prezentu nie potrzebuję i do spółki szachrajskiej nie przystanę! Niech tylko ojciec wróci... ot, tak, powiem wszystko, o scyzoryku nie zamilczę, żeby potem na mnie gadania nie było. Kusić mnie! Na, powiada, bierz! to dla ciebie! A co byłoby, żebym ja wziął? Później pytanie, szukanie, gdzie, co, jak? U Piotra! Piotr na prezenta czyha! od takiego pana szczególnie, co tam pierniki na kredyt zjada! Czegóż stoisz? marsz do pokoju! tu nie miejscel a scyzoryk swój schowaj dla głupiego... Nie z dobrych rąk on do ciebie przyszedł, kiedy go na pokusę używałeś!

Stałem jak wryty. Prosić go o milczenie nie śmiałem. Nie posłuchałby... oh, gdzie tam! A jeżeli naprawdę zechce wszystko wygadać... będzie straszna burza... i to jeszcze w dzień imienin! Ojciec trzymał ostro—szacherek, kłamstwa nie znosił... a długi jeszcze! Boże łaskawy! Może to i prawda, że ten scyzoryk przeklęty! On to przecież całą biedę wywołał... Piotr milczałby może do czasu — a potem... możeby zapomniał... Próbowałem przemówić do niego pokornie, obiecałem, że dług jutro zapłacę... że już więcej nigdy... byleby ojcu nie wspominał...

Nie dał dokończyć; osmielony moją pokorą, ofuknął jeszcze srożej:

— Długi? patrzaj! do tego przyznał się, bo wiesz, że niema co? A czemu o pudelku pod szafą,

o scyzoryku milczysz? Czy myślisz, że ja taki głupi, nie rozumiem? Żeby on do ciebie dobrą drogą przeszedł, nie sunąłbyś go w rękę pierwszemu lepszemu... Przyznasz się téż, jakim sposobem duszę dyabłu zapisujesz... Eh, żeby już ten pan prędej przyszedł!

Uciekłem, lzy cisnęły się do oczu... Miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Zaglądałem do okien, nadśluchiwałem—ojciec wracał zwykle o trzeciej... tego dnia pewny byłem, że wróci wcześniej... zaraz może... A Piotr już czyha, nawet z przedpokoju nie wychodzi. Okropne będą rzeczy, i to jeszcze przed obiadem... ojciec zawsze jest bardziej srogi. Wrzucę do dyabła to pudełko gdzieś do wody, czy w ogień, i wyprę się... Oho! wówczas to już pewno byłyby różgi w robociel! Ojciec nie wracał, uspokoiłem się trochę, zacząłem myśleć rozważniej nad mojem położeniem. Że Piotr oskarży, nie wątpiłem o tém ani na chwilę. Należało uprzedzić go i przyznać się samemu. Skończy się może na pozostawieniu bez obiadu, przez wzgląd na imieniny.

— Tak, przyznam się! Ażeby załagodzić biedę, scyzoryk ofiaruję ojcu! Chodakowi oddawać nie wypada; ponieważ więc ma zostać, niech służy ojcu. Dla mnie jest za duży, za ostry, mogę pokaleczyć palce, niech go ojciec weźmie dla siebie! Ej, głupstwo! Martwiłem się, Bóg wie czego, a tu wszystko ułoży się jak najlepiej. Piotr, widząc, że jestem z ojcem w dobrej komitywie, nie ośmieli się gęby otworzyć. Niegodziwiec, a ja dla niego byłem zawsze dobry jak trusiątko. Odtąd basta! Gawędy żadnej, świec oprawiać nie będę, poufałości żadnej, nie warto wdawać się z gburami!—Uspokoilem się, rozweseliłem, a kiedy Piotr przechodził przez pokój, uśmiechnąłem się wesoło.

— Śmieję się, śmieję! zaraz wróci ojciec — mruknął, spojrzawszy na mnie z ukosa.

Teraz ja z kolei wyczekiwałem ojca.

Zadzwonił, pobiegłem mu otworzyć. Poważniejszego prezesa nie było chyba w całym mieście! Wysocki, okazały, głowę nosił zlekka podniesioną, w ruchach, w mowie doskonały spokój; uśmiechał się nawet inaczej niż wszyscy, jakoś zwolna, nieznacznie, mrużył przytęm oczy; czarne, faliste włosy zaczesywał z czoła na tył głowy, nosił długie bokobrody i złote okulary. Widziałem go codzień i codzień przyglądałem się uważnie, jak przechodził przez salon z elastyczną godnością, jak siedział w fotelu rozparty, poważny, z nogą zarzuconą na nogę, palił cygaro, ręką przesuwając po czole, albo zlekka bębnił po stole palcami... Zdawało mi się, że ja nigdy ani tak bębnić, ani tak palić, ani nawet tak siadać i chodzić nie potrafię. Wzbudzał we mnie podziw i uszanowanie. Nie dziwiłem się, że urzędnicy, przychodzący z papierami, stali przed nim jak słupy, bez ruchu, bez mrugnięcia, bez oddechu nawet! Ja sam, całując jego rękę, miałem nieraz ochotę przyklęknąć i przeżegnać się jak przed pacierzem! Czasami całował mnie w czoło — wówczas wyciągałem szyję i tłumilem oddech; nie śmiałbym chuchać mu w twarz, albo najłżejszym ruchem przerwać akt tak ważny! Kiedy wchodził do pokoju, prostowałem się, patrzyłem w oczy, żeby zgadnąć, czego chce i o co zapyta. Pytania zresztą powtarzały się codzień też same: „jak się masz, chłopcze?” „oóż, jak tam z nauką?” „czy nie swawolisz zanadto?” „pilnuj się, nie rób mnie wstydu” i t. p. Odpowiadałem krótko: „tak,” „nie,” „dobrze” i żyliśmy z sobą w jaknajlepszej

zgodzie... W ten dzień pamiętny pomogłem mu zdjąć futro, przyjąłem z rąk kapelusza i tak się kręciłem, tak zaglądałem w oczy, że nareszcie zwrócił uwagę.

— Cóż ty dziś tak uprzejmy jesteś? — spytał; ujął mnie pod brodę, podniósł twarz, patrzył w oczy z uśmiechem.

Wyglądał bardzo łaskawie; zebrałem otuchę i w kilku słowach wyrecytowałem o Chodaku, podarku, o żalu swoim, że tak bez namysłu postąpiłem, prosiłem o przebaczenie i zarazem ofiarowałem ojcu scyzoryk, jako dla mnie zaduży i zaostry. Odstąpiwszy parę kroków, czekałem burzy... Milczał, scyzoryk wziął zwolna, obejrzał, podrzucił parę razy na dłoni; twarz, pogodna dotąd, wyciągnęła się jakos, zagryzł usta i zerknął z pod okularów w jedną, potem drugą stronę.

— No, teraz... będzie!—pomyślałem, truchlejąc zawczasu; opuściłem ręce, przez chwilę zdawało mi się, że podłoga usuwa się zwolna, ściany chwiać się zaczynają.

— Zawołaj panny Anny—rzekł ojciec głucho.

Odszedł i stanął, zwrócony plecami do okna; scyzoryk trzymał w dwóch rękach przed sobą. Pobiegłem, poleciałem jak na skrzydłach, tak mi pilno było zemknąć z przed jego oblicza. Po chwili wsunąłem się do pokoju za panną Anną; przytulony do szafy, wyglądałem z kąta. Milczeli oboje. Ona stała wyprostowana, jak zwykle, w szarzej sukni, w czarnej chusteczce, skrzyżowanej na piersiach; przed chwilą była w kuchni, więc policzki miała zarumienione, błyszczące oczy, promienie czarnych włosów spadały na czoło; poruszała zlekka nozdrzami, patrząc śmiało w twarz ojcu. On, jakby

się nad czémś namysłał, scyzorykiem po dłoni uderzał i spoglądał na nią od stóp do głowy i napowrót.

— Pani nie zwraca wcale uwagi na Jasia—rzekł z wolna, z przyciskiem; ściągnął brwi, głowę podniósł;— wszyscy tu mają lepszą opiekę, niż on... ot i dziś... chłopak przyjął podarek od kogoś, bez zapytania... bez pozwolenia; tak być nie powinno... wcale sobie tego nie życzę! Prosiłem już panią o szczególniejszą nad nim opiekę; domownicy moi sami sobie poradzają: on, chociaż do szczególnych względów prawa nie ma... z obowiązku do pani należy!

Nigdy jeszcze nie mówił z takim przyciskiem, z taką złością ukrytą. Usiłował być spokojnym. Ale jedne wyrazy wymawiał głośniej, drugie ciszej, inne grzęzły w gardle, scyzorykiem zaś coraz prędzej uderzał siebie po dłoni.

Panna Anna podniosła głowę, poruszyła ustami... zawahała się...

— Tak, pan ma słuszność! Dziś od rana miałam tyle do roboty, że... że nie mogłam prowadzić Jasia na pasku! Co zaś do podarków... raczej pana o to pytać powinnam... ja byłabym może zbyt wybredną!—Odwróciła się i wyszła swoim lekkim i cichym krokiem.

Ojciec cisnął scyzoryk na okno, zatarł dłonie.

— Ha, chce biedy—szepnął,—będzie ją miał! Pobiegnij przez salon do gabinetu.

Teraz już pewny byłem, że ten scyzoryk jest przekłety! Przez kilka miesięcy pobytu panny Anny u nas ojciec był bardzo uprzejmy. Żeby jęj nie utrudzać, sam przychodził do nięj za każdą drobnostką, dziękował za herbatę, za każdy talerz zupy, co mu nalać ra-

czyła. Przed wyjazdem z domu codzień zaglądał do wszystkich pokoi, żeby ją zobaczyć i powiedzieć uprzejme „do widzenia,” parę razy nawet widziałem, jak całował ją w rękę...

Zmienił nawet tryb życia. Dawniej wyjeżdżał każdego wieczora, wracał późno w nocy z „sesyi,” a kiedy nazajutrz zajrzałem do jego sypialni, na toalecie znajdowałem zwiędłą różę, kokardy z białych i różowych wstążek, czasem wachlarz, czasem bransoletkę. Interesowało mnie to trochę—spytałem tedy, do czego służą mężczyźnie podobne rzeczy.

— Dowiesz się z własnego doświadczenia — odrzekł poważnie i czyścił wówczas paznokcie z miną ministra.

Po obiedzie wyjeżdżaliśmy codzień na spacer.

Ojciec kłaniał się prawie wszystkim kobietom na ulicy, często wysiadał z powozu, szedł czas jakiś po chodniku obok eleganckiej pani, rozmawiając wskazywał na mnie w powozie, wówczas pani przesyłała mi całusa na końcach palców. Był gościem w domu.

W ostatnich czasach wieczorem wcale nie wyjeżdżał, po obiedzie siadywaliśmy na sofie w salonie, ojciec palił cygaro, panna Anna podlewała wówczas kwiatki na oknach.

— Pyszna dziewczyna — szeptał zcicha; mrużąc oczy, spoglądał, jak podnosiła konewkę, schylała się ku ziemi, przechodziła od okna do okna; zapraszał, żeby przysiadła obok nas, bo zawsze miał ją o coś zapytać.

Ona na zapytanie odpowiadała stojąc we drzwiach, jakby uprzejmych słów ojca nie słyszała wcale. Wieczorami zawsze coś szyla przy lampie.

Ojciec chodził przez kilka pokoi, od czasu do czasu zatrzymał się naprzeciw niej przy stole, zapytał, czego się ucze, co mam zadane, a podczas kiedy ja przewracałem stronicę, on, pochylony nad stołem, patrzył na głowę panny Anny, na igłę migającą w jej ręku. Nieraz trzy razy jedną rzecz pokazywałem, nie uważał, nie wiedział nawet, czy mu pokazuję książkę, czy kajet czysty, tak go robota panny Anny zajmowała!

Harmonia psuła się trochę pod koniec. Parę razy nazwał ją za coś... głupią dziewczyną, za oczami naturalnie,—słyszec tego nie mogła, ale domyśliła się może, albo ktoś jej to powtórzył, bo posmutniała znacznie i ojcu wcale już odpowiadać nie chciała. Zły był na nią, czasami syknął przez zęby podczas obiadu, trzasnął drzwiami wychodząc, ale z prawdziwą złością przemówił dopiero za ten nieszczęśny scyzoryk.

Po burzy obiad był bardzo smutny—ojciec przyszedł z gazetą, czytał między jedną potrawą a drugą, ja milczałem, panna Anna nie jadła wcale; kiedy przechodziła od stołu do kredensu, ojciec spoglądał za nią z ponad gazety. Widocznie żałował słów wypowiedzianych w uniesieniu; odchodząc z jadalni do gabinetu, obejrzał się, przystanął na progu; ona wyszła z pokoju, jakby się bała przeprosin. Dopiero kiedy wszystko w domu ucichło, ojciec zapewne zdrzemnął się w gabinecie, w jadalni zaś, w przedpokoju i w salonie zapalono lampy, wróciła z koszyczkiem do roboty.

Zaledwo usiadła i, przysunawszy lampę, rozłożyła na stole płótno, nici i nożyczki, zbliżyłem się do niej. Chciałem za ten przekłety scyzoryk przeprosić, już nawet zaczynałem przemawiać nieśmiało. Wtém ojciec nadszedł, uśmiechnięty, w dobrym humorze, mnie po

głowie głaskał, o książkę jakąś zapytał, a z ukosa na pannę Annę spoglądał.

Wstała i poszła ku drzwiom.

— Nie dąsaj się—rzekł, przytrzymując ją za rękę; — byłem może zaostry, ale... któż temu winien? Wierz mi, w roli „niedostępnej” brzydko wyglądasz! Piękne kobiety powinny być dobre.

— Żadnej roli nie gram... przekonałeś się pan...

— No, no, bez uniesień, bez frazesów! zapomnijmy i pogódźmy się, pod warunkiem, że będziesz... lepszą — i wyciągnął ku niej rękę.

Stała oparta plecami o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

— Więc cóż? odrzucasz zgodę? — spytał ojciec, a w głosie zadrgała złość dawniejsza. — Pomyśl... Możesz tego pożałować!

— Zarzucasz pan, iż nie spełniam obowiązków... lepszą być nie mogę... Robię wszystko, co do mnie należy, i nadal taką pozostanę. Jeśli się panu nie podobam, mogę ustąpić — dodała zcicha.

— Ja nikogo na uwięzi nie trzymam, wolna wola!—zawołał ojciec, ręce zatarł i zaczął śpiesznie chodzić po pokoju. Jeżeli tylko... pani się nie podoba... owszem!... témbardziej, iż dom mój może się stać mniej miłym... dla pani. Dzisiejszy scyzoryk przekonał mnie, niestety, że zaufanie musi mieć granice... Sądziłem, byłem pewny, że dziecko moje ma najtroskliwszą opiekę, tymczasem widzę troskliwość o wszystkich, tylko nie o niego, to cóż robić! Nie ma szczęścia do kobiet!

Zaśmiał się, gadał coś tam jeszcze, ale co, nie słyszałem.

Scyzoryk! znowu o tym scyzoryku wspomniał.

Spokojny niby, usta drżały mu przytém jak w febrze, rzucał oczami po pokoju. Oh, nigdy go jeszcze takiego wzburzonego nie widziałem. Kiedy odszedł do gabinetu, długo słyszałem jego pośpieszne kroki, trzask drzwi i jakby groźne drganie powstałe w powietrzu.

Panna Anna przysiadła w kącie na krzesle, ręce położyła na kolanach, pochyliła głowę. W cieniu na oknie połyskiwał scyzoryk; obrócony nożykami ku lampie, błyszczał nową stalą. Patrząc na niego, zgrzytnąłem zębami; raz przecie należało z nim skończyć. Cichutko, żeby nie przerywać zamyslenia pannie Annie, podszedłem do okna, schwyciłem scyzoryk i ścisnąłem go w dłoni. Lufcika w tém oknie nie było— w pierwszej chwili wyrzuciłbym go na ulicę bez wahania. Na dworze ściemniało, szereg latarni migotał wzdłuż ulicy, ostry śnieg dzwonił w szyby, jak gdyby ktoś ciskał żwir garściami. Jeśli teraz wyrzucę scyzoryk—rozmyślałem,—śnieg go zasypie, stróż zmiecie do rynsztoka, przepadnie bez korzyści taka piękna rzecz.

Obrócony plecami do panny Anny, otworzyłem ręce, ukradkiem przyglądałem się oprawie, złotym gwiazdkom, miękkłem jednocześnie. Bo i cóż on temu wszystkiemu winien? Klótnie przeminą, ojciec wybaczy pannie Annie, bo ona pewno teraz będzie lepszą... a jak raz scyzoryk oddam, albo wyrzucę, nikt go już nie wróci, pozbędę się raz na zawsze, a drugi dostanę zapewne nie prędko!... i czy taki! Ścisnąłem dłoń coraz mocniej...

A jeżeli naprawdę jest w nim coś złego? Skulski plół o przekleństwie jakiegś... to pewno nieprawda,— chciał nastraszyć, żebym drugi raz od biednych ludzi nie nie przyjmował. Ja też nigdy a nigdy nie przyjmę nic ani od biednych, ani od bogatych, tylko ten scyzoryk zatrzymam, schowam go, sam czasami popatrzę, w szkole kolegom pokażę.

Już miałem włożyć do kieszeni i do książki wracać... gdy od drzwi, z kąta, gdzie siedziała panna Anna, doleciał mnie jakby płacz stłumiony, Zrobiło mi się naraz bardzo gorąco, nie śmiałem spojrzeć na nią. Zawsze taka spokojna, surowa, teraz płacze w kącie jak małe dziecko. Ja nawet już od kilku miesięcy nie płakałem wcale, byłem w trzeciej klasie, wstydzilibym się też przed samym sobą — a ona... płacze... Spojrzałem ostrożnie przez ramię. Rękami przyciskała chusteczkę do twarzy, głowa i ramiona poruszały się od łkania.

— O Boże!...—szepnęła jakby nad samém mojem uchem. Szept ten pozostał w powietrzu, zdawało mi się, że wciąż słyszę to głuche, stłumione „Boże!” Stałem jak na węglach, mimowoli podejmowałem jedną, to drugą nogę. Scyzoryk, rozgrzany w dłoni, palił jak ogniem, czułem nożyki, zębki korkociągu, wpijające się w dłoń i w palce.

— Rzucę go do licha... Przeklęty, czy nieprzeklęty, narobił tyle biedy, iż chyba do końca życia tych imienin nie zapomnę!—szeptało coś we mnie. Stałem cichutko, nie chciałem najlżejszym ruchem przypominać o sobie... przykroby jój było, że ktoś ją widział płaczącą... Wyprostowała się, ręce z chusteczką opuszczyła na kolana.

Wówczas wyszedłem z jadalni na korytarz. Wążka, długa sień, oświetlona płomykiem gazu, miała kilkoro drzwi do biura, a na końcu schody brudne, prowadzące do kuchni, do mieszkań woźnych i stróżów; na dole, u drzwi wchodowych, stały beczki jakieś, przewrócone dnem do góry, kilka drewnianych skrzynek słomą napchanych; wiatr zasypał śniegiem podłogę, pokrytą w kilku kierunkach śladami stóp ludzkich; zbiegłem ze schodów, między beczką i skrzynką ze słomą wsunąłem scyzoryk. Wchodziło tu masa ludzi, żebraków, żydów, posłańców różnych. Ktoś znajdzie, zabierze, i dobrze! Cóż to mnie może obchodzić — zapomnę o nim, jakbym go nigdy nie widział.

Wbiegłem napowrót, a z góry zerknąłem raz jeszcze, — błyszczał w śniegu, płomyk gazowy padał na niego prościutko. Zawahałem się... sam nie wiedziałem: czy lepiej, że widać, czy może zasunąć zupełnie za beczkę?... Ktoś stuknął drzwiami w kuchni, wskoczyłem do jadalni jak z procy. Ojciec stał przy stole z listem w rękę. Spojrzawszy na mnie, odrazu dostrzegł śnieg na butach i czerwony koniec nosa.

— Zkąd wracasz? bez czapki, w kurtce, po śniegu? Co to znaczy? — Ściągnął brwi, spojrzął na pannę Annę, wciąż jeszcze siedzącą na krześle, wzruszył ramionami. Ja przymarzłem na miejscu — czekałem, co dalej będzie. Ojciec targnął za rączkę od dzwonka.

— Pogłuchli! — mruknął, zagryzł usta i, uderzając listem po palcach, patrzył na lampę.

Pogłuchli w istocie!

Strasznie długie minuty płynęły jedna za drugą, a z kuchni nikt nie przychodził. Ojciec jeszcze raz

targnął za rączkę... Od takiego ruchu dzwonek może się urwać, albo zmarłego przebudzić.

Na schodach rozległy się śpieszne kroki, wszedł Piotr zadyszany, stanął u drzwi i... na dłoni... trzymał mój scyzoryk. Struchlałem. Na ojca, na Piotra patrzyłem błędnym wzrokiem... wyciągnąłem rękę machinalnie, ale słowa przemówić nie mogłem.

— Co to znaczy?— spytał ojciec— z kąd znowu ten scyzoryk?

Zapisać, zasyczało jak w gnieździe gadzin, świst jakiś przeciągły powtarzał się w pokoju... To Piotr opowiadał o znalezieniu scyzoryka, o mnie, może o moich długach i szachrajstwach, sam nie wiem... Kręcąc rozpalone palce, przestępowałem z nogi na nogę, wpatrzony w ojca jak delikwent, wyczekujący różeg. Piotr mógł mnie o zabójstwo oskarżyć—nie zaprzeczyłbym nawet poruszeniem głowy, tak apatyczny strach ogarnął mnie całego.

— A cóż! u nas wszystko jest możliwém!—zawołał ojciec.—Poszukaj, może tam jeszcze co znajdziesz.

A wzięwszy scyzoryk z rąk Piotra, zwrócił się do panny Anny.

— Placę za to, że mnie grabią, okradają i... romansują! cha! cha! cha!

To rzekłszy, cisnął scyzoryk pod nogi pannie Annie i wyszedł z pokoju. Piotr, z listem w rękę, popatrzył na nią, skinął głową, jakby na znak, że ma to, na co zasłużyła. Ona schyliła się, podjęła scyzoryk i schowała go do kieszeni...

W domu zaległa grobowa cisza. Siedziałem nad książką, strwożony, w ciągłym oczekiwaniu nowój awantury. Panna Anna pewno rozplacze się znowu,

ojciec wpadnie i każe oddać scyzoryk, a ja za cośkolwiek dostanę różgami. Dziwiłem się w duszy, że mi dotąd cała ta sprawa uszła na sucho. Jak w lesie podczas burzy, wicher szumiał gdzieś w górze, przyprawiając mnie tylko o ciągły strach, o groźne wyczekiwanie. Ojciec jakoś po scyzoryk nie wpadał, siedział czas jakiś cicho w gabinecie, potem zawołał na mnie z przedpokoju:

— Jaś! drzwi zamknąć!

Podbiegłem. Stał w futrze, w kapeluszu, nakładał zwolna rękawiczki, pachnące rezedą; z podniesioną głową, w złotych okularach, wydał mi się wspaniałszym niż zwykle, ustami nadętą, brodę, przyciśniętą do krawatki; mina ta stanowiła dla mnie jedną z niedosięgniętych doskonałości. Z pomiędzy kilku lasek, stojących w kącie, wziął jedną o złożonej gałce, obejrzał się na mnie z powagą i, żartobliwie uchylając kapelusza, rzekł:

— Bywaj zdrów, chłopcze!

Pogłaskał mnie przytém po głowie. Z téj strony tedy nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Panna Anna stała na środku pokoju, blada, z błyszczącymi gniewnie oczami.

— Wyszedł?—spytała, wskazując głową na drzwi.

— Wyszedł — powtórzyłem tajemniczo.

Wyczekiwałem, czy nie zapyta mnie o co, czy nie zrobi wymówki za wszelkie przykrości dzisiejsze, powstałe bądźco bądź z mego powodu. Milczała, gryzła usta, z pod nachmurzonych brwi spoglądała na lampę, namyślała się nad czémś, a ja bacznie śledziłem każdy jej ruch i wyraz twarzy.

— Jasiu, czy ty nie wiesz... czy nie pamiętasz numeru domu, gdzie mieszka pan Skulski?—spytała zci-

cha i usiadła przy mnie na sofie spokojna... blada, jakby chora; naraz ze sto rozmaitych numerów stanęło w pamięci, o mieszkaniu Skulskiego nigdy nie słyszałem, pomimo to gwałtownie pragnąłem przypomnieć sobie o tém...

— Nie wiem—odrzekłem nieśmiało, jak gdybym popełniał występki.—Ale ja dowiem się zaraz... Wózny wie pewno, Piotr... pobiegnę na dół...

Przytrzymała mnie za rękę.

— Nie trzeba, poczekam do jutra.

Posiedziała chwilkę z pochyloną głową, potem zaczęła chodzić po pokoju z jednego końca w drugi. Z początku śledziłem ją wzrokiem, znudziło mnie to w końcu, zabrałem się do nauki. Znowu dzwonek! Drgnęliśmy oboje. Panna Anna podbiegła do stołu, oparta rękami, wpatrzyła się z natężeniem w stronę przedpokoju. Pobiegłem otworzyć...

Wszedł Skulski; cały w śniegu, plecy miał zupełnie białe, na brodzie i na wąsach błyszcząca rosa.

— Ojciec w domu? — spytał.

Nie czekając odpowiedzi, zdjął paltot, futrzaną czapkę rzucił na krzesło. Poszedł przez salon do jadalni. Biegłem za nim; parę razy powtórzyłem, że ojca niema—nie słyszał, czy nie uważał.

— Wiesz pani...—rzekł do panny Anny, zająknął się, spojrzął dokoła—a... więc naprawdę niema?

Usiadł na krześle przy piecu, panna Anna stała przed nim; patrzyli na siebie przez chwilę.

— Co pana sprowadza w tej porze?—patrzyła w oczy, jakby chciała odgadnąć jego myśli.

— Nic... drobnostka... chciałem widzieć... mam interes—odpowiadał ochrypłym, urywanym głosem,

ręce zacierał, palcami włosy z czoła odgarniał i tak manewrował, żeby jój w oczy nie patrzeć, wziął za rękę i posadził obok siebie na krzesle.

— Głupstwo—rzekł,—niech się pani nie trwoży! nieporozumienie małe, chciałem się dowiedzieć...

— Mów pan wyraźnie o wszystkim i to zaraz! Przeżyłam dziś tyle, że jedna nieprzyjemność mniej lub więcej... Zgryziony jesteś, widzę... no cóż? prędkiej, nie namyślaj się... przecież wiedzieć o tém powinnam!

Milczał, ręce położył na kolanach i patrzył w podłogę.

— Odebrał mi posadę—rzekł w końcu.

— Kiedy?

— Przed godziną otrzymałem zawiadomienie... że jestem... niepotrzebny!

— Więc przychodzisz?...

— Najprzód po wyjaśnieniu! Do jutra nie mam cierpliwości czekać! Muszę wiedzieć, co zaszło tak nagle. Oh, ta doła! rwie się jak nić zbutwiała! Czwartym raz już tracę posadę! Dawniej miałem więcej energii, teraz... strasznie ciężko!

Zerwał się z miejsca.

— Czekaj pan! pomówmy rozważnie... co myślisz robić? wszak to nie jedyna posada na świecie.

— A! wiem już, co to jest „szukać.” No, zresztą tak źle nie będzie. Nie poczuwam się do najmniejszej niedbałości, musi mieć wzgląd... Nie jest zresztą ostatecznie zwierzęciem, litość mieć musi!

— Ach, więc pan prosiłbyś go?... Nigdy! Ja na to nie pozwolę nigdy! Śmierć głodowa, ostatnia poniewierka, ale nie jego litość! Nie wierzę... Nie chciałam wspominać, nie wspominałabym nigdy... Jestem naj-

nieszczęśliwszą z kobiet!... Straszne upokorzenie zno-
sić tu musiałam, jedynie żeby się nie oddać!

Zakryła twarz rękami.

Skulski odstał parę kroków, patrzył na mnie
zdumiony.

— Za mnie pokutujesz! — mówiła śpiesznie. —
Chciałam odejść, zostawić... wyrzec się... nie miałam
siły! Dziś, kiedy niby z racji jakiegoś tam scyzoryka...
znieważył mnie kilkakrotnie, postanowiłam wszystko
tobie powiedzieć! Ucieknę ztąd! Dłużej już cierpieć
nie mogę!

Usiadł przy niej znacznie spokojniejszy, jakby
uśmiechnięty nawet, wziął za rękę.

— Oj, te nerwy, nerwy kobiece! Czego się tak
unosić? Masz nad nim wpływ, możesz przemówić za
mną; zrób to dziś jeszcze, proszę cię!... Nie mam siły
do dalszej włości, no i do innej pracy siły już nie
mam!... Zkapconiałem, rozumiesz to sama, kiedy mam
odwagę prosić ciebie o... o protekcję! Cóż robić! życie
tak strasznie miazdzy człowieka!... No cóż, zgoda?

Wysunęła rękę z jego rąk, oparta plecami o po-
ręcz, patrzyła mu w twarz szeroko otwartymi oczami.

— I ten prosi o zgodę! — pomyślałam. — No, to raz
przecie skończy się może wojna z powodu scyzoryka!

Przypomniałam też sobie jednocześnie, że panna
Anna schowała go do kieszeni.

— Pan chyba mnie... nie rozumiał! — szepnęła.

Wzruszył ramionami, zrobił jakiś dziwny ruch
głową.

— Owszem... zdaje mi się, chociaż może niezu-
pełnie. W każdym razie, jeżeli tylko możesz zrobić
coś dla mnie, zrób jaknajprędzej... Do uczucia, jakie

mam dla ciebie, przybędzie jeszcze wdzięczność serdeczna.

Chciał ją pocałować w rękę. Wstała, rękę skrzyżowała na piersiach. On, trochę jakby zakłopotany, spuścił oczy, bawił się łańcuszkiem zegarka...

— Zapóźno trochę... zresztą może, zobaczę... A teraz... bywaj pan zdrow! nie mamy już nic sobie do powiedzenia! Jasiu, spać!—rzekła drżącym głosem, zwracając się do mnie...

Pierwszy raz w życiu poszedłem spać bez herbaty.

Leżąc w łóżku, słyszałem przez ścianę, jak panna Anna chodziła długo, potem odsuwała i zamykała szuflady... Sen, zaczajony gdzieś w kącie łóżka, schwycił mnie raptem, dalej już nic nie słyszałem. Nad ranem zdawało się, iż ktoś mnie pocałował w czoło...

— Oddasz to ojcu!—szepnęła mara.

Oczy miałem przymknięte, nie zrozumiałem, czego chce ode mnie.

Nazajutrz pod moją poduszką znalazły się wszystkie kluczyki — zato panna Anna znikła, uniósłszy ze sobą scyzoryk...

Jakie płatał jój figle w dalszym ciągu—nie wiem, wrócił jednak do mnie raz jeszcze.

W kilka lat później kończyłem właśnie gimnazjum i zaczynałem już w pełni używać życia. Malutkich sumek na rewers, albo poprostu na słowo honoru, używał mi od czasu do czasu Chodak, sekretarz i prawa ręka ojca...

Ojciec zestarzał już wówczas znacznie; oprócz dawniejszej posady, został członkiem kilku towarzystw, czynnym prezesem wielu instytucyj i t. d. Osiwiał do

reszty; śliczne białutkie bokobrody spadały mu na piersi po obu stronach twarzy, wyłysiał, przyczém twarz nabrała powagi i jasności, utył, i, na ulicy szczególnie, wyglądał imponująco. W bobrowém futrze, w błyszczącym cylindrze, wyglądał na patryarchę wszystkich prezesów. Oglądał się czasami za kobietami, czynił to jednak z taką powagą, że mu z tém było bardzo do twarzy.

W domu przesiadywał coraz częściej, polubił szlafrok, pantofle, haftowaną czapeczkę. Ja zato bywałem w domu coraz rzadziej—a że ojciec w wypłacaniu miesięcznej pensyi był dziwnie akuratny, musiałem zaciągać długi. Usłużny Chodak, bardzo ostrożnie zresztą, dopomagał mi w ciężkich chwilach.

Znajdowałem się właśnie w kłopotliwém położeniu i na szóstą miałem naznaczone *rendez-vous* z Chodakiem w wiadomym interesie, kiedy jak raz o tój godzinie ojciec zawołał mnie do gabinetu... Wszedłem ze złém przecuciem. Podał mi list jakiś w szarój kopercie i malutką paczkę, opieczętowaną w ćeracie.

List był od Skulskiego.

„Odsyłam scyzoryk—pisał,—przysłała mi go niedgdyś panna Anna z poleceniem wręczenia panu. Z różnych powodów zlecenia jój na razie spełnić nie mogłem; później scyzoryk wraz ze mną przeżywał ciężkie czasy, ale zawsze lepiej niż ja z biedy wypływał. Zastawiałem go kilkakrotnie wraz z innemi rzeczami. Cenniejsze przedmioty przepadały, on zawsze do mnie wracał. Dopiero teraz, kiedy dogorywam w szpitalu, odsyłam go panu, z życzeniem, żebyś go używał lepiej, aniżeli dotąd był używany. Przedewszystkiém zarznij się nim raczej, aniżeli masz go u lichwiarzy zastawiać.

To straszniej rujnuje, czego mam dowód na sobie. Z szacunkiem i t. d.”

Obejrzałem go raz jeszcze... Wyglądał jak nowy, nawet złotawe gwiazdki na oprawie nie zczerniały dotąd. Miałem już wówczas parę innych. Przypomniał mi zresztą smutny dzień z mego dzieciństwa. Zachować go dla siebie nie miałem zamiaru.

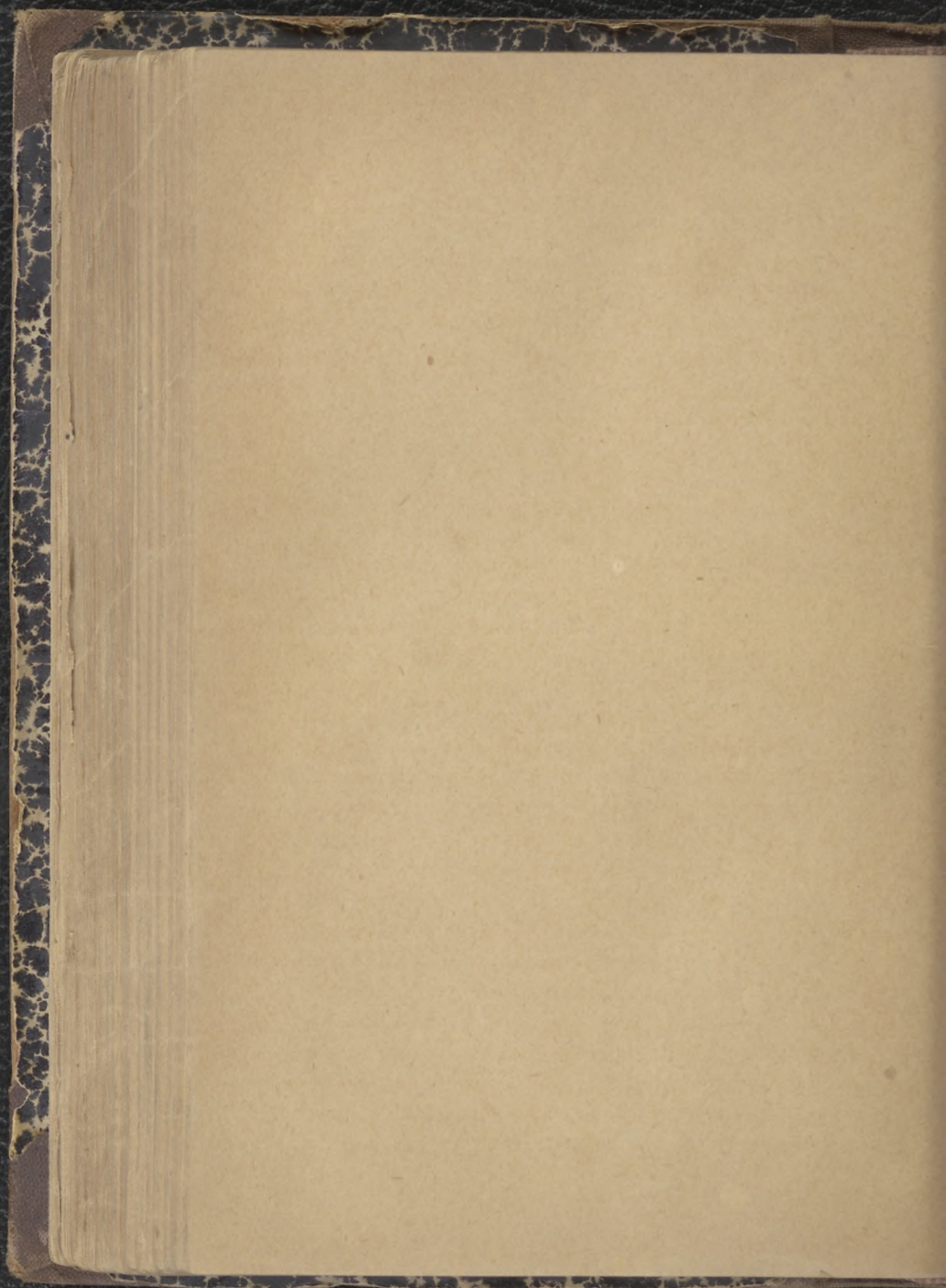
Chodak był okrutny! Podczas gdy list czytałem, czekał już na mnie w pokoju obok gabinetu, mrugał znacząco przeze drzwi... Przyniósł pieniądze, i odliczywszy procent, podsunął mi rewers do podpisania. Nabrałem już takiej wprawy w tę sztukę, że bez namysłu podpisałem wszystko, co podsunął. Suma była trochę znaczniejsza—dotąd nigdy jeszcze tak znacznej nie pożyczałem... Nadmieniał zdaleka o trudności dostania pieniędzy i w téjże chwili przygryzł usta, spokorniał, oświadczył, że dla mnie zawsze, w każdej chwili i t. d. Uprzejmy był nad wyraz... Czulem się w obowiązku okazania wdzięczności!

— Panie Chodak — rzekłem, — oto scyzoryk... Stara pamiątka! Niezła rzecz! Przyjm go ode mnie, z czasem może na świetniejszy podarunek zdobyć się potrafię!

Przyjął, w dłoni ścisnął i uklonił się kilkakrotnie na podziękowanie, uśmiechał się przytém lisim uśmiechem! Czy go poznał? Nie wiem...

Odtąd jednak o scyzoryku nie słyszałem wcale.

LIST.



Struje ich raz jeszcze, a potem niech mnie dyabli biorą!—rozmyślał kulawy Trepko.

W skórzanej torbie niósł z poczty trochę gazet, parę awizacyj, kilka listów. Jakie tam listy w małym, zapadłym miasteczku, gdzie poczta zatrzymywała się więcej dla porządku, niż z potrzeby! Trepko prawie czytać nie umiał, a treść tych listów wiedział na pamięć. Do młodego doktora co tydzień pisywała „jakaś...” raz z gołąbkim na kopercie, to z różyczką, to z aniołkami, dziś też list z jakimś zwierzęciem przesłała — pewna złotówka, a może i czterdziestka—doktor za te głupstwa płacił hojnie!... Do aptekarza nikt nigdy nie pisał. Księdzu przysyłali grube, opieczetowane pakiety, warte trzy kieliszki wódki, za które Trepko tylko szklanekę herbaty dostawał; do emerytów i emerytek pisywali czasami synowie i córki; żydom, nawet bogatym, Trepko listów nie nosił; sami na pocztę biegali; on tylkoim drzwi przed nosem zamykał—i dokąd od pisarza wszystkich „chrześcijańskich” listów nie odebrał, ani jednego żyda do izby pocztowej nie

wpuścił, potem jeszcze, wychodząc, pechał ich łokciami na prawo, na lewo, ot tak sobie, żeby pokazać, że on tu gospodarz, a oni goście!...

Dziś, oprócz listu ze zwierzęciem i paru innych, niósł awizacyę dla biednej wdowy, od córki guwernantki, co miesiąc matce sześć rubli przesyłającej... Stara, odbierając, ma zwykle lzy w oczach... Głupia! On nie płakałby, żeby nawet sześćdziesiąt otrzymał! Niósł i ten list... do Zarebów! duży list w szarzej kopercie z szafirowym monogramem, z „bardzo pilno” na wszystkich czterech rogach. Od siostrzana, od tego rozbójnika Julka, który przed kilku laty całe miasteczko utrzymywał w ciągłej trwodze, zanim go lichy ztąd nie wzięło.

Trepko nie cierpiał chłopca, czuł szczerą pogardę dla jego wujów, starych kawalerów, z którymi sąsiedował od lat kilku. Miał chałupę obok ich ogrodu, lecz cóż z tego? Z innych ogrodów ciągnął daleko większe zyski, niż z tego najbliższego. Skąpcy strzegli swego dobra w dzień i w nocy. Z za płotu, na ludzką pokusę, zwieszały się gałęzie, obciążone owocami, jagody najrozmaitsze dojrzewały jak w raj, ze dwadzieścia ulów wzdłuż przy drzewach, a trawa bujna wkoło płotów wabiła bydłeta i ludzi! Zaledwie Trepko mimochodem sięgnął po najmizerniejsze chociaż jabłuszko, koścista ręka wysuwała się z poza gałęzi. „Nie wolno!” ryczał głos z pod ziemi, a jednocześnie gruby drąg wysuwał się z za płotu nad samym jego grzbietem, parę razy nawet drąg upadł mu na kark... nie chcący!

W poniedziałek szczególnie, po każdym święcie, gdy Trepko odpoczywał pod płotem ociężały, trochę

niezdrow, kwaśne jabłko wróciłoby mu rzeźwość i zwykle siły, spoglądał z dołu na pyszne owoce, ale ręki podnieść nie śmiał... Skąpcy czatowali za płotem, a czart im dopomagał! Wszędzie kradli, wszędzie łamali drzewa, wrywali z korzeniami krzaki malin i agrestu,—do nich zbliżyć się nikt nie śmiał: brytan i dwa siwe ludzkie szkielety odstraszały nawet Trepkę. Oni go też pierwsi okrzyczeli złodziejem w całym miasteczku. Obiecywał, że im się odwdzięczy kiedyś—tymczasem truł ich prawie co miesiąc listem od Julka. Chłopak zawsze potrzebował pieniędzy, a starcy aż pie-nili się ze złości, czytając jego listy. Trepko zawsze z lekkim sercem wychodził z ich domku i zawsze do-brodusznie niby życzył, żeby jaknajprędzej drugi list mógł przynieść. Starcy na całym świecie nie mieli ni-kogo prócz Julka... dla niego, wraz z brytanem, strze-gli swego dobytku—niechże się cieszą z jego listu. Z dzisiejszego pewno się ucieszą; dotąd chłopak nigdy jeszcze tak dużego nie przysłał, pewno może o jakies dwadzieścia rubli prosi.

— Zachorują ze złości! Ha, niech chorują! Czy to ja raz pod ich płotem chorowałem! niosę, co mnie dali! Żeby tylko obydwu zastać!

Do p. Tomasza miał szczególniejszą urazę, cho-ciaż i p. Jana zawsze tylko „niemym czortem” nazywał, wbrew opinii miejscowych dewotek, które go zwykle „zmokłą kurą” nazywały—taki był cichy, pokorny, usłużny i nieśmiały. Cnoty te zdobył w biurze asesora, gdzie przez wiele lat pracował jako pomocnik sekreta-rza,—nie pozbył się ich dotąd, chociaż dziesięć lat już pracował na „swojem.” Ile razy, znużony ciężką pracą w ogrodzie, przysiadł na ławce między dwiema grusza-

mi, tulił się do drzewa skurczony, jakby obok siebie czuł duch zwierznika, nasycający się świeżem powietrzem, szmerem liści, wonią traw różnych w cudzym ogrodzie. Dziś Jan spełniał w domu najcięższe roboty: kopał, gracował, ze złamanym kozikiem w ręku pełzał na kolanach po brukowanym podwórku, wyrzynał trawę wkoło kamieni, czyścił obórkę, czasem nawet krowę pasał w ogrodzie przy płocie, zdrów był jak rydz, oczy tylko mgłą zachodziły czasami.

— To nic!—szeptał w duchu—teraz już nikt mnie ze służby nie wypędzi, chociażbym oślepl!

Podnosił oczy w górę: widział słońko, niebo, widział nawet wróble, zlatujące się gromadnie do jego wiśni! Nabierał otuchy—nie oślepnie zaraz! Żeby jeszcze chociaż rok, drugi, nim tego szubrawca Julka na człowieka wykierują! potem... oh, pewny był, że to nie nastąpi nigdy; szubrawiec ten prędkiej w lamparta się przemieni, niż w człowieka.

Przekonanie to podzielał p. Tomasz, eks-pedagog, który przez czterdzieści lat był domowym nauczycielem po różnych domach. Zgryźliwy staruszek rad byłby całą ludzkość kręcić za uszy; mówiąc o młodzieży, krzywił się pogardliwie, kiwał głową z politowaniem, czasem nawet spluwał przez zęby... Że Julka nie powiesił dotąd... było to dowodem siły charakteru i panowania nad sobą; przepowiedział mu jednak koniec na szubienicy i uspokoił się w części co do jego przyszłości, bo zresztą cóż go ten urwis mógł obchodzić?

Otrzymali go w spadku po siostrze, ubogiej szwaczce, wówczas właśnie, gdy p. Jan, zagrożony ślepotą, został usunięty z biura, wpadł w dziwną melancholię i po całych dniach siedział, albo snuł się nad

stawem, przesiadywał w ogródku, osowiały, zgarbiony, przebąkiwał, że z kijem pod kościół pójdzie,—p. Tomasz zaś wrócił z ostatniej kondycyi, kaszlał strasznie, pił potrochu i machnął ręką na wszystko, przekonany, że mu parę mozolnie zapracowanych tysiączków wystarczy do śmierci. Chłopak pomieszał im szyki: z kijem pod kościół iść już nie wypadało, upijać się przy nim—niezręcznie; urwis wszystko wyszpiegował, podpatrzył, przewąchał, przedrażniłby i wyśmiał pijanego wujaszka, roztrąbiłby po całym miasteczku, a p. Tomasz dbał o opinię, chciał uchodzić za wzorowego pedagoga, zażywał tabakę ze srebrnej tabakiery, chwalił dawne czasy, czcił różgę, a na widok dziecka ściągał brwi, zaciskał zęby, albo uśmiechał się złośliwie... Dzieci uciekały od niego, on zaś cieszył się, że wzbudza taki szacunek i poważanie.

Zaniechał tedy wódki, a tylko od czasu do czasu pijał nalewki, zato z całą zawziętością zabrał się do nauki i moralności tego szpiega, urwisa, co go w ostatnich latach życia kłopotów i trudu nabawił. Kupił domek z ogródkiem i obaj z bratem wzięli się do dzwigania krzyża Pańskiego, który spadł jak grom na ich siwe głowy. Chłopak był ładny, bystry, posłuszny nawet, nosił wodę, czyścił buty, zamiatał stancye i podwórko, uczył się niezłe, ale jak wypadł na ulicę, bił żydów, ujeżdżał ich kozy, tłukł szyby, wracał do domu okrwawiony, obdarty, jak dziki kot chował się po kątach, kąsał za ręce, gdy go wydobywano gwałtem z pod łóżka na perory i karę.

— Taki już mój charakter!—odpowiadał hardo—taki mój charakter i basta!

Wyraz ten „charakter” oburzał i zdumiewał starszków. Oni nigdy nie mieli charakteru! P. Jan wzruszał ramionami na samo to słowo; czy wytrzymałby przez lat tyle pod rozmaitymi zwierchnikami, żeby miał choć cień charakteru! P. Tomasz wiedział, że na świecie trzeba żyć tak i owak, a charakter to wymysł tych niedouczków, którym się zdaje, że mur głową przebiją. To też ile razy smagał różgą Julka, za każdym uderzeniem dodawał: to za żydów, to za kozy, to za szyby, a to za charakter! Ostatnie uderzenie stanowiło jakby *coup de grâce*, wymierzał je z precyzyą, z amatorstwem; zżymał się na samo przypuszczenie, że ten smarkacz śmie o jakimś swoim charakterze wspominać. Rozjątrzony chłopak wykrzykiwał, że chałupę spali, krowę zarznie, a sam w świat pójdzie, bo już z tymi starymi rady dać nie może!

— Ja go wypędzę! — powtarzał p. Tomasz.

Czuł przytém, jak mu skrzepła krew żywiej krąży, serce uderza jak za młodu, policzki rumienia się; po każdój takiej scenie jadł za trzech, o nalewce zapominał, a do reformowania Julka brał się coraz zawzięciej.

P. Jan łagodził chłopca, wmawiał mu, że podpalanie jest grzechem, krowy rznąć nie należy, bo to przecie boskie stworzenie. Tulił go, głaskał po twarzy, pod sekretem kupował mu ołówki, obwarzanki; a żeby zaś wyrównać rachunki, coraz zawzięciej pracował w ogrodzie. Prawdziwa ich troska zaczęła się wówczas dopiero, gdy sporego wyrostka oddali na naukę do Wilna, z początku do szewca, potem do stolarza. Chłopak i tu okazał swój „charakter” — ucziwego rzemiosła uczyć się nie chciał, uroił sobie, że będzie wielkim człowiekiem: konduktorem albo maszynistą!

— Ja go się wyrzeknę! — wykrzykiwał p. Tomasz, posyłając pierwsze dziesięć rubli na stancję i odzież, gdy się Julek do szkoły kolejowej dostał. — Samowolny, hajdamaka, niech sam sobie radę daje! I to dziś oni tacy wszyscy! Ledwo od ziemi odrośnie, o rozumie swoim, o charakterze dowodzi. Starszych za boże podszycie nie ma!... Oj, pokolenie! bodaj ono zmarniało! Ja go się wyrzeknę!

— No i... ja! — dodawał nieśmiało p. Jan, czując się w obowiązku wtórować bratu.

Tymczasem jednak, ponieważ „hajdamaka” kosztował coraz drożej, trzeba było myśleć o stałych dochodach. P. Tomasz przyjął lekycę u aptekarza, codzień musiał się umyć, ubrać, ogolić akuratnie; stojąc przed lustrem, dziwił się sam sobie, mrużył okiem, myśląc o pewnej wdówce na wsi... żeby téż ona teraz go widziała! Irytacya i złość odmładzały go bezwarunkowo. Klął Julka, dla którego codzień po słońcu i chłodzie musiał wlec się na drugi koniec miasteczka, a jednocześnie wiedział przynajmniej, co ma z dniem zrobić, i czuł w sobie znowu dawną energię w całym rozwoju.

P. Jan dopuszczał się malutkich defraudacyj: „oszczędzał” przy sprzedaży produktów i marzył, że kiedyś sam poszle kilka rubli temu urwisowi!.. Myśl ta pochłaniała go całkowicie. Nigdy jeszcze nie drżał tak nad każdym groszem, nigdy nie był przezornym, przebiegłym prawie, gdy chodziło o zdobycie dziesiątki. Kupił kilka kur, sam podbierał jaja, przepisywał metryki u proboszcza, a służącym za parę groszy pisywał miłosne listy za dyktandem — sam nigdy w życiu nie zdobyłby się na taką mądrość!

— Ten szubrawiec ma kochankę!—zawyrokował p. Tomasz w trzecim czy w czwartym roku posyłania pieniędzy.—Niepodobna jest, żyjąc uczciwie, przeżywać prawie dziesięć rubli miesięcznie! Jeżeli wyrostek potrzebuje dziesięć rubli na miesiąc, ileż będzie potrzebował starzec?—zapytał p. Jana, zaciętrzewiony z powodu listu Julka.

P. Jan wzruszył ramionami, nie był mocny w matematyce; zarumienił się wstydliwie.

— Co też brat mówił!—szepnął. On sam miał tak około sześćdziesiątki i nawet myślą nie grzeszył! Zkądżeby ten osiemnasto czy dwudziestoletni chłopiec?...

— Wiem, co mówię! Oni dziś zepsuci są już w kolebce! Znikczemiałe to, marne pokolenie! Pieniądz tylko i użycie! Czy ja ich nie znam! Ze sto bachorów od ósmego do dwudziestego roku życia przeszło przez moje ręce; wiem, jak to wygląda w samym zarodku! Ten łotr ma kochankę, hula sobie, a my zapracowujemy się tu dla niego jak woły robocze, grosz do grosza gromadzim, ledwo jedną ratę wyszlę, już o drugiej myślimy; chwili spokojnej nie mamy, dzień po dniu w pracy, w kłopotach schodzi, śmierć nadejdzie i nie zdążymy wypocząć po pracy! Nie, ja się go wyrzeknę! Dość już tej męczarni, niech sobie sam radzi! Mądry, z charakterem, a starych wujów ssie jak niemowlę! Ten raz tylko i basta!

Takich razów było już kilkanaście. W końcu jaśkoś Julek przestał pisać. Upłynęło dwa, trzymiesiące—staruszkowie milczą. P. Tomasz coraz częściej na pocztę zachodzi, niby dzienniki przegląda. P. Jan biega do organiściny, żeby mu kabałę stawiała na bruneta.

— Pan Jan mógłby jeszcze i na brunetkę stawiać!—drażni go zalotna kobiecina.

On, wpatrzony w karty, bada losy Julka; w kartach wszystko pomyślnie, a listu niema!

— Powiesił się może!—wybuchnął naraz p. Tomasz

Od niejakiogoś czasu czuł dziwny niepokój. Chłopak śnił mu się kilkakrotnie.

— A cóż, oni teraz wieszają się, strzelają, ot tak, ni z tego, ni z owego! W Boga nie wierzą, więc im i umierać łatwo. Oj, pokolenie! Całe szczęście, że człek z nimi żyć nie będzie!

W komodzie miał odłożonych trzydzieści rubli; składał je machinalnie prawie, z nałogu, do pudełka, na którym wielkimi literami wypisał ołówkiem: „dla szubrawca.”

Chciał sam pisać... latem, podczas wakacyj, nie wiedział, gdzie go szukać. W końcu postanowił czekać do niedzieli, potem... kto wie, może wypadnie wyjechać do Wilna. W piątek list przyszedł! Trepko, niosąc go, zdaleka już uśmiechał się złośliwie do białego domku starych kawalerów...

Dzień był jesienny, pogodny; miasteczko oblane słońcem wyglądało weselój, jakby czysćiej niż zwykle. Po rynku paradowały kozy, biegała żydowska dzia-twa, pachło różnemi zapasami z żydowskich kramików; na prawo i na lewo, w uliczkach zasypanych żółtymi liśmi cisza i pustka... Nici pajęczyny snuły się w powietrzu; na dachach gdzieniegdzie siedziały gołębie; w podwórzach, opatrzonych od ulicy zamkniętą bramą i furtką, skrzypiał żóraw u studni, albo słyhać było monotonne nawoływanie: „cip, cip, ul, ul,” albo „waś, waś i t. d.” Tu i owdzie pies znudzony wylaził z pod

bramy, obejrzał się po ulicy i, nagarnawszy trochę suchych liści, kładł się na słońcu, zmrużył oczy, poruszał ogonem na lada szelest. Trepkę psy znały; żaden nawet głowy nie podniósł, gdy ten, kulejąc, z torbą przez plecy, szedł wzdłuż domków. Zato w oknach rozchyłały się siatkowe i muślinowe firanki, ponad doniczkami fuksyi, rezedy i geranium wyglądały za nim głowy staruszek i emerytów — przez chwilę czekało, czy też furtka nie skrzypnie.

Trepko szedł dalej; głowy w oknach znikają. W Zarebiu skrzypnęła furtka. Na ganku o dwóch słupkach i dwóch ławeczkach siedział p. Tomasz w płóciennym szlafroku, w kaloszach na bosych nogach; pan Jan siedział naprzeciw niego na drugiej ławeczce. W pośrodku na rozesyłanym worku przesłizne żółte i czerwone jabłka mieniły się na słońcu. Kilka pszczoł, zwabionych zapachem, brzęczało wkoło nich... Przed gankiem stał Jankiel, targował się już godzinę i nie mógł dobić targu. Dawał po dwa grosze na ogół, bracia jednogodnie po trzy chcieli. Ujrzawszy Trepkę, obaj powstali, obaj przysłonili ręką oczy od słońca, na ustach u obydwóch zastygł wyraz „list...” Obaj też wyciągnęli rękę jednocześnie, gdy Trepko, stanawszy przed gankiem, po chwilowém poszukiwaniu w torbie wyjął list duży, w szarój kopercie z szafirowym monogramem.

— Od siostrzeńca! — rzekł ze złośliwym uśmiechem—radość... pociechę!... pewno pozdrowienie wujaszkom przesyła!

Odstąpił w tył parę kroków, skórzaną torbę na brzuchu poprawił i czekał; słońce go grzało, jabłka pachły... Zawczasu czuł w ustach smak wiśniowej nalewki.

Na ganku tymczasem obaj bracia czytali list jednocześnie; p. Tomasz trzymał go w obu rękach; p. Jan, z wyciągniętą szyją nad ramieniem brata, mrużył oczy, łowił migające się litery.

„Szanowni wujowie dobrodzieje! (stało na początku krzywem ale wyraźnym pismem). Ot, koniec i basta! Wszedłem już, chwała Bogu, na człowieka: jestem majstrem w kolejowych warsztatach, a jak wankans otworzy się, będę maszynistą! Od was już nie potrzebuję, jeszcze wam będę przesyłał po trzy ruble na miesiąc, albo i po pięć; nie chcę chwalić się zawczasu, żeby potem nie najeść się wstydu. Nie pisałem długo, bo nie wiedziałem, czy żyję się z tutejszymi ludźmi, człowiekowi z charakterem trudno! Teraz widzę, że dam sobie z nimi radę, więc i piszę, żeby was zawiadomić, jak jest, i zarazem podziękować za wszystko! Nie bójcie się, ja wam tego nigdy nie zapomnę, coście dla mnie zrobili! Charakter pomógł mi wiele, ale bez was zmarniałbym może jak pies albo jak sierota! Otóż ja teraz o was pamiętać będę, jako jestem uczciwy człowiek i kochający was siostrzeniec, Julian.

Wilno, dnia 15-go września r. 1888.”

List był pomysłny, ale radości nie wywołał—na razie nawet bracia osowieli jakoś...

Napróżno Trepko, stojąc na słońcu, czekał, kiedy p. Tomasz zgniecie list i ciśnie pod ławę, zaklnie, zaczerwieniony, od piorunów, szatanów, urwisów, a pan Jan syknie „Chryste Panie!” udając oburzonego; bracia siedzieli nieruchomi.

— Dobrze, bardzo dobrze! — powtarzał p. Tomasz ma chleb. Myśmy niepotrzebni.... bardzo dobrze!

Maszynistą będzie... doskonale! Czas, tak... pora, dość już było tego wszystkiego.

Jankiel skorzystał z wrażenia, za jabłka dał po groszu.

— A bierz, idź do dyabła!—burknął p. Tomasz; kopnął nogą, kilka najpiękniejszych potoczyło się na kamienie; p. Jan wyniósł kieliszek nalewki Trepce i obaj bracia weszli do pokoju.

— Ot jak! na swój chleb poszedł—powtarzali to jeden, to drugi, przez cały ranek. — Niedawno malec, a dziś już człowiek!

Uśmiechali się do siebie dziwnym jakimś, melancholijnym uśmiechem. P. Tomasz chodził po pokoju, w pantoflach, w szlafroku, nie myślał się ubierać, iść na lekcję. P. Jan, stojąc przy oknie, łapał muchy; od czasu wystąpienia z biura pierwszy raz tak mile czas przepędzał.

— Zobaczmy, czy wytrwa; kto wie, może jeszcze pokłoni się, przeprosi... On teraz nam pomagać będzie! Obiecanka cacanka! Niech tylko nie od nas nie potrzebuje! Raz przecież człek odpocznie jak należy.

— Tak, odpoczniemy—powtórzył p. Jan głucho

Pewnym był, że Julek teraz już o nich zapomni.. Polecą z tą maszyną gdzieś w świat, między ludzi!... Gdzie jemu tam myśleć o dwóch starych wujach w dalekiem, zapadłym miasteczku! Zapewne—dobrze, że wyszedł na człowieka... Ale teraz on, stary, co przez całe życie miał tylko jego jednego, teraz nikogo już nie ma! Ani żywej duszy! I te pięć rubli, które przez lato zaoszczędził w rozmaity sposób, naraz straciły wszelką wartość... wzruszył ramionami. Na co mu teraz pieniądze! Żeby jeszcze choć rok ten Julek pobyl... szubrawcem... Za

rok zawsze trochę do śmierci bliżej; teraz zacznie się takie głupie życie!... Łapał muchy, nie śmiał spojrzeć na brata; ten pewno cieszy się, że nie trzeba posyłać pieniędzy!... Spojrzał z ukosa. P. Tomasz, siedząc za stołem, rozłożył pasyans, ale nie patrzył na karty... Głowę oparł na rękę, wpatrzył się gdzieś tam za okno.

— No proszę, jak to teraz wszystko leci na tym świecie!—szepnął—pilno im! Człek ledwie zaczął myśleć o nim... starać się... a tu już... bywaj zdrów! Niepotrzebny jesteś! No i dobrze, bardzo dobrze! Tylko że on... teraz... o nas... zapomni!—dodał ciszej—terazniejsze pokolenie!

Machnął ręką, zgarnął karty i znowu zaczął chodzić po pokoju, szurając kaloszami. Godzina lekcji dawno przeszła. Na cóż jemu teraz ta lekcya! Splunął ze złością. Stary jest, spracowany, umierać mu pora... Ot i wszystko! Wczoraj jeszcze obraziłby się za to przypuszczenie, dziś wszystko mu już jedno!

O zmroku p. Jan usiadł na progu w ganku—pykał fajeczkę i patrzył sobie na staw mgłą zasnutą... Przez cały dzień to cieszył się, to martwił powodzeniem Julka, w końcu jednak przyznał w duszy, myśląc o sobie, że teraz znowu jest zupełnym sierotą... drapał się zwolna za uchem i co chwila zaciskał powieki—wilgotna mgła dolatywała z nad jeziora!...

P. Tomasz stał za nim czas jakiś, potem przysiadł obok niego na progu.

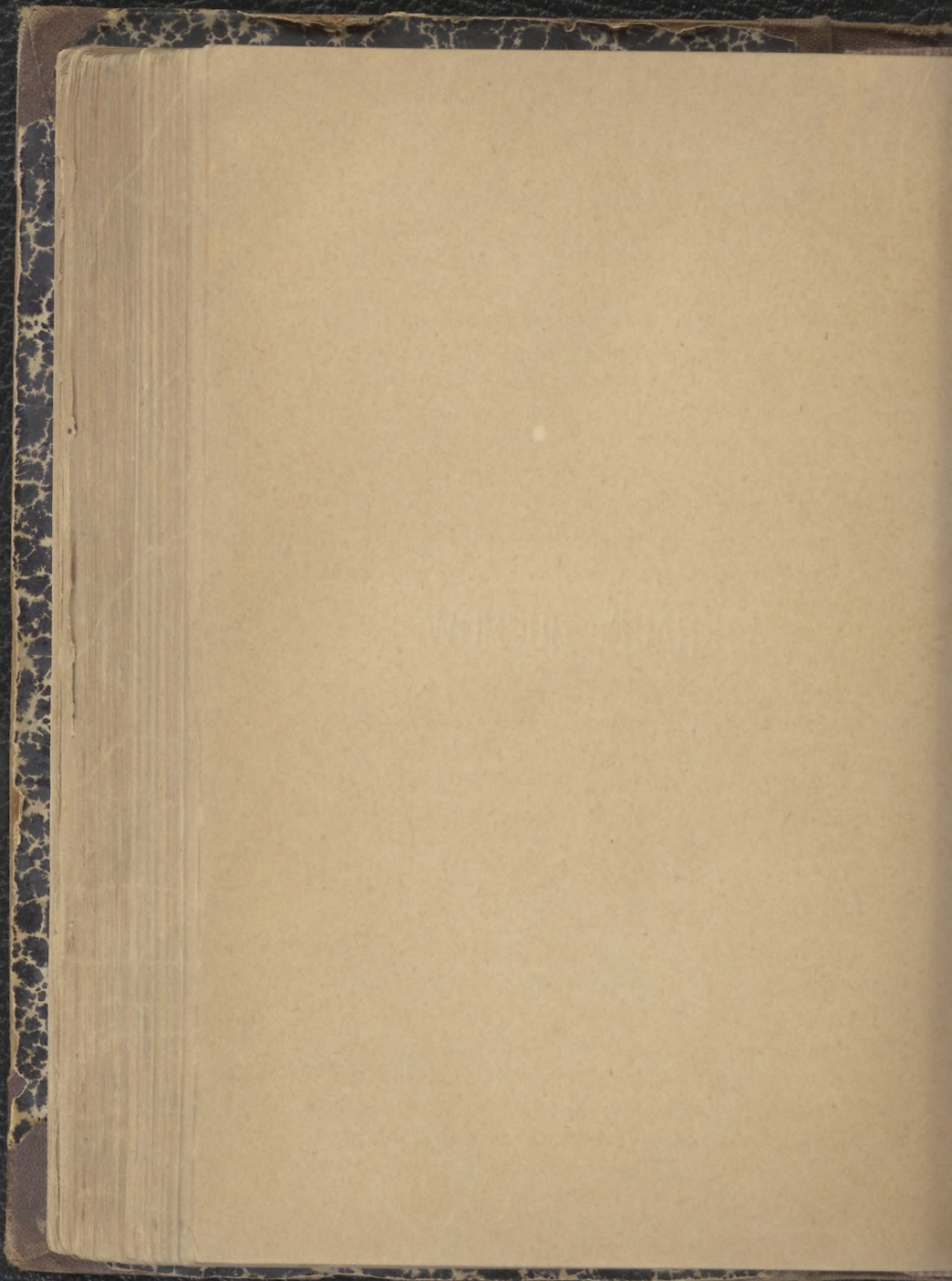
— A cóż, nam już po sześćdziesiątce... braciszku!—szepnął.


Spojrzeli na siebie—obaj byli siwi, z ostremi rysami. Obydwóch jakoś oczy przygasły po dniu dzisiejszym.

Pierwszy raz tego wieczoru Trepko paś jałozkę w ich ogrodzie, wylamał dziurę w płocie i nie naprawił wcale, założył tylko kolkiem do jutrzejszego zmroku. Odtąd p. Jan chodził koło ogrodu jak ślepy. Można mu było kraść z przed nosa, co téż Trepko robił podobno. Zresztą, może to nieprawda.

W miasteczku tyle plotek!

Z KRAINY DUCHÓW.



tworzoną byłam na siostrę miłosierdzia, chociaż w młodości nie zażywałam tabaki, nie miałam przygarbionych pleców i schrypiałego głosu, nawet brodawka na nosie wyrosła mi nieprędko—pod starość!

Za młodu, współcześni utrzymywali, że wyglądałam nieźle. Wprawdzie wówczas gust był mniej rozwinięty... mężczyźni nosili kamizelki w kwiaty, kobiety płytkie buciki bez obcasów i żółte tureckie szale od wielkiej parady; — któżby dziś takie szkaradzieństwo włożył!

Wówczas to można było mieć wzrost zawysoki, policzki zaświeże i zaduże własne warkocze!

Taką właśnie byłam, mając lat dwadzieścia; trudno wierzyć! Hm, i historia, którą opowiem, nie dzisiejsza. Jeżeli, słuchając, znudzisz się waćpani, to zaśnij, tém lepiej! Doktor zalecił snu jaknajwięcej!...

Siostra Anna, chcąc się uchronić od drzemki, zażyła tabaki, w milczeniu zbierała widocznie materyał do autobiografii. Spojrzałam na nią uważnie: dziś

jeszcze, pomimo siwych włosów, miała rozumne czarne oczy, ładne usta i białe delikatne ręce; na twarzy dużo zmarszczek, w uśmiechu dobrodusznym niby dużo smutnej goryczy.

Kiedy, chcąc przyćmić lampę, wstała z fotelu i zbliżyła się do stołu, wysmukła figura w brązowej sukni, przepasana szerokim pasem, wyglądała na ciemnym tle pokoju niby wspaniałe widmo niegdyś pysznie pięknej kobiety! Nawet osławiona brodawka na nosie, właściwie niewielka czarna plama, może dodawała wdzięku w czasach świetnej młodości! Spać nie mogłam—wdzięczną byłam staruszce za łaskawy pomysł opowiadania starój historyi.

— Wszyscy się postarzelili wraz ze mną! Ile razy przechodzę ulicą, spotykam wyczernionego jegomościa, pewno w nim dawniejszego eleganta poznam! W udekorowanych krzyżami poznaję zapalonych niegdyś apostołów starój wiary, która tyle miała wspólnego z krzyżem, ile mój nos dawniejszy z dzisiejszą tabakierką. Nabożnisie, ruchliwe za młodu, wdzięczą się teraz do świętych pańskich! Bądźcobądź, starość rozumu uczy! Ludzie wogóle zmienili się trochę; wprawdzie teraz z chorymi najczęściej mam do czynienia, ci zaś, gdy są osłabieni, nie mają gorączki, wydają się lepsi, łagodniejsi niż dawniej! I plotek teraz mniej słyszę! Dawniej, młode kobiety szczególnie, miały szczęście do ludzkich języków! Doświadczyłam tego trochę sama, resztę od ludzi słyszałam.

Położenie moje wyjątkowo narażało mnie więcej, niż każdą inną kobietę, na opiekę ludzką. Matka, skoliigacona szeroko, zostawiła mi ciotek zapas spory i kuzynek bez liku; ojciec, zdolny nauczyciel, wychował

mię staranniej, niż wówczas było we zwyczaju; ztąd też przepowiadano zawczasu, że zostanę starą panną, a w razie zameżcia będę marną gospodynią, gorszą jeszcze żoną i najgorszą matką.

Wobec tak strasznej przepowiedni nietylko że nie zmarniałam ze strachu, ale owszem, rosłam i uczyłam się z coraz większym zapalem. Żadna matka nie chciałaby mnie za synowę, gdyż posag miałam małułki, natomiast lekcyę proponowano mi chętnie, w zamoznych szczególnie domach, gdzie nauczycielka, mówiąca kilku językami, jest dość pożądanym okazem.

Lekcyj tedy miałam dużo, a że na chleb powszedni pracować nie potrzebowałam, okazywano mi daleko więcej uprzejmości, niż innym guwernantkom, niemającym kilku tysięcy w zapasie.

Dziś jeszcze składam szarpie, bandaże i doktorskie recepty w pięknych niegdyś bombonierkach, ofiarowanych mi wraz z cukierkami w dzień imienin.

Zapraszano mię na różne rodzinne uroczystości, przez uprzejmość niby, w istocie żebym grywała do tańca, albo śpiewała przy rozstrojonych fortepianach.

Panie ofiarowywały się jedna przez drugą matkować mi na balach i wieczorach, za oczami nazywały mnie „*cette petite*,” w oczy chwaliły piękny układ i gustowne ubranie.

Miałam tedy dosyć szczęścia u ludzi. Jak córka regimentu, zostawałam na opiece licznego grona znajomych, którzy nie szczędzili przestróg, uwag, zapisując nawet złośliwą naganę na karb życzliwości dla młodej panny, pozbawionej macierzyńskiej opieki.

Stosunkowo dość dobra sława zachwianą została, gdy po śmierci ojca odrzuciłam oświadczynę doktora

Knotta. Knott był świetną partyą. Stary, w peruce, zażywał tabakę ze złotój tabakierki i laskę miał ze złotą gałką; kobiety go uwielbiały; starsze częstował tabaką, młode miętowemi cukierkami, wszystkim zaś, badając puls, ścisnął rączki znacząco, patrzył w oczy z miną sennego kota; miał przytém kamienicę, konie i powóz, a w dzień Nowego roku bogatszym pacjentkom przesyłał bilety z gołąbkami, pieskami, kwiatami, które świadczyły o jego dobrym guście i pamięci.

Kiedy się mi oświadczył, odziany w granatowy frak, nankinowe spodnie i kamizelkę w kwiaty, wyglądał tryumfująco. Zanim zdołałam mu odpowiedzieć, wyjął z kieszeni zapis na kamienicę, którą miałam otrzymać po najdłuższych latach wzorowego małżeńskiego pożycia. Spoglądał przytém na mnie wzrokiem nieograniczonego zadowolenia. Oczy, usta, cała twarz rumiana, pogodna, zdawały się mówić: „*mein liebchen, was willst du noch mehr?*”

Znałam Knotta oddawna, ale prędziej spodziewałam się od niego śmierci, niż oświadczyn; w dodatku kamienica jego wzruszyła mię tyle, co i peruka.

Odjechał tedy, więcj zdziwiony, niż zasmucony odmową; parę razy potém przysyłał faktorkę dla delikatnego wybadania, czy się nie namysliłam. Ona to opowiadała o wykwintnych pokojach Knotta, o jego jedwabnych szlafrokach, haftowanych pantoflach i czapczkach ze złotemi i srebrnemi chwastami, dodając, że żona tak bogatego człowieka będzie najszczęśliwszą kobietą w świecie, gdyż ma wybornego kucharza, kawę zaś z zagranicy sprowadza. W końcu i faktorce drzwi przed nosem zamknęłam.

Wówczas to w kole moich znajomych rozległ się szmer głuchy, niby grzmot przed burzą.

Z początku nie chciano wierzyć w moją nieroztropność, nie przypuszczano nawet, że mogłam odrzucić tak wielkie szczęście;—dopiero gdy wszystkim razem i każdemu z osobna powtórzyłam, jak było, zaczęto na mnie patrzeć jak na koziołka, któremu raptownie różki wyrosły. Najpocziwsze ze złami prawie namawiały mnie, żebym nie psuła własnego losu, że Knott niepowabny wprawdzie, ale stary, zamrze prędko, ja zaś zostanę bogatą i wezmę męża, jakiego zechcę! Zaczęły matrony, przemawiając w imię cnoty i obowiązku, po długich, pełnych wielkich prawd oracyach, wzruszały ramionami nad moją przewróconą głową. Ci nawet, co głośno przyznawali, że mam rację, drwili pocichu z zarozumiałej guwernantki, której się roi, że jeszcze większego ptaka złapać może potrafi. A że w cnotę kobiety rzadko kto wierzy niezachwianie, zaczęto domyślać się, przypuszczać... i chociaż brakło wszelkich komentarzy—nicowano moją duszę, każdy po swojemu. Ja zaś przeżywałam wówczas jedną z najcięższych chwil w życiu. Trwoga, zwątpienie, przeczucie straszne, targwały duszę; marzenia złote, co jak gwiazdy oświecały czas jakiś dołą sierocą, znikwały jedne po drugich. Nadzieja gasła, czułam, że wkrótce świat cały przemieni się dla mnie w głuchą pustkę, a serce, jeżeli nie pęknie—skamienieje z bólu! Zawczasu już łzy wyschły, myśli rwały się i nawiązywały z gorączkową szybkością! O Boże! dziś jeszcze, gdy myślę o tém—czuję, że żyłam!

Codziennie, przez całą wiosnę i lato, chodziłam na lekcję za miasto. Wśród ogrodów stary pałac,

wspaniała rezydencya pańska, z wieżyczką, z gotyckimi oknami, głuchy, pusty, otoczony murem, wyglądał jak klasztor zdaleka.

Jak tylko skrzypnęła furta, przez dziedziniec, osiany kwiatami, na spotkanie moje biegł czarny pies kudłaty, za nim dziewczeczka rozkoszna, strojna jak lalka, szczebiotała w zawody z wróblami!

Jednocześnie z parterowej sali, gdzie się mieściła biblioteka, przez zakratowane okno wyglądał mężczyzna blady, znużony; krzywił się z początku, jak gdyby szczekanie psa, szczebiot dziecka, wszystko, wszystko, co przypomina świat i życie, robiło mu największą przykrość.

Przechodząc sieni, przez otwarte drzwi widziałam, jak pochylony przy biurku notował coś w księgach, albo paczki jakieś, skrzynki opieczętowane rozglądał, obliczał i w księgach zapisywał. Umyslnie nieraz marudziłam w sieni, żeby na niego dłużej popatrzeć.

Z pokoju ociemnionego drzewami wiało stęchliwą i wilgocią; krata w oknie, szary zmrok i szare ubranie jegomości przypominały więzienie.

W pysznym pałacu górne piętro zajmowały sale wytwornie urządzone, galerya obrazów, rzeźby i malowidła na ścianach, na sufitach, u drzwi i okien. Stało to puste, wyczekując na przybycie samego pana.

Czasami, kiedy w rannych godzinach targałam na wyprzątanie i okurzanie wspaniałych pokoi, wchodziłam na schody, żeby zajrzeć do wnętrza. Światło ogromnych okien, złożone gzemy, przesliczna harmonia draperyj, pokrowców, dywanów, olśniewały mię odrazu, zawsze miałam zamiar obejrzeć każdą rzecz

z osobna i zawsze wychodziłam odurzona widokiem skarbnicy smaku, sztuki i bogactwa.

Tém smutniej, tém więcej ponuro wyglądała parterowa sala! W poważnej ciszy, gdzie muchy nawet latały leniwo, żaden ruch nie mącił grobowego spokoju—suchy kaszel pracującego jegomościa przeciąglém echem odbijał się w sieniach i korytarzach.

Zanim poznałam go bliżej, w wyobraźni odtworzyłam już całą przeszłość ubogiego chłopca bez środków do nauki, potem ubogiego urzędnika, wysługującego się całodzienną pracą za marny kawałek chleba; współczucie przyjmowało coraz szersze rozmiary; wkrótce nie mogłam patrzeć bez wstępu na obszerną piwnicę, pozbawioną światła i zdrowego powietrza, w której musiał siedzieć dzień cały, podczas gdy na dworze kwitła wiosna, ptaszki szczebiotały rozkosznie—rozkoszniej jeszcze śpiewało budzące się w mojej duszy uczucie młode, potężne jak ta siła, co wszechświat do życia budzi.

Żartem niby, dla rozweselenia pracy, codziennie, przechodząc, dawałam p. Markowi kwiatek, narcyz, stokrotkę, czasem bratków parę; zdaleka już wyciągał wychudłą, kościstą rękę, spoglądał na mnie z uśmiechem, a oczom jego, przywykłym do pergaminu i żółtego papieru, policzki moje, zarumienione wiosenném powietrzem, musiały się dziwnie wydawać.

Wracając z lekcyi, gwałtem prawie wyciągałam go z pokoju, żeby mię przez cały dziedziniec do bramy odprowadził.

Żal i śmiech ogarniał, patrząc, jak wstawał z trudnością—bał się zostawić papiery i pieniądze rozłożone na biurku, a przechadzki opóźnić nie chciał.

— Nie bój się pan, duchy będą pilnowały!—mówiłam, żeby go rozweselić, rozerwać choć trochę;—w tych waszych salach ponurych niejeden męczennik pokutować musi.

Uśmiechał się, rad byłby na żart odpowiedzieć żartem, ale wymownym nie był; zamykał biurko i wychodził wraz ze mną; na policzki występował rumieniec, w przygasłych oczach promienie wiosennego słońca zapalały nowe życie na chwilę!

Przed nami podskakiwała Zośka, Medor chwycił ją za sukienkę, kiwając radośnie kudłatym ogonem. Na rozmowę wiele czasu nie było; najczęściej ja mówiłam, on słuchał i zwalniał kroku, żeby przechadzka trwała jaknajdłużej; dopiero przy bramie zawsze coś do powiedzenia znalazł bardzo ważnego, o tém, że róże w tym roku kwitną wcześniej niż zwykle, pogoda cieplejsza i tym podobne tajemnice, powtarzane codziennie i codziennie słuchane z wielkiem zajęciem.

Jak matka najczuliej kocha słabe, niedołężne dziecię, tak ja z masy znajomych, z kilku serc szczerze przyjaznych, wybrałam to serce, spokojne, nieśmiałe, tę szczyptę życia, zawartą w schorzałym ciele.

Nieraz, patrząc na wółszeschłą roślinę, podtrzymywaną ciepłem słonecznym, o mojej miłości i o nim myślałam—odżył, orzeźwił od spojrzeń, uśmiechów, od serdecznego uściśnienia ręki i tych rozmów, w których głos więcej znaczy niż słowa.

Stosunek nasz zwrócił uwagę stariej matki jego nieboszczki żony; ostrożnie, jak przystało na damę w ażurowych rękawiczkach, koronkowym czepku i sukni z jedwabnemi falbanami, przystąpiła do zreflektowania

wania moich niewinnych wprawdzie, ale dość widocznych wybryków:

— Pan Marek—mówiła—to najzacniejszy człek w świecie! Córka moja była z nim bardzo szczęśliwa, chociaż przez rok jeden tylko. Chociaż może i lepiej się stało, że umarła wcześniej. Pan Marek, pomimo zamożności, żenić się nie powinien, nie stworzony do praktycznego życia. Przy swoich zdolnościach, gdyby chciał, mógłby stanąć wysoko, tymczasem marnieje na nędznej posadzie bibliotekarza i kasyera. Z księciem trzyma się sztywno, nigdy o sobie nie przypomni; tacy ludzie, z przeproszeniem, do śmierci nędzarzami zostają. Gdyby nie fundusz żony i trochę moich zapasów...

Tu nastąpiło wyliczanie niezliczonych dobrodziejstw, jakimi został obsypany p. Marek, łącząc się z rodziną Dobkiewiczów. Opatrzność rumieniła się, słuchając tych wyliczeń—sam Bóg nie potrafiłby zlać od razu tyle dobrodziejstw na jednego człowieka.

Nie mówiąc już o córce, Dobkiewiczowie dali mu całe gospodarstwo, posąg znaczny, a wszystko w nadziei, że dom urządzi przyzwoicie, ambicyę poczuje i na człowieka wyjść zechce. On pracował po dawniejszemu—ani jednego kroku nie zrobił w celu prędszego zdobycia fortuny.

Opowiadając, Dobkiewiczowa wzruszała ramionami miłosiernie; przedstawivszy niezaradność, brak ambicyi i zbyt spokojny charakter zięcia, pewną była, że wzbudzi we mnie pogardę i niechęć ku temu ostatecznie zgubionemu człowiekowi. Słuchałam dlatego tylko, że mówiła o nim. Pan Marek ubogi, samotny, chory, tém bardziej przypadł mi do duszy.

Z opowiadania wnioskowałam, że przez całe życie wielkich rozkoszy nie zażył: z żoną żył krótko, Dobkiewiczowa zaś, która wraz z wnuczką i jego wzięła w swoją opiekę, niezmiernie praktyczna, przy każdej sposobności przypominała mu delikatnie, ale stanowczo, że jest niedbałym ojcem, o los dziecka nie troszczy się wcale i ani jednym szelągim nie przysparza matczynéj fortuny.

Po obiedzie zapominała nalać mu czarnej kawy i raz zwierzyła się mi pod sekretem, że pan Marek bez litości drze bieliznę, a skarpetek nie może mu na-starczyć!

O troskliwości, serdeczniejszym słówku mowy nie było. Akuratnie zabierała jego miesięczną pensję i akuratnie ubolewała, że zaledwie na życie starczy!

— Chory jest, powinien się leczyć—zauważyłam, wysłuchawszy ekonomicznej tyrady.

— Nie warto, zwydatkowałby się bez potrzeby, jemu nic nie pomoże, taki już gatunek! Kaszle, mizerny i słaby, a zobaczysz pani, że będzie żył, póki nie umrze! Znałam już kilku cherlawych: każdy przeznaczone sobie lata przeżył — odpowiadała, przekonana, że mówi najświętszą prawdę.

Pan Marek widocznie dobiegał kresu „lat przeznaczonych.”

Pomimo starannego wysiłku, żeby się wydawać weselszym i zdrowszym, mizerniał z dniem każdym. Próbowałam dodawać mu otuchy, rozweselać, ale ode-rwać go od ciągłej pracy nie mogłam!

Ciesząc się nieograniczoném zaufaniem pryncypała, spełniał kilka obowiązków naraz: rozpisywał listy, przyjmował pieniądze, prowadził ogromne ra-

chunki; od czasu do czasu, chroniąc od molów bogaty księgozbiór, szafy i książki z kurzu oczyszczał, a że sam wychodzić nie mógł, interesantów codzień napływało bez liku.

W téj porze tylko, kiedy z lekcyi wracałam, tak się urządzał, że albo wszyscy już wyszli, albo nikt jeszcze nie przyszedł; sień była pusta, drzwi od sali otwarte; pan Marek, z ręką przewieszoną przez poręcz krzesła, zwrócony ku drzwiom, czekał.

Wchodziłam na chwilkę do niego, żeby powiedzieć, że lepiej wygląda, że ma świeższą cerę, weselsze oczy, żeby się roześmiać wesoło w tych szarych ścianach, w ponurym więziennym pokoju.

Słuchając gawędy, pieścił moją rękę, przymykał oczy, jak kiedy się szmeru strumyka słucha.

— Do jutra!—mówiłam zwykle na pożegnanie.

— Do jutra!—powtarzał, a jeśli w istocie był zdrowszy, siedł za mną do bramy, po drodze zrywał kwiaty z trawników, układał w bukiet:

— To za bratki, albo za różę—mówił, wręczając kwiaty,—tylko niech się pani jutro nie spóźnia!

Czasami, kiedyśmy mieli trochę wolnego czasu, zostawałam w ogrodzie na godzinę; siadywaliśmy na ławce pod lipami; Zośka opowiadała o swoich lekcyach.

— Czy zdolna?—pytał pan Marek,—czy nie utrudza panią zbytecznie?

Kłamałam, że dziewczynka zdolna, chętna, że z czasem wyrośnie na dzielną kobietę; upiększałam, jak mogłam, zmuśny proces pierwotnego rozwijania się trochę leniwój laleczki.

— To dobrze, to bardzo dobrze—powtarzał z cicha.—Myslałem już, że ze świata zejde bez żadnej ży-

wszędz pociechy, a tu... aż boję się wierzyć swemu szczęściu... za co to mnie spotyka! Żebyż przynajmniej nie zbudzić się przed czasem.

Nie wierzył mi! Bał się kobiecego kaprysu! Biedak, przypuszczał, że można bawić się z uczuciem umierającego! Próbował nawet udawać obojętność. Nachmurzony, z zaciśniętymi ustami, pisał zawzięcie w chwili, kiedy wchodziłam powiedzieć mu „dzień dobry.”

Smutno zdziwione spojrzenie rozbrajało go odrazu—spuszczał oczy, jak dzieciak pojmany na kłamstwie.

Po kilku serdecznych słowach łagodniał i znowu całkowicie do mnie należał — byłam wówczas bardzo szczęśliwa!

Czasami marzyłam, że wyzdrowieje—najczęściej starałam się nie myśleć o jutrze.

Skoro przeszło lato, w jesieni robota się powiększyła; nieraz przez kilka dni nie rozmawialiśmy z sobą i tylko ponad głowami interesantów zamienialiśmy długie spojrzenia; dostrzegłam, że zmizerniał strasznie! Okropna trwoga ogarnęła duszę—nalegałam, żeby się leczył, błagałam o to ze łzami.

Wówczas może naprawdę uwierzył w moją miłość.

Wyjechał na cały tydzień, nie uprzedziwszy mnie o tém ani jednym słowem. Stara mówiła, że został wezwany przez pryncypała; cieszyła się, że może narreszcie pełnomocnym plenipotentem zostanie. Spoglądała na mnie znacząco, po lekcji zaprosiła na kawę ze świeżemi sucharkami.

Kiedy po tygodniu wchodziłam do sieni, ujrzałam kufer podróżny, zwykły czarny kufer z błyszczą-

cemi gwoździakami—nie wiem dlaczego trumnę mi przypomniał.

Pan Marek stał we drzwiach, w ciepłym paltocie, z włosami odrzuconemi na tył głowy; wyglądał zmieniony, jak w gorączce; ujął mnie za rękę, usiedliśmy obok na sofie.

— Jadę za granicę!—szepnął — w wyzdrowienie nie wierzę, ale pragnę żyć choć rok jeden.

Odwróciłam głowę—lzy jakieś głupie dławiły w gardle, do oczu się cisnęły. W chwili, kiedy powinienam była dodać otuchy, słowa przemówić nie mogłam.

— Oddawna pogodziłem się ze śmiercią—mówił dalej,—przez tyle lat choroby życie dokuczyło trochę, czasu i środków na leki nie było!... Ot, na tym fotelu siedząc z piórem w ręku, czekałem, kiedy palec skostnieje, zmęczona głowa opadnie na zawsze! Dziś za szczyptę życia oddałbym... eh, cóż ja oddać mogę biedak bezsilny!

Powtórzyłam raz jeszcze najgorętsze prośby, na jakie może się zdobyć miłość bez granic, — wołałam, żeby jechał bez zwłoki.

— A jeśli nie wrócę?—przemówił głosem, od którego krew ścięła się w żyłach.—Tu zostawię wszystko!... jedyny promień szczęścia, co mnie w życiu zabłysnął... wyjadę i zamrę samotny, opuszczony, tak jak żyłem przez lat wiele, do naszej ostatniej wiosny!...

Zdrowia i sił miałam za dwoje, kochałam go za matkę, za siostrę, za kochankę, gdyż dla żadnej z nich droższym być nie mogłam! Sama zajęłam się układaniem jego rzeczy, a w parę dni potem jechaliśmy razem ku słońcu, ciepłu, ku... śmierci!

Ludzie zwykle życie na lata liczą—ja w mojem miałam tylko kilka miesięcy, długich jak wieczność, ciężkich i szczęśliwych zarazem. Pielęgnowałam go sześć tygodni—dzień każdy był jakby promykiem szczęścia, a jednocześnie stopniem, zbliżającym do największej niedoli. Wioząc go, nie miałam nadziei, że wróci—tém goręcej pragnęłam opromienić uczuciem ostatnie chwile gasnącego życia.

Raz, zrana, wyszłam do lasu, żeby miejsce dobre do posiedzenia na cały dzień obejrzyć; ranek był słoneczny, w powietrzu unosiło się tyle zdrowej woni, że na chwilę uczułam otuchę, zgasła nadzieja odżyła nagle.

Wychodząc, pootwierałam okna, na balkonie fotel i stolik ustawiłam na słońcu, żeby mógł, gdy się obudzi, skapać się odrazu w słonecznych promieniach, odetchnąć balsamicznym zapachem kwiatów, rosnących dokoła.

W lesie polankę znalazłam przesliczną — sosny dokoła, trawa zieloniutka jak w maju. Od gór wiatr powiewał chłodnawy, ale za godzin parę mogło się ocieplić zupełnie.

Wracałam śpiesznie do domu, w myślach układając, jaką książkę wezmę z sobą, żeby go zabawić trochę i z ciągłej drzemki rozbudzić.

Siedział już na balkonie, gdy weszłam; niespokojny, jakby strwożony, za rękę mnie ujął i długo w twarz patrzył martwemi oczyma.

— Nie pójdziemy dziś nigdzie—rzekł, kiedym mu o projekcie opowiedziała,—doktora dziś nie trzeba, zostaniemy sami. To mój ostatni kaprys...

Z ostatecznym wysiłkiem przysunął dla mnie krzesło do swego fotelu; usiadłam bliźniutko.

Naraz zdało mi się, że straszna jakaś cisza zapanaowała w naturze, że stopniowo wszelki ruch i życie drętwieje. Trzymałam jego rękę—z początku drgała zlekka, chłodne palce przyłgnęły do mojej dłoni. Z głową odrzuconą na poręcz fotelu, patrzył na mnie, przymykał oczy. Po chwili podnosił ociężałe powieki i gasnący wzrok znowu ku mnie zwracał. Zamierał. Czułam to, ale już w piersiach nawet na krzyk bólesci siły zabrakło!...

Wróciłam samotna, w myślach po strasznym chaosie zapanował martwy spokój, tylko kąt ziemi z mogiłą wciąż stał przed oczyma—nie mogłam o nim zapomnieć ani we śnie nawet.

Stroskana, wpół martwa, w pierwszych tygodniach zapomniałam, że żyję wśród ludzi. Powoli jednak spostrzegłam straszną pustkę—ani jedna żywa dusza nie przyszła zapytać, czy żyję. Zadzumiona nie mogłaby zostać więcej osamotnioną! Ludzie, z którymi od dzieciństwa spotykałam się codziennie, wymijali mnie na ulicy jak nieznajomą.

Nieznajomą! — myślałam; w istocie zmieniłam się do niepoznania: twarz i czoło pokryło się zmarszczkami, w warkoczach połowa włosów zbielała; pies stróżki, któremu dawniej czasami kawałek bułki rzucałam, biegł ku mnie, ile razy zdaleka na dziedzińcu ujrzał... poznawał tedy.

Na wiosnę, kiedy wracające siły zaczęły się domagać ruchu i pracy, zaczęłam wychodzić coraz częściej. Miałam po nim kilka rzeczy drobnych dla córki; pójść do niej jeszcze nie mogłam, z dnia na dzień od-

kładalam wizytę i zawsze jakaś słabość dziwna, resztki dawniejszego odrętwienia, ogarniały mię na samą myśl o odwiedzinach; raz przecie należało wrócić do życia.

Zacznę znowu uczyć Zośkę, przy mojej pomocy dziewczynka wyrośnie może na uczciwą kobietę.

Myśląc o tém, czułam ciepło w piersiach, serce uderzało żywiej. Zebrawszy pamiątki, poszłam do niej.

Na ulicy zdaleka ujrzałam Dobkiewiczową z wnu-czką; dziewczynka pobiegła na moje spotkanie. Już miałam ręce wyciągnąć, aby uścisnąć biedaczkę, gdy stara targnęła ją za ręce, obie cofnęły się o kilka kroków—stałam przed niemi zdumiona.

— Bezwstydna! — syknęła Dobkiewiczowa — do dziecka — do aniołka śmie rękę wyciągać!

Odeszła śpiesznie, wprowadzając Zośkę. Wówczas to zrozumiałam swoje położenie.

Olśniona uczuciem, potem niedolą, zapomniałam o ludziach, zapomniałam, że oprócz trybunału własnego sumienia jest jeszcze trybunał towarzyski, który mnie od godności ludzkiej nieodwołalnie odsądził.

Wdzierać się na dawniejsze stanowisko nie próbowałam—wszystkie bramy, furtki najciaśniejsze były dla mnie zamknięte. Zdaleka tylko dochodziło do mnie echo gawęd różnych, niegodnych potwarzy, wymyślanych na mój rachunek. Oburzano się przede-wszystkiem na moją śmiałość, na bezwzględną otwartość w postępowaniu, nazywano to cynizmem, niegodnym lekceważeniem praw boskich i ludzkich.

Zmiażdżonoby mnie odrazu, gdyby choć cząstka potępiających gawęd mogła być przemienioną w kamienie. Oburzenie gasło zwolna—jakiś nowy skandal odwrócił ode mnie oczy ciekawych. Z czasem oswoiłam

się ze swoim położeniem — zaczęłam szukać pracy.— O nauczycielstwie mowy być nie mogło, należało szukać innego zajęcia; z początku na każdym kroku spotykałam tyle ironii, złośliwych uwag, ciekawości zresztą, że na czas jakiś wszelkich starań zaniechać musiałam. Umarłabym z głodu w rodzinnym mieście, żeby nie mały zapas pieniędzy, zostawiony przez rodziców.

Życ bez ludzi, bez zajęcia—ciężko; zamierzyłam wyjechać gdzieś na koniec świata, wyprzedawałam z wolna zbyteczne sprzęty; a chcąc uciec jaknajdalej, napisałam do kuzyna, mieszkającego w zapadłym miasteczku w Pińszczyźnie, prosząc, żeby mi tam jakąś pracę obmyślił; sklepik korzenny albo szwalnię otworzyć zamierzałam.

W dzieciństwie bawiliśmy się razem, znał mnie potem dorosłą panną, zawsze wiele przyjaźni okazywał. Pewną byłam, że i teraz dopomoże według możliwości.

Odpisał dziwacznie trochę. Przedstawił cały swój sposób życia, położenie, projekta, przypomniał starą naszą przyjaźń, w końcu zaproponował, czy się nie zgodzę zostać jego żoną, żeby, zamiast osobno, ciągnąć wspólnie ciężar kłopotliwego życia.

List serdeczny, pełen prostoty, był jakby orzeźwiający powiewem w dusznej nad wyraz atmosferze mego położenia. Namysławiając się nad odpowiedzią, odczytywałam go kilkakrotnie. Przed sobą miałam jeszcze długie lata życia samotnego, bez rodziny, tego najsmutniejszego życia, w którym wielkie nawet serca kobiece rdzewieją bez podpory; pomimo to czułam, że tymczasem przynajmniej na żadne wyłączone uczucie

zdobyć się nie potrafię; obmyśliłam tedy odpowiedź, któraby uwolniła mnie od wszelkich objaśnień, a zarazem w niczem stariej przyjaźni nie naruszyła,—gdy raz, wróciwszy z przechadzki, znalazłam bilecik od tegoż kuzyna, w którym przeproszał grzecznie, że bawiąc przez parę dni w naszym mieście, nie mógł ani na chwilę wpaść do mnie; odradzał zarazem projekt zamieszkania w małym miasteczku i, polecając się łaskawej pamięci, zawiadomił, że dziś jeszcze opuszcza miasto i t. d.

Był to istotnie policzek, wymierzony w przyzwoitej formie.

Na bezczynne życie stariej panny zrezygnować się nie mogłam; natura kobieca, jeśli nie zwyrodnienie w kołobce, potrzebuje kochać, poświęcać się, żyć w serdecznej atmosferze. Świat towarzyski był dla mnie zamknięty; pozostał jeszcze świat sierot, nieszczęśliwych, świat cierpiących i zaniedbanych, którzy, pojmując współczucie, troskliwość, opiekę, o świadectwo cnoty nie pytają.

Zostałam siostrą miłosierdzia; życie to dało mi tyle chwil błogich, o jakich chyba tylko we własnej swojej rodzinie marzyłbym mogła.

Wprawdzie i dziś jeszcze starzy znajomi spytują mnie z dziwnym mrużeniem oczu i przygryzaniem wargi;—wyborną mają pamięć. Ja nie zdołałabym przeliczyć, ile miesięcy przeżyłam wśród bezsenności, niewygód i cierpień—oni jeden fakt z życia mego pamiętają jak chrześcijańską erę! Kto wie, może i w niebie fakt ten rzuci cień brudny na kartę całego mego żywota!

Nie wiem, jak będzie w niebie, na ziemi jednak pamiętano o występku do końca.

*

*

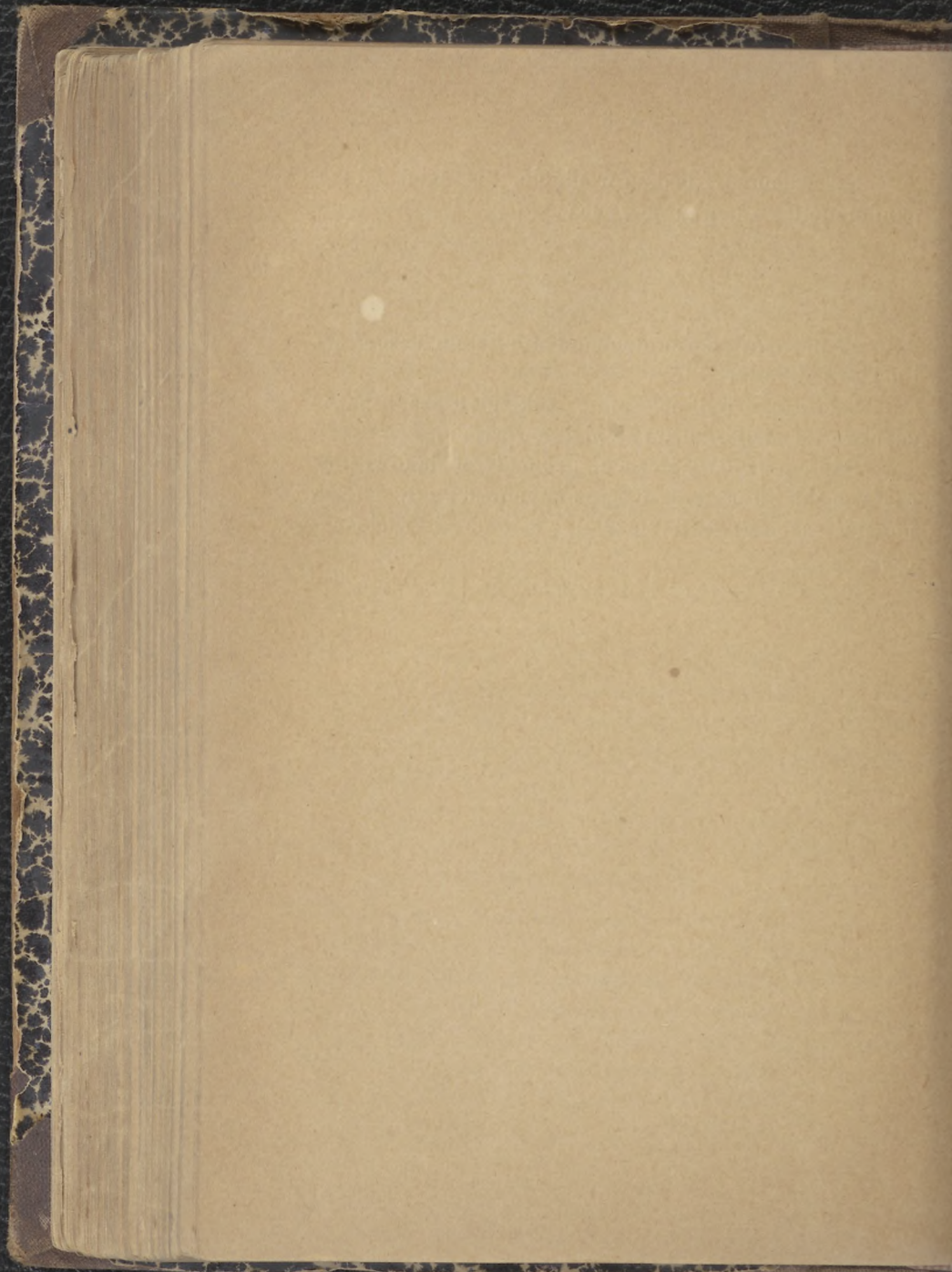
*

W parę lat po tém opowiadaniu byłam na pogrzebie siostry Anny.

Śliczny to był pogrzeb. Takiego orszaku pozazdrościć jój mogło każde cieplejsze serce.

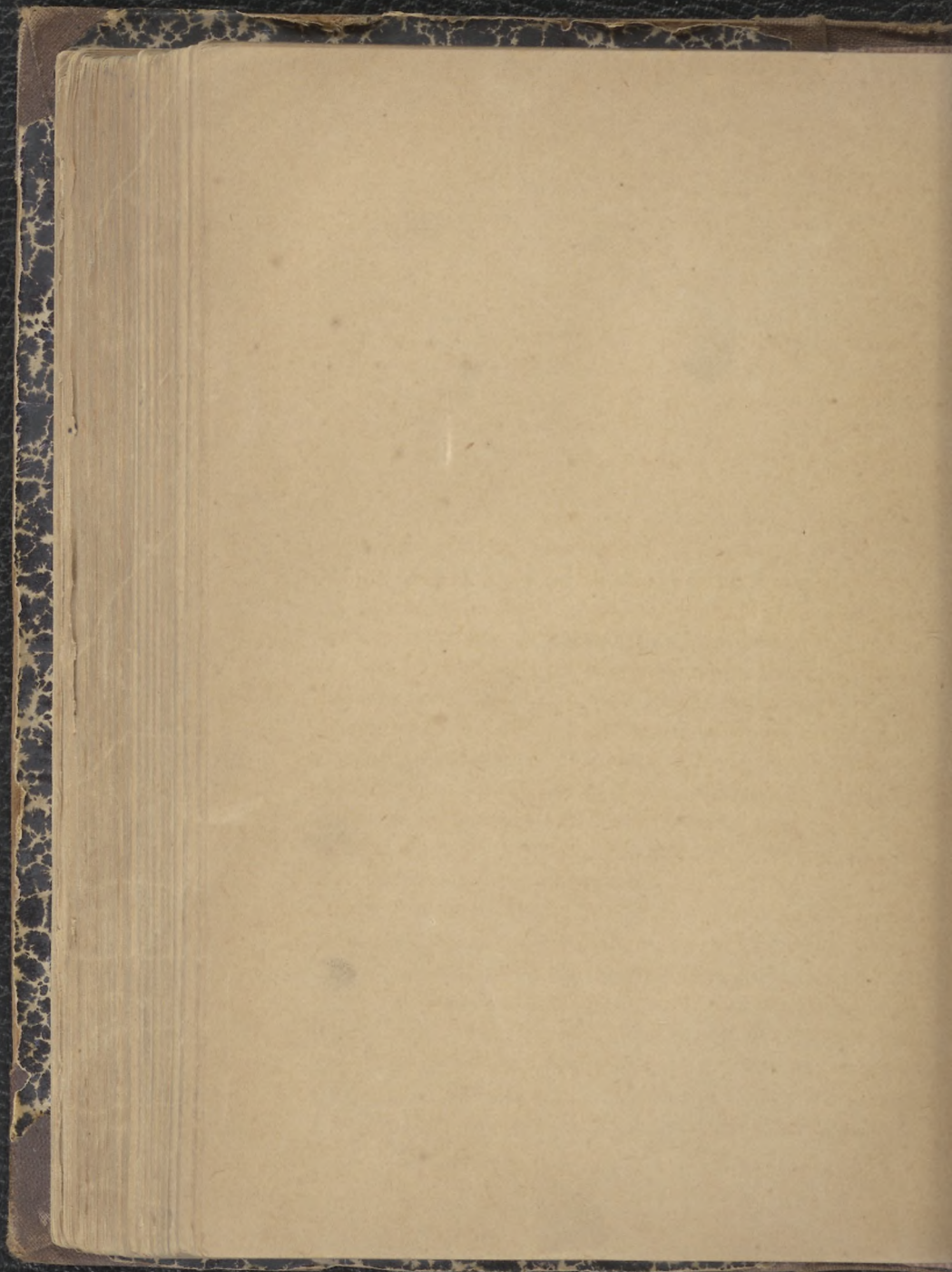
Szeregi dziatwy sierocój, gromady biedaków, płaczących jak po matce! Ksiądz w mowie pogrzebowej, mówiąc o zasługach zmarłej, zakończył wieloznaczącem:

„Ciężkie grzechy żywota przebacz jój, Panie!”



Z MOICH STRON.

OBRAZEK.



Maksym znał podobno całą okolicę, pamiętał nazwy wszelkich zarośli, błot, polanek i gajów, w lasach przeżył wiek cały, a na błotach, na trzęsawiskach był jak w domu. W młodości jakoby wyżła zastępował znakomicie, gdyż węch i słuch miał niezrównany, a jak zaczął wyć i szczekać, psy w wiosce odpowiadały mu właściwem narzeczem. Człek taki to prawdziwy skarb dla kiepskich myśliwych, którym lada wyżeł imponuje, włócząc za sobą po pustych błotach! Kiedy go pierwszy raz ujrzałem, ani mi się śniło, że mam przed sobą najznakomitszego etnografa w całej okolicy—wyglądał jak każdy chłop: średniego wzrostu, chudy—zczerniały, w brązowej sukmanie i w łapciach, stał przy drzwiach pokornie, a chociaż przysunąłem mu krzesło, przestąpił z nogi na nogę, ale nie usiadł. Sprawę miał z sąsiadem o łąkę i pola kawał, a dowiedziawszy się, że jestem adwokatem i parę tygodni tylko mam na wsi przepędzić, przyszedł prosić o radę i pomoc. Rzecz całą opowiedział z niezwykłą u chłopów treściwością, jasno, niemal poprawnie, na początku za-

znaczył w przyzwoitej formie, że „za fatygę” nagrodzi, a chce tylko, żeby sprawę przyspieszyć, jeśli można. Znał się widocznie na interesach—wiedział, jak do adwokatów przemawiać należy. W głuszy, oddzielonej od świata dziesiątkami mil najgorszej drogi, wśród lasów, błot, moczarów, poprawna mowa, znajomość form prawniczych u łapciowego chłopca — zdziwiły mnie trochę. Słuchałem z uwagą, a w końcu, tak niby dla dobra sprawy, spytałem o rodowód: był strzelcem we dworze za młodu, t. j. psy karmił i chodził na polowanie, pod starość został leśnikiem.

— Więc znacie miejscowość dokładnie? — spytałem, zamierzając skorzystać z jego wiadomości.

— Znam, panie, to, co jest, i to, czego nie ma! Błagował; teraz już nie wątpię, że był dworakiem. On jakby myśl moją odgadł.

— Niema już, panie, dawniejszych borów i błota lepsze osuszyli; ale zwierzyna jest jeszcze, chwała Bogu; tylko że teraz strzelcy marne: żaden uczciwie strzelać nie umie, chcieliby zające za ogon łapać!..

Do mnie przepił—cały już tydzień włoczyłem się po błotach i dotąd nawet kurki nie zabiłem.

— W tym roku ptastwa niema, powiadają.

Uśmiechał się pogardliwie.

— A gdzież ma być? Każdego roku przylatuje, tylko niezawsze na te same miejsca. Na Czortowym ługu aż szumi od ptaków.

Nic tak nie zbliża ludzi, jak jednostajne upodobanie. Maksym, mówiąc o polowaniu, wyprostował się, poweselał, uśmiechał się i mrugał oczami naprzemian, parę razy nawet przełknął ślinę; widocznie żył w nim dziki duch puszczy, ten sam, który i we mnie pokuto-

wał, tłumiony kilkunastoletnimi studjami, mozolną pracą, wreszcie wszelkimi narowami mieszcucha. Dziesięć lat pracy w jednym zawodzie nie zbliżyłoby nas tak szczerze, jak te kilka słów, zamienionych o ulubionym przedmiocie. Widziałem już w Maksymie kolegę, towarzysza, przyjaciela nawet, który nietylko że nie podstawi mi stołka na polowaniu, nie zagarnie dla siebie każdej lepszej gratki, nie oczerni mnie przed zwierzętami jako niedołęgę, na którego mogą śmiało biedz, gdyż prawie strzelać nie umie, ale owszem, chociażby dla swojej własnej przyjemności, zaprowadzi mnie tam, gdzie jaknajwięcej zdobyczy znaleźć można, a oddany z zapalem wspólnej idei pozwoli mi pudłować, ile zechcę. Rozgadaliśmy się na dobre. Ten Czortowy ług miał być rezydencją wszelkich możebnych ptaków. Maksym onegdaj jeszcze, idąc wzdłuż olszyny, spłoszył całe stado dubeltów: starek ze cztery, albo i z pięć może, a młodych to i nie przeliczyć. Same na czleka lecą. Nie zastrzelił żadnej, bo fuzya rozszczepiła mu się jeszcze zeszlęj zimy, a chociaż związał ją akuratanie, kiepsko niesie i strzelać z nięj nie warto. Pokazałem mu swoją lepażówkę: ujął ostrożnie jak pajęczynę, obejrzał w milczeniu—oddając napowrót, westchnął.

— To fuzya, panie!—rzekł głosem pełnym uszanowania.

Spoglądał na mnie uważnie. Z twarzy jego czytałem, że teraz dopiero uznał moją wyższość. Obiecałem, że jeśli zechce towarzyszyć mi na Czortowy ług, dam fuzyę, gorszą wprawdzie od tęg, ale nierozszczepioną. Milczał; podejrzewałem, że nie dowierza.

— Pójść można—odrzekł w końcu,—tylko żeby dzień jasny wybrać, bo tam w pochmurny czas za

mgłą świata bożego nie widać. Najlepiej w sobotę; w dzień Matki Bożej każdy ptak choć raz jeden do nieba podlata, a wtedy, z przeproszeniem pańskim, i dziecię zastrzelić potrafi.

Udałem, że nie rozumiem; umówiliśmy się na przyszłą sobotę; gdy wychodził, wręczyłem mu starą fuzę, żeby sobie wypróbował zawczasu.

Aż do soboty wałęsałem się codzień po okolicy z innym towarzyszem, który więcej jeszcze niż ja udawał zapalénca, a strzelał daleko gorzej. Czekałem soboty; w czwartek, pomimo ciągłego niepowodzenia, wyszliśmy raz jeszcze próbować szczęścia. Deszcz lał od świtu—w taką pogodę psy tylko i myśliwi włóczyć się zwykli. Cały dzień ciągaliśmy się po oczeretach, po olszniakach, przeskakując z kępy na kępę, albo brnąc w błocie po kolana. Obmokłe psy wlokły się coraz wolniej: zanim który w zarośla ruszył, stawał i, kręcąc zwolna ogonem, spoglądał poza siebie: zły znak, widocznie ganiać nie mieli czego, a proste błoto nie zachęcało do bezcelowej przechadzki. Okolica jednak słyseła z dzikiego ptastwa: rozległa równina, na skraju dokoła czarnym lasem objęta, wyglądała jak dno jeziora, wyschłego przed niedawnymi czasy; kępy mchem porośłe, a wśród nich błota, na których tatarak stał niby wał zielony, falujący przy najlżejszym powiewie, ludzi ani śladu! Gdzieś tam podobne do kopy siana rysowały się na horyzoncie wiejskie chałupy, zasłonięte tu i owdzie pagórkami albo krzakami olszyny. Poza mgłą, co jak szary obłok unosiła się nad błotami, krzak, drzewko każde przyjmowało dziwaczne kształty; w okolicy téj łatwiej było uwierzyć w dyabła, niż w bekasy i dubelty; świezczało coś, szeleściło w zaroślu,—

chyba Maksym jeden potrafiłby te głosy i ruchy rozemnać. Chodziliśmy tedy prawie bez celu.

— Nudno, aż wyc chce się!—mruknał mój towarzysz, mieszczuch z powołania, rządcą wielkich dóbr z dopuszczenia bożego.

Pogardzał łapciami, a w płóciennych spodniach i chłopskiej kurtce nie pokazałby się nawet wronom; brnął tedy po błocie w botfortach i co wieczór niemal wraz z własną skórą musiał zdierać z siebie przemokłe do nitki ubranie; dżokejką, niebieskim krawatem skokietowałby może niejedną czapkę, gdyby się przypadkiem trafiła; tymczasem oglądały się za nim podkasane baby, okryte białą płachtą i dźwigające wiązki chróstu na plecach, albo chłop zerknął z pod oka. Elegantowi temu zawdzięczam noc przespaną w osobliwym dworze. Zmoknięci wracaliśmy, jak zwykle, z próżnemi torbami. Żakiewicz pojął wpół martwą kurkę, i wetknąwszy ją łapkami w butonierkę, obciążony zdobyczą, włókł się z trudnością w przemokłych botfortach. Do domu mieliśmy chłopską milę, zaczynało ciemnieć, deszcz ustał wprawdzie, ale gęste chmury groziły nowym potopem, psy płątały się przy nogach, ocierając co chwila zmokłe łby o naszą odzież. Pierwszy raz w życiu byłem akuratnie zmęczony. Żakiewicz milczał, czułem jednak każde poruszenie jego zboliałych kości; miał na sobie kratkowany garnitur malarza-turysty, popielatą czapkę i krawatkę jakiegoś modnego koloru; wszystko wyglądało jak zabłocona ścierka.

— Cobyś dał za ciepłą izbę i szklanę herbaty?—zapytałem.

Poruszył ramionami obojętnie: lubił udawać bohatera. Szliśmy brzegiem Niemna; rzeka płynęła w głębokim wąwozie, poszarpane brzegi białły wśród zmroku. Na zakręcie, gdzie niejeden artysta skamieniałby na widok dzikiej panoramy różnorodnych drzew, porastających fantastyczne urwiska, Żakiewicz wskazał ręką niedbale:

— Ot tam ciepła izba i szklanka herbaty!—przemówił ochrypłym głosem.

Na szarém niebie rysowały się wierzchołki włoskich topoli; w masie drzew widniały białe ściany budynku, willi, pałacu, czy gorzelni—zdaleka rozpoznac nie mogłem.

— Przenocujem w tym dworze, dalej isć trudno—rzekł przygnębiony towarzysz.

— Na folwarku u ekonoma, czy w karczmie?

— Eh, może i w pałacu przyjmą.

— Więc to pustka?

— Mieszka właściciel, człek bogaty, i ma dwie córki na wydaniu.

— I my tak... bez fraków?

— U nas po wiejsku, bez ceremonii!

Zaszedł z tyłu, jak gdyby się lękał mojej dezercyi. Z topolowej szerokiej ulicy mogłem się rezydencyi przypatrzeć dokładnie. Murowany, niewielki domek o płaskim dachu, z gankiem wspartym na kilku zgrabnych kolumnach, z dużymi oknami i całym szeregiem odwiecznych lip po obu stronach, należał do rzadkich w naszym kraju okazów smaku i dostatku; murowana stajnia i oficyna stały opodal naprzeciw siebie, reszta gospodarskich budynków kryła się gdzieś dalej za drzewami. Wywalone wrota, kilka spętanych

koni, skaczących po dziedzińcu dokoła nieogrodzonego klombu bzów, akacyj i innych wspaniale rozrosłych krzewów, walające się żerdzie, cegły, kolki i deski, nadawały całemu otoczeniu pozór zaniedbania, cisza przypominała zakłęte zamki, drzewa tylko szumiały głucho, a z białych kominów na dachu nie unosiło się ani jedno pasmo dymu.

— Pewno żyd arendarz mieszka? — zapytałem wielce rozczarowany.

— Mówiłem przecie, że bogaty dziedzic z córkami! — odrzekł, wchodząc po kamiennych stopniach na ganek.

— To może chociaż psy zabłoczone na dworze zostawim?

— Pójdą z nami! Kiedy ja mam odwagę przedstawić się tak, jak jestem, cóż ty się o psy boisz?

Stałem na tylnym planie, w każdej chwili gotów do odwrotu, podczas gdy mój towarzysz z poufałością gospodarza domu do drzwi łomotał. W żadnym oknie nie było światła. Piękne nimfy marzyły zapewne o szarej godzinie, nie przeczuwając, że dwóch zabłoczonych rycerzy i tyłuż psów stoi u ich progu. Po długim szamotaniu się, chrząkaniu, stukaniu, ktoś podszedł do drzwi bosemi stopami, powoli koło zamku gramolić się zaczął, sapał przytém jak zduszony.

— Otwórz, panie Moczulski! — wołał mój towarzysz kilkakrotnie—to ja, sąsiad.

Stopy oddaliły się, a jednocześnie postyszałem szorowanie zapalkami po ścianie. Z sieni na ganek wychodziły dwa okna, zabite deskami do połowy; przez górne szyby spostrzegłem światło. Klucz zgrzytnął w zamku. Przez uchylone drzwi owiało nas du-

szne powietrze, przesycone wonią kozuchów, skóry, świeżego chleba i pleśni. Moczulski stał przed nami z blaszaną lampką w rękę, bosi, w parcianej koszuli i spodniach, w kozuchu zarzuconym na ramiona, chłop niemiły, rumiany, z rudym zarostem, z kosmykami rudych włosów nad czołem.

— Śpicie już? Ho, ho, widocznie czasu nie macie do stracenia!

— A cóż, jak robota skończona, wypocząć trzeba—odburknął Moczulski, oglądając mnie z pod oka.

Moja skórzana odzież, ceratowa czapka i cała postać dość buntownicza budziła w nim nieufność.

— To...—zająknął się Żakiewicz... — ten pan, rodzony siostrzeniec sprawnika....

Wskazał na mnie. Przyjąłem w milczeniu świetną parentelę, do której ani po ojcu, ani po matce nie miałem prawa. Moczulski schylił się przede mną raz, drugi, jak przed cudownym obrazem.

— Hej, chłopcy! — huknął, oglądając się po sieni—pozdychali do licha! Wstawać, w izbie napalić: a toż panowie przyszli!

Stał pośrodku sieni, groźny, wyprostowany, lampkę w górę podniósł.

— Bydłęta... kapcany! — mrucał z całą powagą ojca i gospodarza domu.

Sień była duża, o mozaikowej kamienną posadzce, z ogromnym kominem w jednym kącie i trojgiem drzwi, prowadzących do dalszych pokojów. Na ścianach wisiały rzędem chomąta, lejce, worki, kozuchy, powrozy, na podłodze zaś wzdłuż ścian słoma pokryta workami służyła za posłanie dla trzech synów Moczulskiego. Podnieśli się wszyscy jak na komendę; chłopcy pod

wąsem, barczyści, poruszali się leniwo, przeklinając w duchu spóźnioną wizytę. Moczulski poprowadził nas do pokoju na prawo, lampę na stole postawił, i szurając po podłodze bosemi nogami, wyszedł, mrucząc, że zaraz... w téj chwili... natychmiast wszystko zrobi jak należy.

Pokój obszerny, o czterech oknach, nie posiadał prawie żadnych sprzętów. W jednym rogu, prawie pod sufitem, wisiał obraz w srebrnej szacie, na ścianie kilka potwornych malowideł, przedstawiających samych posługaczy Bellony, na jesionowej nowiutkiej komodzie ogromna księga w skórę oprawna o tęczowych brzegach; otworzyłem — „Zbiór Praw,” pozakładany w kilku miejscach kawałkami szarego papieru. Zimno było, wilgotno w tym przybytku rycerzy i sprawiedliwości! Między oknami, naprzeciw drzwi, ogromna lustrzana tafla, wmurowana w ścianę, potłuczona, obryzgana wapnem, odbijała w łamanych liniach światło lampy, bielone ściany i nasze snujące się postacie. Ramy u drzwi i okien pokryte były pięknie rzeźbionym liściem dębowym, na suficie pozostały ślady gipsatury i złocenia, posadzka tylko porąbaną już była w kilku miejscach, koło pieca brakowało kilku dębowych tafli, użytych do podpalenia widocznie.

— Szanowny dziedzic nie zrujnował się na umeblowanie! — żartował Żakiewicz, wskazując cztery siatkowe krzeselka, jesionowy stół i takąż komodę; — posiada już zato cztery folwarki i kapitały, a zimno u niego jakby w psiej budzie.

Biegał po pokoju i chuchał w skostniałe palce.

Poszedłem z lampką obejrzyć dalsze pokoje. W sąsiednim ze świetnych czasów pozostały jeszcze

popielate ze srebrem obicia, zwieszające się brudnymi płachtami po kątach i u sufitu; w jednym rogu zgrabny kominek. Sprzętów żadnych. Na ścianie wisiała różowa perkalowa suknia z ogromną turniurą, przy niej skórkowe wielkich rozmiarów buciki, wzdłuż ścian, w kominku, na środku pokoju, stały, leżały rozmaitego kalibru butelki, stłuczone poczęści, wszystkie nie miały korków, na znak, żeby się po nich nikt niczego spodziewać nie mógł. Dwie spore baryłki stały przy piecu, zatkane pakułami i ścierką, pachło kwasem, zgnielizną i tą pustką straszną, która dziwnym chłodem przejmuje. W następnym, wzdłuż szklanej ściany, wychodzącej na werendę, rozwieszono mokrą bieliznę na sznurach: kilka parcianych koszul obok czerwonych chustek, żółtej i niebieskiej spódniczki; po kątach leżały kupy lnu i konopi, na środku rzucono masę nowych worów. Dalej iść nie mogłem; zdawało się, że duch jakiś towarzyszy mi, wskazując nieznacznie kądą, najmniejszą nawet pamiątkę z lepszych czasów: rzeźbione ramy okien, gipsaturę sufitów, popękane tafle posadzki. Zdawało się, że z ciemnych kątów oczy jakieś śledzą każdy mój krok, wyraz twarzy, zaglądają do duszy. Za oknami szumiały drzewa, szyby brzęczały w spróchniałych ramach, w ciszy tej stare pamiątki przemówiły dziwnie wymownym milczeniem. Nade drzwiami do ogrodu płaskorzeźba, otoczona wiankiem dębowych liści, przedstawiała biust pięknej kobiety; wiązka sznurów, zawieszona na wystającym gzemie, zasłaniała jej czoło i część twarzy. Cisnąłem sznury w głąb pokoju—błędny rycerz, chociaż w ten sposób oddałem hołd piękności. Zato Amorek na kominku tryumfował nawet wśród wandalizmu: na gło-

wie miał zwiędłą girlandę z chabrów, a między skrzydelkiem i łopatką kawał niedopalonego papierosa. Może któraś z Nimf i sielski Adonis złożyli ten emblemat niewinności i szyku... Może dama z medalionu rumieniła się, patrząc na hołdy, składane swawolnemu bożkowi wśród kupy worków i woni dziegciu.

W pierwszym pokoju tymczasem Moczulski i Żakiewicz rozgospodarowali się na dobre; zapalono w piecu, na podłodze leżało kilka wiązek słomy, a na stole, zamiast oczekiwanej herbaty, dwie karafki z czerwona i żółtą wódką, pół bochna razowego chleba, olbrzymi nóż w drewnianej oprawie, ser i masło w małej faszeczce. Moczulski zdążył już włożyć siermiężny surdut, obszyty czarną tasiemką, buty i czerwony szalik; zdążył podpić trochę: policzki pały, mrugał oczkami, a na czole pokazała się rosa. Nogi rozstawił szeroko, ręce oparł na kolanach, pochylony ku Żakiewiczowi, słuchał niby, w istocie wciąż zerkał ku drzwiom pokoju, w którym przebywał. Zaledwo stanąłem na progu, zerwał się, krzesło swoje podniósł nieco, przycisnął do piersi i czekał, aż się zbliżę, żeby je akurat w tym miejscu postawić, gdzie usiąść zechcę. Sam wyprostowany stanął przy ścianie, opuściwszy ręce, spoglądał to na mnie, to na karafkę, a kiedy skinąłem głową, poruszył się śpiesznie, ręką wąsy obtarł i napełnił kielich, szklenicę raczej w postać kieliszka przemienioną. Podsunałem mu krzesło, usiadł na brzeżku; niedługo jednak zachował wstrzemięźliwą powagę. Żakiewicz kusił go wódką i żartami, ofiarował mu przytém cygaro.

— Namawiam Moczulskiego, żeby na współkę ze mną Janów w dzierżawę wziął; ja dam pracę, on pie-

niądze. Zżyma się, jak gdybym mu szubienicę wskazywał! taki zacięty wróg wszelkiego ryzyka.

— Pieniądze, pieniądze!— powtarzał Moczulski, pochylony nad stołem, uśmiechał się, spoglądając na nas kolejno — a zkad je brać te pieniądze? Żeby ja wiedział, gdzie szukać, oto poszedłby choć do piekła!

Zamilkł; wpatrzony przed siebie, zamyslił się nad tém wielkiém zadaniem.

— Po co iść do piekła przed czasem? Poszukajcie we własnej sakwie!—zartował Żakiewicz.

Moczulski splunął, zagadnięty w najważniejszej kwestyi, poruszył się niecierpliwie.

— Eh, bajkom pan wierzy! Gadają, że ja bogaty jak czort! Dalibóg nieprawda! Ziemi mam kawał, ot i wszystko! w spokojne czasy i do tegoby nie przyszło! Dał Bóg ruchawkę: głupi stracił, a mądry zyskał! Che, che, żeby ja tak zdrów był, jak teraz grosza przy duszy nie mam!

— No, a posagi córek to nie przy duszy chowacie?

— E, i posagi te to bajka, panie! Za panów nie powychodzą, a chłopom grosza nie dam. Nie na to ja całe życie w biedzie pracowałem, żeby teraz chłopskie kieszenie napychać! Powiem panom, tak jak przed sąsiadem i już przed wielmożnym urzędnikiem (skłonił głowę przede mną), że niema gorszej bestyi na świecie, jak bogaty chłop! Był ja piętnaście lat „starszyną,” to już znam ich, a i teraz, nie dalej jak za moim sadem, jest wioska, pańszczyźniana dawniej... co ja od nich cierpię, oj! Biednego chociaż procesem nastraszym, złajem jak Bóg przykazał, no i milezy; z bogatym niema rady! zaraz od chamów, od złodziejów

czleka ochrzczi, za byle co do bitwy staje, a człek tylko pięści w kieszenie chowa. Wiadomo, na sądy czasu niéma; żeby nie to, dalibóg, niejednemuby już głowę roztrzaskał.

Aż oczy mu błyszczały w sprawiedliwém oburzeniu, wychylił gorzały, zasapany spluwał na prawo, to na lewo.

— Tak, tak, panie Moczulski, siedzisz tu jak wilk między owcami, skubią was na wszystkie strony; dziwię się nawet, że was nie zjedli dotąd!

— I nie zjedzą, panie! oho! człek zasługi ma, chwała Bogu, no i rozumu jeszcze na mój wiek starczy.

— Naturalnie! A synowie swoim rozumem żyć będą!

Pokręcił głową i westchnął.

— Kiepsko z synami, oj, kiepsko! Ten jeszcze, co w turmie za złodziejstwo zgnił, był może najlepszy! Z innych pociechy żadnej! Każden do siebie rwie, z pod rąk kradną. Bił ja ich dawniej! teraz powyrastali, to codzień czekam, kiedy mnie bić zaczną! Rozbójniki, panie! W dzień powszedni to jeszcze pół biedy, a w niedzielę, kiedy pijani z miasteczka wrócą, to tylko słyszę: „Ojciec, pieniędzy dawaj! Nażyłeś się dosyć, my teraz pany!” No, kiedy pany, panujcie na swoim, na zapracowaném! Dokąd żyję, szczypty ziemi nie dam, tak mi Boże dopomóż. Strach znowu, żeby nie zadusili gdzie w kącie! A cóż, teraz wszystko po świecie chodzi.

Ochrypły głos drżał zlekka.

— To nie żarty, panie! Cały wiek, tak, cały wiek grosz do grosza mozolnie zbierałem; a teraz jak pomyśle, że dla tego dobra własne dziecko na moją duszę

czyha... to tak nieraz aż w serce kole z żalu. Klnę ich czasem od świtu do nocy, a żadnemu dotąd włos z głowy nie spadł. Bo to, panie, młodość dzisiejsza ani w Boga, ani w dyabła nie wierzy! „Dawaj, ojciec, pieniędzy!” i basta! Co z tego będzie... a! rodzi się to już takie zębate!

— Pożeń ich, panie Moczulski; wiadoma rzecz, że baba i z dyablem poradzi; synowie twoi przecież nie gorsi od dyabłów!

— Z kim żenić? W chłopstwo znowu léźć? nie godzi się; zawsze oni już od zwykłych chłopów odeszli, po folwarku mieć będą! Szlachcianka żadna nie pójdzie! Próbowałem już, panie, i przez faktorów i sam rozpytywałem się różnie... Każda woli u siebie świnię paść, niż z chłopem na folwarku siedzieć, harde szelmy! Mówią, że „Moczulaki to hajdamaki,” i dobrze mówią, choć to moje dzieci, jaby sam im głowy poskręcał, żeby tylko szacunku i mądrości nauczyć!

Posmutniał; dłonie na kolanach oparł, głowę pochylił, kiwał się zwolna w prawo, to w lewo.

Nazajutrz czekały nas dwie niespodzianki: prześliczna pogoda i Maksym, który tuż za sadem mieszkał, a dowiedziawszy się o naszym przybyciu, nie czekając soboty, przyszedł, żeby nas na Czortowy ług zaprowadzić. W dzień całe otoczenie wyglądało jeszcze smutniej: zewnątrz ściany domu odrapane, szyby w oknach połatane łuczywem. Na baryerze wkoło ganku suszyły się gładysze, skopki i szmaty różnorodne; przy kolumnie jedna z Nimf w różowej sukni, z turniurą, w grzywce i ze złotą bransoletką, stała obrócona plecami do drzwi, gdyśmy na ganek wchodzili. Na nasze uprzejme „dzień dobry” zaśmiała się i uciekla jak

sploszona łania; była to przelotna pokusa z rumianą twarzą, z czerwonymi rękami, w ogromnych bucikach. Trzej budrysi akurat wówczas z sieni wychodzili, po śniadaniu zapewne, gdyż każdy rękawem usta ocierał, w siermiężnych kurtkach, płóciennych spodniach, w czapkach na tył głowy zsuniętych, szli jeden za drugim wolno, leniwo, żaden nie spojrział w naszą stronę. Moczulski zato obydwoma rękami uścisnął nasze dłonie, a gdyśmy po kilka srebrników ofiarowali mu za gościnność, popatrzył niby zakłopotany.

— Za cóż to, dalibóg — mówił, podrzucając pieniądze na dłoni,—za co tu zapłata?...

Pokręcił głową, a widząc, że odchodzimy, wsunął srebrniki do kieszeni i szedł za nami aż do samych wrót bez czapki.

Maksym, idąc naprzód, mruzczał coś pod nosem; dopiero gdy Moczulski, pożegnawszy się raz jeszcze, wrócił do domu, Maksym stanął, obejrzał się za odchodzącym.

— A to bestya, cham! — syknął, pokazując zęby — końca na niego niéma! a!...

Wzruszył ramionami pogardliwie. Przez sześć lat już procesowali się z sobą o łąkę i kawał pola... z tego powodu o serdeczności sąsiedzkiej mowy być nie mogło. Maksym też idąc, wciąż się oglądał, kłął przytém w imię boże i dyable. Dopiero gdyśmy z drogi na łąkę zwrócili, poszedł naprzód ścieżką wzdłuż dworskiego parkanu, a straciwszy z oczu dom i dziedziniec, uspokoił się nieco.

Zabierało się na trwałą pogodę: na niebie ani jednej chmurki, na łąkach rześista rosa, w powietrzu czuć było jeszcze poranną świeżość, ani jeden listek

nie drgnął na drzewach; w taki dzień jasny ptastwo téż raźniej żyć musi, nie kryje się po bagnach jak w słotę: miałem tedy nadzieję, że chociaż dudka zastrzele. Maksym, idąc naprzód, oglądał się na nas z tajemniczą powagą. Poły brązowej sukmany za pas zatknął, nogi do kolan sznurkami okręcił, fuzyę pod ramieniem trzymał z lufą naprzód wysuniętą,— chudy, na cienkich nogach, przypominał błotnego ptaka. Zostawił nas nad brzegiem Niemna przy wawozie, zkąd zejść łatwiej było, a sam pobiegł ku chacie po łódkę. Brzeg piaszczysty porastał gęsto paprocią i jałowcem, tu i owdzie kupkami sterczały młode sosenki, pozostałe na pamiątkę po ogromnym lesie, z którego teraz gdzieniegdzie tylko pnie olbrzymie czerniały zdaleka. Brzegiem nad urwiskami ciągnęła się wieś długa; chata Maksyma, odsunięta nieco od innych, sąsiadowała z dworem, oddzielona od sadu owym nieszczęsnym pasem spornego gruntu i kawałkiem nędznej, suchej łąki. Oglądaliśmy okolicę dość długo; Żakiewicz wyciągnął się wśród paproci i wzrokiem porównywał błękit nieba z błękitem Niemna, płynącego dziś z pogodną powagą; ja niecierpliwie wyglądałem Maksyma; pilno mi było po trofea, daremnie wyglądane przez cały tydzień!

Szedł wreszcie, fuzyę wyjął z pod ramienia i posługiwał się kolbą jak pałką. Zdaleka już posłyszałem, że mruczy jak niedźwiedź.

— Panoczki!—zawołał.

Z pośpiechu czy ze złości głos ugrzązł w gardle. Maksym stanął przed nami i kilkakrotnie kolbą w ziemię uderzył, mrużąc przytém niecierpliwie:

— Panoczki! a toż te hycle chamy łódkę zabrali!
Bodaj ich choroba zabrała!

Zerwał czapkę z głowy i cisnął o ziemię!

Popatrzył w stronę dworu, potem na nas.

— A!... ot doczekali my czasów! a!... poganie górę
wzięli! a!...—poruszał ustami i drżał ze złości, widocznie
wszystkich słów dobrych odrazu wypowiedzieć nie
mógł.

— Więc nie pojedziemy?

Milczał i kręcił głową i na przeciwny brzeg
patrzył.

— Do Złotnik po robotników pojechali te... pa-
nicze ze dworu.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Może prędko wróca?

— Wróca, dyabeł ich nie weźmie, ale tymczasem
ostanówka! czasu szkoda! A wszystko przez tych haj-
damaków! Wioskowa łódka, oni koryta nawet wła-
snego nie mają! cudzém żyją, jak szarańcza podłal...
Ot tak duszę z człowieka wyrwaliby, żeby mogli!...
Chamskie nasienie! Nie daj Boże, jak chłop wzboga-
cieje! Panem to on nigdy nie będzie... a świnią, z prze-
proszeniem, na wieki zostanie!...

Rzucił fuzyę na ziemię, usiadł nad urwiskiem,
a chociaż milczał, głową kiwał groźnie, potakując
własnym myślom. Złotniki leżały o jakieś parę wiorst
w dół Niemna. Budrysi mogli wrócić za godzinę naj-
prędzej. Wydobyłem z torby flaszkę i zakąskę... Po
dwóch czarkach Maksym złagodniał. Widząc, że za
przykładem Żakiewicza zamierzam wyciągnąć się na
brzegu, siermięgę mi swoją pod głowę chciał dać. Fu-
zya, obietnica wygrania sprawy, usposobiły go dla

mnie bardzo życzliwie: w gawędzie do mnie się zwracał, słuchając wciąż, głową potakiwał; tylko kiedy powiedziałem, że kawałek piasku i suchój łąki nie zasługuje na tyloletni proces, spojrział mi w twarz bystro, podrapał się za uchem.

— Eh, ziemia ziemi nie równa! dla kogo to nic, a dla mnie... ho, ho! Chałupę oddam, a tego nie oddam! To moja krew!

Jeszcze coś chciał dodać, machnął ręką, jakby wątpił, czy go zrozumiem.

Łódka nie nadpływała; Żakiewicz chrapał, a Maksym, powiedziawszy tragiczny frazes, od czasu do czasu rzucał na mnie znaczące spojrzenie. Nalałem mu jeszcze czarękę: wychylił, a po chwili, jak gdyby Duch święty wstąpił weń w postaci języka, chłop rozgadał się na dobre.

— Krew moja! — powtórzył — a chociaż sam jeden żyję na świecie, jak ten pień suchy, dokąd oczu nie zamknę, ziemia ta do mnie należéeć musi! Dyabłu duszę sprzedam, a sprawę wygram!

— Czy tu u was dyabli jeszcze dusze kupują? — spytałem, byle podtrzymać rozmowę.

— Śmiejcie się, panie, a ja raz dyabłu o mało rodzzonego syna nie sprzedał! Chłopiec był szelma, ale zawsze moja krew! Od świtu do nocy w lesie siedział, do roboty żadnej napędzić nie mogłem. Sąsiedzi gadali: bij Maksym syna, a to zbój wyrośnie. Ja codzień las pański obchodząc, jak różgę akuratną zobaczę gdzie przy drzewie, wytnę, bywało, i do chaty przyniosę, cały kąt nabieram, miotłę zwiążę, a malca jak nie biję, tak nie biję! Prawdę mówiąc, nie było za co: chłopiec do bydła był nieprzydatny, wody ciągać nie

lubił, drzewa nigdy nie przerąbał, ale zato suchych gałęzi z lasu, grzybów, jagód nawlecze bywało jak bobu, nie przyrównywając! Las znał lepiej ode mnie, a że go wilk nie zjadł do téj pory, to dlatego, że sierotą był, matka w małości odumarła: nad sierotą każdy zwierz litość ma... ludzie tylko... eh, bodajby ich nie znać! W zimie łapcie plótk, sanki strugał i w chacie nie zawadzał! Szelmy głaskać nie mogłem, rogi wyrosłyby mu odrazu. Ale i nie krzywdziłem zbyt, a jak do zmroku nie wrócił, hukalem na niego jak na zbląkaną żywiolkę, zawsze kij mając w pogotowiu, żeby jak z za drzew wyjdzie, rozumu nauczyć! Wiedział, że źle robi; jak pies pokorny sunie się, bywało, ku chacie, z ukosa na mój kij zerkając; bicie zawsze na jutro odkładałem, on tymczasem w chacie za stołem przy mnie siadał cichy jak trusiątko, czeka, żebym wieczereć zjadł; rozumiał, że człek po jedzeniu zawsze lepszy; potem gadać zaczyna: Że drzewo zrąbane wiedział, że chróstu kupę sobie w lesie przygotował; a nie łągał nigdy, akurat jak powie, tak jest! Milczę z początku, bo mnie złość, że cały dzień jak szczenię głodem marł, że włóczy się sam jeden, bez kija nawet.

— Powieszę cię na suchéj gałęzi — powiadam na to, — włóczego przeklęty; zdechniesz gdzieś w wilczej jamie, a ja skóry *darć* nie będę miał z kogo!

Milczy i śmieje się, bywało, a głową kręci, jakby ani jednemu słowu nie wierzył! Jak zasnę czasami za stołem, to żebym do sądnego dnia spał, on przy mnie siedzieć będzie, ledwie ślepiami mruga, a nie pójdzie na piec beze mnie.

— Z wami zawsze lepiej — powiada, — czort za nogi nie chwyci!

I tulił się do mnie jak do matki. Żeby tam i była jaka srogość, to zmięknie przy takim urwisie!

Wyrósł też przed czasem, wyciągnął się jak młoda sosna, cherlawy był tylko, dlatego ani do brony, ani do pługa nie przyuczałem go bez pory: na posyłki we dworze służył, no i tak przy lesie mnie zawsze pomocą był: chleba darmo nie jadł. Chatę miałem własną i gruntu kawał już wówczas nadali, ale że na leśnictwie szło nieźle, służyłem tymczasem. W chacie szewc siedział; oto, panie, był człek! Tfu, zgiń mara! dziś jak wspomnę, to dreszcze przechodzą! Że pił, to już nie jego wina, każdy szewc pije, ale bezbożnik był nikczemny: w święto, bywało, w niedzielę, kiedy każdy w wiosce śpi na chwałę bożą, albo leżąc na trawie wygrzewa się na słońcu, szewc robotę robił! umyślnie na kamieniu przed chatą siedzie, dratwą macha i gwizdże, jakby dyablów w zwoływał! Śmieje się potępieniec, kiedy mu o grzechu wspomnisz. Chłopów zawsze „dworskiem bydłem” nazywał, chociaż wówczas już pańszczyznę znieśli i każdy wolność miał. Po nocach włóczył się ze złodziejami, czy z jakim lichem, a w każdej porze, w najgorszą slotę, przez groblę do wioski idąc, zawsze go spotkać można było; włókł się zabłocony, konszachty miał jakieś, któż go tam wie! A do dyabła jak dwie krople był podobny: kulawy, zezowaty, z czarną, kędzierzawą czupryną. Na panów więcej jeszcze niż na chłopów wymyślał, i żeby sam książe przez wioskę jechał, on nigdy czapki nie zdjął; stoi sobie, bywało, i gwizdże, ręce do kieszeni włożywszy! Rzemiosło swoje znał, zarabiał dużo, a chociaż ani żonki, ani dziecka nie miał, chodził jak żebrak obdarty. A kiedy ostatni kozuch w karczmie zastawił i zimą

w letniej kurtce, w dziurawych butach po wiosce łąził, ludzie litowali się trochę.

— Panem będę jeszcze! zobaczyciel teraz do tego idzie, że rozumni nie przepadną! Oho, żebyście wy rozum mieli...

Gadał tak nieraz mądrze, że słucham, bywało, jak uczciwego człowieka! A tu raptem „zły” szeptać jemu do ucha zacznie: na Boga, na księdza, na prze-najświętsze książki, takie rzeczy wygadywał, że człek tylko plunie i odejdzie! Nieraz już chciałem go z chaty wyrzucić, plugastwo takie trzymać to obraza boża; czort już dwa razy na niego czyhał: raz w nocy strzecha zgorzała ni z tego ni z owego, drugi raz ściana wywaliła się do szczytu! i wyprowadziłbym go wśród zimy, niechby szedł na potępienie, ale pan, przywoławszy mnie, powiada:

— Nie wyprawiaj, Maksymie, szewca; zły to jest człek, ale jak wypędzisz, gotów całą wioskę spalić; niech siedzi do czasu.

Dał mi słomy na strzechę i parę kłód sosnowych zostawiłem czorta w spokoju do wiosny. On od mojej dobroci tak rozmiękł, że codzien, jak utrapienie, zaczął mię nawiedzać. Zrana albo pod wieczór z lasu wracam, czy z chaty na dwór wyjrzę: szewc siedzi na ławce przy drzwiach, z brodą opartą na kiju, zerka zezowatemi oczyma po lesie!

— Co tu wężysz, niedowiarku?— pytam nieraz, a ciarki po skórze przechodzą, bo, panie, ze złemi oczyma człek gorszy od zarazy, ludziom i żywiolu szkodę przynieść może; ja dawniej śmiałem się z uroku i w strachu niebardzo wierzyłem, ale jak ten do nich zagadywać zaczął, pomrukiwał coś i ciągle z pod czoła

spoglądał, pewny byłem, że biedy naniesie; w dodatku chłopca zaczepiał! To go papierosem poczęstuje, to na wódkę z sobą zaprasza, a malec, wiadomo, głupi, choć wyrósł równy ze mną; przylgnął do niego i raz po raz na gawędkę do wioski bieży, albo w lesie pod chatą z nim siedzi. Zmiarkowawszy, że do złego idzie, powiadam do malca:

— Słuchaj, jeśli raz jeszcze zobaczę ciebie z włóczęgą, jak psa zastrzele! tak mi Boże dopomóż!

On podparł się w boki, głową kiwa i patrzy mi w oczy, ani mrugnie.

— A ojciec jakie masz prawo nade mną? — powiada? Czy to ja nie wolny człek? sam sobie pan, czy będę jak pańszczyźniane bydłę lada starego grzyba słuchać?...

Al... ot czego ja dożył! Jak stałem przy ławie, tak i siadłem z żalu wielkiego. Słowa przemówić nie mogę; on widzi, że siedzę jak martwy, kręci się po izbie, niby szuka czegoś, a wciąż ku mnie spogląda. Dobroć przemogła głupotę: jak dawniej przy mnie na ławce usiadł, mileżał ze wstydu.

— No, ojciec — powiada, — głupi ja i dosyć! ale serce do was mam, ten raz wybaczcie, zato zawsze słuchać będę; tylko kijem ani strzelbą nie straszcie, bo dalibóg, ja nie pies, a wolny człowiek; od was to i słowa dobrego posłucham!

Oh! słuchał biedaczek na swoją niedolę! Do szewca nie chodził i ten przestał jakoś włóczyć się po lesie. Raz siedzę ja sobie z Jaśkiem w chacie z wieczora, na dworze wiatr wył straszliwy, pies nawet do chaty skrył się i przy nas koło pieca usiadł; chłopiec strugał coś, a ja słucham, jak baba za piecem chrapie, to znów jak na dworze wicher szaleje. Skrzypnęło coś

w sieni... ostrożnie, niby złodziej, szewc wsunął się do chaty. Mnie w pierwszej złości mowę odjęło, malec splunął tylko i dalej swoje robi, a szewc wyszczerzył zęby i stoi przy drzwiach.

— To czort!—przemknęło mnie po głowie, a on jakby nic.

— Dawno nie był — powiada, — za wasze dobro podziękować przychodzę. Do miasta na majstra idę, w chacie już waszój mieszkać nie będę; ale za dobro lepszym chcę oddać.

Usiadł przy mnie na ławie, kędzierzawe kosmyki sterczały jak rogi nad czołem, oczkami rzucał po izbie, gębę krzywił, nosem kręcił, czort a czort, tylko że ogona nie widać!

— Maksymie — powiada, — oddajcie mnie swego Jaśka! Chłopak akuratny, na szewca stworzony, ja go wyuczę co sam umiem i jeszcze więcej. W chacie waszój siedziałem jak zadarmo, niech za to wam choć nauką zapłacę; przy mnie rozumu się nauczy, będzie wiedział, jak na świecie żyć; w mieście bezpieczniej, a tu...

Nie domówił, tylko głową na las wskazał. Odrazu nie zmiarkowałem, do czego zmierzał, bo na myśli miałem to tylko, że po Jaśka przyszedł.

— Ej, ej — powiadam, — waćpan własnej duszy pilnuj, a my jak żyli, tak żyć będziemy! Niech tam włóczęgi na szewców idą; syn gospodarski, chwała Bogu, ma chleb uczciwszy, a z czasem jeszcze mu lepiej będzie. W dobrą godzinę na świat przyszedł.

Wtenczas wszyscy gadali, że pańską ziemię chłopom dzielić będą, że już nawet rozdzieliliby, tylko że na świecie szmat téj ziemi jest, podzielić odrazu niełatwo, a choć tam bardzo mądre głowy liczą, dotąd wy-

liczyć nie mogą, czy każdemu chłopu po sto, czy po pięćdziesiąt morgów dać! Ja tam nigdy o stu nie myślałem; dość byłoby, żeby do moich piętnastu zagonów piasku i do tych pięciu, co pod lasem mam, jeszcze pięćdziesiąt dodali: miałbym chleba dosyć. Opowiedziałem to wszystko szewcowi, a on jak zwykle nauczać zaczął, że człek to tylko ma, co sam weźmie, że głupi tylko zmiłowania czeka.

— Niech tam inni biorą, a ja poczekam; krzywdy nie miałem, to i ludziom krzywdy robić nie chcę.

Zaśmiał się, panie, ale takim głosem, aż echo po izbie poszło.

— Nie warto z wami gadać—powiada;—prędzej wasze woły rozumu się uczą, niż wy, chłopcy przekłete! Chłopca nie dajecie, no, bodajbyście nie żalowali!

Powlókł się ku drzwiom, kulejąc. I mnie coś za nim ciągnęło! Człek już taką naturę głupią ma, że sam nie wie, gdzie słusność. Kiepski on, to prawda, ale niegłupi: z ludźmi więcej żył: kto wie, może i dobrze radzi... Żeby wówczas słowo akuratne przemówił... sam nie wiem. Ale on jak wyszedł przed chatę, tak i znikł w ciemnościach; pod ziemię skrył się, czy z szumem wiatru rozplynał się po lesie! Postąłem, posłuchałem. Tfu! zgiń mara! a toż ja o mało rodzonego dziecka czortu własnymi rękami nie oddał! Już miałem do chaty wracać, a tu z za drzewa akurat nad moim uchem zaryczał.

— O Jezus, Marya!—krzyknąłem, a po lesie suche gałęzie trzaskać zaczęły, tak zmykał piekielnie od słowa bożego! Jak w wodę wpadł, tyle my go w wiosce widzieli!

Powoli człek i zapomniał o bezbożniku. Chata

pustką stała, w pierwszych czasach zaglądać do niej nie chciałem; zdaleka tylko idąc, spojrzę czasem na drzwi kołkiem zatknięte, na dziurawe okna, i serce zaboli. Własne dobro marnieje, a ja na cudzém siły tracę! Na wiosnę już odnowić ją chciałem, z łaski pańskiej drzewo i słoma w zapasie były, groszy kilka zebrało się potrochu, a tu i służbę żal rzucić. Pan sprawiedliwy był, nieskąpy, łaskawy dla każdego: dwadzieścia lat przesłużyłem, a nigdy złego słowa nie rzekł; dobra jego strzegłem wiernie, a tak przywykłem, że nietylko las, ale każdy zagon ziemi jakby do mnie należał. Obchodząc las i łąk pilnowałem; idąc koło sadu, nieraz biczyskiem wróble spędzam, albo wywalony kołek w ziemię wbiję. Pan znał moją przychylność i sam do mnie przywykł: bywało, na dziedzińcu dziesięciu ludzi czeka; jak tylko na ganek wyjdzie i mnie zobaczy, pierwszego woła: co, jak, gdzie, dlaczego, wypyta jak należy, a wiarę taką do mnie miał, że w lesie gospodarowałem jak w domu! Ale téż i na duszy mojej ani jednego pańskiego polanka niéma! Pod wiosnę, a tego roku zimy prawie nie było, ludzie cudzy włóczyć się po lesie zaczęli, codzien prawie ktoś do chaty zajrzy... milczę, ale w duszy złość bierze. Żyli my dotąd jak u Boga za piecem. Panu chyba tylko mleka ptasiego brakowało, ja chleba miałem podostatkiem, do śmierci tak żyć mogli. A tu, panie, zawierucha, czort wie nie co. Miałem wówczas krowę, parę wieprzów i kur kilkanaście, *cieloszka* piękna dorastała, wszelkiego dobra w chacie nie brakło, no i Jasiak był!... O chłopca więcej jeszcze bałem się niż o dobytek. Na szczęście, chłopiec rozum miał; jak dawniej po lesie ciągał się, tak teraz z chaty nie wyglądał prawie.

— Czy ja głupi—mawiał,—a mnie co po tém? Ot, ojciec gospodarkę mnie oddaj, w chacie osiadę i lasu znać nie chcę. Wy siedźcie tu, jeśli wam tak pańskie dobro mile.

Przystałem odrazu; tymczasem w chacie nie było co robić, więc chłopiec siedział i niewód wiązał, codziennie tylko do wioski szedł, kolki ciosał, deski piłował, na wiosnę materyał przygotowując. A tu po lesie jak po swojej własności ludziska plądrują. Idę tedy do pana i mówię: tak i tak, panoczku, do naszych barci niedźwiedzie zagładają! co pan każe robić: czy im wolę zostawić, czy jak?... któż wie, może i legowisko jest!—Pan, słuchając, w oczy mnie patrzył uważnie; zawczasu wiedziałem, co powie. Dobry był, ale niemrawy taki! Na jego miejscu każdy wory złota miałby, żarty to na takim majątku! a on... grosza nikomu nie był winien, ale i o swoje nie dbał, a nieraz takie słowo rzucił, że człek tylko ramionami ścisnął; uczyć pana nie wypadało, od tego on pan, żeby własny rozum miał! Pochodził, pochodził, ręce w tył założywszy.

— Nie bój się—powiada,—ja za wszystko odpowiem; siedź w chacie, jak siedziałeś.

— Toż mnie pańskiego dobra żal, ja tam o swoją skórę nie drzę.

Poklepał po ramieniu i pocałował w głowę. Wtedy mnie prawdziwy żal wziął; gadałem tak z całej duszy prawdę świętą jak bratu. Posłuchał, czy nie posłuchał, a jam swoje zrobił. Śmiał się niby i gadał tam coś po swojemu, a w końcu kazał do chaty wracać. Od tego dnia jakby mnie kamień na sercu legł; życie obrzydło, a jak dzień przeszedł szczęśliwie, to i dziękowałem Bogu. Do lasu nie zaglądałem prawie,

a chyba pan gdzieś posłał, no, to i wlokłem się jak na śmierć, siekierę za pas założywszy. Dni szły coraz piękniejsze; chociaż zima była na niebie, w lesie już śniegu ani widać, ptaki gwizdzą, a tak rażno na dworzę jak w samą wiosnę.

— Synku, sochę obejrz, po niedzieli w pole pójdziesz—mówię do Jaśka, a on aż podrośł z radości; przez zimę tę ja zmarniałem, jemu zdrowia przybyło, tak cieszył się, że już na swój chleb pójdzie.

W południe jakoś wracam sobie do chaty, spokojniejszy, bo przez kilka dni w lesie cisza była, zające nawet smygwały między krzakami, na znak, że ludzi ani słyhać. Stałem i patrzę, jak przez zielone sosny jasne niebo widać; słyszę, za mną biegnie ktoś, suche gałęzie poruszając. Przystanie na chwilę i znowu biegnie! ludzkie kroki wyróżnić! Przyczałem się za drzewem, widzę: pan idzie, zadyszany, ogląda się i prosto do chaty dąży. Spostrzegł mnie, przystanął, ale zrazu przemówić nie mógł, pakiet tylko jakiś z za surduta wyjął, a kiedy mu głos wrócił, powiada:

— Maksymie, Jaśka w tej chwili do Uroczyska poślij, niech biegnie, on najkrótsze drogi po manowcach zna... rozumiesz?

List mi za siermięgę wsunął, a widząc, że milczę, zawahał się, ręką jakby po list sięgnął.

— Nie chcecie, to trudno — zamajaczył, widać było, że mu strasznie pilno.

— Kto nie chce?—mruknąłem—tylko że na biedę nikomu lecieć nie pilno!

Drugi raz po list sięgnął, a widziałem, że ręka drży jak u chorego.

— Idźcie, panie—rzekłem już łaska wiej, — wszystko będzie jak trzeba.

Eh, pożałowałem słowa, ale już nie czas było. Senny raz może powiedział, że na wieki nie zapomni.

Chłopiec do drogi ochoty nie miał, odrazu nawet ofuknął, że nie pójdzie, do Uroczyska przez błota i przez zarośla trzy opętane mile!

— Do dyabła, to ja sam pójdę! majaczyć niema czasu!

Już buty nakładać chciałem, kiedy list z rąk moich wziął.

— Dróg tych nie znacie, ja prędjéj wrócę, a i skryję się prędjéj.

Wychodząc z izby, obejrzał się, jakby raz jeszcze wrócić chciał.

— Idź, synku, z Bogiem, toż niedaleko; wracając, przenocujesz w Janowie — rzekłem.

Słowa nie wymówił, czapkę na uszy nasunął i wyszedł.

Stałem przed chatą, patrząc za nim, dokąd siermięga między drzewami migała, zawołać chciałem: ej, Jaśku, a wróć się! — tak mię głupi niepokój za duszę ścisnął, że aż kijem o ziemię stukałem, żeby nie krzyknąć bez potrzeby. Znikł, no i niech idzie szczęśliwie! Czy to on mały? czy jemu pierwszyna wilcze ślady tropić? Tak sobie powtarzam i do roboty iść myślę, a nogi jakby przyrosły; chłopiec może już kawał drogi przeskoczył, a ja wciąż siermięgę jego między drzewami widzę. Do wieczora przeszło jakkolwiek, w dzień zawsze człek więcej rezonu ma. Obliczyłem, że do świtu w Uroczysku stanie, prędjéj nawet. W nocy czort nawet nie dostrzeże go między krzakami. Z powrotem

choćby gościńcem iść może; głupi byłby, żeby się przekradał, czyste sumienie mając. Pod wieczór, jak w lesie ściemniało, strach znowu odżył. Łuczywo zgasło, drzwi chaty zamknąłem i siedzę na przyzbie — w las patrzę. Noc jasna była, gwiazdy nad drzewami migają; cisza taka, jakby cały las nasłuchiwał wraz ze mną. Rozglądam się, a w głowie ciągle jedno siedzi: czy żeby on tak krzyknął teraz gdzieś za błotami, usłyszałbym, czy nie? Raz myślę, że w taką noc cichą głos musi daleko lecieć; to znowu zdaje się, że trudno... zdaleka i śmiertelny krzyk nie doleciałby do chaty!... Słucham i ślepie wytrzeszczam, Bóg wie na co! Między sosnami ktoś mignął — cień chyba, bo kroków nie słychać; patrzę — ani żywego ducha! Chwila jakaś spokojnie przejdzie, to znowu z drugiej strony jakby kroki słychać... Tfu! omamienie i tyle! Grzbiet od siedzenia zabolął, więc sobie chodzić zacząłem wkoło chaty... Jak wstałem, zdaje się cały las ożył. Przejdę kilka kroków i oglądam się za siebie jak głupi. Boże łaskawy! ile ja nocy letnich i zimowych w lesie przespał! Jak przy *porąbce* stróżował, to całymi tygodniami do chaty nie zaglądał. Nigdy strach żaden na myśl nie przyszedł! Huknie coś, bywało, splunę raz i drugi — i znowu cicho. A tej nocy, panie, to jakby mnie śmiertelne dreszcze brały! Staję o kilkanaście kroków od chaty i zębami dzwonię, niby wśród cudzej strony, w puszczy, między zbójami. To jego strach mnie trapi! — pomyślałem. Drży tam biedaczysko, ledwie dysze gdzieś przyczajony! przyległ może pod krzakiem, albo pełźnie po błotach! Noc jasna w górze, ale w zaroślach przy cieniu człowiek sam siebie nie widzi! Krzak marny zdala jak żywy wygląda! A tu jak na złość po

ciszy długiej gwar nastal, ten gwar leśny, co to człek daremnie uchem łowi, z której strony idzie! Wiercholki sosen szumić zaczęły, zwolna z początku, potem coraz głośniej, w krzakach zaszeleściło gwałtownie: to zwierz jakiś na żer idzie—wiem, zdaje się, a drzę, ząb na ząb trafić nie może... akurat jak malec tam gdzieś na wilczej drodze. Sowa krzyknęła, pisk łasicy rozniósł się po lesie, to znowu łoskot suchych gałęzi—wilk może zająca goni—huka coś, ucihnie i znowu huczyl! Sęk z drzewa spadnie—jakby z fuzyi wystrzelił, w nocy każdy szmer głośném echem idzie! Przycisnąłem się do drzewa, a żeby we mnie pioruny jasne były, nie poruszyłbym się z miejsca. Takiego strachu to jeszcze w życiu nie doznałem! O świcie dopiero, kiedy pomiędzy pniami czerwony pas zorzy przyświecać zaczął, i we mnie duch odżył. Obejrzałem się i splunąłem na ten strach głupi. Malec pewnie idzie sobie, ani dba, bo i czego bać się? Bóg wszędzie jest! Poszedł i wróci szczęśliwie! Jak słonko weszło, rad nawet byłem, że poszedł—w dzień raźniej wracać będzie... tylko żeby idąc drogą buty zdjął—szesnaście złotych zapłaciłem onegdaj... W lesie boso iść trudno, ale na drodze—można. Szelma pewno nie zdejmie, bo to fanaberzysta taki.

— Ojciec—powiada—może, a ja nie mogę!—i gadaj tu z nim! Ja przez całe życie ojcowskie przyszwj dodzierałem, on połowy mego wieku nie przeżył, a już drugie buty miał.

Niech go tam! Zły byłem, że moich starych na drogę nie wziął...

Do południa nie wrócił, wieczorem jeszcze go nie było! Przez cały dzień trwoga za pazuchą siedziała,

na noc znowu do duszy wlaźła. O zmroku poszedłem do dworu. Pana nie było, wyjechał zrana — a kiedy wróci, nie wiedzieli. Wszystko tak szło jak na biedę! Choroba brać mię poczynała od myśli przeklętych! Wracam do chaty, a tu baba naprzeciw mnie z płaczem: krowa zaniemogła! Przyszła z lasu i legła w obórcel! Idę, patrzę: wzdęta leży, ślepie przymknięte i stęka. Wtedy to, panie, strasznie coś w serce ukłuło. Dwadzieścia lat na gospodarce siedziałem, ubytku żadnego nie było! Żonka zmarła, ale to już dopuszczenie boże, — każdego śmierć czeka; jak dobytek padać zacznie, kiero w tedy! bieda za biedą pójdzie. Rąk nawet do niej przykładać nie chciałem — bo wiem, że kiedy na złe idzie, to żadne lekarstwo nie pomoże! Otworzyłem tylko drzwi narozcież, sam na progu stoję — ani mnie żal, ani skrucha nie bierze, choć bydlę ludzkim głosem jęczy! Młoda była i mleczna, za dwadzieścia rubli nie oddałbym jój, wyrosła przy mnie od cieloszki! Do północy skostniała! A ja nic — po brzuchu pogładziłem i tyle... jutro może chata spłonie, albo piorun jasny mnie samego na drodze ubije. O chłopcu tylko w tém odrętwieniu myśleć nie chciałem, żeby zła z nim nie jednoczyć; przez noc nie przyszedł i cały następny dzień go nie było; sam jeden skóry z bydłęcia zdjąć nie mogłem, ale i to mię nie gryzło... już kiedy przepadać, to przepadać — niema krowy, niech i skóry nie będzie. A wkoło mnie jakby złe powietrze powiało, chodzę jak opętany, z siekierą w ręku, po drodze na prawo, na lewo, gałęzie tnę, do chaty wejdem, siekiera jakby do ręki przyrosła — o chłopcu, zdaje się, nie myślę nawet, ale czy w lesie, czy w izbie, ciągle spoglądam wkoło siebie i ciągle słyszę, jak idzie.

Przez cały dzień coś na drogę ciągnęło — wyjde, popatrzę — ludzie orać zaczęli — dworskich sześć plu-gów na roli widać, a na drodze pusto. Pewno lasem wraca—z której strony tylko nie wiadomo. Pod wie-czór słońko zaszło jaskrawo, a ze wschodu chmury nadciągać zaczęły, ściemniało jakoś odrazu. Wlokę się od drogi, chatę mijam, w otwarte drzwi obórki spojrziałem tylko przechodząc: krowa jak leżała, tak leży, nogi wyciągnąwszy. Poszedłem w las, ot tak, przed siebie, bez myśli—same nogi w gąszcz na błota mnie wiodły. Nie wiem, jak długo szedłem, — w lesie szaro było jak przed świtem — wiatr trochę chmury rozpędził—zchłodło, wrony snuły się całemi stadami!

Na polankę trafiłem: rzędy młodych sosen dokoła jak sadzone, za niemi gąszcz ciemna; drzewa różne ro-sły w téj stronie, dęby stare, leszczyna, zaraz za tém trzęsawiska szły aż pod Uroczysko, i dalej, do cudzych lasów, bez końca. Stoję sobie, rozglądam się, aż tu wron stado ogromne obłoki zasłoniło. Zaszumiały nad głową i raptem, jak podstrzelone, ku ziemi spadać za-częły w krzaki tuż za mną, aż łoskot od nich poszedł po lesie.

— Bestye, żer czują!—Zwróciłem z polanki w le-szczynę, a jak tylko poruszyłem gałęzie, z krzykiem zerwały się do lotu, skrzydłami prawie po głowie mo-jój uderzając! Umyslnie świsnąłem kijem w powietrzu, żeby te szelmy spłoszyć! Złość jakaś dzika mnie ogar-nęła: krzychałem jak na wilków, a podjąwszy z ziemi grudek kilka, ciskałem naoslep. One tylko z niższych gałęzi na wyższe przesiadły, ku mnie ślepie i głowy zwróciwszy, a każda kręciła się, poruszała skrzydłami, czyhajac tylko, kiedy odejdę; jak która zrywała się do

lotu, kijem nad leszczyną machałem. Sam nie wiem, z kąd we mnie ten upór wziął się; żebym miał fuzyę, postrzelałbym co do jednej te bestye podłe! Już z dziobów widziałem, że ku leszczynie zmierzają. Rozchyliłem gałęzie. Na mokrych liściach, tak o krok przede mną... czapka leżała! pod krzakiem... zwrócony twarzą do ziemi—mój chłopiec! Głowę tylko i sukmanę spostrzegłem, a już wiedziałem, że on — tak coś w pierśsiach od razu stuknęło. Nie żył. Siadłem przy nim, a raptem rozum i siły jakby wskrós ziemi poszły! Patrzałem tylko i patrzałem, to na głowę, to na nogi... leżał wyciągnięty, głowę na bok przechylił, twarz jak żywa, oczy tylko zczerniały, na szyi niżej ucha miał czarną plamę krwi zaschłej! Przywłókł się tu... zmarł, nim do chaty doszedł! Żalu nie czułem z początku—głaskałem go po głowie, po plecach i znowu po głowie. On! On sam!—gadało coś koło mnie, bo ja sam nawet przypatrzeć się dobrze nie mogłem. Chcę głowę jego podnieść... jak wziąłem w obie ręce, tak i resztę sił straciłem—pod palcami tylko twarz jego czuję—do dłoni moich przyrosła!

Kiedy wyjrzałem z zarośli na polankę, jasno było jak we dnie—na niebie gwiazdy błyszcząły—chłodny wiatr szumiał zeicha po drzewach. Za polanką, w dół trochę, znałem urwisko piaszczyste; korzenie sosen sterczały po brzegach, na dno rzeka kamieni naniosła: rów akuratny—jak kopany!

Wróciłem pod leszczynę.

— No, synku! chodź!—przemówiłem, żeby ostatni raz głos ojcowski usłyszał—dawno ja ciebie na rękach nosił! Niechże tobie ziemia będzie lekka!

Zaniosłem jak dziecko; kiedy martwą głową do szyi dotknął, to jakby chuchnął na mnie... może wówczas resztką duszy wyszła! Kopałem nad urwiskiem do świtu, naprzemian piasek i suche liście sypiąc; czerwona zorza jaśniała już na niebie, kiedy skończyłem chróstem rów przykrywać... gdy słońko weszło, w urwisku nowa górka sterczała — i tyle! Robota zmogła mnie w końcu; przywłókłszy się do chaty, w odrynce na mchu padłem—dzień cały i noc całą przespałem jak martwy. Targali mię, baba coś o krowie majaczyła... w głowie szum jakiś czułem, ale dopóki sen nie przeszedł, ślepie były jak sklejone. Po śnie ból w kości wlaźł stokrotny, ledwo pełzać mogłem; okrywszy się kożuchem, na przyzbie przed chatą siadłem, a z wioski ludzie przechodząc śmieją się, że mnie wódka rozebrała do reszty! Milczę, bo mi głos na razie odebrało i pamięć jakby nie dawniejsza. Po słońcu dzień znałem dobrze, a tu sam poznać nie mogę, czy to ranek, czy wieczór! Baba miśę barszczu i chleba kawał na ławie przy mnie postawiła. Widzę, jak burek skrada się, ogonem kiwa, głowę przechylił i ostrożnie językiem po brzegu próbuje—ja go nawet nogą nie kopnąłem—zjadł i poszedł; a baba, wyszedłszy z izby, popatrzała na mnie.

— Na śmierć wam idzie—powiada, — przez dwa dni przepadłicie z kretesem!

Mogła sobie mówić, że umarłem, i tak jeszcze nie obejrzałbym się na nią. Dopiero nazajutrz niemoc przeszła—cały dzień drwa rąbałem, z potem krwawym i choroba wyszła. Tylko co wiatr z lasu powieje—to mnie jakby dreszczem obejmie i ten rów jak żywy przed oczami stoi. Na trzeci dzień do dworu posze-

dłem. Pan wrócił. Stał na ganku i z wójtem gadał—koń osiodłany czekał przy słupie. Jak tylko mnie ujrzał, zdala już ręką kiwać zaczął — stanąłem przy schodach, nawet ręki do czapki podnieść nie mogłem.

— Chłopiec zuch! — zawołał, ot tak nad samém moim uchem—już ja o nim pamiętać będę.

Zatarł ręce i biegał po ganku, jakby go radość nosiła. Mnie nogi osłabły, głowa opadła, chciałem spojrzeć na niego, a nie mogłem.

— Wrócił już? To przyslij go do mnie, Maksymku! Dzielny chłopiec! jednego Bóg dał, ale tego! dziś jeszcze przyslij go do dworu, jutro może wyjadę.

Przyparłem się do słupa i słowa wymówić nie mogę—a pan dalej chłopca wychwala.

— Cóż tak zmarkotniałeś?—powiada—krowa ci zdechła, no, niewielka bieda; mówiłem już, żeby ryżą do was odprowadzili! Nie bieduj! dokąd ja żyję, i ty i syn twój kłopotu wielkiego nie zaznacie! Bywaj zdrów, Maksymku!

Wskoczył na konia i pojechał! A ja nawet przekląć go po ludzku nie mogłem. Ten żal, co dotąd martwy w duszy leżał, schwycił mnie nagle! Padłem przy ganku i ryczałem! Ot, panie, jak ja ryczałem! Żeby tak w lesie—wilcy zbiegliby się do mnie całą gromadą! Do chaty wracać trudno; jak omamienie przeszło, poznałem, jaki ja biedny sierota, jak mnie teraz pusto na świecie, choć chatę kolkiem zatknąć i na żebraninę iść! Włóczyłem się po lesie, na noc dopiero do odrynki wróciłem; na mchu leżę i słyszę koło mnie za ścianą jakby coś sapie; siadam, myślę, że znów omamienie głowę objęło, spluwam raz, drugi—sapie! Już

chciałem wstać i zajrzeć... aż zaryczało nagle—krowę ze dworu przywiedli! Złe jakieś w nią wstąpiło, czy może nowém miejscem gardziła: jak zaczęła ryczeć, to aż po lesie echo szło! A mnie głupiemu w duszy zgryzota jakaś powstała... Za syna krowę tę mam—za krew jego, za życie młode! Krowa milkła czasami, ogonem machając, w ścianę koło mnie uderzała, a złe szeptać nie przestawało. Więc chociaż zdechłego bydlęcia żal było, do tój ochota nie brała.

— Odprowadzę ją! — pomyślałem—co mnie po niej! Może ona tak ciągle ryczeć będzie... różne bywają! Niech ją wilk zje!

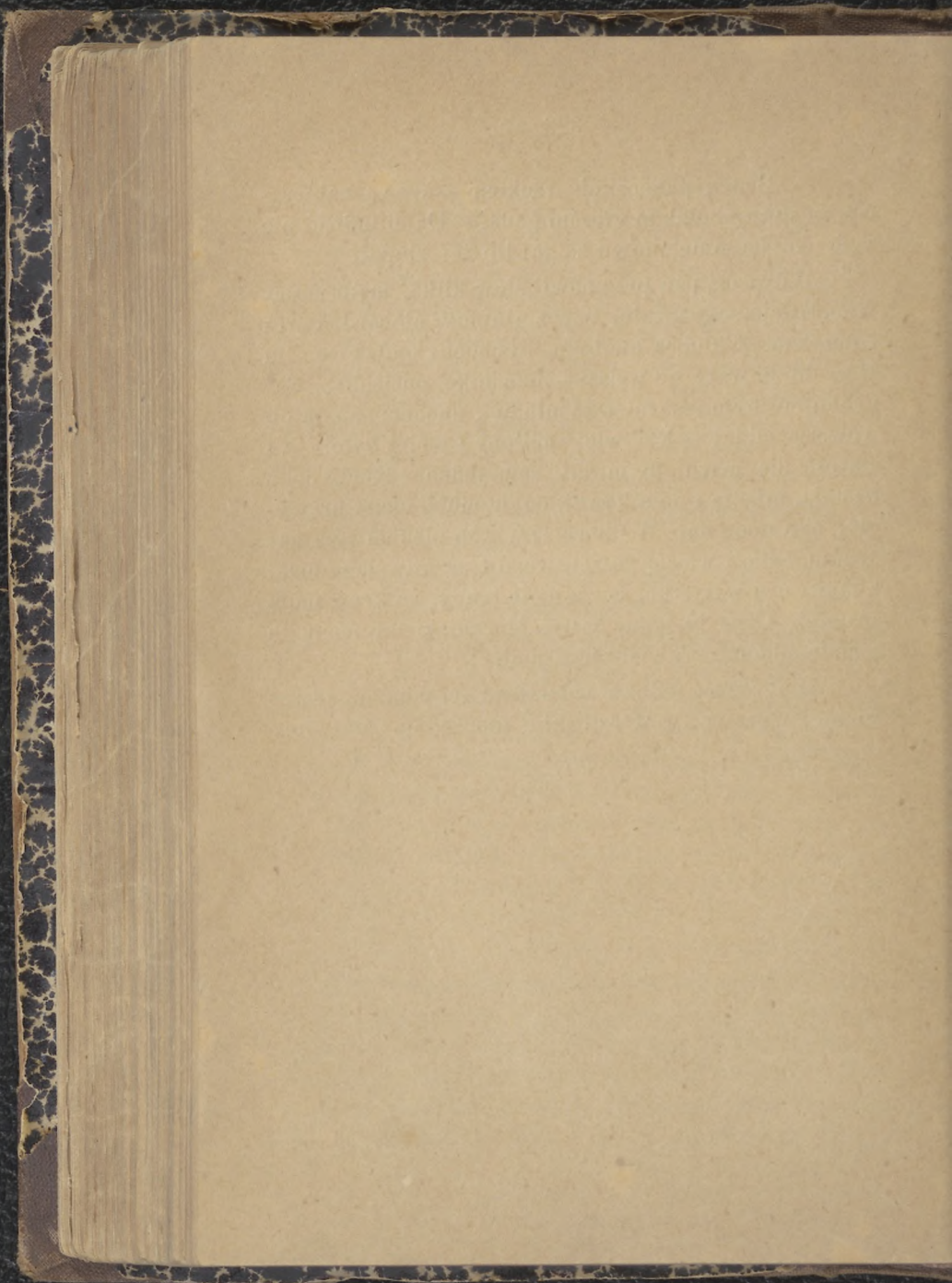
I odprowadziłem! Białutka rosa stała jeszcze na łące, kiedy ją z lasu wywiodłem. We dworze płot grodzili, a że bydlę rwało się, poczuwszy oborę, tak ja i poszedł prosto przez łąkę ku ogrodowi, byle bliżej! Patrząc, naprzeciw mnie pan z sadu przez zagrodzony płot idzie, ręce w kieszeni kubraka trzyma i patrzy, jakby pierwszy raz człowieka z bydlęciem ujrzał. Zaciśnąłem zęby i sobie tak w stronę patrząc. Żeby tak teraz ziemia rozstąpiła się pod nim, możeby mnie na sercu ulżyło! Stał, a mnie jakos przejść z bydlęciem koło niego nie wypada, tak i ja stanąłem, głowy tylko i oczu podnieść nie mogę; a krowa, poczuwszy znajome miejsce, skubie trawę, ogonem macha radośnie.

Czy w nim dusza przemówiła, czy moja bieda tak już widniała odrazu, dość, że stał jak martwy, słowa nie przemówił,—a kiedy ja w końcu oczy podniosłem—oh, trudno wygadać wszystko. I jemu ciężko było na duszy, patrzył na mnie i głową kiwał żałośnie. Mnie żal przeszedł jakoś.

— Bieda, panoczku!—rzekłem—krowę zabierzcie, ot jakby ludzkim głosem gadał—Dalej mówić nie mogłem, bo mnie znowu za gardło żal złapał.

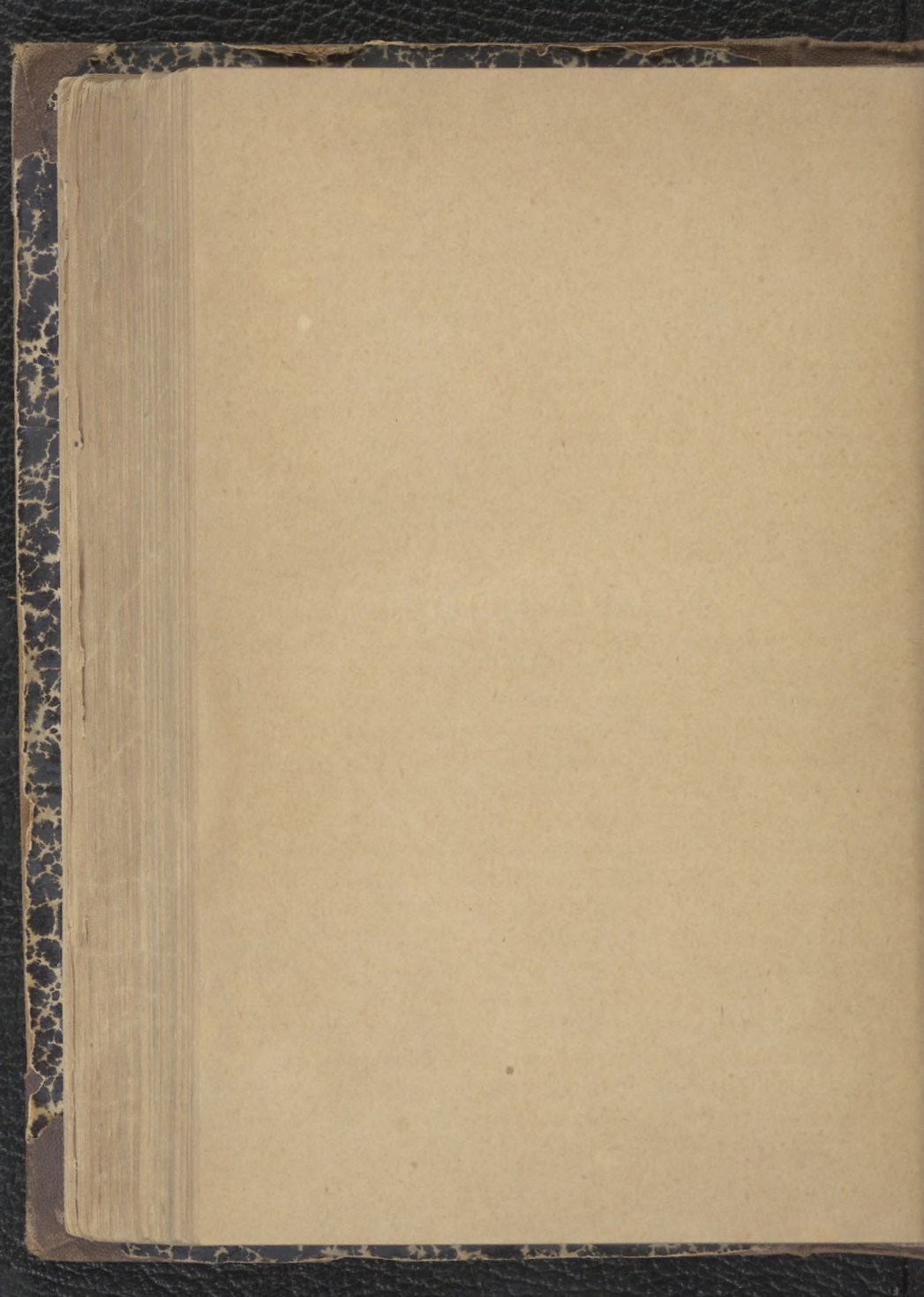
Wówczas pan przemówił słów kilka, mądrze pewno, ale ja, czy z żalu, czy z głupoty, niebardzo zrozumiałem! Chłopca nie było, to choćby gadał, że sam Bóg do chwały go wziął—niewielka pociecha. Sądzono mu było zmarnić za młodu... chociaż żebym go wówczas oddał—kto wie, możeby i lepiej było! Na starość nie marniałbym tak sam jeden. Kiedy orka nastąpi, łąkę tę i pola kawał, co do mojej chaty przyległy, pan mnie dał. W dobre lato kop siedem żyta nazynam, albo i więcej nawet, wozów ze trzy siana mam z łąki—ot i wszystko, co za moje trudy, za krew moją zostało! Czyż ja temu bestyi Moczulskiemu mogę tę schedę oddać? Powiedzcież sami.

Miał rację; jednak widziałem, że, pomimo adwokackiej wprawy, z Moczulskim nieprędko załatwimy interes!



NOWA ŁODŹ.

URYWEK Z POWIEŚCI.



Odpływali nareszcie! Karnicki wskoczył do łódki, zdjął kubrak i schwyił za wiosło. Wysoki, barczysty, w skórzanėj kurtce, długich butach, z rewolwerem za pasem, wyglądał na bandytę; łagodna twarz, przygasłe, znużone oczy zdradzały w nim raczej ściganego, niż ścigającego. Całą noc przekradał się przez zarośla nadbrzeżne, jak gdyby zamiast ciężkich myśli przenosił kosztowną kontrabandę. Osłabły, wycieńczony, o świcie zaledwo stanął u przewozu. Bazylak czekał; z wieczora jeszcze przygotował łódkę, dwa nowe wiosła na zapas, a żonce kazał napiec kartofli. Przygotowałyby może coś lepszego, ale w chacie prócz psa, żonki i syna, innych zapasów nie miał; ryby nawet nie poławiały się w tym czasie, gdyż lód zaledwo onegdaj ruszył, na rzece kra pędzi, a w małej łódce czart nawet nie narażałby życia dla rybiego ogona.

Czekał tedy z kartoflami tylko i przez całą noc smolił lódź nową, ogromną, z dębowych desek, wykończoną akuratnie przed kilkoma dniami. Przez lat

dwadzieścia, od kiedy jest rybakiem i przewoźnikiem, takićj nie miał jeszcze, chociaż myślał o podobnej na trzeźwo i po pijanemu! Dopiero tćj zimy Karnicki dąb mu podarował, dobry pan! Ślamazarny tylko... oto żeby przy pańskiej duszy rozum miał, nie zginąłby marnie, oh, nie!

Bazyłak, smoląc łódź nową, o smole, o deskach i o nim myślał naprzemian; kręcił przytćm głową i pomrukiwał pod nosem. Czasami przychodziło mu tćż na myśl, że teraz będzie mógł po kilkoro ludzi i tyleż bydląt przewozić naraz; wówczas zapalał lulkę i obliczał przypuszczalnie, ile zarobi w dzień kiermaszu, a ile w powszedni. Rachunek wypadł pomysłniel Jeśli nawet czart nie weźmie cherlawego Piotra rybaka, co tam z drugiego brzegu pod jedlinami siedzi; jeśli nawet kulawego Michała syn tćj wiosny z wojska wróci, jak gadają, to i tak Bazyłak z dorosłym synem w nowćj łodzi więćej zarobić potrafi, niż oni wszyscy razem ze ślamazarnemi czółnami! Gawęd, zazdrości będzie coniemiaral Wprawdzie dotąd poniewierać sobą nie pozwalał, ale że na cudzćj ziemi siedział, w nędznćj chałupie z dziurawą strzechą, poważania miał tyle wśród rybaków, ile cudzy pies w wiosce; krzywdy mu wprawdzie wielkićj nie czynili, ale i do zysków zbytecznie nie dopuszczali, zerkając zwykle z ukosa na jego łódkę łataną!

Z podróżnych chyba tylko pijana baba, albo ten, co nigdy nie płaci, jechał z nim bez obawy; inni woleli na prom czekać chociażby dwie godziny, albo wołali drugich rybaków. Przeklinał on ich tćż z duszą i ciałem. A jeśli tam bogatego Piotra choroba drćczy— kto wie; może Bóg łaskaw jego życzeń wysłuchał

Teraz zato... zobaczy. Wysechną łotry z zazdrości jak suszone ryby. No, ale każdy ma swój czas. Panowali oni, z kolei Bazylak panować zacznie! Smoląc, dostrzegł tu i owdzie szparę malutką. Głupstwo, naprawił! Suchych desek zostało jeszcze parę kawałków! Byleby tylko słonko wiosenne suszyć zaczęło, łódź na brzeg wyrzuci na parę tygodni, osmoli raz jeszcze, pomaluje z większego! a wówczas—choć na morze! Syn jego przyglądał się robocie, dopomagał trochę, ale ponury, milczący, radości wielkiej nie okazywał. Bazylak tylko ramionami na niego wzruszał, pluł w ślad za nim, ile razy od roboty odchodził; przecież i on pary z gęby darmo puszczać nie lubił, o łodzi jednak gadał nawet sam z sobą; ten zaś zawsze jak niemy: w królestwie niebieskim nawet na chwałę bożą dobrego słowa nie znajdzie! A jednak tego wieczora, spostrzegłszy na brzegu przygotowaną łódkę i kilka nowych wiosel, popatrzał na rzekę, bryłami lodu pokrytą, potem na ojca:

— Pojedziem? — spytał — a toż woda przybiera, chatę poniesie... a wy... dokąd?

— Do czarta na wesele! — mruknął Bazylak.

— Szczęśliwej drogi!

Powlókł się obojętnie do chaty, Wycieczka ojca zaciekawiała go trochę. O świcie, kiedy wraz z Karnickim wsiadali do łódki, przed chatą stała Bazylakowa bosa, drżąca od zimna, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ponad jej ramieniem wyglądał Maksym zaspany, z najeżoną czupryną, skurczył się, ręce schował za koszulę i dzwonił zębami.

— Maksym! — zawołał Bazylak, oglądając się na chatę—za próg nie wychodź, a jeśli woda podpływać

zacznie, łódź na wzgórek pod las wyciągnij, rozumiesz?

Chłopiec skinął głową.

— Pamiętaj, synku! — krzyczał Bazylak już na rzece. W tej chwili rad byłby do niego boskim głosem przemówić, tak bardzo mu o tę łódź chodziło.

Płynęli dalej. Rozlana rzeka szumiąca głucho; ciemne fale, poprzerzynane pianą, pędziły jedna za drugą, unosząc płachty lodu, czerniejące zdala niby kawały poszarpanej roli. Po brzegach wierchołki drzew wyglądały jak krzaki porozrzucane kupkami; poza niemi, na wzgórkach, piętrzył się las czarny, sięgający ołowianych obłoków. Szum głuchy napełniał powietrze, rozpływał się we mgle ponad wodą, ginął gdzieś wśród drzew nadbrzeżnych; chwilami bryły lodu ścierały się z łoskotem, rozerwane falą znikwały pokryte pianą.

Łódki nie widać prawie na spienionym obszarze. Sylwetki wiosłujących majaczyły we mgle porannej; ponad nimi stado kawek przelatywało zwolna, poruszając leniwo skrzydłami.

Z początku Karnicki wiosłował zawzięcie— pilno mu było oddać się od brzegu, znaleźć się wśród głuszy wodnej, chociażby z narażeniem życia. W miarę jak brzeg znikał mgłą zasłonięty, energia słabła, poruszał wiosłem coraz wolniej, usiadł na ławie. Chłód wilgotny przenikał do kości, członki drętwiały; znużenie, zwyciężane dotąd gorączkowym niepokojem, przemieniło się powoli w senną bezwładność.

Łódka, przemykająca wśród kry po szumiących falach, bujała niby łupina orzecha, przechylała się, drgała uderzona o bryłę lodu płynącą pod wodą; tylko

rybacki spryt Bazylaka ratował ich dotąd od zatonięcia. Karnicki zdawał się nie widzieć niebezpieczeństwa; patrzył na rzekę; odurzająca go potężna siła niepokonanego żywiołu! Zapomniał na chwilę o swojej doli; przymknął oczy, szum wody przemienił się nagle w gwar tłumów potężnych i upartych jak fala. Daremnie słuch nateżał—w rozległym gwarze drgały znajome nuty; całej harmonii pochwycić nie mógł, czy nie umiał; był jakby zinnego świata,—a jak plusk wiosła, pędzących łódź naprzód, ginał wśród loskotu wiedzy, tak słowa jego znikłyby bez echa wśród rozgwarzonych tłumów! W przygnębionej piersi poruszyła się najfałszywsza struna egoizmu.

— Czy warto?—mruknął jak przez sen.

Ocknął się; Bazylak, wiosłujący z całych sił, bryzgnął mu w twarz srebrzystą strugą wody. Przez dwadzieścia lat, jak był przewoźnikiem, ani razu jeszcze nie płynął w taki czas przeklęty! Spotniał ze zmęczenia, a trochę i ze strachu. Spoglądał ku brzegom: pasma czarnych lasów ciągnęły się po obu stronach; woda wciąż łódkę w dół niosła. Daj Boże, żeby koło południa pod Suchą Górą stanęli!—myślał o tém z apatyą, właściwą przewoźnikom. Pana tylko żałował, a ile razy wypłynęli na spokojniejsze miejsce, spoglądał na niego z ukosa. Swego chłopskiego rozumu nie oddałby za jego mądrość, eh, gdzie tam! Nieraz już, myśląc o nim, spluwał i wzruszał ramionami jak na opętanego! Czasami żałował go trochę, gdyż pan był dobry, w sąsiedztwie żyć umiał; dla innego może nie pojechałby w taką psią pogodę, z nim popłynąłby i w gorszą jeszcze. Człek, jak przywyknie do człeka, to i słucha go jakoś, choćby sam nie chciał—tak już Pan Bóg dał

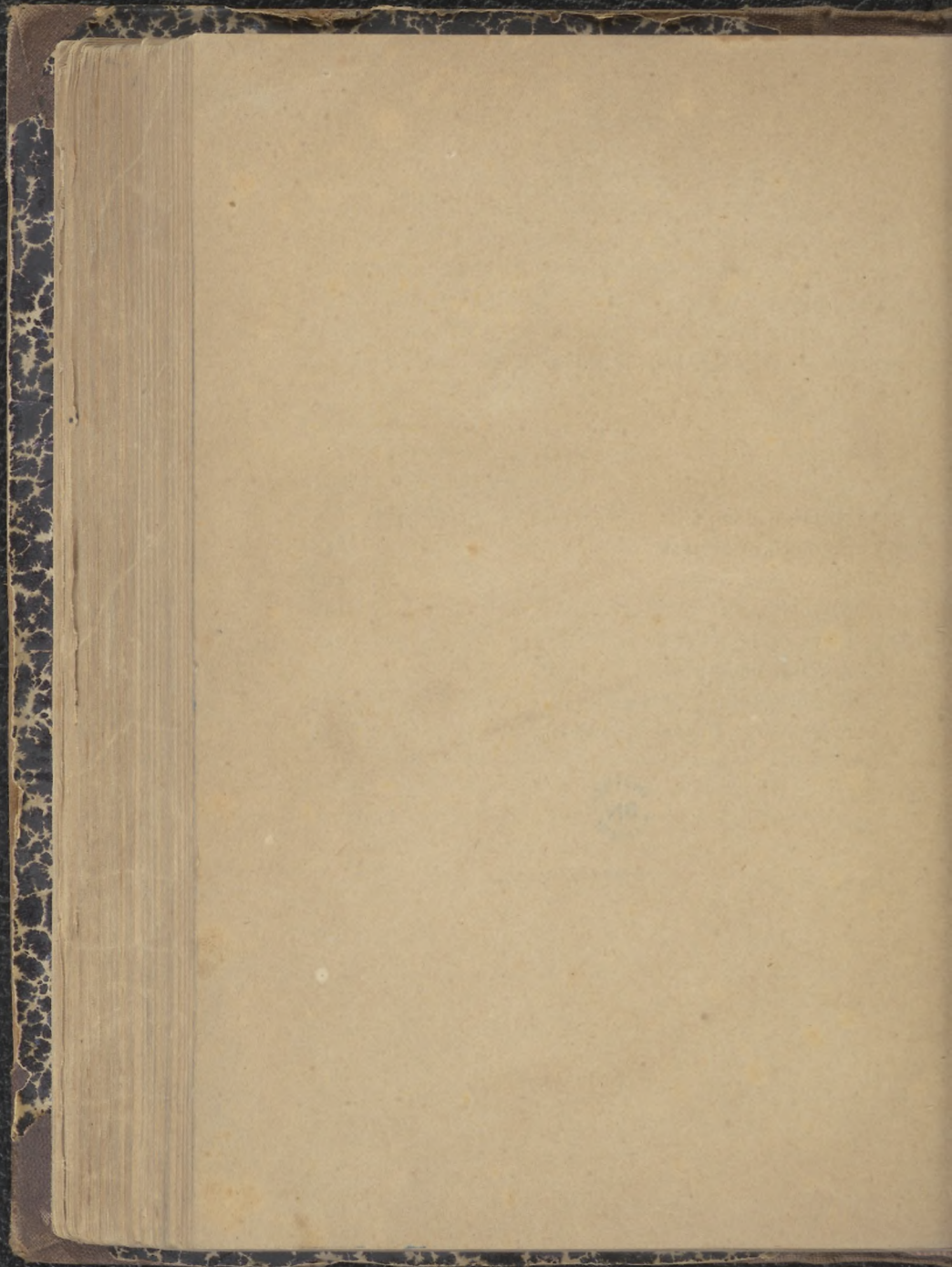
widocznie! Dziś zato, jak do chaty wróci, odrazu na piec wlezie, kożuchem się okryje i chrapnie! Wódki ma trochę w zapasie, sam siebie poczęstuje przed zaśnięciem. Aniołowie pozazdroszczą mu tego spoczynku, a czart ślinę łykać będzie z zazdrości! Myśląc o tém, Bazylak raźniej czapkę na głowie poprawił. Życie ma wcale niezłe! a teraz, jak łódź, nową sporządził, ho, ho! dwa razy lepiej żyć zaczniesz! Byleby tylko woda chaty nie zabrała. Zeszłej wiosny urwała mu kawał ogrodu i płot uniosła, dziś może po resztę chudoby przyjdzie. Spojrzał przez ramię ku chacie... natężył wzrok, usta otwierały się z wolna, przestał wiosłować... Łódka pochyliła się gwałtownie, Karnicki schwyił drugie wiosło, spojrzął za Bazylakiem i ocknął się z zadumy ostatecznie. Mgła pierzchała, chmury się przerzedzały tu i owdzie, ukazały się białawe obłoczki; szary horyzont rozjaśniał się stopniowo.

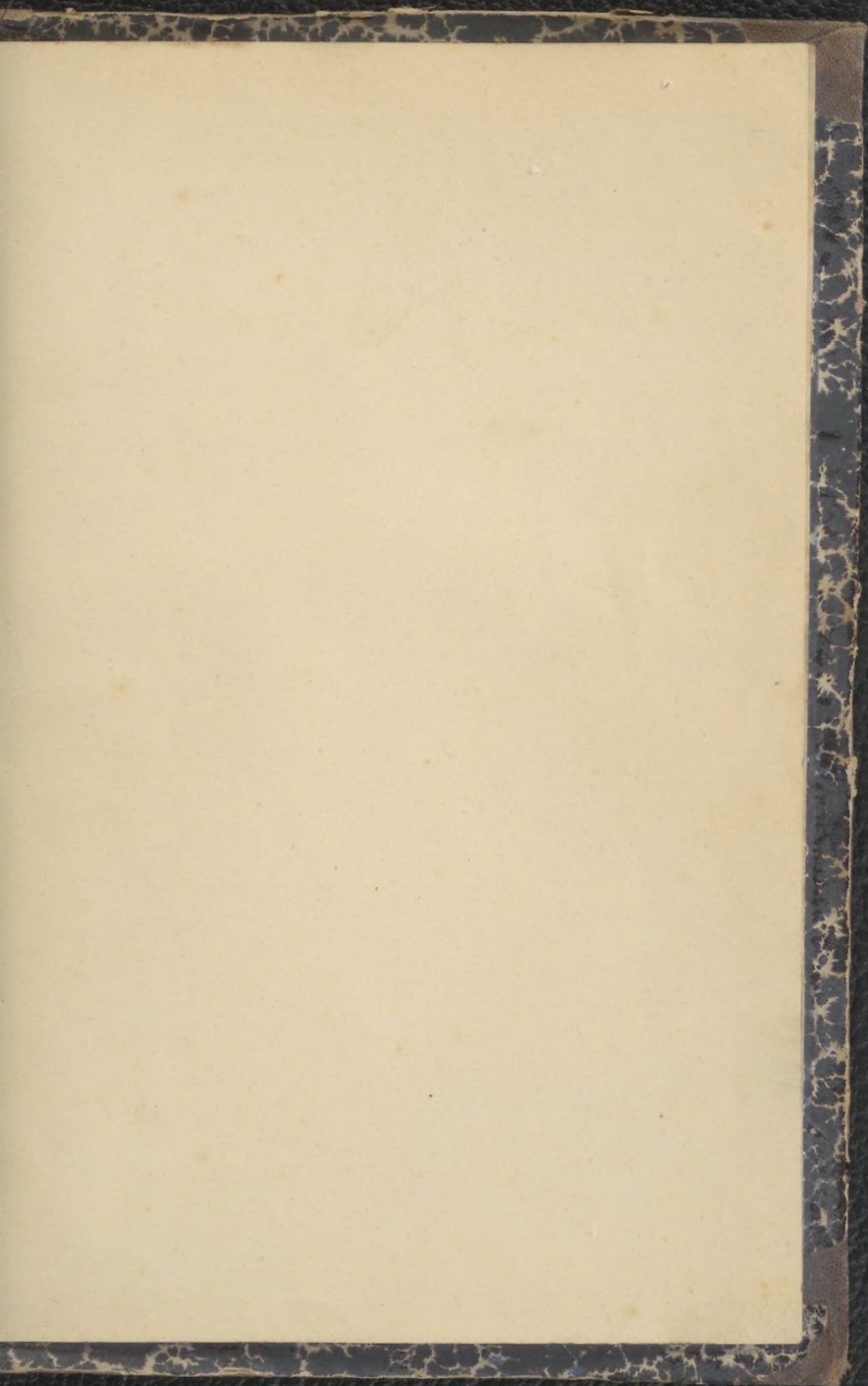
Bazylak rękę do czoła przyłożył i patrzył, własnym oczom nie dowierzając. Środkiem rzeki, tąż samą drogą, którą z mozołem sobie utorowali, płynęła łódź. Przywidzenie chyba! Piotr rybak dogorywał, kulawy Michał wczoraj z furmankami do miasteczka pojechał. Maksym chyba... i może... Bazylakowi oddech w pierśsiach ugrzązł na samo przypuszczenie! Zapomniał, że w mgnieniu oka może się znaleźć na dnie rzeki! Przyśiadł w łódce, brodę oparł na krawędzi. Przestał sapać; zmrużywszy oczy, wpatrzył się na powierzchnię wody. Tak, łódź pędziła! Dotąd tylko nie mógł dostrzedz jej wielkości, ale przecucie mówiło, że to jego łódź świeżutko osmolona, z dwiema naprędce załatanemi szparami. Oh, czuł, że mu dusza z piersi wyskoczy z żalu! Szczeliny rozmokną wkrótce, a chociaż łódź nie zatoni

fala rozniesie ją po desce i szukaj potem wiatru w polu! To Maksym... poganin! Tak, Maksym! w spodniach i w koszuli tylko, bez czapki nawet stoi na przodzie, wiosłem wodę podrzuca... a za nim czterech, pięciu... O! żeby ich wszystkich święta rzeka pożarła! Nie widać tylko, czy nową łodzią jadą! Bazylak jeszcze więcej przysiadł, już tylko czoło i oczy widać nad krawędzią!... Wtém świsnęło coś w powietrzu, huk głuchy rozległ się długiemi echem po lesie. Bazylak drgnął, gdyż w téjże chwili łódź się obróciła i wyraźnie spostrzegł biały, nowiutki bok. Oh, poganie, bezbożniki!—mrucał, porywając wiosło drżącemi z gniewu rękami. Chciał płynąć ku nim, czego—sam nie wiedział. Potrzebował zobaczyć, dotknąć się, no i Maksymowi łeb wiosłem roztrzaskać. Karnicki pędził na przód, on w tył kierował—stanęli. Spienione fale wskakiwały do łódki, kubrak i kozuch na dnie były już zalane.

— Bodaj was wszystkich... bodaj mię!—klął Bazylak i jak raniony niedźwiedź borykał się z falami. Już ruszył... wtém krzyk przeraźliwy doleciał z lasu, z obłoków, czy z łodzi, w ogólnym szumie odrazu nie można było zrozumieć. Bazylak obejrzał się i przysiadł znowu ogłupiały, wiosło do wody opuścił. Duża łódź trzepotała się na wodzie na prawo, na lewo, na przód się przechyliła... stanęła. Wreszcie widział kilka rąk wyciągniętych, kilka pochylonych figur—oddalały się z szybkością strzały. To Karnicki pędził—łódź znikła.

Przybili do brzegu. Bazylak, obrócony twarzą do rzeki, patrzył z otwartemi ustami, osowiały, jak martwy. Czapka zsunęła się na tył głowy, kosmyki rudych włosów spływały na czoło, na skronie, kiwał głową.





663

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021698260

Yms. Lwowski
7.05.1998 Warszawa
21. 20



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

1471897
